

*Każda książka Little'a to wydarzenie
w świecie literackiego horroru!* **STEPHEN KING**

BENTLEY LITTLE



DOMINIUM

**Tej nocy bogowie rozpetają piekło.
Krwawy rytuał przywróci im panowanie nad światem...**

Diona lekceważą wszyscy. Nikt nie zdaje sobie sprawy, że nieśmiały i wrażliwy chłopak ukrywa straszną tajemnicę. Że mroczna siła zaburza jego sny.

Zmienia go. I że pewnego dnia obudzi się jako ktoś inny...

Penelopa nigdy nie pasowała do reszty dzieciaków w szkole.

Mieszka w dziwacznej komunie złożonej z samych kobiet, które snują dziwaczne opowieści o otaczających ich dom lasach... i o samej Penelopie.

Dion i Penelopa są dla siebie stworzeni. I dlatego nigdy nie powinni byli się spotkać....



BENTLEY LITTLE to dziś największy obok Stephena Kinga amerykański mistrz horroru. Został odkryty w 1990 roku właśnie przez Stephena Kinga, który jest jego wiernym fanem.

Podczas wypadku na autostradzie w 1999 roku King miał przy sobie książkę Little'a...

Bentley Little jest laureatem nagrody Brama Stokera, najwyższego w tym gatunku wyróżnienia, i autorem kilkunastu powieści i ponad 100 opowiadań. W 2007 roku na podstawie jednego z nich nakręcono w USA film telewizyjny. W horrorach Little'a są zjawiska nadnaturalne i napawające lękiem, nierozpoznane strony ludzkiej natury. W powieści *Instykt śmierci* autor stworzył postać jednego z najbardziej przerażających seryjnych morderców w literaturze.

PATRONAT
MEDIALNY

carpe noctem
www.CarpeNoctem.pl



GILDIA.PL



AMBER

Cena det. zł 34,80

www.wydawnictwoamber.pl



BENTLEY
LITTLE
DOMINIUM

Przekład
DANUTA GÓRSKA



Tytuł oryginału: Dominion

Korekta

Barbara Cywińska

Jolanta Kucharska

Ilustracja na okładce

© Zbigniew Foniok

Projekt graficzny okładki

Małgorzata Foniok

Projekt graficzny serii

Małgorzata Foniok

Druk

Wojskowa Drukarnia w Łodzi Sp, zo.o.

Copyright © Bentley Little, 1992.

All rights reserved.

For the Polish edition

Copyright © 2008 by Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

ISBN 978-83-241-3294-2

Warszawa 2009. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp, z o.o.

00-060 Warszawa, ul. Królewska 27

tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Dla mojej żony, Wai San Li

PROLOG

NOWY JORK 1920

Dziewczynki!

Same dziewczynki, co do jednej. Stał na szczycie schodów i zaglądał do słabo oświetlonej piwnicy. Noworodki pełzały w błocie, krwi i brudnej, stęchłej wodzie, płakały, wrzeszczały, popiskiwały. Matki, przykute łańcuchami do ściany, leżały bezwładnie na kamieniach, ze zwieszonymi głowami, ledwie żywe, nagie ciała wciąż umazane krwią i płynami owodniowymi, przegryzione pępowiny sterczące sztywno pomiędzy rozłożonymi nogami.

Przerzucał wzrok z jednego noworodka na drugiego, z nadzieją wypatrując penisa, ale widział tylko małe, bezwłose szparki.

Matka miała rację. Nie był mężczyzną.

Zaczął płakać. Nie mógł się opanować. Gorące łzy wstydu wyrwały się spod powiek i spłynęły po policzkach, tylko pogłębiając jego upokorzenie. Mimowolny szloch wyrwał mu się z ust i jedna kobieta spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem. Zobaczył ją przez rozmazaną kurtynę łez. Nie wiedział, czy ona zdaje sobie sprawę, co się dzieje, ale to go nie obchodziło.

- To twoja wina! - krzyknął do niej i do pozostałych.

Jedna z kobiet zajęczała niezrozumiale.

Wciąż płacząc, wrócił do kuchni, otworzył szarękę pod zlewem i rozwinął szlauch. Odkręcił wodę na cały regulator, przeciągnął szlauch po podłodze do drzwi piwnicy i spuścił końcówkę po schodach.

Zaleje piwnicę i potopi je wszystkie.

Woda lała się z węża równym strumieniem, spływała po stopniach i zasilala brudną kałużę, która stała na dnie. Trzy kobiety usłyszały plusk wody i półprzytomnie uniosły posiniaczone twarze, czekając na codzienne obmywanie, ale nie doczekały się i głowy znowu im opadły ze stłumionym brzękiem żelaznych obręczy na szyjach i ramionach.

Patrzył, jak poziom wody w piwnicy podnosi się powoli. Łzy przestały płynąć, wyschły, zniknęły. Otarł oczy. Upłyną dwie godziny, może trzy, zanim woda sięgnie im nad głowy i potopi je. Wróci później, po wszystkim, spuści wodę i pozbędzie się ciał.

Wszedł do kuchni i zamknął drzwi. Przez chwilę stał niepewnie, zanim przeszedł przez wąski, ciemny korytarz do frontowej części domu. Z zewnątrz dochodził niski warkot samochodów na ulicy, entuzjastyczne okrzyki bawiących się dzieci. Stał przez kilka minut przy frontowym oknie i wyglądał na trawnik przed domem, zanim sobie uświadomił, że stoi dokładnie w tym miejscu, gdzie dawniej stawała matka, kiedy szpiegowała sąsiadów.

Zalała go czarna fala. Odsunął się od okna i oddychał głęboko, powoli, dopóki mu nie przeszło. Popatrzył na swoje ręce. Matka zawsze mówiła, że dłonie miał za duże w stosunku do ramion, nieproporcjonalne w porównaniu z resztą ciała, starał się więc je ukrywać w kieszeniach albo za plecami. Teraz jednak nie wydawały się takie duże i zastanawiał się, czy się skurczyły. Żałował, że matki tu nie ma, że nie może jej pokazać swoich dłoni i zapytać.

Niepocieszony, wędrował po pustym domu, przez salon i hol, po schodach na górę i jak zawsze trafił do sypialni matki.

Sypialnia matki.

Usiadł na czerwonej jedwabnej narzucie i podniósł kajdanki na nogi przymocowane do wysokich drewnianych słupków w nogach łóżka. Od śmierci matki nie otwierał okien i pokój wciąż silnie cuchnął winem, perfumami i dawnym seksem. Głęboko zaczerpnął powietrza, wdychając rozkoszną woń, jednocześnie kwaśną i słodką, cierpką i piżmową. Rozejrzał się po pokoju. Na orientalnym dywanie wciąż widniały plamy krwi po ostatnim razie, ciemna czerwień zbladła już do zakurzonego brązu, który zlewał się z wielobarwnym rokokowym deseniem. Na toaletce przed ogromnym lustrem stały puste flakoniki. Brudna bielizna licznych pań i panów wałała się po podłodze, niektóre sztuki podarte i poszarpane, zerwane z chętnych ciał w szale namiętności.

Jego wzrok przyciągnęły drzwi obok garderoby, drzwi pokoju, do którego zabierano niechętnych uczestników.

Wstał, zdjął długi mosiężny klucz z haka nad łóżkiem, wsunął go do zamka i otworzył drzwi. W tym pokoju się modliła, tutaj odprawiała swoje rytuały. Nie wiedział dokładnie, na czym polegały; nigdy nie chciała mu powiedzieć. Wiedział tylko, że wymagały wielu ofiar, że za każdym razem musiał dla niej znaleźć dwie, trzy, czasem cztery ofiary. Głównie mężczyzn. Kobiety, jeśli trzeba. Rytuały były głośne. Słyszał krzyki rozlegające się echem w korytarzach, czuł uderzenia ciał przewracanych na podłogę, ciskanych o ściany. Dobrze, że mieszkali w takim dużym mieście. Inaczej szukano by ludzi, których matka złożyła w ofierze, krzyki zwróciłyby uwagę. A tak rzadko zauważano nieobecność ofiar (zawsze wybierał je starannie), krzyki zaś ginęły w ulicznym zgiełku.

Matka jednak zawsze powtarzała, że konieczność odprawiania rytuałów w tym pokoju, zamiast w odpowiednim miejscu, wypaczyła ich cel, doprowadziła do jego pomyłkowych narodzin.

Stał w progu i powoli rozglądał się po cichym pokoju. Połamane kości wciąż leżały na podłodze, rozrzucone bezładnie, jakby w gorączkowym szale. Kości były czyste, dokładnie obrane z mięsa. Na ścianach namalowano drzewa, pieczołowicie odtworzony wizerunek lasu, za który matka zapłaciła pokaźną sumę miejscowemu artyście i później spędziła z nim dwa dni w sypialni.

Wszedł do pokoju i odetchnął głęboko. Tutaj cuchnęło mocniej, ponieważ pokój nie miał okien, ale pachniało bardziej krwią niż seksem, wcale nie tak przyjemnie jak w sypialni. Przeszedł kilka kroków, kopniakiem usunął z drogi dolną kość szczękową. Przyprawiał ofiary, ale nigdy nie musiał się ich pozbywać. Po zakończeniu rytuałów nigdy nie zostawało nic do wyrzucenia, tylko te oczyszczone kości i czasami samotny ochłap mięsa.

Nieraz chciał wziąć udział w rytuałach matki, ale powiedziała mu bez ogródek, że to wykluczone. Dopiero w zeszłym roku, kiedy ponownie odczytała przepowiednie, zdecydowała, że pozwoli mu kontynuować po swojej śmierci. Dopiero wtedy w pełni odzyskał wiarę. Dopiero wtedy mu powiedziała, co musi zrobić.

Teraz nawet w tym ją zawiódł.

Pomyślał o noworodkach w piwnicy. Postanowił dać im jeszcze godzinę, a potem sprawdzić, czy wszystkie utonęły.

A później spróbuje jeszcze raz.

Nie miał innego wyjścia.

Szkoda, że musiał się pozbyć również matek. Tak wspaniale było, kiedy je brał, kiedy je bił i zmuszał, żeby poddały się jego woli, kiedy czuł, że w nich również wzbiera gorąca zwierzęca namiętność. Wtedy naprawdę czuł się synem swojej matki.

Ale będą następne. Znajdzie je tak samo, jak znalazł te, weźmie je tak samo i napełni swoimi dziećmi.

A jeśli nie dadzą mu chłopca, spróbuje znowu.

I znowu.

Godzinę później wrócił do piwnicy. Wszystkie kobiety utonęły - widział ich włosy rozpostarte wachlarzowato na powierzchni brudnej, zakrwawionej wody - ale dzieci żyły i wesoło pływały.

Przystanął, zaszokowany. To nie do wiary!

Wściekły, zbiegł ze schodów i wskoczył do zimnej, czarnej wody. Wzbierał w nim gniew. Chwył główkę najbliższego noworodka i wepchnął pod wodę. Nagle poczuł ostry ból w palcu wskazującym. Krzyknął i gwałtownie cofnął rękę. Mała go ugryzła! Potrząsnął dłonią, żeby odpędzić ból, i znowu pchnął w głąb winowajczynię. Nagrodziły go małe bąbelki wypływające na powierzchnię.

Coś boleśnie ukuło go w plecy. Obrócił głowę i zobaczył, że następny noworodek drapie go po krzyżu palcami zakrzywionymi jak szpony. Inne maleństwo wgrzyło się w mięsistą część jego przedramienia, mocno wbiło zęby w skórę i tłuszcz.

Pozostałe noworodki podpływały do niego, śmiejąc się z podnieceniem, szczerząc małeńkie ząbki...

noworodki nie mają zębów

...rozchlapując wodę małymi rączkami. Przestraszony, puścił pierwsze dziecko, które natychmiast wgrzyło mu się w brzuch. Wrzasnął z bólu, a po chwili wrzasnął jeszcze głośniej, kiedy małeńkie paluszki zagłębiły się w jego kroczu.

Ile tu było noworodków? Nie pamiętał. Przypomniawszy sobie, że jedna z kobiet urodziła bliźniaki. Dotknął stopą jakiegos pudła pod wodą, odepchnął się i próbował dotrzeć do schodów. Małeńka, wyszczerzona niemowlęca buzia wyskoczyła z wody tuż przed nim, drobne rączki śmignęły do jego oczu. Odtrącił dziewczynkę, ale ona zdążyła zatopić zęby w jego za dużej dłoni.

- Ratunku! - zawołał piskliwym kobiecym głosem.

Nie był mężczyzną.

- Ratunku!

Ale nikt nie słyszał.

I jego dzieci wciągnęły go w głąb.

CZĘŚĆ 1

1.

W Mesie panował upał, kiedy przygotowywali się do wyjazdu. Temperatura dochodziła do trzydziestu stopni, chociaż słońce jeszcze nie wzeszło. Błada poświata nad górami Superstitions wkrótce rozkwitnie w typowy sierpniowy poranek. Dion wiedział, że w południe wyświetlacz na ścianie budynku Valley National Bank pokaże cyfry zaczynające się od czwórki.

Pomógł mamie zanieść ostatnie bagaże do samochodu - walizkę z przyborami toaletowymi, torbę wypełnioną przekąskami na drogę, termos z kawą - a potem stał obok drzwi po stronie pasażera, kiedy po raz ostatni zamykała dom i wkładała klucze do skrzynki pocztowej. Dziwnie było wyjeżdżać, ale ze zdumieniem odkrył, że wcale nie smuci go myśl o opuszczeniu domu. Spodziewał się żalu czy poczucia straty, przygnębienia czy osamotnienia, ale nie czuł nic.

Samo to powinno go wpędzić w depresję.

Matka zdecydowanym krokiem przeszła przez brązową trawę na chodnik. Nosiła cienki top bez pleców, ledwie zakrywający jej duże piersi, i szorty o wiele za ciasne jak na kobietę w jej wieku. Nie żeby wyglądała na swój wiek. Bynajmniej. Jak niejeden z jego kolegów przyznawał przez lata, stanowiła niemal symbol seksu, jedyny, jaki mogli spotkać w prawdziwym życiu. Nigdy nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Co innego, gdyby mówili o obcej osobie albo czyjejś kuzynce czy ciotce, ale własna matka...

Czasami żałował, że nie jest gruba, brzydka i nie ubiera się niegustownie jak inne starsze panie.

Mama otworzyła drzwi po jego stronie. Wsiadł do samochodu i sięgnął nad fotelem kierowcy, żeby wyciągnąć blokadę w jej drzwiach. Uśmiechnęła się do niego i usiadła za kierownicą. Cienki strumyczek potu żłobił ścieżkę w jej makijażu po prawej stronie twarzy, ale go nie wytarła.

- Chyba mamy wszystko - powiedziała wesoło.

Kiwnął głową.

- Gotowy do drogi?

- Aha.

- No to ruszamy.

Uruchomiła silnik, wrzuciła bieg i odjechali od krawężnika.

Meble wysłali już do Napa, a teraz czekała ich dwudniowa podróż. Nie zamierzali jechać bez przerwy przez osiemnaście godzin, tylko przenocować w Santa Barbara i następnego dnia kontynuować podróż. Wtedy zostanie im trochę ponad tydzień na rozpakowanie i osiedlenie, zanim on zacznie szkołę, a mama zacznie pracę.

Skreślili w University i minęli Circle K, gdzie poprzedniego wieczoru ostatecznie pożegnał się z przyjaciółmi. Odwrócił wzrok od sklepu wielobranżowego, bo ogarnęło go dziwne zakłopotanie. Wczorajsze pożegnania wypadły niezręcznie nie wskutek nadmiaru emocji, ale z powodu ich braku. Powinien chyba uściskać przyjaciół, powiedzieć im, ile dla niego znaczyli i jak bardzo będzie za nimi tęsknił, ale nie czuł nic takiego. Po kilku niepewnych, chybionych próbach ożywienia emocji, podjętych przez obie strony, zrezygnowali i rozstali się jak zwykle, jakby jutro mieli znów się spotkać.

Żaden z nich, uświadomił sobie Dion, nie obiecał nawet pisać.

Dopiero teraz zaczęła go ogarniać depresja.

Jechali po University w stronę Tempe i autostrady między stanowej. Patrząc na znajome ulice, znajome sklepy i punkty orientacyjne, nie mógł uwierzyć, że naprawdę wyjeżdżają, naprawdę opuszczają Arizonę.

Przejechali obok ASU. Chciał po raz ostatni spojrzeć na uniwersytet, pożegnać chodniki i ścieżki rowerowe, gdzie spędził tyle weekendów, ale od razu trafili na zielone światło i samochód niestosownie szybko przemknął obok kampusu, pozbawiając go nawet szansy na pożegnanie. Potem uniwersytet został z tyłu.

Dawniej miał niewielką nadzieję, że pójdzie na studia, chociaż zdawał sobie sprawę, że matkę stać najwyżej na posłanie go do publicznej dwuletniej szkoły pomaturalnej. Teraz wiedział, że nadzieja nigdy się nie spełni.

Po kilku minutach wjechali na autostradę.

Pół godziny później znaleźli się na pustyni i widzieli Phoenix w lusterku wstecznym.

Po kolejnych dziesięciu minutach zniknęły nawet zarysy budynków na tle pomarańczowej kuli wschodzącego słońca.

Zmieniali się za kierownicą, przesiadając się na rzadkich miejscach postojowych. Przez pierwszą godzinę milczeli i słuchali radia, każde zatopione we własnych myślach, ale kiedy zakłócenia zagłuszyły wreszcie nawet rytm muzyki, Dion wyłączył radio. Milczenie, jeszcze przed chwilą takie normalne i naturalne, nagle wydało się napięte i wymuszone. Odchrząknął i próbował wymyślić temat rozmowy.

Ale to ona pierwsza się odezwała.

- Wszystko będzie inaczej - oznajmiła, spoglądając na niego. - Zmiana dobrze zrobi nam obojgu. Zaczniemy od nowa. - Przerwała. - Czy raczej ja zacznę od nowa.

Poczuł, że się czerwieni, i odwrócił wzrok.

- Musimy o tym porozmawiać. Wiem, że to ciężkie. Wiem, że to trudne. Ale to ważne, żebyśmy się porozumieli. - Spróbowała się uśmiechnąć i prawie jej się udało. - Poza tym złapałam cię w pułapkę w samochodzie i musisz mnie wysłuchać.

Odpowiedział wymuszonym uśmiechem.

- Wiem, że cię rozczarowałam. Zbyt wiele razy. Siebie też rozczarowałam. Nie zawsze byłam taką matką, jakiej chciałeś i jaką sama chciałam być.

- To nieprawda... - zaczął.

- To prawda i oboje to wiemy. - Uśmiechnęła się smutno. - Powiem ci, że nic nie boli mnie bardziej niż rozczarowanie w twoich oczach, kiedy tracę kolejną posadę. Przez to nienawidzę siebie i za każdym razem sobie obiecuję, że to się nie powtórzy, że się zmienię, ale... no, jakoś nic się nie zmienia. Nie wiem dlaczego. Ja po prostu... no wiesz. - Popatrzyła na niego. - Ale teraz wszystko się zmieni. Zaczniemy nowe życie w Kalifornii i stanę się inną osobą. Zobaczysz. Wiem, że obietniczki nie wystarczą, że muszę ci udowodnić. I udowodnię. Tamto już skończone. Zostawiłam to za sobą. W przeszłości. To jest nowy początek dla nas obojga i postaramy się go wykorzystać jak najlepiej. Okay?

Dion kiwnął głową.

- Okay? - powtórzyła.

- Okay.

Wyrzwał przez okno, na krzaczki bylicy i kaktusy saguaro zostające z tyłu. Oczywiście mówiła poważnie i sama w to wierzyła, i to brzmiało całkiem dobrze, ale również jakby znajomo i odrobinę sztucznie. Podejrzewał, że zapożyczyła to z jakiegoś filmu. Nienawidził siebie za takie myśli, ale mama wygłaszała już przedtem takie obietnice z nie mniejszym przekonaniem, żeby je złamać, kiedy tylko spotkała faceta z butelką i niezłym tyłkiem.

Pomyślał o Cleveland, pomyślał o Albuquerque.

Milczeli, dopóki nie dojechali do miejsca postojowego. Dion wysiadł i przeciągnął się, zanim przeszedł na stronę kierowcy. Oparł się o maskę samochodu.

- Nie rozumiem, dlaczego się przenosimy do Napa - powiedział.

Matka, poprawiając biustonosz, zmarszczyła brwi.

- Jak to nie rozumiesz? Przecież dostałam tam pracę.

- Ale mogłaś dostać pracę wszędzie.

- Masz coś przeciwko Napa?

- Nie - przyznał. - Po prostu... sam nie wiem.
 - Po prostu co?
 - No, ludzie zwykle mają powód, żeby się przeprowadzać. - Zerknął na nią i poczerwieniał. - To znaczy przeprowadzać do określonego miejsca - dodał pospiesznie. - Mają tam rodzinę albo tam dorastali, albo naprawdę kochają to miejsce, albo firma ich przenosi, albo... cokolwiek. Ale my właściwie nie mamy żadnego powodu, żeby wyjeżdżać.
 - Dion - warknęła - zamknij się i wsiadaj.
- Wyszczерzył do niej zęby.
- Dobra, dobra - powiedział.

Spędzili tę noc w motelu Six w Santa Barbara, w pojedynczym pokoju z podwójnym łóżkiem.

Dion wcześniej się położył, wkrótce po obiedzie, i natychmiast zasnął. Śnił mu się korytarz, długi, ciemny korytarz z czerwonymi drzwiami na końcu. Powoli szedł korytarzem, czując pod nogami miękką, śliską, niestabilną podłogę, chociaż słyszał stukot swoich obcasów na twardym cemencie. Szedł dalej, patrząc prosto przed siebie, bojąc się spojrzeć w lewo czy w prawo. Kiedy dotarł do drzwi, nie chciał ich otworzyć, ale jednak otworzył i za nimi zobaczył schody prowadzące w górę.

Środkiem schodów ściekał cienki strumyczek krwi.

Wszedł po schodach, patrząc pod nogi, śledząc strumyczek aż do źródła. Dotarł na podest, obrócił się, ruszył dalej w górę. Teraz krew płynęła szybciej, obficie.

Odrzucił się na następnym podeście i zobaczył siedzącą na najwyższym stopniu piękną jasnowłosą dziewczynę, mniej więcej w jego wieku. Proste włosy miała zebrane w koczek na czubku głowy i uśmiechała się do niego zachęcająco.

Była kompletnie naga.

Przesunął wzrokiem po jej ciele, po mlecznobiałych piersiach, do szeroko rozłożonych nóg. Z owłosionej, ocienionej szpary między udami wyciekała nieprzerwanie wstążka krwi, spływająca kaskadą po stopniach. Powoli podszedł do dziewczyny. Wyciągnęła do niego rękę i skinęła, żeby położył głowę na jej kolanach, a kiedy znowu spojrział jej w twarz, zobaczył, że zmieniła się w jego mamę.

Następnego ranka wyjechali wcześniej, przed świtem. Na śniadanie zatrzymali się w małym miasteczku Solvang, jakieś sześćdziesiąt kilometrów na północ od Santa Barbara. Solvang, znaną atrakcją turystyczną, przedstawiano jako duńską wioskę, ale w architekturze bajkowych domków dostrzegało się amalgamat rozmaitych skandynawskich wpływów,

włącznie z holenderskimi wiatrakami i szwedzkimi skrzynkami na kwiaty. Jedli w kawiarni na świeżym powietrzu i Dion dostał coś, co nazywano belgijskim waflem: przesadnie wielki kwadratowy wafel, kopiasto obładowany świeżymi truskawkami i bitą śmietaną. Choć wciąż dręczył go sen z zeszłej nocy, już się tak nie przejmował wyjazdem z Arizony. Spoglądał na błękitne niebo, na zielone faliste wzgórza otaczające wioskę. Wiedział, że do Napa zostało im jeszcze osiem godzin jazdy, ale wyobrażał sobie, że wygląda tak samo jak Solvang - mała, urocza, nierealnie piękna. Po raz pierwszy zdawało mu się, że zrozumiał, dlaczego mama chciała zamieszkać w północnej Kalifornii, krainie wina.

A potem znowu odjechali, zabierając białą woskowaną torbę z duńskimi ciastkami na drogę. Okolica zrobiła się bardziej płaska, rolnicza, i chociaż na początku wyglądała malowniczo, jednakowe widoki wkrótce stały się monotonne i Dion, ukołysany subtelnym kołysaniem auta, szybko zasnął.

Obudził się przed lunchem i wciąż nie spał godzinę później, kiedy wjeżdżali do San Francisco. Mama, wyraźnie podniecona, zrobiła się bardziej rozmowna, kiedy dojeżdżali do Napa. Jej entuzjazm był zaraźliwy i Dion sam niecierpliwie czekał na chwilę, kiedy zobaczą swój nowy dom.

Pierwszy widok Doliny Napa go rozczarował. Spodziewał się żyznych zielonych pól otaczających małe miasteczko, staroświeckich domków szalowanych deskami, parku z muszlą dla orkiestry i kościoła z wieżyczką górującego nad rynkiem. Zamiast tego przez warstwę białego smogu zobaczył zatłoczonego Burger Kinga, usytuowanego obok opuszczonej stacji benzynowej Exxon. Po tyłu zapowiedziach ten widok był bardziej niż przygnębiający. Dion wyglądał przez okno, ale nie widział ani śladu farmy czy choćby altany oplecionej winoroślą, tylko zwyczajne budynki na typowej miejskiej ulicy. Obejrzał się na matkę. Wciąż wydawała się szczęśliwa, podekscytowana, ale jego nastrój wyczekiwania pierzchnął. Kiedy przejeżdżali przez miasto, ogarniała go niepojęta zgroza, uczucie w dziwny sposób przypominające mu ostatni sen.

Lęk narastał, kiedy mijali centrum handlowe, podmiejskie osiedla i turystyczne atrakcje. W miarę jak posuwali się na północ, okolica przybierała bardziej wiejski charakter, ale nie tylko fizyczne otoczenie potęgowało jego zgrozę. Czuł, że przytłacza go ogromny emocjonalny ciężar, potężny, nieokreślony strach, coraz silniejszy w miarę jak zbliżali się do swojego nowego domu.

Dziesięć minut później byli na miejscu.

Dion powoli wysiadł z samochodu. Dom wyglądał ładniej niż ich dom w Mesie. Dużo ładniej. Zamiast małej wiaty na samochód z dobudowaną szopą mieli piękny garaż z sekwoi. Zamiast żwiru i kaktusów - podwórze pełne krzewów i zielonych drzew. Zamiast pudełkowej rudery - mały, ale zachwycający budynek prosto z „Architectural Digest”. Dom zbudowano na płaskowyżu pomiędzy wzgórzami, które otaczały dolinę. Nominalnie należał

do osiedla, ale stał odsunięty od drogi, ukryty za ścianą zieleni, co nadało mu odświeżająco sielski charakter. Mama uśmiechnęła się szeroko.

- Jak ci się podoba? Prosiłam, żeby ktoś z biura go wybrał. Pomyślałam, że mają lepsze dojścia. No i co?

Dion kiwnął głową.

- Jest wspaniały.

- Będziemy tutaj szczęśliwi, prawda? Powoli przytaknął.

- Chyba tak - powiedział.

I ku swojemu zdziwieniu odkrył, że w to wierzy.

2.

Kwiecień się udał.

Spędzili tutaj niecały tydzień, a zdawało się, że mieszkają tu od lat. W Napa czuła się bardziej jak w domu niż w Mesie.

Stała przy kuchennym oknie, popijała kawę i patrzyła, jak Dion kosi trawnik z tyłu. Pracował bez koszuli, spocony, i myślała, że gdyby nie był jej synem, mogłaby go uwieść. Wyrastał na bardzo przystojnego młodego mężczyznę.

Ciekawe, czy będzie podobny do ojca.

Nie żeby pamiętała, jak wyglądał jego ojciec.

Nie żeby wiedziała, kto jest jego ojcem.

Uśmiechnęła się do siebie. Omaha. W tamtych czasach miała wielu facetów. Stałych kochanków i na jedną noc. I nigdy nie stosowała żadnej antykoncepcji. Nie lubiła kondomów ani kapturków, nie lubiła żadnych przeszkód w kontakcie i brakowało jej odpowiedzialności, żeby regularnie zażywać pigułki antykoncepcyjne. Więc zdawała się na los szczęścia i przyjmowała, co się zdarzy.

Jednak cieszyła się, że zaszła w ciążę. Cieszyła się, że urodziła Diona. Nie wiedziała, gdzie by dzisiaj była bez niego. Pewnie martwa. Z przedawkowania. Albo pokrojona przez jakiegoś psychopata.

Obrócił kosiarkę, ruszył z powrotem w stronę domu, zobaczył ją w oknie i pomachał. Pomachała w odpowiedzi.

Podczas podróży Dion zapytał, dlaczego przynoszą się do Napa, a ona nie potrafiła mu odpowiedzieć. Dlaczego tutaj przyjechali? Jak słusznie zauważył, właściwie nic ich nie zmuszało, żeby zamieszkać w tym miejscu. Nie miała krewnych ani przyjaciół w tej okolicy; pracę tego rodzaju mogła dostać w każdym średniej wielkości mieście albo na terenie metropolii. Odpowiedziała mu, że tutaj jest równie dobrze jak gdzie indziej, że jest dostatecznie

daleko, żeby nikt jej nie znał, ale tak naprawdę...

Została wezwana.

Wezwana. Tak to nazywała w myślach. Logicznie biorąc, to nie miało sensu, ale emocjonalnie wydawało się słuszne. Przeczytała artykuł o Krainie Wina w niedzielnym dodatku do „Arizona Republic” i poczuła, że coś ją ciągnie do tego miejsca. Pomysł przeprowadzki dojrzał w niej przez dwa tygodnie, stopniowo przerodził się z pragnienia w konieczność, codziennie nawiedzał ją, aż myślała, że zwariuje. Zrobiła się nerwowa i niespokojna. Zupełnie jakby coś jej kazało wyjechać do Napa. Początkowo z tym walczyła, ale wreszcie się poddała. Zawsze ufała swojemu instynktowi.

Oczywiście i tak musieli się przeprowadzić, tam czy gdzie indziej. Nie miała wyboru. Nie została zwolniona z banku, jak powiedziała Dionowi. Wyrzucili ją i zagrozili sądem. Dion pewnie podejrzewał więcej, niż mu powiedziała, chociaż się z tym nie zdradzał, ale nawet najgorsze podejrzenia jej syna z pewnością nie dorównywały okropnej prawdzie. Prawda była taka, że chłopiec miał szesnaście lat i został poważnie, nieodwracalnie okaleczony, i gdyby dyrektor banku również nie był w to zamieszany, pewnie teraz siedziałaby w więzieniu albo zeznawała przed sądem.

Co ze mną jest nie tak? - zastanawiała się często. Dlaczego takie rzeczy ciągle mi się zdarzają? Przecież chciała prowadzić normalne życie, ale zawsze coś jej przeszkadzało. Chociaż bardzo się starała iść prostą drogą, inni tylko czekali, żeby ją sprowadzić na manowce. Zresztą nie całkiem bez jej winy. W dużej mierze sama ponosiła za to odpowiedzialność. Widocznie wszystko sprzysięgło się przeciwko niej.

Ale teraz skończone. Tym razem będzie inaczej. Postanowiła zerwać z dawnymi nawykami, dawnymi schematami. Po raz pierwszy w życiu zamierzała stać się matką, jaką chciał mieć Dion. Matką, na jaką zasługiwał.

Dopiła kawę, wyrzuciła fusy do zlewu i poszła do sypialni, żeby się ubrać.

3.

Pierwszy dzień!

Dion przytaknął, siadając do śniadania. Na stole przed sobą miał dzbanek z sokiem pomarańczowym, dwie grzanki z masłem orzechowym i dwa rodzaje płatków do wyboru. Obejrzał się na mamę, która stała przy zlewku i nalewała sobie kawy do filiżanki. Wyraźnie się denerwowała. Odgrywała wzorową gosposię tylko w chwilach krańcowego napięcia -

zwykle jedli śniadanie w milczeniu i sami się obsługiwali.

Oczywiście to był dla nich obojga pierwszy dzień.

- Denerwujesz się? - zapytała mama.
- Niespecjalnie.
- Nie udawaj.
- Trochę się boję. - Nalał sobie szklankę soku.
- Nie masz się czego bać. Wszystko będzie dobrze.

Popił soku.

- Ty się nie boisz?
- Trochę - przyznała i usiadła obok niego na krześle. Zauważył, że nałożyła obcisłą sukienkę, podkreślającą brak stanika. - Ale to całkiem naturalne, że na początku masz trochę tremy. Zobaczysz, po pierwszych dziesięciu minutach będzie ci się zdawało, że mieszkasz tu przez całe życie.

Może tobie, pomyślał Dion, ale nic nie powiedział. Żałował, że w sprawach towarzyskich nie jest trochę bardziej podobny do mamy. Żałował, że ona nie jest trochę bardziej podobna do niego.

- Pospiesz się - ponagliła go. - Zjedz szybciej i chodź. Podrzucę cię do szkoły.
- Nie trzeba. Pójdę piechotą.
- Na pewno?

Kiwnął głową.

- Wstydzisz się, że mama cię podwozi, tak? - Uśmiechnęła się. - Rozumiem. Ale w takim razie jedz jeszcze szybciej. To jakieś piętnaście czy dwadzieścia minut drogi.

Nasypał sobie płatków do miski.

- No, może podrzucisz mnie tylko kawałek - zaproponował.

Zaśmiała się.

- Zgoda.

Szkoła była starym jednopiętrowym budynkiem z czerwonej cegły, jakie zwykle widuje się tylko na filmach. Główny gmach, z krytymi pasażami, ciągnący się równolegle do boiska futbolowego, mieścił zarówno klasy, jak i administrację. Wysoka wieża z zegarem wieńczyła dobudowaną aulę. Sala gimnastyczna, nieco odsunięta od pozostałych dwóch budynków, była znacznie nowsza i brzydsza, wzniesiona ze zwykłego szarego cementu.

Dion stał po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko szkoły, czekał na dzwonek i jednocześnie się go obawiał. W ustach mu zaschło, dłonie miał wilgotne i żałował całym sercem, że wyjechał z Arizony. Nie umiał poznawać ludzi. Znał niewielu uczniów w swojej szkole średniej w Mesie, chociaż chodził tam od pierwszej klasy. Iść do nowej szkoły, zaczynać od zera... wcale mu się nie uśmiechało.

Przynajmniej nie w połowie semestru, pomyślał z wdzięcznością. Znacznie gorzej trafić do zaawansowanej klasy, gdzie wszystkie relacje już się nawiązały i ustaliły na cały rok. Teraz przynajmniej będzie na lekcjach od początku. Chociaż nowy, wystartuje na niemal równej stopie z kolegami. Dostanie szansę. Pewnie znajdą się też inni nowi uczniowie, którzy zmienili szkołę po wakacjach i podobnie jak on próbują zawierać nowe znajomości.

Przebiegł ulicę i wszedł po stopniach do budynku szkolnego. Nowa szkoła budziła lęk, ale też swojego rodzaju podniecenie. Nie znał nikogo w Napa, więc nikt się do niego z góry nie uprzedzi. Nie miał bagażu. Dla uczniów był czystą kartą i mógł wykreować z siebie, kogo tylko zechce. Kilka zręcznie dobranych kłamstw, odpowiednie ciuchy i mógł być sportowcem albo imprezowiczem, albo... kimkolwiek.

Teoretycznie.

Dion uśmiechnął się kwaśno. Znał siebie dość dobrze, żeby znać swoje miejsce w szkolnej hierarchii. Nie był ani wysportowany, ani specjalnie przystojny, nie był klasowym błaznem ani wygadany cwaniakiem. Był bystry, ale nie w dziedzinach, które gwarantowały towarzyski sukces. Owszem, mógł na siłę próbować się zmienić, ale jego prawdziwa natura z pewnością zwycięży każdy narzucony sobie publiczny wizerunek.

Tutaj też nie zostanie duszą towarzystwa.

Ale nie szkodzi. Zdążył się przyzwyczaić.

Stanął przed klasą i spojrzał na swój rozkład zajęć, jakby sprawdzał, czy numer sali się zgadza. Doskonale wiedział, że stoi przed właściwą klasą, ale tym ostentacyjnym gestem pokazał, że jest nowy, dzięki czemu poczuł się jako bezpieczniej. Uczniowie przepychali się niegrzecznie obok niego, wokół niego, wchodzili do klasy. Miał nieśmiałą nadzieję, że szkoła średnia w Napa okaże się podobna do tych szkół z telewizyjnych seriali, gdzie życzliwi uczniowie zauważą jego skrępowanie i natychmiast zrobią wszystko, żeby się poczuł swobodniej. Nic z tego. Nie zauważano go; nikt nawet na niego nie spojrzał.

Wszedł do klasy, spocony jak mysz, i rozejrzał się szybko, badając teren. Zobaczył, że ławki pośrodku są zajęte, ale w tylnym rzędzie zostało kilka wolnych miejsc, a pierwszy rząd świecił pustkami.

Wybrał tylny rząd.

Tam lepiej mógł się schować.

Usiadł w środkowej z trzech pustych ławek, bezpośrednio za nadąsanym chłopcem w brudnym podkoszulku i mocno wymalowaną Hiszpanką. Rozejrzał się po klasie. Spodziewał się, że tutejsza młodzież będzie fajniejsza niż w Mesie. Ostatecznie to Kalifornia. Lecz wszyscy uczniowie wokół niego wyglądali nieco anachronicznie: chłopcy mieli trochę długie włosy, dziewczyny ubierały się zbyt niedbale. Widocznie najnowsza fala mody, która

rozbiła się nad Phoenix, napłynęła bezpośrednio z południowej Kalifornii i tylko samym skrajem musnęła północną część złotego stanu.

Ponownie spojrzął na swój rozkład lekcji: amerykański rząd, algebra II, mitologia klasyczna, ekonomia światowa, historia rocka i angielski. Zapisał się na standardowy w tej szkole program przygotowawczy do studiów. Tylko jego przedmiot fakultatywny, historia rocka, jako jedyny zapowiadał się ciekawie. Pozostałe oznaczały nudne lekcje ściśle według podręcznika, chociaż w przypadku mitologii wybrał mniejsze zło: alternatywę stanowił język obcy.

Przynajmniej w tej szkole nie mieli obowiązkowego wuefu. Za to jedno był wdzięczny. Nie za dobrze sobie radził w sportach i zawsze trochę się wstydził rozbierać przy innych facetach.

Przeciętnie wyglądający chłopak z blond włosami do ramion rzucił swoje książki na sąsiednią ławkę i usiadł. Przesunął lekceważącym spojrzeniem po Dionie, który uśmiechnął się odważnie, zdecydowany przynajmniej spróbować zawierania nowych znajomości tego pierwszego dnia.

- Cześć - powiedział.

Chłopak popatrzył na niego i prychnął.

- Jak się nazywasz? Wacusz?

Dion myślał tylko przez sekundę, zanim zdecydował się podjąć wyzwanie.

- Tak mnie nazywała twoja mama wczoraj w nocy.

Chłopak patrzył na niego przez chwilę, potem roześmiał się i nagle zrobiło się całkiem jak w szkole z telewizyjnego serialu. Zdobył pierwszego przyjaciela w Napa. Tak po prostu.

- Jak się naprawdę nazywasz? - zapytał chłopak.

- Dion.

- Ja jestem Kevin. - Szerokim gestem objął klasę. - A to jest piekło.

Wcale nie było tak źle. Temat był nudny, ale nauczyciel wydawał się miły i ze względu na pierwszy dzień zwolnił ich wcześniej, żeby zdążyli znaleźć swoje następne klasy.

- Co teraz masz? - zapytał Kevin na korytarzu.

- Algebrę II.

- Łaa.

- A ty?

- Angielski. Potem mitologia klasyczna, potem wuef, potem historia rocka i ekonomia.

- Chyba mamy jeszcze dwie lekcje razem - zauważył Dion. - Mitologię i historię rocka.

Kevin się najeżył.

- Razem? Co my jesteśmy parką pedziów?
- Nie chciałem... - zaczął Dion, zbity z tropu.
- Co ty, masz skrzydełka i aureolę? - Kevin cofnął się i pokręcił głową. - Spadam stąd.

Ruszył korytarzem i zniknął w tłumie uczniów, którzy zaczęli się wylewać z wielu drzwi, kiedy zadźwięczał dzwonek.

Dionowi zrobiło się głupio. Najwyraźniej przekroczył jakąś behawioralną granicę, typową dla subkultury tej szkoły, wymówił niewłaściwe słowo w niewłaściwy sposób i obraził nowego przyjaciela. Martwił się tym przez całą matkę. Ale kiedy godzinę później zajął wolne miejsce pod oknem na lekcji mitologii, Kevin usiadł obok niego, jakby nic się nie stało.

Widocznie nagłe odejście Kevina stanowiło tutaj całkiem normalny sposób pożegnania. Musiał to zapamiętać.

Przyglądał się swoim kolegom z klasy. Kevin podązał wzrokiem za jego spojrzeniem i wygłaszał komentarze na temat każdego osobnika, który znalazł się pod obserwacją, ujawniał strzępy plotek, informacje, osobiste dziwactwa, ale szybko się zamknął, kiedy nauczyciel wszedł do klasy. Pan Holbrook, wysoki, chudy mężczyzna z kanciastą ptasią twarzą, położył teczkę na biurku i pomaszerował prosto do tablicy, na której zaczął wypisywać swoje nazwisko wielkimi, drukowanymi literami.

Za nim weszła dziewczyna ze snu Diona.

Dion zamrugał, zaparło mu dech w piersi. Dziewczyna nosiła modny szkolny strój z jesiennej kolekcji, włosy miała kręcone i rozpuszczone, nie proste i zebrane w kok, ale podobieństwo było naprawdę zadziwiające. Nie odrywał od niej wzroku, kiedy usiadła na wolnym miejscu w drugim rzędzie. Była fantastyczna, niesamowicie wystrzałowa i miała w sobie pewną rezerwę, niemal nieśmiałość, czym różniła się od sobowtóra ze snu, ale przez to wydawała się jeszcze bardziej atrakcyjna.

Chciał zapytać Kevina, kto to jest, ale cisza panująca w klasie i niezłomna sztywność pleców piszącego na tablicy nauczyciela świadczyły niezbicie, że na tych zajęciach nie toleruje się rozmów.

Przygotował się na długą godzinę, zadowolając się patrzeniem. Po krótkiej prezentacji pan Holbrook sprawdził listę obecności i Dion odkrył, że dziewczyna nazywa się Penelope. Penelope Daneam. Ładne imię, staroświeckie, konserwatywne imię, co mu się spodobało.

Jak wszyscy inni, Penelope rozglądała się podczas wyczytywania nazwisk, żeby połączyć je z twarzami, i Dion coraz bardziej się denerwował, kiedy alfabetyczna lista zbliżała się do litery „S”.

- Semele - odczytał nauczyciel. - Dion?

- Obecny - mruknął Dion.

Wbił oczy w ławkę, zbyt onieśmielony, żeby na nią spojrzeć, zbyt zażenowany, żeby napotkać jej wzrok. Kiedy pan Holbrook wyczytał następne nazwisko i Dion wreszcie podniósł głowę, ona patrzyła już na innego ucznia.

Sprytny ruch, pomyślał.

Lekcja wlokła się niemiłosiernie i Dion wyłączył monotonne brzęczenie głosu nauczycielki, żeby skupić uwagę na tyle głowy Penelope.

Może jutro uda mu się usiąść bliżej dziewczyny.

Zgodnie z jego przewidywaniami godzina lekcyjna okazała się okropnie długa, ale wreszcie zadzwieczał dzwonek. Dion podniósł się powoli. Przez kłębowisko uczniowskich ciał widział, jak Penelope wstaje i zbiera książki. Nie nosiła obcisłych spodni, ale siedziała w taki sposób, że kiedy się podniosła, podjechały do góry i wpiły się pomiędzy pośladki.

Kevin zauważył obiekt jego zainteresowania i pokręcił głową.

- Szybko zbliżamy się do wyspy Lesbos, stary.

Dion spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Co?

- Ona lubi filety.

- Filety?

- No wiesz, bez kości. Bez kutasa.

- Ściemniasz.

Kevin wzruszył ramionami.

- Nazywam rzeczy po imieniu.

- Ona nie jest lesbijką.

Kevin niedbale złapał za rękaw ucznia, który przepychał się obok nich do drzwi, mocno zbudowanego chłopaka, niosącego tylko tekturowy folder.

- Hank? - zagadnął. - Penelope Daneam.

Wielki chłopak wyszczerzył zęby.

- Cipolizka.

Kevin puścił rękaw Hanka i odwrócił się do Diona.

- Widzisz?

Lesbijka. Nie bardzo w to wierzył, ale nie mógł też nie wierzyć. Patrzył, jak wyszła z klasy i zniknęła w zatłoczonym korytarzu. Lesbijka. Musiał przyznać, że to nawet podniecające. Wiedział, że raczej nie miał szans u takiej pięknej dziewczyny, zwłaszcza przy jego kulawych talentach konwersacyjnych z płcią przeciwną, ale przynajmniej zdobył dodatkowy materiał do swoich fantazji, nie tylko wizje jej nagości, ale obraz jej w łóżku z inną dziewczyną, robiącą egzotyczne, zakazane, tylko częściowo zrozumiałe rzeczy.

- Wsadź sobie skarpetkę do spodni - poradził Hank, kiedy ich mijali. - Działa bez pułdła. Jak ona zobaczy takiego ogóra, jest twoja.

- No jasne - dodał Kevin. - Ale jak ściągniesz gacie i ona zobaczy twojego prawdziwego korniszona, rzuci cię szybciej, niż zdążysz powiedzieć: „twarda laska”.

Dion roześmiał się. Filety. Patelnie. Ogóry. Podobają mu się te zabawne wulgaryzmy, obrazowe określenia stosowane przez miejscowych uczniów. W Mesie chłopcy to byli „cioty” albo „palanty”, dziewczyny to „dupy” i wszystko opisywano jednym uniwersalnym przymiotnikiem: „zajebisty”. Na dworze było albo zajebicie zimno, albo zajebicie gorąco, ktoś był albo zajebicie głupi, albo zajebicie cwany, robota była zajebicie trudna albo zajebicie łatwa. W Mesie słowo „zajebisty” miało wiele przeciwstawnych znaczeń.

Ale tutaj język wydawał się barwniejszy, inteligentniejszy, bardziej interesujący.

Podobnie jak ludzie.

Chyba spodoba mu się w Kalifornii.

- Chodź - powiedział Kevin. - Pójdziemy coś zjeść.

- Dobra - zgodził się Dion. - Prowadź.

4.

Penelope wysiadła z autobusu na końcu podjazdu. Przełożyła książki do lewej ręki, wyjęła klucz, otworzyła czarną skrzynkę i prawą ręką wstukowała kod bezpieczeństwa. Bramy winnicy rozchyliły się automatycznie i powoli. W ciepłym, nieruchomym powietrzu wisały bogate wonie winobrania, upojne organiczne aromaty, które snuły się nad ziemią niczym winogronowe perfumy, gęste i mocne. Penelope oddychała głęboko, idąc krętą asfaltową szosą w stronę domu. Kochała zapach winobrania najbardziej ze wszystkiego, bardziej niż głębszy, ostrzejszy zapach wyciskania, znacznie bardziej niż cierpki odór procesów fermentacji. Słyszała, że olfaktoryczne wspomnienia są najtrwalsze, olfaktoryczne skojarzenia niosą największy ładunek emocjonalny, i wierzyła w to. Czysty, naturalny zapach świeżo zerwanych winogron zawsze wywoływał w niej uczucia, które łączyła z dzieciństwem, radośne, szczęśliwe uczucia niezwiązane z żadnym konkretnym wydarzeniem, i w takich chwilach najbardziej się cieszyła, że jej matki mają wytwórnię win.

Szła powoli. Przed sobą widziała błyski słońca w szkle i metalu samochodów stojących na parkingu. W winnicy po prawej robotnicy pracujący na dniówkę ścinali kiście winogron z pnączy, zbierając pierwszy w tym roku plon. Wiedziała, że za kilka tygodni zastępy robotników urosną, aż na początku października rządki winnicy zapełnią się stłoczonymi,

zgarbionymi postaciami.

Jedna z kobiet pracujących najbliżej podjazdu przerwała na moment zbieranie i podniosła wzrok. Penelope uśmiechnęła się i pomachała. Kobieta wróciła do pracy, nawet nie kiwnąwszy głową. Zażenowana Penelope przyspieszyła kroku. Wiedziała, że większość robotników to nielegalni obcokrajowcy, wielu nie znało angielskiego, ich pracę zaś nadzorowali bezwzględni kontraktowi brygadziści, których jedyne kwalifikacje polegały na umiejętności tłumaczenia rozkazów i żądań. Oczywiście zatrudnianie nielegalnych imigrantów było sprzeczne z prawem, ale matki Margeaux nigdy nie powstrzymywały takie drobiazgi jak prawo. Penelope pamiętała, jak kiedyś zapytała matkę Margeaux, ile zarabiają dziennie robotnicy. Matka odparła krótko: „Wystarczająco”.

Penelope w to wątpiła. I przypuszczała, że dlatego wielu sezonowych robotników tak jej nie lubi. Nigdy osobiście nie zrobiła niczego, co mogłoby wywołać niechęć zbieraczy, ale bez wątpienia uważali ją za następczynię matki.

Natomiast pracownicy zatrudnieni na stałe zawsze traktowali ją jak członka rodziny królewskiej, zbyt serio, odnosili się do niej z nadmiernym szacunkiem.

Nikt nie traktował jej jak normalnej osoby.

Mewa spikowała nisko nad jej głową, z kłisną na wpół wyschniętych winogron w dziobie. Penelope poszła za ptakiem, który przeleciał nad samochodami, nad budynkami i wzgórzami w głębi, po czym zapadł do gniazda w sercu lasu.

Las.

Przeszedł ją dreszcz, kiedy spojrzała na linię drzew wyznaczającą tylną granicę posiadłości. Szybko odwróciła wzrok i przyspieszyła kroku.

Zawsze pozwalano jej chodzić, dokąd chciała na terenie posiadłości, wędrować po gruntach, buszować po winnicach, lecz już od dzieciństwa surowo zabraniano jej wchodzić do lasu. Powtarzano jej w kółko, ostrzegano po wielekroć, że las jest niebezpieczny, pełen dzikich zwierząt, jak wilki i kuguary, chociaż nigdy nie słyszała o żadnym wypadku ze zwierzętami w tej okolicy. Nad jeziorem Clear kilka lat temu głodny lew górski zaatakował i okaleczył trzyletnią dziewczynkę, a w pobliżu jeziora Berryessa doszło do trzech incydentów z niedźwiedziami, które wystraszyły obozowiczów. Ale chociaż często widziała weekendowych turystów wędrujących ścieżkami, które prowadziły w głąb lasu, nigdy nie czytała ani nie słyszała o żadnych zwierzętach atakujących ludzi w tej okolicy.

Jej matki widocznie wprowadziły tę zasadę z powodu ojca.

Taki kategoryczny i z pozoru arbitralny zakaz powinien tylko ją nakłonić, żeby wykradła się do lasu przy pierwszej sposobności. Wiedziała, że większość jej znajomych dokładnie tak by postąpiła. Ale te lasy z niewiadomego powodu budziły w niej instynktowny lęk,

niemający żadnego związku z ostrzeżeniami wszystkich matek. Za każdym razem, kiedy spoglądała przez ogrodzenie z drutu kolczastego na tyłach posiadłości w stronę linii drzew po drugiej stronie łąki, jeżyły jej się włosy na karku i gęsia skórka występowała na ramionach.

Teraz też dostała gęziej skórki. Odsunęła od siebie te myśli i biegiem pokonała ostatni odcinek podjazdu. Przeskakując po dwa stopnie naraz, wpadła na ganek, pomiędzy wysokie doryckie kolumny zdobiące front domu. Pchnęła ciężkie podwójne drzwi, weszła do wysokiego holu, minęła schody i skręciła do kuchni.

- Wróciłam! - oznajmiła.

Rzuciła książki na pieńek rzeźnicki, otworzyła lodówkę i wyjęła puszkę V8.

Matka Felice wyszła ze spiżarni, wycierając ręce w fartuch. Wyglądała na zmęczoną i mizerną, ciemne kręgi pod oczami rysowały się wyraźniej niż zwykle.

- Jak było? - zapytała. - Jak tam pierwszy dzień?

Penelope uśmiechnęła się.

- Dobrze, mamo.

- Tylko dobrze? Nie cudownie, spektakularnie, niewiarygodnie wspaniale?

- Czego się spodziewałaś? To tylko pierwszy dzień.

- Jak tam nauczyciele?

- Jeszcze nie wiem. Trudno powiedzieć, dopóki nie minął pierwszy tydzień. - Wyrzała przez okno na bliźniacze budynki wytwórni win. - Gdzie są wszyscy?

Matka Felice wzruszyła ramionami.

- Pora wyłaczania. No wiesz. Dużo roboty.

Penelope kiwnęła głową, wdzięczna, że pozostałe matki na nią nie czekały. Powiedziała matkom, że w tym roku jest w ostatniej klasie, że jest prawie dorosła, prosiła, żeby chociaż raz nie robiły wielkiego szumu wokół szkoły, więc widocznie jej posłuchały.

- Masz już jakichś nowych przyjaciół? - zagadnęła matka, myjąc ręce w zlewie.

- Widziałam Vellę, Lianne i Jennifer.

- Pytałam o nowych przyjaciół.

Penelope poczerwieniała. Dokończyła V8 i wrzuciła pustą puszkę do kosza na śmieci obok kuchenki.

- Wiem, o co ci chodzi, więc nie, jeszcze nie poznałam żadnych chłopaków. Pewnie nie będę miała randki w tym tygodniu, okay? Boże, to dopiero pierwszy dzień. Czego się spodziewałaś?

- Nie chciałam...

Penelope westchnęła.

- Wiem - ucięła. - Ale nie martw się. Bal maturalny jest dopiero za osiem miesięcy.
- Nie w tym rzecz, tylko...
- Tylko co?

Matka próbowała się lekko roześmiać, ale jej śmiech zabrzmiał głucho i sztucznie.

- Nieważne. Pogadamy o tym kiedy indziej.
- Okay. - Znowu wyjrzała przez okno, zadowolona, że nie widać ani śladu innych matek.
- W razie czego będę w ogrodzie.
- Nie masz lekcji do odrobienia?
- Mamo, to pierwszy dzień. Ile razy mam ci powtarzać? Nikt nie ma pracy domowej w pierwszym dniu. Ani nawet w pierwszym tygodniu.
- My mieliśmy.
- Czasy się zmieniły.

Penelope chwyciła jabłko z misy na blacie i podniosła książki. Ruszyła w stronę schodów, żeby zanieść książki do swojej sypialni, ale zatrzymała ją głos matki.

- Nawet nie zajrzysz do innych matek?

Penelope odwróciła się i oblizała wargi.

- Wolałabym później - przyznała.
- To twój pierwszy dzień w szkole. Chciałyby wiedzieć, co się działo. Troszczą się o ciebie. - Położyła rękę na ramieniu dziewczyny. - Wszystkie się troszczymy.
- Tak - mruknęła Penelope.

Matka szturchnęła ją żartobliwie w ramię.

- Przestań. - Uśmiechnęła się do córki. - Chodź.

Matka Margeaux, jak zwykle ubrana całkowicie na czarno, siedziała za potężnym biurkiem w swoim gabinecie i sztorcowała kogoś przez telefon. Krótkim skinieniem głowy przywitała Penelope i matkę Felice, po czym kontynuowała swoją diatrybę.

- Oczekuję - mówiła równym, twardym głosem - że będzie pan odpowiednio wykonywał funkcje, do których wypełniania został pan zatrudniony. Jeśli to zbyt uciążliwe, nasza firma znajdzie skuteczniejsze i wydajniejsze metody dostarczania naszego produktu. Czy wyrażam się jasno?

Matka Felice usiadła na ciemnej skórzanej kanapie pod ścianą i kiwnęła na Penelope, żeby zrobiła to samo. Penelope pokręciła głową i dalej stała.

Matka Margeaux przerwała połączenie, spokojnie i starannie odłożyła słuchawkę, podniosła wzrok na Penelope i uśmiechnęła się zaciśniętymi ustami. Słońce odbijało się w jej głębokich brązowych oczach i gładkich, lśniących czarnych włosach.

- Ufam, że pierwszy dzień szkoły minął zadowolająco?
- Penelope kiwnęła głową, nie patrząc matce w oczy.
- Tak, mammo.
 - Jesteś zadowolona z lekcji? Z nauczycieli?
 - Chyba tak...
 - Jeśli nie, załatwię ci przeniesienie. To twój ostatni rok i ważne jest, żebyś utrzymała wysoki poziom ocen.
 - Lekcje są w porządku.
 - To dobrze. - Matka Margeaux kiwnęła głową. - To dobrze.
- Penelope nie odpowiedziała. Wszystkie trzy milczały przez chwilę.
- Chcesz mi coś jeszcze powiedzieć? - zapytała matka Margeaux. Penelope pokręciła głową.
 - Nie, mammo.
 - Więc muszę wracać do pracy. Dziękuję, że mnie odwiedziłaś, Penelope.
- Została odprawiona. Rozmowa się skończyła. Matka Felice wstała.
- Pójdziemy odwiedzić twoje pozostałe matki.
 - Dobrze się spiszesz w tym roku - powiedziała matka Margeaux do córki. - Będziemy z ciebie dumne.

Penelope kiwnęła głową i ruszyła za matką Felice. Nie zauważyła, że się spociła, dopóki nie wyszła z gabinetu.

Chociaż matka Sheila była gdzieś na polach i nadzorowała pobieranie reprezentacyjnych próbek dzisiejszego zbioru, pozostałe matki zebrały się w części badawczej głównego budynku i nadzorowały analizę winogron zerwanych tego ranka. Zespół analityków siedział za długim kontuarem przy oknie i badał równowagę moszczu, żeby sporządzić wstępne oceny potencjału tegorocznego produktu, a matki się przyglądały.

- Penelope wróciła! - oznajmiła matka Felice, zamykając za sobą białe drzwi.

Matka Margaret cicho konferowała z dwoma analitykami. Obaj podnieśli wzrok, uśmiechnęli się z roztargnieniem, kiwnęli głowami, pomachali i wrócili do rozmowy. Natomiast matka Janine przerwała natychmiast to, co robiła, i podeszła z pośpiechem, głośno stukając obcasami szpilek po płytkach podłogi. Penelope odruchowo zeszywniała. Matka Janine dotarła do niej, chwyciła ją w ramiona i mocno uściskała. Uścisk, nie całkiem macierzyński, trwał trochę za długo. Penelope wstrzymała oddech. Jak zawsze próbowała sobie tłumaczyć, że matka Janine naprawdę ją kochała i troszczyła się o nią, ale to, co sobie mówiła, i to, co czuła, to były dwie zupełnie różne rzeczy. Najmłodsza matka miała w sobie coś niepokojącego, czego Penelope nie potrafiła nazwać. Jak tylko matka Janine ją puściła, Penelope odsunęła się o krok.

- Tęskniłam za tobą - powiedziała jej matka tym przesłodzonym głosikiem małej dziewczynki, którym zawsze zwracała się do Penelope. - Nie cierpię, kiedy lato się kończy i musisz nas zostawić, żeby wrócić do szkoły.

Penelope przytaknęła bez słowa. W rzeczywistości przez ostatnie dwa tygodnie widywała matkę Janine tylko przy śniadaniu i obiedzie. Nie rozumiała, dlaczego matka za nią tęskniła.

- Poznałaś już kogoś? Jakichś fajnych chłopców?

Penelope spochmurniała.

- To dopiero pierwszy dzień.

Matka Janine zaśmiała się dziwnym śmiechem, przechodzącym od wysokiego dziecięcego falsetu do niskiego, gardłowego kobiecego chichotu.

- Na to nigdy nie jest za wcześnie.

- Aha - przytaknęła Penelope i odwróciła się do matki Felice. - No to chodźmy, nie przeszkadzajmy im w pracy.

- Okay - zgodziła się Felice.

- Porozmawiamy przy obiedzie - obiecała matka Janine. - Opowiesz mi wszystko o swoim dniu, wszystko ze szczegółami.

Lekko uściśnęła ramię Penelope.

- Widzisz? - powiedziała matka Felice, kiedy wracały przez niewielki trawnik do domu. - Nie było tak źle.

Penelope skrzywiła się i milczała. Matka wybuchnęła śmiechem. Rozstały się w kuchni.

- Teraz idę do ogrodu - oświadczyła Penelope.

Chwyciła książki z kuchennego stołu i poszła na górę do swojej sypialni. Bezgłośnie stąpała po grubym dywanie, wyściełającym długi korytarz. Zglądała do kolejnych otwartych drzwi i myślała, jak gusty i osobowości matek znajdowały odbicie w wystroju pokojów. Sypialnia matki Margeaux była jednocześnie królewska i praktyczna: te dwie sprzeczne cechy reprezentowało ogromne łóże z misternie rzeźbionym dębowym wezłowiem oraz duże, proste biurko ze starannie ułożonymi stosami papierów. Zgaszoną biel ścian ozdabiały oprawione oryginalne prototypy etykietek wina Daneam. Sąsiedni pokój matki Sheili wyglądał najmniej ciekawie, zapełniony nijakimi współczesnymi meblami prosto z katalogu, z pojedynczym oprawionym sztychem na ścianie, który zawsze kojarzył się Penelope ze sztuką hotelową. Matka Margaret wybrała wystrój najbardziej śmiały i chyba najbardziej interesujący, z ultranowoczesnym łóżkiem, bez toaletki, na ścianach szokujące zestawienie sztuki ludowej ze Starego Świata i oryginalnych obrazów młodych rdzennych amerykańskich artystów, ale Penelope czuła się najlepiej w pokoju matki Felice. Pełnym kwiatów i koronkowych serwetek, antyków i robótek ręcznych, z błyszczącym mosiężnym łóżkiem

pośrodku, jednocześnie zagraconym i przestronnym. To był przyjazny pokój i idealnie pasował do jej ulubionej matki.

W sypialni matki Janine wcale nie było mebli, tylko goły materac na środku czerwonej kafelkowej podłogi. Pozbawione ozdób ściany pomalowano w odcieniu głębokiej, matowej czerni.

Nigdy nie lubiła wchodzić do pokoju matki Janine.

Dotarła do własnej sypialni i cisnęła książki na łóżko. Zgarnąwszy z toaletki pamiętnik i długopis, znowu zeszła po schodach, przeszła przez bibliotekę i otworzyła rozsuwane szklane drzwi do ogrodu. Czy tego, co matki nazywały ogrodem. Dla niej zawsze był czymś więcej niż ogrodem. Dla niej stanowił sanktuarium, schronienie, miejsce, gdzie mogła odpocząć i rozmyślać w samotności. Matki chyba rozumiały jej uczucia i doceniały jej związek z tym miejscem. Dawniej w lecie przychodziły do ogrodu czytać, opalać się czy po prostu leniuchować, ale z czasem ich wizyty stały się coraz rzadsze. Zupełnie jakby po cichu uznały ogród za jej królestwo i stopniowo przestały ją tak ściśle kontrolować. Za to była im wdzięczna.

Rozejrzała się po czworokątnym dziedzińcu otoczonym murami. Pośrodku znajdowała się fontanna, dokładna replika helleńskiej fontanny, którą odkryła matka Margaret na zrujnowanym dziedzińcu starożytnej willi podczas jednej ze swoich wypraw do Grecji. Od fontanny promieniście jak szprychy koła odchodziły grządki z leczniczymi ziołami matki Sheili i rzadkimi kwitnącymi krzewami - równe rzędy roślin, poprzedzielane starannie rozmieszczonymi archeologicznymi artefaktami ze Starego Świata oraz różnymi ludowymi rzeźbami, które matki kupowały przez lata. W ogrodzie stało kilka ławek, ale Penelope zawsze wolała siedzieć na krawędzi fontanny, słuchać z bliska bulgotania wody, czuć lekką mgiełkę wilgoci osiadającą na skórze twarzy i rąk.

Chociaż nic nie powiedziała matce Felice i raczej nie zamierzała o tym wspominać, dzisiaj w szkole znowu wynikła kwestia preferencji seksualnych jej matek. W zeszłym roku o mało nie zawieszono Penelope za bójkę z Susan Holman, która nazwała produkty wytwarzane w ich winnicach „lesbijskim sikaczem”. W tym roku Penelope nie miała z nią wspólnych zajęć, ale po lunchu na korytarzu słyszała, jak Susan głośno mówiła coś o „wytwórni lesbijek”, a jej twarde dzinsowe kumpele histerycznie rechotały. Zignorowała tę uwagę i dalej szła do klasy, jakby nic nie usłyszała. Ale usłyszała. I zabolalo.

Zawsze bolalo.

Co gorsza, czasami sama się zastanawiała, czy któreś z jej matek są lesbijkami. Takie plotki krążyły po mieście i wydawały się całkiem prawdopodobne. Wszystkie matki czasami chodziły na randki, ale Penelope mogła podejrzewać, że to zwykła przykrywka, próba zachowania pozorów przyzwoitości dla dobra firmy. Żadna nigdy nie związała się poważnie z mężczyzną, teraz ani w przeszłości, przynajmniej za życia Penelope.

Poza tym matki były... no, dziwne. Niechętnie to przyznawała, ale wyglądały ekscentrycznie nie tylko w oczach obcych. Nawet jej często wydawały się dziwaczne.

Zwłaszcza matka Janine.

Oczywiście jeśli naprawdę były lesbijkami, jedna musiała być biseksualna. Albo przynajmniej raz zrobić to z mężczyzną.

Chyba że adoptowały Penelope.

Nie, nie była adoptowanym dzieckiem. Na pewno.

Usiadła na ocembrowaniu fontanny i zanurzyła palce w chłodnej wodzie. Nazywała je wszystkie matkami, ale wiedziała, że tak naprawdę ma tylko jedną biologiczną rodzicielkę. Nawet się domyślała, która to jest. Wszystkie temu zaprzeczały, kiedy poruszała ten temat, próbowała doprowadzić do konfrontacji. Wszystkie częstowały ją tym samym tekstem: że tradycyjne dwuosobowe związki, zwykle kojarzone z rodzicami i rodzeństwem, oznaczają krańcowe ograniczenia i dlatego nie uznaje się ich ani nie kultuwuje w tym domu. Powtarzały, że Penelope musi traktować wszystkie matki jednakowo. Ale same wcale jej nie traktowały jednakowo. Niektóre odnosiły się do niej łagodniej, niektóre okazywały jej większą szczerłość niż pozostałe, toteż niektóre były jej bliższe.

Najbardziej przywiązała się do matki Felice i wierzyła, że właśnie matka Felice jest jej prawdziwą, biologiczną matką. Opierała tę wiarę na niejasnych przesłankach, bardziej uczuciowych niż rozumowych, ale trwała w niej niewzruszenie. Przez wszystkie lata to matka Felice najbardziej troszczyła się o jej zdrowie i dobre samopoczucie, zarówno fizyczne, jak i emocjonalne. Również dzisiaj. To matka Felice została w domu, żeby na nią czekać. Fartuch i kuchenne zajęcia nie zmyliły Penelope. Matka nie poszła do tłoczni wina, tylko czekała tutaj, bo chciała wiedzieć, jak jej minął pierwszy dzień w szkole.

Zrobiło jej się przyjemnie.

Czasami żałowała, że matka Felice nie jest jej jedyną matką.

Spuściła wzrok i zobaczyła w drżącej wodzie zniekształcone odbicie swojej twarzy. Wiedziała, że jest ładna, i lubiła na siebie patrzeć, chociaż wcale nie miała obsesji na tym punkcie. Nigdy nie poświęcała przesadnie dużo czasu na makijaż czy uczesanie, ale kiedy przechodziła obok lustra, zawsze w nie spoglądała. Widok własnego odbicia dodawał jej pewności siebie, chociaż czuła się zażenowana, jeśli ktoś ją przyłapał na przeglądaniu się w lustrze.

Czasami zastanawiała się, czy sama nie ma skłonności homoseksualnych. Nie dało się tego wykluczyć. Nawet należało się tego spodziewać, skoro dorastała w całkowicie żeńskim środowisku. Nigdy nie potrafiła rozmawiać z chłopcami, nigdy naprawdę nie zdobyła tego towarzyskiego obycia, które większość jej rówieśniczek wyrobiła sobie w trudnym okresie pokwitania. Nocami w łóżku, kiedy się masturbowała, lubiła zarówno dotyk swoich palców

na pochwie, jak i dotyk pochwy na czubkach palców. Podobała jej się elastyczna miękkość, ciepła wilgoć, nawet subtelny nacisk ścian pochwy na środkowy palec, który czasami wsuwała do otworu. Nie wyobrażała sobie, że dotyka ciała innej dziewczyny - odrzucało ją na samą myśl - ale czy radość płynąca z dotykania własnego ciała wystarczyła, żeby zrobić z niej lesbijkę?

Nie wiedziała.

Skoro nie mogła sobie wyobrazić siebie w romantycznej sytuacji z kimkolwiek - chłopcem czy dziewczyną - może to znaczyło, że jest aseksualna.

Zmąciła swoje odbicie, które rozpląnęło się w kręgach wody.

Dlaczego wszystko było takie skomplikowane?

Usłyszała za plecami pukanie, odwróciła się i zobaczyła za oknem matkę Felice, która do niej machała. Pomachała w odpowiedzi, spuściła wzrok, otworzyła pamiętnik, pstryknęła długopisem.

„Dzisiaj - napisała - był pierwszy dzień mojego ostatniego roku w szkole...”

5.

Cztery staroświeckie szafkowe zegary, stojące rzędem pod ścianą przy drzwiach, jak jeden wybiły szóstą. Vic Williams wstał, wyłączył kasetowy magnetofon i wyszedł z lady, żeby zamknąć drzwi. Miał za sobą długi dzień, nudny i niezbyt owocny. Sezon turystyczny dobiegał końca i tylko pięć osób zajrzało do sklepu, odkąd otworzył dziś rano. Wszyscy oglądali, nie kupowali. Wiedział, że to przedsmak nadchodzącej pory. Wakacje się skończyły, zaczęła się szkoła i odtąd aż do października interes będzie szedł kulawo.

Był czas, kiedy handel antykami kręcił się na całego przez okrągły rok, kiedy Vic nie musiał polegać na przyjezdnych klientach, kiedy nawet miejscowe kobiety chciały mieć witrażowe okna w salonie, a konserwatywni mężczyźni w średnim wieku kupowali gramofony Victrola na rocznicę ślubu. Ale antyki wyszły z mody. Teraz ludzie kupowali obrazy Nagela i Neimana, mail art na ściany, telewizory i magnetowidy na rocznicowe prezenty.

Vic zaciągnął roletę na okno. Był głodny i chciał coś przegryźć, ale zostały mu jeszcze trzy kartony szkła z czasów Wielkiego Kryzysu, które nabył na wyprzedaży majątku kilka tygodni wcześniej i musiał skatalogować. Mógł i powinien zrobić to wcześniej, podczas długiego okresu zastoju pomiędzy lunchem a porą zamknięcia, ale nie znosił oglądać nabytków w godzinach pracy. Rytuał rozpakowywania, podziwiania i wyceniania poszczególnych przedmiotów wydawał się jakoś bardziej na miejscu wieczorem niż rano czy po południu.

Wpadnie na burgera po drodze do domu.

Wrócił za ladę i wszedł na zaplecze oddzielone zasłoną z koralików. Trzy pudła stały na podłodze. Dźwignął najcięższe i przeniósł na długi metalowy stół, ustawiony pod boczną ścianą. Wyjął brzytwę z szuflady biurka i przeciął na krzyż warstwy taśmy klejącej, którą zapieczętowano wierzch pudła. Rzucił brzytwę na stół, rozchylił tekturowe kłapy i jeden po drugim zaczął rozwijać oddzielnie zapakowane talerze. Dobry towar. Różane szkło z połowy lat trzydziestych. Podnosił każdą sztukę pod światło, szukał skaz, rys i wyszczerbień, zanim postawił ją ostrożnie na stole.

Po odpakowaniu, obejrzeniu i odstawieniu ostatniego talerza zajął się pudłem. Na dnie leżała stara, poplamiona wodą książka w miękkiej oprawie wrzucona tam jakby przypadkiem czy po namyśle. *In Watermelon Sugar*.

In Watermelon Sugar.

Richard Brautigan.

Rany, ale to przywoływało wspomnienia. Podniósł książkę, przerzucił strony. Połowa karteek była zlepiona jakąś zaschniętą cieczą. Zdjęcie Brautigana na okładce niemal całkowicie przesłaniała brązowa plama, chociaż kobieta obok niego spoglądała z fotografii nietknięta. Vica zasmucił widok książki w takim stanie. Niewątpliwie kupił ją w dawnych czasach ktoś należący do tak zwanej wtedy kontrkultury, ktoś młody i pełen entuzjazmu, spragniony nowych idei. Teraz ten ktoś zmienił się pewnie w nudnego, łysiejącego mieszczaucha z nadwagą, którego interesują tylko stopy procentowe i emerytury, który nawet nie pamięta tej książki i jej autora, upadłego idola.

Wic wrzucił książkę do kosza na papiery i westchnął ciężko.

Przyjechał do Napa jako student pod koniec lat sześćdziesiątych i chociaż teraz miał krótkie włosy, ubierał się konwencjonalnie i zgodnie z obecną modą, nadal utożsamiał się z ideałami tamtej epoki, nadal uważał się za przynależnego do tamtego pokolenia. Oczywiście tamte czasy dawno minęły, nawet tutaj, w północnej Kalifornii, gdzie małe enklawy ekshipisów wciąż wegetowały w przerobionych wiktoriańskich domach, wśród wyblakłych relikwów psychodelii. Obecnie ludzie byli twardsi, ostrzejsi, rozmyślnie mniej wrażliwi. Tempo życia się zwiększyło: mniej czasu na rozmowy z przyjaciółmi, mniej czasu na uprzejmość wobec obcych, mniej czasu, żeby się zatrzymać i wachać róże.

Przygnębiające.

Ostatnio wiele rzeczy go przygnębiało.

Poprzedniego wieczoru oglądał w telewizji program o Wietnamie, w którym całkowicie poważnie przedstawiano armię jako szlachetną organizację uczciwych mężczyzn, dzielnie wypełniających swój patriotyczny obowiązek wbrew protestom obrzydliwej, rozkrzycanej zgrai studentów ogłupionych narkotykami. Wyłączył telewizor, zanim program się skończył.

Jeśli coś go doprowadzało do szału, wprawiało w absolutną furję, to rewizjonistyczna wersja historii propagowana obecnie przez media, które przedstawiały lata sześćdziesiąte jako anarchistyczną aberrację, dekadę szargania tradycyjnych amerykańskich wartości przez zbuntowanych, długowłosych, palących trawkę świrów. Jezu, czy ludzie w ogóle nie pamiętają, jak wtedy było? Co się stało z narodową pamięcią krótkoterminową? Oczywiście istniał ostrzejszy element - protest przeciwko amoralnemu samozadowoleniu establishmentu oraz niemoralnej wojnie - ale istniała też dobroć, łagodność ducha, którą zagubiono w przekładzie, której nigdy nie uchwyciła telewizja, filmy ani gazety. Owszem, to był czas zamieszania, ale ludzie byli wtedy otwarci, hojni, ufni i uczciwi, przepelnieni optymistyczną wielkodusznością, która w świetle dzisiejszego pragmatyzmu wydaje się po staroświecku naiwna. Pokręcił głową. Nawet dzisiejsi hipisi, ich kontrkulturowe odpowiedniki, wydawali się znacznie bardziej materialistyczni i oportunistyczni, mniej prawdziwi, bardziej pozujący, pretendenci do tronu, pseudobitnicy poprzebierani w czarne golfy przeszłości, pojmujący tylko powierzchowne detale znacznie poważniejszego ruchu.

Tak, czasy się zmieniły.

Vic zjął pudło ze stołu, postawił na podłodze i chciał już zgnieść boki, kiedy usłyszał hałas we frontowym pomieszczeniu, jakby ktoś objął się o meble.

Zmarszczył brwi. Co to znaczy? W sklepie nikogo nie ma.

Znowu głuchy stuk.

Vic wstał i wyszedł za kontuar. Natychmiast zobaczył, że frontowe drzwi nadal są zamknięte na klucz, roleta w oknie opuszczona. Czyżby ktoś buszował w tylnych rzędach i nie usłyszał ani nie zauważył zamykania sklepu?

Za rzędem szaf na ubrania po lewej stronie rozległy się kroki.

- Hej ! - zawołał Vic. - Kto tam?

Nie otrzymał odpowiedzi, ale kroki wycofały się od kontuaru. Przyszło mu do głowy, że ktoś umyślnie schował się w kufrze albo w szafie i czekał, aż właściciel wyjdzie, żeby obrażać sklep. Rozsądek radził mu wezwać policję, ale zamiast tego Vic wyszedł zza kontuaru.

- Kto tam? - zawołał ponownie.

Z drugiego końca sklepu, z ciemnej alejki pomiędzy meblami, najdalej od okien, dobiegł kobiecy śpiew. Vic przystanął. Ciarki go przeszły. Ani głos, ani piosenka nie miały w sobie nic groźnego, ot, ludowa śpiewka w obcym języku, ale tak niestosowna w tych okolicznościach, że sprawiała wręcz surrealistyczne wrażenie.

- Już zamknięte - powiedział i natychmiast sobie uświadomił, jak nieskutecznie to zabrzmiało.

Kobieta śpiewała dalej.

Z walącym sercem, powoli ruszył alejką w stronę źródła dźwięku. Powinienem wziąć jakąś broń, pomyślał, przynajmniej kij baseballowy.

Potem skręcił za róg i było już za późno.

Kobieta, mniej więcej w jego wieku, miała na sobie długą, cienką szatę, przypominającą dawne suknie ziemi. Najwyraźniej była pijana lub naćpana i nucila pod nosem, chwytając się pośrodku alejki, z zamkniętymi oczami. Obok niej leżał na podłodze kijek długości mniej więcej połowy kija od szczotki, zakończony czymś przypominającym małą szyszkę sosnową.

Vic stał przez chwilę w milczeniu i przyglądał się kobiecie, zamiast zaanonsować swoją obecność. Kobieta była piękna. Miała długie, czarne włosy, spływające we wspaniałym nieładzie na plecy i ramiona. Nawet w słabym świetle widział gładkość jej idealnej cery, klasyczne linie kształtowego nosa, pełne, zmysłowe wargi. Przez półprzezroczystą suknię dostrzegł ciemny gąszcz włosów między przesuwanymi się nogami, zarysy sutków w miejscach, gdzie lekka tkanina napinała się na piersiach.

Co ona tu robi? - zastanawiał się. Jak się dostała do środka?

Zamierzał właśnie chrząknąć, żeby uprzedzić kobietę o swojej obecności, kiedy jej oczy nagle się rozwarły. Efekt był tak zaskakujący i nieoczekiwany, że Vic niemal podskoczył. Wpiła się wzrokiem w jego twarz. Jej spojrzenie wyrażało głód i dzikość, które nie pasowały do starannego makijażu. Chociaż jeszcze przed chwilą wydawała się nagrzana, jej oczy nie miały półprzytomnego wyrazu typowego dla ćpunów. Patrzyły bystro, krystalicznie czyste i skupione.

- Nie wiem, co tu robisz - powiedział Vic. - Ale musisz wyjść.

Posłużył się tonem bardziej autorytarnym, niż zamierzał, niż chciał. Kobieta znowu zamknęła oczy, zaczęła nucić, śpiewać.

- Musisz wyjść - powtórzył Vic.

Z uśmiechem, rozkołysanym krokiem, niemal tańcząc, kobieta ruszyła w stronę Vica. Zatrzymała się tuż przed nim. Jedną ręką objęła go w pasie, drugą lekko nakryła jego krocze i uniosła twarz, żeby ją pocałował. Nie przyciągnął jej do siebie, ale jej nie odepchnął. Nie wiedział, jak zareagować, więc pozwolił jej przejąć kontrolę. Milczeniem wyrażał zgodę, kiedy go pocałowała, kiedy jej miękki język wśliznął się delikatnie pomiędzy jego wargi. Poczł, że mu staje. Od dawna już z nikim nie spał i nawet ten przelotny kontakt sprawił mu przyjemność. Lekko ścisnęła go w kroczu.

Odsunęła się, wciąż nucąc, uklękła i zaczęła mu rozpinąć pasek.

To się nie dzieje naprawdę, pomyślał.

To wariatka, pomyślał.

AIDS, pomyślał.

Ale nie ruszył się z miejsca. Chciał się cofnąć, chciał to przerwać - to było zbyt dziwaczne, działo się za szybko - ale tkwił jak przykuty do podłogi, bo jego ciało nie chciało słuchać argumentów umysłu.

Ściągnęła mu spodnie, zsunęła bieliznę. Powoli, wprawnie zaczęła masować i głaskać jego twarde, drżący członek. Odruchowo oparł ręce na jej głowie. Włosy miała gładkie, miękkie, cudowne. Zamknął oczy.

Rytm się zmienił. Wcześniejsza łagodność przeszła w agresję, potem zwykłą brutalność. Otworzył oczy, spjrzał w dół. Kobieta uśmiechała się do niego i coś w wyrazie jej twarzy go zmroziło.

Mocno chwyciła jego jądra i jednym szybkim szarpnięciem wyrwała je z korzeniami.

Vic wrzasnął, wydał pierwotny, instynktowny ryk bólu, kiedy jego erekcja zniknęła w fontannie ciepłej krwi. Kobieta, wciąż na klęczkach, uniosła dłonie i podstawiała pod tryskającą krew, rozsmarowywała ją po twarzy i włosach, śmiejąc się z pijanej, ekstatycznej radości. Vic zatoczył się do tyłu i byłby upadł, gdyby nie stojąca za nim szafa. A potem kobieta zamachnęła się swoim berłem z sosnową szyszką, wbiła mu czubek głęboko w brzuch i pociągnęła do góry. Nowa agonია zapłonęła w jego wnętrzu, kiedy ząbkowane, nieregularne ostrze zagłębiało się coraz bardziej, przebijało skórę, rozdzierało mięśnie, rozrywało żyły. Kobieta wyciągnęła włócznię, upuściła ją i próbowała wsadzić rękę do rany. Chlapanina czerwieni w stylu Pollocka pokrywała jej szatę, ona jednak dalej go szarpała, szeroko otwierała usta, żeby chleptać ciepłe krople, łapczywie gmerała palcami w czerwieni.

Kopnął ją ze wszystkich sił, jakie mu jeszcze zostały, wrzeszcząc bez przerwy, ona jednak przyjmowała ciosy roześmiana, uszczęśliwiona. Gorączkowo rzucając głową w przód i w tył, orała paznokciami jego podbrzusze, chwyciła wnętrzności, ścisnęła. Osunął się na podłogę, w oczach mu pociemniało, szybko tracił świadomość.

Zdążył jeszcze zobaczyć, że zerwała z siebie szatę i była naga.

6.

Po zajęciach z mitologii Dion poszedł za Kevinem do kafeterii. Czuł się całkiem dobrze. Mieszkał tutaj dopiero od tygodnia, ale już wpasował się w znajomy rytm szkoły, przystosował się ze zdumiewającą łatwością. Nauczyciele i lekcje nie różniły się zbyt od tych w Mesie, na pewno nie sprawiali większych trudności, a uczniowie na ogół wydawali się w porządku, chociaż właściwie nie rozmawiał dłużej z żadnym oprócz Kevina.

Nadal nie miał pewności co do statusu Kevina w szkolnej strukturze towarzyskiej. Jego przyjaciel najwyraźniej nie należał do żadnej określonej klikii, ale nie był też samotnikiem ani wyrzutkiem. Wydawał się nie podpadać pod żadną kategorię. Kevin znał prawie

wszystkich, miał dobre układy z większością znajomych, wolał jednak chodzić na lunch z Dionem. Obaj jeszcze nie czuli się ze sobą całkiem swobodnie, właściwie nadal próbowali ustalić swoje role w tej przyjaźni, ale z pewnością łączyła ich przyjaźń, za co Dion był wdzięczny. Kevin zgrywał twardziela, ale za wulgarnymi bluzgami skrywał się bystry umysł. Dion podejrzewał, że Kevin przyczepił się do niego, ponieważ wyczuł kogoś o podobnych zainteresowaniach. Rzeczywiście ich gusty we wszystkim, od muzyki poprzez filmy do nauczycieli, wydawały się zadziwiająco zbieżne i Dion przypuszczał, że między innymi dlatego tak dobrze się dogadywali z Kevinem.

Przekonał się ze zdziwieniem, że jego zainteresowanie Penelope Daneam wcale nie zmałało. Początkowo myślał, że zauroczenie pierwszego dnia zostało wywołane jej podobieństwem do dziewczyny ze snu, ale kiedy słyszał jej odpowiedzi w klasie, kiedy podsłuchiwał jej rozmowy z koleżanką z ławki, kiedy w jego myślach wyrastała na konkretną osobę, odmienną od wcześniejszych wyobrażeń, odkrył, że coraz bardziej go fascynowała. Wydawała się również inteligentna, znacznie bardziej świadoma idei i wydarzeń niż dziewczyny, które znał w Arizonie, co mu zaimponowało. Co więcej, wydawała się przystępna. Oczywiście była wystrzałowa, bez wątplenia, ale nie tak niedosiężna, jak początkowo myślał. Wcale nie była wyniosła ani nadęta. Zachowywała się naturalnie i bezpretensjonalnie, co dało się zauważyć nawet w klasie. Sprawiała wrażenie prawdziwej osoby, nie sztucznej lalki.

Poza tym nie wyglądała na lesbijkę.

Problem w tym, że Dion nie wiedział, jak do niej podejść. W klasie wyobrażał sobie, co zrobi, jeśli ona przypadkiem upuści książki, a on je podniesie i ich oczy się spotkają, wiedział jednak, że takie rzeczy zdarzają się tylko na filmach albo w literaturze, nie w rzeczywistości. Mógł jednak codziennie zmieniać ławki i siadać coraz bliżej Penelope. W tej klasie nauczyciel nie rozsądzał uczniów według listy i każdy mógł dowolnie wybierać miejsce, toteż Dion postanowił to wykorzystać. Nie bardzo wiedział, co do niej powie, jak zacznie rozmowę, kiedy wreszcie usiądzie w sąsiedniej ławce, ale nie chciał się martwić na zapas. Zajmie się tym problemem, kiedy nadejdzie odpowiednia chwila.

Czyli w piątek, według jego obliczeń.

Na szczęście Kevin przesunął się razem z nim do przodu przez rzędy ławek. Zawsze łatwiej wciągnąć trzecią osobę do prowadzonej rozmowy, niż zaczynać konwersację od zera z kimś zupełnie obcym.

Kevin kupił w kafeterii colę i burrito, a Dion wziął mleko i hot doga. Obaj przepchnęli się przez strumień uczniów i usiedli na niskim murku obok automatów z napojami, żeby obserwować przechodzące dziewczyny.

Kevin odgryzł kęs burrito. Pokręcił głową.

- Zdajesz sobie sprawę - zagadnął - że każda z tych dziewczyn ma cipkę? Każda jedna.

Dion podążył wzrokiem za jego spojrzeniem i zobaczył cycatą dziewczynę w obcisłym podkoszulku i dopasowanych dżinsach.

- Między każdą parą nóg jest głodna dziurka, czekająca na kutasa. - Kevin wyszczerzył zęby. - Życie jest piękne.

Dion przytaknął. Wczoraj Kevin nazwał kobiece ciało „systemem podtrzymywania życia dla waginy”. Wygłaszał zabawne komentarze w stylu macho, ale Dion nie wiedział, czy wyrażają prawdziwe poglądy kumpla, czy to zwyczajna zgrzywa pod publiczność, dlatego czuł się trochę nieswojo.

Obaj patrzyli na przechodzące dziewczęta. Spojrzenie Diona przyciągnęła Penelope, niosąca brązową torbę z lunchem, kupująca karton soku pomarańczowego w automacie. Kevin zobaczył, na kogo Dion się gapi, i wybuchnął śmiechem.

- Wiedziałem. Syreni zew Lesbos.

Dion poczerwieniał, ale usiłował zachować się nonszalancko.

- Więc powiedz mi coś o niej.

- Co mam ci powiedzieć?

- Cokolwiek.

- No więc jest lesbijką. Ale już ci mówiłem, nie? - Udawał, że się namyśla. - Zobaczmy. Mieszka z bandą innych lesbijek w Wytwórni Win Sióstr Daneam. Wszystkie są jakoś spokrewnione, jej ciotki czy coś tam. Nie kupisz tego wina w sklepie. Wyłącznie na zamówienie pocztowe. Pewnie sprzedają je innym lesbijkom.

- Nie żartuj.

- Nie żartuję. Przynajmniej co do wytwórni win. Wzmianki o preferencjach seksualnych to moja osobista opinia.

Dion poczuł, że jego szanse wędną.

- Więc ona jest bogata?

Kevin przytaknął.

- Niezła fucha, jeśli się załapiesz.

Obaj patrzyli, jak Penelope wyjmuje karton soku z szuflady i znika w tłumie.

- Nie martw się - powiedział Kevin. - W naszej dolinie jest dużo innych bobrów.

Dion zmusił się do uśmiechu.

- Aha.

Kevin zaproponował, że podrzuci Diona do domu po szkole z jednym kolegą, ale Dion odmówił i wyjaśnił, że woli się przejść. Kevin i jego kumpel odjechali mustangiem z piskiem opon, które zostawiły bliźniacze ślady spalenizny na jaśniejszej czerni wyblakłego asfaltu.

Dion ruszył ulicą obsadzoną drzewami. Zwykle unikał ćwiczeń fizycznych - bynajmniej nie należał do sportowców i serdecznie nienawidził wuefu - ale zawsze lubił chodzić. Spacer pozwalał mu zażyć ruchu na świeżym powietrzu i zebrać myśli. Idąc, rozglądał się po spokojnej dzielnicy mieszkalnej. Lubiał swój dom, lubiał szkołę, lubiał ludzi, których spotykał, samo Napa wydawało się dość przyjemnym miastem, ale wciąż coś tutaj nie dawało mu spokoju, jakiś ślad pierwszej reakcji. Nic oczywistego, nic konkretnego, jak ulica o złowieszczym wyglądzie czy budynek, który budził dreszcze. Nie, doznawał uczucia bardziej subtel nego, bardziej ogólnego, które zdawało się obejmować całą Dolinę Napa. Wyczuwał tutaj jakiś ciężar, nieokreślony niepokój, którego nigdy nie doświadczał w Mesie. To wrażenie w żaden sposób nie wpływało na codzienne życie, ale nieustannie go prześladowało, niczym biały szum w tle zwyczajnych odgłosów. Przez większość czasu nie zwracał na nie uwagi.

Przez większość czasu.

Przystanął. Na tym rogu powinien skręcić w prawo. Przed nim ulica biegła prosto, w stronę trawiastej części wzgórza.

Wzgórze.

Stał i patrzył. Widok zdawał się niejasno znajomy i nieprzyjemny. Nagle przebiegł go zimny dreszcz.

Zmusił się, żeby odwrócić wzrok, i szybko skręcił w przecznicę prowadzącą do domu. Zwykle zjawisko psychologiczne, tłumaczył sobie. Reakcja na zmianę miejsca, przesadzenie korzeni. Tak, o to chodziło, na pewno. I na pewno wkrótce mu przejdzie, jak już się całkiem przystosuje do nowego otoczenia.

Przyspieszył kroku, nie patrząc w lewo, nie patrząc na wzgórze.

Nie zastał mamy w domu, ale się nie martwił. Dzisiaj kończyła pracę dopiero o piątej. Poza tym miał na nią oko i przekonał się ze zdumieniem, że chyba naprawdę polubiła nową posadę i dobrze jej się układało z kolegami i koleżankami. Przez ostatnie dwa wieczory, kiedy przy obiedzie opowiadała o wydarzeniach dnia, opisywała zachowanie innych urzędników i klientów banku, słuchał uważnie i próbował czytać między wierszami, ustalić prawdę ukrytą za faktami. Ale jej postawa zawodowego obiektywizmu wydawała się prawdziwa, nieudawana, więc szybko doszedł do wniosku, że nie spodobał jej się nikt w banku. Dobry znak. Na ostatnich dwóch posadach, w Mesie i w Chandler, zapraszała ludzi na, jak to nazywała, „małe spotkania zapoznawcze” już w pierwszym tygodniu pracy.

Może naprawdę rozpoczęła nowy rozdział w życiu.

Wszedł do kuchni, wyjął torbę doritos, nalał trochę salsy do miseczki. Przeszedł do salonu, wziął pilota i włączył MTV, ale szybko znudziły go jednakowa muzyka i wideoklipy. Skakał po kanałach kabłówki, ale nic nie znalazł, więc wyłączył odbiornik. Jak skończy jeść,

nastawi stereo i przy muzyce odrobi matkę. Miał na jutro do rozwiązania dwadzieścia zadań z algebry. Mama niedługo potem wróci do domu.

Dion skończył sałkę, skończył matematykę, przeczytał pierwszą stronę i dział rozrywki w aktualnej gazecie i przejrzał „Time'a” sprzed dwóch tygodni, którego przywieźli z Arizony.

Mama nie wróciła do szóstej i nie zadzwoniła, więc zaczął się niepokoić. Wyłączył stereo i usiadł na kanapie przed telewizorem, żeby obejrzeć krajowe wiadomości. Oglądanie dziennika jakoś podnosiło go na duchu, chociaż większość reportaży mówiła o morderstwach, katastrofach i innych tragicznych wypadkach. Wiedział, że to głupie podejście, podejście ignoranty bez wykształcenia, ale uspokajało go oglądanie wydarzeń dnia poszufflowanych, uporządkowanych i omówionych w krajowej telewizji. Miał wtedy wrażenie, że nawet jeśli świat wydaje się pełen chaosu, ktoś czuwa nad wszystkim i coś robi, chociaż rozumowo zdawał sobie sprawę, że to nieprawda.

Minęła pierwsza przerwa na reklamy, potem druga i trzecia, zrobiło się wpół do siódmej. Dion wstał i wyjrzał przez okno. Niebo już ciemniało, pomarańczowy kolor zmierzchu rozpyływał się w błękitnawej purpurze wieczoru. Chyba nie zaczęła od nowa? Nie tak szybko po ostatnim razie. Nie po tym, jak mu obiecała, że się zmieni.

Prawie wołał, żeby miała wypadek.

Nie!

Odepchnął od siebie tę myśl.

Znowu usiadł, żeby obejrzeć lokalne wiadomości. Próbował zachować optymizm, przekonywał sam siebie, że zwyczajnie została dłużej w pracy i zapomniała zadzwonić, ale w to nie wierzył.

Miał tylko nadzieję, że wystarczy jej rozsądku, żeby nie przyprowadzać tego faceta do domu.

Był w kuchni i zamierzał zrobić sobie obiad - makaron z serem albo jakieś gotowe danie z zamrażarki - kiedy usłyszał znajomy chrzęst opon pinto na podjeździe. Chciał pobiec do salonu od frontu, wyjrzeć przez okno, zobaczyć, co się dzieje, ale nie ruszył się z miejsca. Mięśnie miał napięte, dłonie spocone.

Usłyszał, jak otwierają się frontowe drzwi.

Wszedł do salonu i zalała go fala ulgi, kiedy zobaczył, że matka jest sama.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała, upuszczając teczkę w progu.

Nie była pijana, ale wyraźnie podpita. Mówiła głośniej niż zwykle, z większym ożywieniem, gestykulowała swobodnie i zamaszycie.

- Poznałam wspaniałych ludzi! - zawołała.

Niepokój powrócił.

- Mamo...

- Nie, mówię poważnie. Nawet ty byś ich polubił.

- Kto to?

- No, poznałam ich w barze...

Dion głęboko zaczerpnął powietrza.

- W barze? Mamo, mówiłaś...

- Nie martw się. Kilka osób z pracy postanowiło skoczyć na drinka i zaprosili mnie, żebym poszła z nimi. Ale na miejscu poznaliśmy...

- Kobietę czy mężczyznę?

Zagapiła się na niego, zrozumienie zaświtało na jej twarzy. Dion nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

- Obiecałaś, że się zmienisz - przypomniał jej łagodnie.

Jej dobry nastrój prysł.

- Zmieniłam się - odparła gniewnie. - I nie patrz na mnie takim oskarżycielskim wzrokiem. Ludzie z pracy mnie zaprosili. Co, miałam odmówić?

- Tak.

- I zmarnować swoje szanse na awans? - Przepchnęła się obok niego do kuchni. - Siedaj - rozkazała. - Zrobię obiad.

- Nie trzeba... - zaczął Dion.

- Zrobię obiad!

Wiedział, że nie ma sensu się kłócić. Patrzył, jak wyjęła garnek spod zlewu i z hukiem postawiła na blacie. Westchnął i wrócił do salonu. Oglądał telewizję, podczas gdy na dworze robiło się coraz ciemniej, a w kuchni matka przeklinała głośno i waliła łyżką o patelnię, przygotowując posiłek.

7.

W piątek pan Holbrook na przywitanie zrobił im kartkówkę. Zaraz po dzwonku oznajmującym początek lekcji nauczyciel mitologii polecił uczniom, żeby schowali wszystkie książki pod pulpity i wyjęli ołówki oraz papier.

- Numery od jednego do dwudziestu pięciu - powiedział. - Zostawcie dwie linijki odstępu pomiędzy numerami.

Wstał z krzesła i podszedł do tablicy. Odwrócony tyłem do klasy, sięgnął po krótki kawałek białej kredy.

- Przepiszcie każde pytanie i bezpośrednio pod nim wpiszcie odpowiedź.

- Gnojek - szepnęła Kevin i pokazał nauczycielowi wyprostowany środkowy palec.

Dion stłumił chichot.

Nauczyciel zaczął pisać na tablicy.

- Możecie zaczynać.

Rozległ się szelest papieru i skrzypienie krzesel, kiedy uczniowie przystąpili do pracy. Dion próbował już obliczyć, jakie stopnie powinien dostać z wypracowania i zwykłych klasówek, żeby nadrobić pałę, którą dzisiaj oberwie. Potarł ołówek bokiem o blat, żeby go naostrzyć. Holbrook przynajmniej mógł ich zawczasu uprzedzić, ostrzec, że w ciągu semestru będzie im robił niezapowiedziane kartkówki. Oczywiście nauczyciel udzielił im ogólnych informacji, powiedział, które strony z której książki mają przeczytać i do kiedy, ale nie wspominał o kartkówkach. Przynajmniej powinien mieć tyle przyzwoitości i uprzejmości, żeby im wyjaśnić, jak prowadzi zajęcia, od czego zależą stopnie.

Teraz oczywiście Dion sobie przypomniał, że nauczyciel kilkakrotnie powtórzył: „Spodziewam się, że nie zaniedbujecie lektury”. Zrozumiał, że to enigmatyczne ostrzeżenie zapowiadało nadchodzącą grozę.

Niestety nie przeczytał ani słowa z zalecanej lektury. Nigdy nie uczył się w taki sposób. Zawsze lepiej pracował pod presją, spręzał się w ostatniej chwili, napychał mózg informacjami. Nigdy nie spóźniał się z zadanymi lekcjami, ale czytanie zostawiał sobie na koniec.

Teraz miał za to zapłacić.

Co gorsza, właśnie tego dnia zakończył swoje chytne manewry i dyskretnie wśliznął się na puste miejsce obok Penelope.

Marnie to wyglądało.

Dion posłusznie przepisał pytania wypisane na tablicy przez pana Holbrooka. Nie znalazł odpowiedzi na żadne z nich i tylko ze słyszenia kojarzył kilka terminów, które w klasie obily mu się o uszy. Więc po prostu napisał na kartce pierwsze z brzegu jednowyrazowe odpowiedzi, jakie mu przyszły do głowy. Przekreślił kartkę na drugą stronę i odłożył ołówek na znak, że skończył.

Kiedy wszyscy skończyli pisać, nauczyciel stanął przodem do klasy.

- Dobrze - powiedział. - Teraz zamieńcie się kartkami z osobą siedzącą obok.

Osoba siedząca obok. Czyli albo Kevin, albo Penelope. Dion spojrział w lewo i zobaczył, że Kevin zamienia się kartkami z niskim chłopcem siedzącym po drugiej stronie. Spojrział na Penelope, zmusił się do uśmiechu i podał jej swoją kartkówkę. Ona wręczyła mu swoją. Spojrział na pismo: delikatne literki, uformowane z niemal kaligraficzną precyzją, zdecydowanie kobiece.

- Pytanie pierwsze - ogłosił nauczyciel. - Zeus.

Dion przeglądał kartkówkę, stawiał plusy przy poprawnych odpowiedziach i minusy przy błędnych, zgodnie z instrukcjami nauczyciela. Penelope zrobiła dwa błędy, na piątkę z minusem. Miał rację. Była inteligentna.

Oczywiście teraz to bez znaczenia. Znowu wymienili się kartkami i Penelope oddała mu jego kartkówkę. Nie podniósł wzroku, nie spojrział na swój wynik. Zawalił test. Pewnie

uważała go za półgłówka. Szanse na jej poznanie spadły z przeciętnych do zerowych. Popatrzył żałośnie na Kevina, potem spojrzął na kartkę trzymaną w rękę.

Zamrugał.

Otrzymał najwyższy wynik.

Nie popełnił ani jednego błędu.

W kafeterii jak zawsze panował tłok. Dion i Kevin usiedli na jednym z okrągłych plastikowych stolików w przyległej sali jadalnej i czekali, aż kolejki się zmniejszy.

- Ty naprawdę się znasz na mitologii - stwierdził Kevin, niespiesznie przeczesując włosy ręką.

On też się nie uczył, podobnie jak Dion, bo zamierzał czekać do ostatniego tygodnia przed egzaminem, ale w przeciwieństwie do Diona odpowiedział źle na prawie jedną czwartą pytań, czyli na słabą trójkę, jeśli nauczyciel zaokrąglił stopień w górę.

Dion wzruszył ramionami z zakłopotaniem.

- Nie bardzo - odparł. - Zgadywałem. Po prostu miałem szczęście.

- Na testach wielokrotnego wyboru możesz zgadywać i mieć szczęście. Na testach z pojedynczymi odpowiedziami możesz zgadywać tylko wtedy, jeśli masz już jakąś wiedzę, masz z czego wybierać. To znaczy, cholera, tylko ty z całej klasy zaliczyłeś na sto procent.

Mówił prawdę, ale Dion nie wiedział, jak i dlaczego tak się stało. Milczał, zażenowany. Wpatrywał się w blat ławki i bezmyślnie odczytywał graffiti narysowane ołówkiem na wyblakłym plastiku. Podniósł wzrok, kiedy chudy blondyn w czarnej heavymetalowej koszulce podszedł do nich z wojowniczą miną, marszcząc brwi.

- Co ty sobie myślisz? Że to złot pedziów? Siedzisz na moim stole.

Kevin spokojnie podniósł środkowy palec.

- Myślisz, że to takie fajne, Harte?

- Nie taki fajne jak cycki twojej mamy, ale na razie ujdzie.

- Złaź.

- Wal się.

- Wsadź to sobie w dupę, Harte. - Chłopak odszedł nachmurzony, agresywnie dźgając powietrze własnym środkowym palcem.

Dion nadal milczał. Nie wtrącał się do tej wymiany zdań. Trochę się obawiał, że nowy przybysz może rozpocząć bójkę z którymś z nich albo, co gorsza, sprowadzić swoich większych i groźniejszych kumpli, ale niczego po sobie nie pokazywał. Kevin chyba potrafił sobie poradzić z tym gościem, przynajmniej tak się zachowywał. Dion wierzył, że jego przyjacieli wie, kogo można popchnąć, a komu lepiej ustępować z drogi.

Przynajmniej taką miał nadzieję.

- Ten facet to cienias - oznajmił Kevin, jakby czytał mu w myślach. - Nie przejmuj się nim. Dużo gadania i zero działania.

Dion kiwnął głową, jakby tak podejrzewał od początku.

- Hej - powiedział Kevin. - Tylko popatrz.

Wskazał kolejki do kafeterii. Pomiedzy stolikami przeciskały się w stronę otwartych podwójnych drzwi Penelope i niska czarnowłosa dziewczyna w grubych okularach.

- To twoja szansa, stary.

Dion zeskoczył ze stołu.

- Idziesz ze mną.

Kevin prychnął.

- Jeszcze czego. To twój ruch. Idź tam i pogadaj z nią w cztery oczy. Zaczekam, aż cię odpali.

Penelope i jej przyjaciółka stały na końcu jednej z kolejek i Dion wiedział, że jeśli zaraz się nie ruszy, ktoś inny zajmie miejsce za dziewczyną. Szybko lawirował w ruchliwym tłumie uczniów.

Poszczęściło mu się. Staął za nią w kolejce tuż przed grupką czirliderek. Wszystko stało się tak szybko, działał bez namysłu, a teraz nie wiedział, co dalej. Ręce mu się pocily, w brzuchu burczało. Nie chciał klepnąć Penelope po ramieniu, żeby zwrócić jej uwagę, ani zaczynać rozmowy, zanim zauważyła jego obecność, więc po prostu przygotował się na wypadek, gdyby się odwróciła, spróbował się wyluzować i przybrać maskę spokojnej obojętności, której nie czuł.

Kiedy po chwili rzeczywiście się odwróciła i zobaczyła go, udał zaskoczenie. Odchrząknął.

- Cześć - powiedział. - Nie poznałem cię.

Ona też wydawała się zdziwiona, ale uśmiechnęła się na jego widok. Pomyślał, że ma ładny uśmiech. Przyjazny uśmiech. Prawdziwy uśmiech.

- Cześć - odpowiedziała.

- Nazywam się Dion. Chodzę z tobą na mitologię - Wiedział, że to głupie, jak tylko to powiedział, ale nie mógł już cofnąć swoich słów.

Roześmiała się ciepło, swobodnie.

- Wiem, kim jesteś. Poprawiałam twoją kartkówkę, pamiętasz?

Poczerwieniał, nie wiedząc, jak zareagować, przestraszony, że palnie coś jeszcze głupszego.

- Naprawdę mi zaimponowałeś, że tak świetnie ci poszło.

- No, taak, dzięki.

- Nie, mówię poważnie. Naprawdę znasz się na tych rzeczach.

Kolejka posunęła się do przodu i Dion uświadomił sobie niemal z paniką, że teraz on powinien coś powiedzieć, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Co najmniej sześć osób

dzieliło Penelope od bufetu. To była jego jedyna szansa: musiał wymyślić coś dobrego albo reszta czasu upłynie w milczeniu i wszystko się skończy. Zerknął na Kevina, który dał mu sygnał podniesionymi kciukami.

Cholera, co tu powiedzieć?

Uratowała go przyjaciółka Penelope.

- Nie pamiętam, żebym cię tu widziała - odezwała się. - Jesteś nowy?

Odetchnął. Był w domu.

- Tak - powiedział. - Jestem z Arizony. Przeprowadziliśmy się tutaj z mamą trochę ponad tydzień temu.

- Na pewno ciężko jest w nowej szkole - zauważyła Penelope.

Popatrzył na nią. Czy tylko sobie wyobrażał, czy naprawdę jej twarz, jej głos wyrażały więcej niż zdawkowe zainteresowanie? Mówiła niemal ze smutkiem, jakby rozumiała, co czuł, jakby sama przez to przeszła.

Jakby troszczyła się o niego.

Nie, po prostu odczytywał nieistniejące przesłanie.

- Tak - przyznał. - Ciężko. Jeszcze nikogo nie znam.

- Znasz nas - przypomniała mu z uśmiechem przyjaciółka Penelope.

Dion uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Racja.

- I znasz tego Kevina Harte'a - dodała Penelope. Coś w tonie jej głosu sugerowało, że nie lubi jego nowego przyjaciela.

- No, dopiero go poznałem - odparł Dion.

A potem dotarli na czoło kolejki i sposobność do dalszej rozmowy przepadła. Penelope wzięła z bufetu nakrytą miseczkę sałatki i puszkę V8. Dion złapał hamburgera, mały kubek frytek i dwie cole, jedną dla siebie, drugą dla Kevina.

- Do zobaczenia w poniedziałek - powiedziała Penelope, kierując się razem z przyjaciółką do kasy. Uśmiechnęła się swoim promiennym uśmiechem. - Miło było cię poznać.

- No - dodała przyjaciółka.

- No - powtórzył Dion jak echo.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, chciał zaprosić je obie do stołu Kevina, chciał zapytać Penelope, czy nie miałyby ochoty czasem się z nim pouczyć, chciał ją zapewnić, że jeszcze nieraz ze sobą porozmawiają, ale nie wiedział jak. Zapłacił dwa dolary i patrzył, jak dziewczyny odchodzą.

Zrobił początek i powinien się cieszyć, ale z niewiadomego powodu czuł się rozczarowany, niemal zawiedziony. To nie miało sensu. Wszystko poszło dobrze. Minął dopiero pierwszy tydzień i już ze sobą rozmawiali, a jednak po tym spotkaniu ogarnęła go depresja. Przepchnął się przez tłum do Kevina.

- No więc - zagadnął przyjaciel, szczerząc zęby - jak poszło? Złapała cię za wacusia?

- Koniecznie chciała go poznać - odparł Dion, stawiając tacę.

Kevin parsknął śmiechem i mało nie wypluł coli, którą właśnie popijał. Otarł wargi wierzchem dłoni.

- Penelope? - rzucił ze śmiechem.

Dion uśmiechnął się i wreszcie sam się roześmiał.

- Aha - potwierdził. Poczul się już lepiej. Sięgnął po hamburgera. - A jej przyjaciółka leci na ciebie.

- Może sobie pomarzyć - odparł Kevin.

Dion znowu się roześmiał. Pomyślał o Penelope. Jednak wszystko poszło dobrze, powiedział sobie. Wszystko jeszcze się ułoży. Rozwinął hamburgera i zabrał się do jedzenia.

8.

Porucznik David Horton otworzył kluczem gospodarza domu ciężkie oszklone drzwi i wszedł do Czegoś Starego. Sklep z antykami był pusty, martwą ciszę mącił tylko szum dochodzący z ulicy. Zaraz za porucznikiem weszli dwaj mundurowi.

- Panie Williams! - zawołał. Odczekał jedno uderzenie serca. - Jest tam kto?

Jego głos zamarł w głuchoj ciszy. Skinął na policjantów z tyłu.

- Rozejrzyjcie się.

Dwaj funkcjonariusze rozdzielili się, obeszliz z dwóch stron kontuar i razem weszli na zaplecze. Wrócili po chwili, kręcąc głowami.

- Sprawdźcie między regałami - polecił porucznik.

Zapałił papierosa i patrzył, jak jego ludzie oddalają się równoległymi alejkami od środka sklepu.

Sklep z antykami był zamknięty przez cały tydzień. Żadna zbrodnia. Ale bardzo niezwykle, jak zauważyli właściciele kilku sąsiednich sklepów. A kiedy przed paroma dniami upłynął termin opłaty czynszu i gospodarz budynku nie otrzymał ani czeku, ani usprawiedliwienia od zwykle punktualnego handlarza antyków, zaczął coś podejrzewać. Zadzwoił do domu Williamsa, nie uzyskał połączenia, zadzwonił do siostry Williamsa w Salinas i dowiedział się, że nie rozmawiała z nim od tygodnia. Wtedy zawiadomił policję.

Zniknięcia zdarzały się całkiem często w Krainie Wina. Północna Kalifornia, postrzegana przez ludzi z zewnątrz jako rozrywkowe miejsce, gdzie panował swobodny styl życia, przyciągała wielu dziwaków i włóczęgów, znających przemysł winiarski tylko od strony

alkoholowych produktów, niezdających sobie sprawy, że wytwarzanie napojów wysokochłonnych wymaga codziennej żmudnej pracy, że życie w dolinie nie polega na nieustannej zabawie.

Ale Victor Williams nie był włóczęgą. Był miejscowym biznesmenem i zapuścił korzenie w dolinie. Horton poważnie wątpił, czy Williams mógłby nagle wyjechać pod wpływem kaprysu, nie mówiąc nic nikomu, zostawiając sklep zamknięty. To do niego nie pasowało.

Co znaczyło, pomyślał Horton, że Vic Williams pewnie nie żyje.

Porucznik zaciągnął się papierosem, westchnął i wypuścił dym. Dawniej nienawidził swojego zawodu, kiedy odznaka i władza straciły urok nowości, kiedy praca, która polegała na zaglądaniu społeczeństwu w tyłek dzień po dniu, naprawdę zaczęła go dobijać. Wtedy o mało nie złożył rezygnacji, nie powiedział w wydziale, żeby sobie wsadzili gdzieś tę posadę, ale uświadomił sobie, że zna się tylko na policyjnej robocie; nic innego nie umiał i był za stary, żeby zaczynać od nowa.

Teraz po prostu próbował o tym nie myśleć. Nie żałował straconych możliwości kariery, nie jęczał, że nie skończył studiów, nie porównywał się z innymi mężczyznami w jego wieku, którzy odnieśli większe sukcesy. Po prostu przychodził do roboty, odwałował swoje obowiązki i liczył dni do emerytury.

I dwa razy w tygodniu kupował los na loterię.

Człowiek musi mieć jakąś nadzieję.

- Poruczniku! Tutaj!

Horton obejrzał się, wyjmując z ust papierosa. Zobaczył Deetsa, najmłodszego funkcjonariusza, który gorączkowo przywoływał go na koniec alejki. Rzucił papierosa, zadeptał niedopałek i pospiesznie podszedł do nowicjusza.

- Co...?

Chciał zapytać: „Co znalazłeś?”, ale nie musiał kończyć. Podłogę w tej części sklepu pokrywały brązowe plamy zaschniętej krwi, tworzące wielki, nieregularny, amebowaty deseń na zakurzonych, wyblakłych deskach sekwojowej podłogi. Dolną część fazowanego lustra upstrzyły kropki krwi, rozmazane, jakby ktoś próbował je wytrzeć.

Spod mebla wystawał mały, wystrzępiony skrawek rozdartego mięśnia.

- Jezus - zachłysnął się Horton. Obejrzał się na McCombera, który stał obok Deetsa. - Zadzwoń do laboratorium - rozkazał. - Niech przyślą techników i fotografów.

Młodszy gliniarz kiwnął głową, przestraszony, i pospieszył alejką do frontowego kontuaru.

- Nie dotykaj niczego - ostrzegł porucznik Deetsa.

- Tak jest, sir.

- I skończy z tym bzdurnym „sir”. Nie jesteśmy w cholernej piechocie morskiej.

- Okay, sir, ee, poruczniku.

Horton popatrzył na nowicjusza i pokręcił głową. Sięgnął do kieszeni po następnego papierosa, wyciągnął paczkę, ale okazała się pusta. Zgniół ją, włożył z powrotem do kieszeni i spojrzał tęsknie na drugi koniec alejki, gdzie rzucił poprzedniego papierosa. Zapowiadało się długie popołudnie.

9.

Podobnie Penelope wyszła do ogrodu. Powietrze było tam cieplejsze niż w klimatyzowanym domu i bardziej wilgotne, ale jej wydawało się cudowne. Usiadła na krawędzi fontanny, oparła ramiona na zaokrąglonym betonie, przechyliła się do tyłu i spojrzała w górę. Wytwórnia win znajdowała się tak daleko od miasta, że światła dzielnicy handlowej tu nie docierały. Niebo miało odcień głębokiej purpury, nakrapianej milionami mikroskopijnych gwiazd zebranych w konstelacje. Penelope odnalazła Wielki Wóz, potem Mały Wóz z Gwiazdą Polarną na dyszlu, przesunęła wzrokiem po Pasie Oriona i wypatrzyła punkcik czerwonego światła - Mars.

Zawsze fascynowały ją gwiazdy, Księżyc, planety, niebo nad głową. Wydawało jej się zadziwiające, że ruchy ciał niebieskich zostały zbadane i opisane tak dawno temu, że prawa rządzące tak ogromnym obszarem rozpoznali i zrozumieli ludzie nieposiadający nawet elementarnej wiedzy, którą obecnie przyswajają sobie każdy uczeń. W zeszłym semestrze zapisała się na astronomię, żeby lepiej poznać ten temat, ale przekonała się z rozczarowaniem, że lekcje dotyczyły bardziej matematyki trajektorii niż ogólnej historii ciał niebieskich oraz ich ziemskich odkrywców.

Dlatego między innymi zapisała się na mitologię, po której spodziewała się tak wiele. Przeglądając podręcznik po pierwszej lekcji, znalazła całe trzy rozdziały poświęcone konstelacjom i natychmiast te rozdziały przeczytała.

Tego właśnie chciała się uczyć.

W dodatku na tych zajęciach poznała Diona.

Przylapała się na tym, że znowu o nim myśli, jak to jej się często zdarzało przez ten tydzień. Nie znała Diona, nic o nim nie wiedziała, ale coś w jego wyglądzie, zachowaniu, sposobie mówienia wzbudziło jej zainteresowanie. Najwyraźniej był inteligentny, ale wydawał się również bardzo miły, bardzo rozsądny, mocno stąpający po ziemi, chociaż nigdy by nie pomyślała, że taka cecha okaże się pociągająca.

Czy mu się spodobała? Przypuszczała, że tak. Dwa razy w ciągu tego tygodnia przylapała go, jak gapił się na nią z sąsiedniej ławki, kiedy myślał, że nie patrzyła, i zawsze szybko

odwracał wzrok z miną winowajcy, jakby robił coś, czego nie powinien.

I wreszcie dzisiaj przy lunchu nawet się do niej odezwał. Vella powiedziała później, że Dion był wyraźnie zainteresowany, ale Penelope nie miała pewności, czy tych kilka słów, które zamienili, wystarczy do wyciągnięcia takich wniosków. Niemniej ta sugestia jej pochwlebiła i przez resztę dnia, zamiast słuchać nauczycieli, odtwarzała w myślach ich rozmowę i szukała wskazówek na poparcie hipotezy Velli.

Penelope z uśmiechem spojrzała w niebo. Może to przeznaczenie. Może ich znaki zodiaku się dopasowały i dlatego spotkali się w tym miejscu i w tym czasie.

Zamknęła oczy. Kilkakrotnie próbowała sobie wyobrazić, jakby to było pójść na randkę z Dionem, ale wizje nie chciały się pojawić. Nie dlatego że jej nie pociągał czy przynajmniej nie interesował, ale jeszcze nigdy nie była na randce i nie wyobrażała sobie, że mogłaby prowadzić taką bezsensowną konwersację jak nastolatki na filmach.

Filmy.

Wszystko, co wiedziała o randkach, zaczerpnęła z książek, filmów lub telewizji.

Usłyszała ciche kliknięcie. Otworzyła oczy i usiadła prosto. Matka Felice rozsunęła szklane drzwi i uśmiechnęła się do niej.

- Może powinniśmy tu przenieść twoje łóżko.
- I moją komodę, i telewizor.
- Łodówkę i kuchenkę mikrofalową?

Obie parsknęły śmiechem. Matka Felice przeszła po żwirze i usiadła na krawędzi fontanny obok Penelope. Obie milczały przez chwilę, ciesząc się spokojem i swoim towarzystwem. Często tak przesiadywały. Matka Margeaux dostałaby szału, gdyby musiała siedzieć tak długo, nie robiąc nic pożytecznego, a matka Margaret i matka Sheila musiałyby mówić, wstać, ruszyć się z miejsca. Penelope nie chciałaby zostać sam na sam z matką Janine. Ale matka Felice lubiła ciszę, przyjmowała ją z wdzięcznością po całym dniu spędzonym w domowym rozgardiaszu. Pod tym względem przypominała córkę, co tylko potwierdzało teorię Penelope.

Matka Felice odchyliła głowę do tyłu, żeby zmniejszyć napięcie w karku, potem usiadła prosto. Spojrzała mimochodem na córkę.

- Coś się stało? - zapytała.

Zaskoczona Penelope zmarszczyła brwi.

- Nie. Dlaczego?

Matka się uśmiechnęła.

- No, dzisiaj przy obiedzie wydawałaś się jakaś nieobecna. Ja tylko... no, myślałyśmy, że może kogoś poznałaś. No wiesz, chłopca.

Czy to się tak rzucało w oczy? Penelope nie przypuszczała, że zachowuje się inaczej niż zwykle. Spojrzała na matkę. Chciała powiedzieć prawdę i pewnie by powiedziała, gdyby matka nie wspomniała o pozostałej rodzinie, gdyby „myślałyśmy” nie oznaczało, że omawiały ten temat, że specjalnie wysłały tutaj matkę Felice. Nie wątpiła, że właśnie matka Felice coś zauważyła - zawsze była najbardziej spostrzegawcza w kwestiach emocjonalnych - ale ten oczywisty wniosek, ta próba pogwałcenia jej prywatności, choćby w najlepszych intencjach, odebrała jej chęć do zwierzeń.

- Nie - odpowiedziała.

Matka Felice spochmurniała. Wydawała się zmieszana, jakby nie zrozumiała odpowiedzi.

- I nie poznałaś nikogo, kto wydaje się chociaż trochę interesujący?

Penelope wzruszyła ramionami.

- Za wcześniej oceniać. - Pokręciła głową. - Boże, mam, minął dopiero tydzień. Czego się spodziewałaś?

- Masz rację, masz rację - przyznała matka przeproszającym tonem, ze współczującym uśmiechem, ale w jej twarzy wciąż krył się cień zdziwienia.

Znowu zamilkły, chociaż teraz w ciszę wkradło się lekkie napięcie. Penelope spojrzała na Księżyc, który właśnie wszedł nad wzgórzami na wschodzie, żółty i nieproporcjonalnie wielki. Kiedy miała osiem czy dziewięć lat, widziała film *Jankes na dworze króla Artura* z Bingiem Crosbym. To był lekki film rozrywkowy, romantyczna komedia muzyczna, ale największe wrażenie zrobił na niej fakt, że Bing zdołał ocalić życie, ponieważ pamiętał datę zaćmienia Słońca; podał się za potężnego czarownika i udawał przed ludźmi średniowiecza, którzy chcieli go spalić na stosie, że potrafi sprawić, żeby Słońce zniknęło, wykonując kilka absurdalnych gestów w odpowiedniej chwili. Przeraziła ją ta scena i prześladowała później w licznych koszmarach sennych. Przez całą szkołę podstawową Penelope obsesyjnie wkuwała daty zaćmień Słońca i Księżyc, dawne i obecne, na wypadek gdyby kiedyś znalazła się w podobnej sytuacji.

Nawet teraz pozostał w niej ślad tamtych obaw, kiedy patrzyła na Księżyc. Racjonalna część umysłu mówiła jej, że to tylko satelita Ziemi, martwy glob odbijający załamane światło Słońca, ale na głębszym, bardziej instynktownym poziomie nie mogła opanować lekkiego strachu, jakby Księżyc - niczym w bajeczkach dla dzieci - był świadomym bytem, posiadającym magiczne moce, które mogą wpływać na jej życie. To uczucie, chociaż dziwne, wcale nie było nieprzyjemne i Penelope cieszyła się, że nawet suche astronomiczne liczby nie zdołały całkowicie przyćmić w jej oczach tajemnicy nocnego nieba.

Spojrzała na matkę.

- Lubisz patrzeć na Księżyc? - zapytała. - Na gwiazdy?

Matka uśmiechnęła się.

- Czasami.

Ojciec Penelope lubił patrzeć w gwiazdy.

Przynajmniej tak jej mówiły matki.

Przypomniał jej się ojciec. Rzadko o nim myślała i czasami miała wyrzuty sumienia z tego powodu, ale właściwie go nie znała; był dla niej zaledwie twarzą na starej fotografii. Wiedziała jednak, że był przystojny. Wysoki i barczysty, z długimi brązowymi włosami i wąsami, wyglądał na zdjęciu jak drwał albo profesor uniwersytetu. Promieniował inteligencją i tężyzną fizyczną, jakby równie dobrze radził sobie z książkami i narzędziami, wykazywał biegłość w pracy zarówno umysłowej, jak i manualnej - romantyczne założenie zrodzone z opowieści matek.

Kiedy była młodsza, matki często opowiadały o ojcu, odpowiadały na jej niezliczone pytania, powoływały się na niego w sprawach nauki i dyscypliny, usiłowały stworzyć wrażenie jego obecności poprzez sentymentalne historyjki i szczegółowe wspomnienia. Lecz kiedy podrosła, opowieści się skończyły, jakby ojciec był wymyśloną istotą, jak Święty Mikołaj czy wielkanocny zajaczek, stworzoną dla ukierunkowania jej rozwoju w dzieciństwie, jakby wypełnił swoje zadanie i stracił rację bytu. Zanim stała się nastolatką, temat ojca przestał się pojawiać w rozmowach, a jej nieczęste pytania dotyczące jego osoby zbywano byle czym. Nic z tego nie rozumiała, ale wyczuwając zmianę nastawienia matek, całkowicie przestała mówić o ojcu. Stopniowo szczegóły jego życia zaczęły się zacierać i blaknąć, zlewać się z innymi bajkami dzieciństwa.

Jednak szczegóły jego śmierci pozostały wyraźne i ostre.

Ojciec zginął wkrótce po jej narodzinach, brutalnie zamordowany, rozszarpany przez stado wściekłych wilków w dzikich lasach za ogrodzeniem. Znała na pamięć tę historię. Była wiosna, koniec kwietnia, ojciec swoim zwyczajem wybrał się na wieczorną przechadzkę. Matka Felice i matka Sheila przygotowywały obiad w kuchni, matka Janine oglądała telewizję w pokoju obok. Matka Margeaux była w gabinecie z matką Margaret. Wszystkie, nawet matka Margeaux i matka Margaret, usłyszały krzyki i wszystkie wybiegły z domu, ale zobaczyły tylko szaro-białe kłębowisko wilków, z furią atakujących ludzką postać na ścieżce prowadzącej pomiędzy wysokie drzewa. Krzyki już ucichły, ale chociaż panowała noc, matki wyraźnie widziały z daleka, jak opadło uniesione ramię ojca, rękaw żółtej koszuli podarty i zachłapany czarną krwią. Matka Janine wrzasnęła, a matka Margeaux podbiegła do domu po karabin i kazała matce Felice wezwać policję. Matka Margeaux poprowadziła szarżę przez łąkę, strzelając w powietrze. Wilki uciekły, rozproszyły się i zniknęły w lesie.

Z twarzy ojca nic nie zostało. Klatkę piersiową miał rozszarpaną, wnętrze zostały pożarte, ramiona ogryzione do kości. Tylko nogi, z niewiadomych powodów, pozostały prawie nietknięte.

Pięć matek zaniósło z powrotem do domu ciała ojca, którego stygnąca krew kapłała im na ręce i na ubranie. Potem czekały na przyjazd karetki pogotowia.

Opowiadały jej tę historię setki razy i teraz, spoglądając wstecz, Penelope zastanawiała się, dlaczego matki musiały się tak rozwozić nad śmiercią ojca, dlaczego nabijały dziecku głowę takimi okropnościami. Ponieważ to było okropne. I przerażające. A matki zawsze zagłębiały się w makabryczne szczegóły, opisując krew i rany. Penelope miała serię powracających, niezwykle sugestywnych koszmarów sennych, w których matki zabijały ojca. Zastanawiała się teraz, czego to miało ją nauczyć.

Nie wiedziała.

Ale wiedziała, że pewnie żyłoby jej się znacznie łatwiej, gdyby jej ojciec nie zginął.

Matka Felice szturchnęła ją w łokieć i wstała.

- Chodź - powiedziała. - Wejdzmy do środka. Robi się późno.

- Ale dziś piątek - zaprotestowała Penelope. - Jutro nie idę do szkoły.

- I tak jutro masz dużo rzeczy do zrobienia. Poza tym inne matki będą się zastanawiać, dokąd się wymknęłyśmy.

- Więc niech się zastanawiają.

Matka Felice się roześmiała.

- Chcesz, żebym to powtórzyła matce Margeaux?

- Nie - przyznała Penelope.

- No więc chodź.

Penelope niechętnie wstała. Weszła za matką do domu.

10.

Śnił o wysokich wzgórzach, białych skalnych wychodniach punktujących zielen łąk, spłwiała pod koniec lata. W zasięgu wzroku nie było żadnych budynków ani dróg, tylko wąska, nierówna ścieżka, która wyglądała jak wydeptana przez kopyta wędrujących zwierząt. Po prawej ścieżka wspinała się po stoku wzgórza aż do wierzchołka. Po lewej opadała zakolami w kierunku kępy drzew na płaskim dnie doliny o łagodnych zboczach.

Ruszył boso w stronę ścieżki, kamienisty żwir pod trawą wbijał mu się głęboko w pięty i podeszwy stóp, ale nie ranił. Panował upał, ale nie wilgotny, tylko suchy jak na pustyni, niebo wybielone słońcem miało odcień pastelowego błękitu.

Czuł się dobrze. Zmysły miał wyostrzone: widział wyraźnie na wiele kilometrów dookoła, słyszał pracowite brzęczenie owadów w trawie, czuł ciężki, ciepły, przyjazny zapach

ziemi, na który nakładały się lżejsze wonie rosnących chwastów i trawy.

Zorientował się, że jest bardzo wysoki.

Dotarł do ścieżki i skręcił w stronę doliny z drzewami. Pod nogami miał ciepłą, gładką ziemię i przyspieszył kroku; nagle zapragnął jak najszybciej dotrzeć do miejsca przeznaczenia. Na języku czuł ulotne wspomnienie smaku winogron, co z niejasnego powodu przynagliło go do pośpiechu.

Przed sobą zobaczył ruch na ścieżce, poczuł smród niemytego zwierzęcia. Dotarł do tego miejsca i przystanął. Na ścieżce przed nim stała koza, samica z wymionami ciężkimi od mleka. Zachciało mu się pić, więc podniósł zwierzę nad głowę i wziął do ust trzy sutki naraz. Zaczął ssać. Ciepłe, słodkie mleko gładko spłynęło do jego spragnionego gardła.

Kiedy skończył, postawił kozę na ziemi i dopiero wtedy zauważył, że obok, na skraju ścieżki leży jej młode. A raczej to, co z niego zostało. Koźlątko zabito, wypatroszono, okaleczono, ostre drewniane kije sterczały z krwawej masy torsu. Nogi i głowę oderwano i odrzucono na bok. Skrawki skóry i kłaczk zakrwawionej sierści wisiały na niskich, mocnych źdźbłach trawy.

Wiedział, że to oznacza bliskość domu, więc się ucieszył.

Usłyszał krzyki spośród drzew, krzyki bólu i radości. Z uśmiechem pobiegł do nich.

Dion spędził sobotę z matką. Razem rozpakowali resztę rzeczy i skończyli urządzenie salonu. Praca była monotonna, ale Dionowi sprawiała przyjemność. Zwłaszcza że mama chyba się dobrze bawiła. Zamiast jęczeć i narzekać jak zwykle, zamiast ostentacyjnie demonstrować, jak bardzo nie znosi prac domowych, nastawiła kilka płyt - Beatlesi i Beach Boys, muzyka, którą oboje akceptowali - i śpiewała do wtóru, odkurzając i wycierając rozpakowywane przedmioty. W czwartek i piątek wróciła z pracy na czas i zachowywała się jak wzorowa gospodyni: gotowała obiad, zmywała naczynia, oglądała telewizję, dokładała widocznych wysiłków, żeby zdobyć jego zaufanie. Dzisiaj bardzo się starała w pracy i w rozmowie, wyraźnie chciała mu pokazać, że naprawdę się zmieniła. Chętnie jej uwierzył. Jej wysiłki świadczyły niezbicie, że miała poważne zamiary, że szczerze pragnęła poprawy.

Teraz wszystko będzie dobrze.

W niedzielę oboje przez cały dzień zwiedzali Dolinę Napa. Odkąd tu przyjechali, mieli tyle na głowie - szkołę, pracę i urządzenie domu - że właściwie nie zdążyli nic zobaczyć poza własnym małym wycinkiem miasta. Oboje doszli do wniosku, że już pora poznać nowy dom.

Zaliczyli wszystkie turystyczne atrakcje, posługując się mapą doliny, którą mama dostała w Auto Clubie. Przejechali obok jeziora Berryessa i Góry Świętej Heleny, zwiedzili park Bale Grist Mill i zapłacili, żeby zobaczyć Starego Wiernego i Skamieniały Las, mniej

rozreklamowanych kuzynów identycznie nazwanych cudów natury. Krajobraz nie oferował spektakularnych widoków, ale promieniował spokojnym, subtelnym pięknem; wiejskie drogi wily się pomiędzy zadbanymi winnicami, omijały falujące wzgórza i niskie, zalesione góry.

Chociaż dojechali aż do Sonomy, żeby obejrzeć dom Jacka Londona, nie wstąpili do żadnej wytwórni win. Obecnie taka wizyta kosztowałaby zbyt wiele nerwów, zbyt wiele napięcia. Do niczego by nie doszło, ale sam pobyt w wytwórni wina zbudziłby niechciane wspomnienia, przywołałby rzeczy z niedawnej przeszłości, które oboje woleli pogrzebać. Nawet nie poruszali takiego tematu w rozmowie.

Lecz kiedy mama prowadziła, Dion szukał na mapie Winnicy Daneam, żeby sprawdzić, gdzie znajduje się rodzinny interes Penelope. Niestety tej wytwórni nie było w spisie. Mijali różne anonimowe winnice z małymi lub dużymi kompleksami budynków i każda mogła należeć do rodziny Penelope, ale chociaż Dion dokładnie oglądał każdą bramę i drogowskaz, nigdzie nie zobaczył nazwiska dziewczyny.

Wrócili do domu około piątej, zmęczeni podróżą i widokami. Mama wzięła gorącą kąpiel, a Dion pojechał do Taco Bell i kupił mnóstwo tuczącego jedzenia dla obojga. Obżerali się przed telewizorem, oglądając wiadomości, a potem film. Po raz pierwszy od dawna matka traktowała Diona jak matka, nie jak siostra, nie jak rówieśniczka, nie jak wróg. Zasnął szczęśliwy i nic mu się nie śniło.

11.

Przez półtora roku, które Ron Fowler przepracował jako nocny stróż w Wytwórni Win Braci Pauling, nigdy nie zetknął się nawet z drobnym zakłóceniem spokoju. Na początku miał kilka fałszywych alarmów, spowodowanych głównie przez jego własną nerwowość i brak doświadczenia, ale to się skończyło, odkąd poznał szczegóły organizacji. Oczywiście Pauling to nie Beringer's, Mondavi czy Sterling ani żadna z wielkich wytwórni. Słyszał, że tam często mają problemy z wandalami. Ale Pauling to nieduży koncern, położony na ubo-
czu, z dala od głównych szlaków, i zwiedzanie odbywało się tylko na zaproszenie. Co znaczy-
ło, że załapał ciepłą, wygodną posadkę. Czytał kryminały, oglądał telewizję na przenośnym odbiorniku i rozwiązywał krzyżówki.

Dlatego teraz czuł się tak rozpaczliwie nieprzygotowany.

Powoli szedł przez cichy, pusty budynek w stronę wejścia do piwnicy fermentacyjnej. Rozglądał się niespokojnie na wszystkie strony i nasłuchiwał wszelkich niecodziennych odgłosów. Słyszał tylko donośne stukanie swoich obcasów w ogromnym, pustym pomieszczeniu i łomotanie pulsu w skroniach. Bał się, bał się znacznie bardziej, niż sobie wyobrażał, kiedy odgrywał w głowie ten scenariusz. Nie miał odpowiedniego przeszkolenia do takich rzeczy, nie czuł się dobrze w takich sytuacjach. Wziął tę robotę, bo miała być dziecinnie łatwa, nie ze względu na predyspozycje. Jako były pracownik techniczny dostawał głównianą emeryturę i chciał tylko w łatwy sposób dorobić parę groszy. Zapewniano go na każdym kroku, że ta praca to bułka z masłem, że broń, którą mu wydano, to prawie rekwizyt, część munduru, że nigdy nie dojdzie do żadnej prawdziwej konfrontacji.

Cholera, dlaczego nie wziął posady w McDonalddie jak inni starsi panowie?

Powoli szedł przed siebie. Wiedział, że nie musi tego robić. Pomimo regulaminu pracy, pomimo broni, munduru i pseudopolicyjnej odznaki mógł po prostu wezwać gliny i czekać spokojnie, aż przyjadą. Ale wciąż nie miał absolutnej pewności, że coś się stało. Siedział na swoim stanowisku, w małej kanciapie obok działu handlowego, i czytał starą książkę Rossa McDonalda, kiedy czarno-biały obraz na monitorze pokazującym piwnicę nagle zniknął w eksplozji śnieżenia. Kątem oka dostrzegł ruch i natychmiast spojrzął na rząd monitorów nad biurkiem. Szybko przesunął wzrokiem od jednego do drugiego. Nie liczył, że cokolwiek zobaczy, zakładał, że to jakaś usterka techniczna, ale na ekranie pokazującym ogólny widok Destylarni Jeden zobaczył, że drzwi do piwnicy, które przez cały czas powinny być zamknięte na klucz, właśnie się powoli zamykają.

Serce skoczyło mu w piersi.

Natychmiast zerwał się z krzesła, chwycił kółko z kluczami, rozpiął kaburę z bronią i pośpieszył przez słabo oświetlony parking do destylarni.

Chociaż czuł strach, cieszył się, że jednak nie wezwał policji. Gdyby podniósł fałszywy alarm, gdyby ośmieszył się w ich oczach, pewnie natychmiast wyleciałby z pracy.

Dalej szedł w stronę zamkniętych drzwi piwnicy. Dłoń trzymająca pistolet zrobiła się spocona i śliska. Szybko przełożył broń do lewej ręki i wytarł prawą o szorstki materiał spodni, zanim znowu dokonał zamiany.

Coś kliknęło po drugiej stronie drzwi.

Ron zamarł w pół kroku. Pomieszczenie nagle zrobiło się jakby ciemniejsze, kadzie po obu stronach wydawały się znacznie większe, groźniejsze. Nawet po zapaleniu światła pozostały plamy cienia, rozmyte skrawki nocy, która przeniknęła do budynku pomimo elektryczności i jarzeniowych lamp. Zdał sobie sprawę, że w tym budynku jest milion kryjówek.

Armia wandalii, korporacyjnych szpiegów albo terrorystów mogła się tu zacząć i czekać, aż Ron podejdzie bliżej, żeby go zaatakować.

Drzwi znowu kliknęły, ale tym razem dźwięk zabrzmiał wilgotno, jakby organicznie.

Potwory.

To wandalie, pomyślał i uczepił się tej myśli, próbował czerpać z niej otuchę. To korporacyjni bandyci, włamywacze, podpalacze, mordercy, terroryści, szaleńcy zbiegli z domu wariatów. Przeglądał w myślach listę potencjalnych napastników, potencjalnych ludzkich napastników, w rozpaczliwym wysiłku odepchnięcia tamtej drugiej możliwości.

Potwory.

Tego się naprawdę bał. Po tylu latach. Potwory. Minęły całe dekady, Ron dorósł i zestarzał się, ale w środku pozostał tym małym chłopcem, który lękał się garażu, który nocą słyszał hałasy w krzakach za oknem, który widział, jak cienie w holu rosną i poruszają się, kiedy rodzice zgasili światło. Racjonalność towarzysząca dorosłości i odpowiedzialności stanowiła jedynie maskę, cienką zasłonę ukrywającą jego prawdziwą osobowość, lęki i zahamowania, z których nigdy nie wyrósł.

Przed nim, w odległości kilku kroków znajdowały się drzwi do piwnicy fermentacyjnej. Wyraźnie widział miejsce, w którym betonowy fundament budynku łączył się z wapienną skałą. Chciał uciekać, wrócić do swojego biura, do domowych wygod, książek i telewizji, udawać, że nic nie widział, symulować niewiedzę rano, kiedy odkryją włamanie, ale zmusił się, żeby wyciągnąć rękę i głośno zapukać w zamknięte stalowe drzwi.

- Kto tam jest? - zapytał.

Nie otrzymał odpowiedzi.

Poruszył klamką i zgodnie z jego podejrzeniami drzwi okazały się otwarte. Pchnął je lewą ręką, a prawą mocno ścisnął broń.

Zatoczył się do tyłu, walcząc z mdłościami.

Podłogę piwnicy pokrywała krew, gęsta, czerwona, kleista breja, która wyglądała jak zastygła owocowa galaretką i cuchnęła jak fekalia. Krew ochlapała drewniane beczki, ohydny smród zmieszany z mocnym aromatem fermentującego wina niemal zapierał dech. Ron ścisnął nozdrza palcami i stopą przytrzymał drzwi. Porozrzucane po całej piwnicy, na podłodze, na beczkach, pod wapiennymi ścianami spoczywały poszarpane, okaleczone truchła dziesiątków małych zwierząt: wiewiórek, kotów, szczurów, oposów. W załamany światło wpadającym przez drzwi Ron widział strzępki futerka, odsłaniające ciało poprzecinane białymi żyłami, odbarwione i zapadnięte organy wewnętrzne, skupione wokół arterii i jelit jak wokół lin ratunkowych.

Rozległo się ciche pyknięcie, ciurkanie wylewanej cieczy, wionęło zapachem alkoholu. Ron z bijącym sercem sięgnął w bok i pomacał kamienną ścianę, daremnie szukając

kontakty. Spojrzał w mrok na drugim końcu wąskiej piwnicy i skłął się w duchu, że nie wziął latarki.

- Kto tam? - zawołał.

Nie otrzymał odpowiedzi, ale ciurkanie ustało. Teraz rozległ się inny dźwięk.

Przeżuwanie.

- Wychodź natychmiast! - zażądał Ron, ale głos mu się załamał.

Potwory.

- No już!

Brak odpowiedzi. Tylko przeżuwanie. Cichy śmiech.

Wyteżył wzrok i ku jego przerażeniu oczy mu się przyzwyczaiły do ciemności.

W półmroku pod ścianą naprzeciwko przykucnęły karłowate postacie, niskie, włochate, niekształtne stwory trzymające długie, spiczaste włócznie. Twarda, cyniczna część jego umysłu postrzegła całą scenę w kategoriach nagłówków na pierwszych stronach brukowców - „Nocny stróż napadnięty przez trolle” - ale instynkt kazał mu wrzasnąć i rozluźnić zwieracz pęcherza.

Teraz stwory poruszały się, rosły, nabierały ludzkich kształtów, przesuwały się w górę po drabinie ewolucji, aż stanęły wyprostowane. W powietrzu wisiała ciężka woń wina i krwi, połączona ze znajomym piżmowym zapachem. Jedna z postaci coś jadła i rzuciła mu to pod nogi. Częściowo pożarta wiewiórka.

Wciąż wrzeszcząc, odwrócił się i próbował uciekać, ale pośliznął się na zalanej krwią podłodze. Prawa stopa uciekła spod niego, boleśnie wykręcona, a drzwi, które przytrzymał lewą stopą, zaczęły się zamykać. W ostatnich sekundach światła zobaczył z nadnaturalną wyrazistością wilgotny czerwony cement przy twarzy, kawałek ogryzionej zwierzęcej kostki obok nosa. W nagłej ciemności desperacko próbował dźwignąć się, próbował się odsunąć, ale nie zdążył.

Za nim stwory się śmiały, pokrzykiwały, paplały z podnieceniem.

Pierwsza włócznia przeszła mu krocze.

12.

Od dziesiątej do dwunastej, pomiędzy pierwszą pracowitą godziną a południowym szczytem, bank wydawał się martwy. W jasnej, klimatyzowanej sali rozlegały się tylko swobodne przekomarzania kasjerów, ciche klikanie klawiszy kalkulatorów i stłumione, monotonne brzęczenie rockowej papki muzycznej, nieustannie nadawanej przez głośniki w suficie.

April nie cierpiała tej pory dnia. Dla większości jej kolegów i koleżanek z pracy to była najlepsza część zmiany, czas, kiedy mogli zrzucić publiczną maskę usłużnej uprzejmości, odprężyć się i nadrobić zaległości w księgowości czy innej zakulisowej papierkowej robocie, dzięki której bank funkcjonował gładko i sprawnie. April jednak zawsze się nudziła przez te dwie godziny i nie mogła sobie znaleźć miejsca. Co jak co, ale znała się na pożyczkach i prawie nigdy nie miała zaległości do nadrobienia czy dodatkowej papierkowej roboty. W rezultacie zwykle rozpaczliwie szukała jakiegoś zajęcia, żeby wyglądać na zapracowaną. Wiedziała, że jak już się zasymiluje, to co innego, wtedy będzie mogła dać sobie trochę luzu, ale w pierwszych tygodniach pracy nie wypadało się objąć na oczach przełożonych.

O ile się zorientowała, jej nowy kierownik był miłym, chociaż dość nudnym facetem, domatorem z oprawionymi zdjęciami otyłej żony i dwóch podrastających córek na biurku. Sumienny pracownik, ale nie przesadnie surowy czy wymagający, daleki od fanatyzmu. Z kimś taki łatwo współpracować.

Kogoś takiego Dion na pewno by zaaprobował.

Dziwnie myśleć w ten sposób, traktować syna jak wyrocznie w sprawach zachowania, w duchu zasięgać jego rady przy podejmowaniu zwykłych codziennych decyzji i formowaniu opinii, ale szanowała go i ufała jego osądom. Jakimś cudem, pomimo szczerych, choć niezamierzonych wysiłków, nie zdołała go zepsuć. Dion wyrósł na chłopca, którego nie tylko kochała, ale również podziwiała, który mocno stał obiema nogami na ziemi, który wiedział, kim jest i dokąd zmierza. Zdawała sobie sprawę, że pod wieloma względami ich związek stanowił odwrótność normalnych stosunków rodzinnych. Często zwracała się do syna po radę i wsparcie, po siłę, której nie miała, i chociaż to jej odpowiadało, wiedziała, że Dion nie czuje tego samego. Byłby szczęśliwszy z bardziej tradycyjną matką, taką, która udziela dobrych rad przy pieczeniu ciasteczek, która zawsze ma odpowiedź na wszystko i potrafi doskonale pokierować nie tylko własnym życiem, ale również życiem swojej rodziny.

Nie taką matką jak ona.

I nie taką, jaką sama miała.

Po tylu latach nawet nie pamiętała swojego dzieciństwa, postrzegała je przez pryzmat społecznych wartości, narzucanych przez mnóstwo filmów telewizyjnych. Prawdziwej matki, matki biologicznej nawet nie znała. Porzucona po urodzeniu, przechodziła z jednego zastępczego domu do drugiego, od jednej nieczułej przybranej matki do drugiej. Poznała na własnej skórze tyle rodzajów maltretowania, że wystarczyłoby na kilka telewizyjnych programów o domowej przemocy. Wreszcie w wieku siedemnastu lat uciekła z ostatniego domu, a jako dziewiętnastolatka była już kasjerką w banku w Omaha i w ciąży z Dionem.

Nie tak źle sobie poradziła, zważywszy na okoliczności. Nie wpadła w cykliczną pułapkę zasiłków, miała tyle szczęścia, że załapała się na pensję wyższą niż minimum socjalne, nigdy jednak nie była tak niezależna, jak chciała, jak zasługiwała. Zawsze jacyś mężczyźni załatwiali jej różne rzeczy przez łóżko, pomagali jej finansowo i logistycznie na każdym kroku, kiedy próbowała do czegoś dojść, zdobyć lepsze wykształcenie czy więcej doświadczenia.

I popełniała błędy.

Dużo błędów.

Duże błędy.

Cleveland. Albuquerque.

Ale to już przeszłość. Tutaj chciała zacząć od nowa, uczyć się na dawnych błędach. Wiedziała, że nie będzie łatwo. Wszędzie czyhały pokusy, jak na nałogowca po odwyku. Ale musiała być silna, myśleć o przyszłości i zawsze, zawsze stawiać na pierwszym miejscu dobro Diona - w sensie finansowym, edukacyjnym i emocjonalnym.

Pan Aames, kierownik, przeszedł przez hol wyłożony dywanem, niosąc stos teczek, które jej wręczył.

- Zaległości - oznajmił. - Po pani poprzednikach.

- Dzięki Bogu - powiedziała, odbierając od niego teczki. - Już prawie nie mam co robić.

Wyszczерzył zęby.

- Tutaj beczynność pani nie grozi. Jeśli nie ma pani nic do roboty, zapraszam do siebie o każdej porze. Znajdę coś dla pani.

Podniosła na niego wzrok, zatrzymała spojrzenie na jego złotej obrączce. Czyżby przystawiał się do niej? Czy tego chciała? Sama nie wiedziała. Obdarzyła go słodkim uśmiechem.

- Dzięki - powiedziała, kładąc teczki na biurku. - Zaraz się tym zajmę.

Popołudnie wlokło się dłużej niż zwykle, zwłaszcza w dziale pożyczek. April skończyła wszystkie zaległości od pana Aamesa przed godziną zamknięcia. Sprzątała biurko, wkładała papiery do właściwych szuflad i przygotowywała się do wyjścia, kiedy usłyszała znajomy głos.

- Cześć.

Podniosła wzrok i zobaczyła jedną z nowych przyjaciółek, którą poznała tamtego wieczoru, kiedy wróciła późno do domu i pokłóciła się z Dionem. W pierwszej chwili nie mogła sobie przypomnieć imienia kobiety, ale nie musiała się wysilać.

- Margaret - powiedziała kobieta. - Pamiętasz? Przyjaciółka Joan Pulkinghorn.

- Tak. Cześć, - April obejrzała się na boks kasjerki, ale Joan była albo w skarbcu, albo w biurze na zapleczu. Ponownie skupiła wzrok na kobiecie stojącej przed biurkiem. - No więc co cię sprowadza? Przyszłaś do Joan?

- Właściwie przyszłam do ciebie. - Margaret usiadła w miękko wyścielonym fotelu, przeznaczonym dla klientów ubiegających się o pożyczki. - Wszyscy świetnie się bawiliśmy drugiego wieczoru i zastanawialiśmy się, dlaczego nie przyszłaś. Zwykle po pracy wstępujemy do Redwood Terrace, żeby się trochę odprężyć przed powrotem do domu, i mieliśmy cichą nadzieję, że zostaniesz jedną z nas. Wiesz, naprawdę wniosłaś powiew nowości do naszej starej paczki. Pytałam Joan o ciebie i powiedziała, że cię zaprosiła, ale byłaś zajęta. Więc chciałam tylko się upewnić, że się nie obraziłaś ani nic takiego i że cię nie odstraszyliśmy.

- Nie.

- Więc gdzie się ukrywasz?

April z zakłopotaniem wzruszyła ramionami.

- No wiesz, jestem zajęta pracą, synem, urzędowaniem domu...

Margaret kiwnęła głową.

- Tak, wiem, jak to jest. Kiedy rozkręcaliśmy interes, w ogóle nie oglądałam słońca. Wstawałam przed świtem i wracałam do domu po ciemku. Praca, kolacja i spać. Takie było moje życie. - Uśmiechnęła się. - Ale teraz mam czas na zabawę. Więc może dzisiaj po pracy? Prawie już skończyłaś. Masz ochotę skoczyć z nami na drinka?

- Sama nie wiem.

- No, chodź. Będzie fajnie.

April spojrzała na biurko, podniosła upuszczony spinacz. Propozycja była nęcąca, pokuśsa silna. Nie chodziło tylko o to, żeby miło spędzić czas, ale o coś więcej, coś bardziej subtelnego: obietnicę przynależności do grupy, poczucie koleżeństwa, jakiego doświadczyła tamtego wieczoru. Spojrzała na Margaret, pomyślała o pozostałych nowych przyjaciółkach i jej postanowienie osłabło.

Potem jednak przypomniała sobie o Dionie, który siedzi sam w domu, czeka na nią, martwi się o nią. Co z niej za matka, do cholery? Jak mogła w ogóle rozważać pomysł, żeby wypuścić się na miasto i zostawić go bez opieki?

Ale przecież był już duży i nie potrzebował opieki.

- Okay - powiedziała.

Margaret uśmiechnęła się.

- Wspaniale! - Nachyliła się konspiracyjnie. - Mam ci tyle do opowiedzenia. Pamiętasz tego robotnika budowlanego, o którym ci wspominałam?

- Tegoż...?

- Tak. No więc to nie koniec historii. - Komicznie uniosła brwi i wstała. - Wpadnę pogadać z Joan. Przyjdę po ciebie za kilka minut, dobrze?

- Okay.

April patrzyła, jak nowa przyjaciółka zdecydowanym krokiem przechodzi przez salę do okienka kasjera, gdzie Joan teraz liczyła pieniądze. Kobiety rozmawiały przez chwilę, potem Joan spojrzała na nią, uśmiechnęła się i pomachała.

April też pomachała. Spojrzała na telefon, pomyślała, że zadzwoni do Diona i uprzedzi go, że się spóźni, ale potem się rozmyśliła.

Pięć minut później bank zamknęło.

Dziesięć minut później trzy kobiety siedziały w samochodzie Margaret i śmiały się z robotnika budowlanego, jadąc po Main Street w stronę Redwood Terrace.

13.

Tydzień upłynął w tym dziwnym, nierównym rytmie, jaki zawsze wytwarza szkoła - poszczególne dni wloką się bez końca i ani się obejrzyysz, jak nadchodzi piątek. Dion zaplanował kilka wariantów rozmowy z Penelope, ale w poniedziałek była nieobecna, a do wtorku jego brawura uleciała. Przywitali się krótkim „cześć!”, lecz nieśmiała próba nawiązania przyjaźni, którą podjęli w piątek podczas lunchu, najwyraźniej nie przetrwała przez weekend. Znowu byli sobie obcy, skrępowani i dalecy, kolega i koleżanka z klasy, nic więcej. W czwartek jednak Dion przyłapał Penelope, jak mu się przyglądała, kiedy myślała, że nie widział, co go ogromnie podniosło na duchu.

Nie rozmawiał z matką od początku tygodnia, od tamtego wieczoru, kiedy wróciła do domu dopiero około dziesiątej. Tym razem naprawdę się upiła, w staroświeckim stylu, zataczała się, śmiała, mówiła do siebie bełkotliwym głosem. Tamtego wieczoru go ignorowała, ignorowała wszelkie próby nawiązania rozmowy, wszelkie pytania, co się stało i dlaczego, więc odtąd on też ją ignorował, próbował ją ukarać wymownym milczeniem, chociaż chyba to nie skutkowało. Przede wszystkim czuł się rozczarowany, bardziej urażony niż wściekły, ona jednak pewnie myślała, że się na nią pogniwał. Sytuacja była napięta i wcale się nie poprawiała, toteż weekend zapowiadał się niewesoło.

Po lekcjach Dion zobaczył Kevina na parkingu, obok czerwonego mustanga, rozmawiającego z długowłosym chłopcem, którego nie znał. Zamierzał wracać prosto do domu, ale Kevin zawołał go po imieniu i pomachał do niego. Dion podszedł do dwóch chłopców.

Kevin zwrócił się do Diona:

- No więc jakie masz plany na wieczór? Co robisz? Walisz konia?

- Może. Mam to zdjęcie twojej siostry, które kupiłem w zeszłym tygodniu.

Kevin się zaśmiał.

- No więc jeśli nic nie robisz, chcesz pojeździć z nami? Kto wie? Może nam się poszczęści i podłapiemy jakieś autostopowiczki.

Wskazał tablicę rejestracyjną z tyłu mustanga. Na cienkim metalu wypisano oklepany slogan: „Dymanie, jaranie albo tankowanie: nikt nie jedzie za darmo”. Pod spodem dodano załącznik: „A ja mam pełny bak i nie palę”.

Dion parsknął śmiechem.

- I co powiesz?

- Sam nie wiem.

- Chyba nie wymiękasz?

Dion zastanawiał się przez chwilę. Określenie „pojeździć” kojarzyło się z butelkami i skrętami, podawanymi z rąk do rąk na ciemnych tylnych siedzeniach samochodów - od tych obrazów zrobiło mu się nieswojo. Z drugiej strony nie chciał zrazić jedyne przyjaciela, którego tutaj znalazł. Spojrzał na długowłosego chłopaka opartego o maskę mustanga i przeniósł wzrok z powrotem na Kevina.

- Dokąd jedziecie?

- Zabawimy się deczko z ojcem Ralphem.

- Kto to jest ojciec Ralph?

- Episkopalny pastor - wyjaśnił Kevin.

Długowłosy chłopak wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Mój tata.

Dion pokręcił głową.

- Chciałbym, ale mam już inne plany. Może następnym razem.

Kevin popatrzył na niego.

- Jakie niby plany? Siedzieć w domu z mamusią? Chodź, będzie fajnie.

Dion poczuł się przyparty do muru.

- Co będziemy robić?

- Zobaczysz na miejscu - odparł długowłosy chłopak.

- Paul zawsze lubi to trzymać w tajemnicy - oznajmił Kevin - żeby wykorzystać element zaskoczenia. Ale gwarantuję ci ubaw po pachy.

- To nie jest nielegalne?

- Chrzańcie to - odezwał się Paul. - Ten facet to cienias. Zostawmy go.

- Nie. - Kevin lojalnie przysunął się do Dion. - Bez niego nie jadę.

- W porządku... - zaczął Dion.

- Nie, wcale nie. Chcesz siedzieć w domciu z mamusią i oglądać gównianą telewizję, kiedy my będziemy robić jaja z ojca Alpha i wyrywać laski?

Tak, chciał odpowiedzieć Dion, ale powiedział:

- Nie.

- Dobra. - Kevin kiwnął głową do Paula. - Spotkamy się o ósmej w Burgertime.

Paul wzruszył ramionami i uśmiechnął się pobłaźliwie.

- No to nara.

Wsiadł do mustanga i podgazował silnik. Dion i Kevin przeszli przez parking do toyoty Kevina.

- Czasami wylazi z niego kutas - powiedział Kevin przepaszającym tonem - ale ogólnie gościu jest w porzo. Przywykniesz do niego.

- Trzymacie się razem?

- Nie tak jak dawniej.

- Więc czemu on tak nienawidzi ojca?

- Wcale nie nienawidzi. Po prostu... no, to długa historia. - Dotarli do samochodu i Kevin kluczykami otworzył drzwi. - Wpadniemy do ciebie, powiesz mamie, a potem pojedziemy pod mój dom.

- Okay - zgodził się Dion. - Dobrze rozwiązanie.

- Chyba że wolisz nie uprzedzać mamy, odegrać się na niej, trochę ją postraszyć, pozwolić, żeby tym razem ona na ciebie czekała.

- Chciałbym, ale lepiej nie.

- Twoja sprawa - stwierdził Kevin.

Wsiadli do samochodu i Kevin włożył kluczyk do stacyjki.

- Zapnij pas.

Zanim Dion zdążył wykonać polecenie, odjechali.

Pokój Kevina wyglądał całkiem jak z filmu. Na ścianach wisiały autentyczne na oko plakaty filmowe starych horrorów, wciśnięte pomiędzy zdumiewającą kolekcję metalowych znaków: znaków stopu i pierwszeństwa przejazdu, tabliczek z nazwami ulic, znaczków coca-coli. Z sufitu zwisała podświetlona reklama 7-Up. Półki nad ogromnym wodnym łóżkiem ugięły się pod niezliczonymi rzędami płyt. W rogu, obok wolno stojącego telewizora, stał działający sygnalizator uliczny, który błyskał sekwencją zielono-żółto-czerwonych świateł, obok kartonowych postaci Bartlesa i Jaymesa* naturalnej wielkości. Dion stał w drzwiach i chłonął wzrokiem to wszystko.

- Łau - powiedział. Kevin wyszczerzył zęby.

- Ujdzie w tłoku, nie?

* Bartles & Jaymes - popularny amerykański napój niskoalkoholowy w różnych smakach, reklamowany przez dwóch starszych dżentelmenów, Bartlesa i Jaymesa, którzy występowali w serii telewizyjnych klipów reklamowych w latach 1984-1991; role Bartlesa i Jaymesa wzorowano na autentycznych postaciach dwóch założycieli małej wytwórni win, która z czasem stała się słynną wytwórnią Ernest & Julio Galio (przyp. tłum.).

Dion wszedł do pokoju.

- Skąd tyle tego wytrzasnąłeś?
- Tu i tam.
- Czy...

- Ukradłem to? Nie. Ale mój wujek zwinął parę rzeczy. Pracował w wydziale transportu miejskiego w San Francisco, ale wylali go na pysk. Zanim odszedł, zabrał kilka pamiątek.

- Kevin zaśmiał się, wskazując sygnalizator drogowy. - Nie wiem, jak on to zakosił.

- Jest super!

- No. - Kevin zgarnął stosik monet z blatu komody i złapał niewielki zwitek banknotów. - Chodź, przejedziemy się.

- Mieliśmy się z nim spotkać dopiero o ósmej.

- Tak, ale nie chcę tu kisać przez cały wieczór. Znajdziemy coś do roboty. Chodźmy.

W końcu tylko krążyli bez celu. Dion zapytał, gdzie jest winnica Penelope, i Kevin zawiózł go wąską drogą, biegnącą skrajem pasma wzgórz zaraz za miastem. Na chwilę zatrzymał samochód i wskazał dużą białą bramę z kutego żelaza.

- Za tymi murami zaczyna się teren ciepłych siostrzyczek.

Dion próbował coś wypatrzeć, cokolwiek, kiedy mijali bramę, ale już się ściemniło, nigdzie nie paliły się światła i budynki wtapiały się w roślinność, zlewały się z czarnym tłem wzgórz.

Przejechali obok jeszcze dwa razy, ale nic nie zobaczyli.

- Daj sobie spokój - poradził Kevin. - Nikogo nie ma w domu. Poza tym musimy już jechać. Paul pewnie czeka.

Knajpa Burgertime wyglądała jak żywcem przeniesiona z *American Graffiti* - drive-in wykończony w chromie i kafelkach, włącznie z kelnerkami w mundurkach. Paul rzeczywiście czekał i trzech innych chłopców, których Dion nie rozpoznał, siedziało obok niego na masce mustanga. Paul wyszczerzył zęby, kiedy Kevin i Dion wysiedli z samochodu.

- No proszę, słynna para przydupasów.

Kevin zbył go lekceważącym gestem.

- Spadaj na drzewo, koniowale.

Paul zaśmiał się i zeskoczył z samochodu.

- No to jesteście wszyscy. Gotowi do wycieczki?

- No - potwierdził Kevin.

- Dobra. Tym razem lepiej weźmy dwa wozy. - Spojrzał znacząco na Diona. - Robi się tłok.

- Pojedziemy za wami. - Kevin nie zauważył zaczepki albo udał, że nie zauważa.

- Spotkamy się na miejscu.

Dwa samochody pomknęły ulicami Napa, zwalniając do dozwolonej szybkości tylko przy skrzyżowaniach, gdzie patrole miejskiej policji stale czyhały na nieostrożnych kierowców. Sklepy i biura ustąpiły miejsca budynkom mieszkalnym, krzykliwe neony zastąpiła łagodna poświata płynąca z okien. Domy stały coraz dalej od siebie, drogi wily się coraz bardziej, kiedy miasto stopniowo przechodziło w wieś. Wreszcie mustang zatrzymał się pod ogromnym dębem, który wyciągał nad jezdnią masywne liściaste konary.

Paul i jego kumple wysiedli z samochodu. Paul niósł brązową papierową torbę na zakupy.

Dion i Kevin spotkali się z nimi w połowie drogi między samochodami.

- Mam nadzieję, że wszyscy włożyliście najgorsze buty - powiedział Paul. - Trzeba będzie się trochę ubrudzić. - Wskazał piętrowy wiktoriański dom po drugiej stronie dębu. - Mój stary siedzi w salonie z tyłu, więc musimy obejść dookoła przez krzaki, żeby się dostać do okna.

Pozostali kiwnęli głowami na znak, że rozumieją.

- Teraz szybko.

Paul zniknął w mroku pod drzewami, a chłopcy ruszyli za nim. Dion nie bardzo się orientował w nocnej topografii, ale Paul najwyraźniej znał drogę. Prześlizgiwał się zręcznie pomiędzy drzewami i omijał identyczne na pozór krzaki, aż nagle znaleźli się na tyłach domu.

Przykucnęli pod gałęziami oleandra. Za przezroczystymi kotarami, zasłaniającymi podwójne okno, widzieli niewyraźny cień sztywno wyprostowanego mężczyzny, obrysowany migotliwym niebieskawym blaskiem telewizora.

- Właściwie co mamy robić? - szepnął Dion.

- Zobaczysz. - Paul uśmiechnął się od ucha do ucha. - Chodźcie.

Podkrał się przez zarośla pod samo okno. Reszta chłopców deptała mu po piętach. Przyłożywszy palec do ust, żeby ich uciszyć, Paul otworzył worek. W środku znajdował się przedmiot, nad którym chłopiec pracował przez prawie całe popołudnie.

Wielki gliniany penis.

Dion z ledwością stłumił śmiech, kiedy Paul umieścił gigantyczny fallus na parapecie. Szczercząc zęby, przenosił spojrzenie z jednej twarzy na drugą.

- Przygotować się do akcji - szepnął.

Serce Diona waliło. Nie miał pojęcia, co zamierza Paul, więc trochę się denerwował. Nie mógł jednak powstrzymać się od śmiechu, kiedy widział ogromny przedmiot na tle oświetlonego okna.

- Zamknij się! - ostrzegł Kevin.

Paul nagle wstał i zabębnił w szybę pięściami. W nocnej ciszy ten odgłos zabrzmiał jak wybuch.

- Obciągnij mi, ojcie Ralphie! - wrzasnął na cały głos.

Pozostali rozproszyli się i ukryli w ciemnym gąszczu.

Dion skulił się za krzakiem obok Kevina. Zobaczył, jak kotara się odsuwa, zobaczył zszokowaną minę pastora na widok glinianego kutasa. Po chwili drzwi wejściowe rozwarły się gwałtownie.

- Dopadnę was, gówniarze! - krzyknął pastor. W dłoni dzierżył kij baseballowy, którym wywijał groźnie.

- Obciągnij mi, ojciec Ralphie! - zawołał Paul zza krzaka.

Reszta podjęła okrzyk:

- Obciągnij mi, ojciec Ralphie!

- Obciągnij mi, ojciec Ralphie!

- Obciągnij mi, ojciec Ralphie!

Dion parsknął śmiechem.

- Obciągnij mi, ojciec Ralphie! - zawołał.

Pastor rzucił się biegiem do najbliższego krzaka, w stronę głosu Paula.

- Dupy w troki! - zakomenderował Kevin.

Krzaki się zatrzęsły, kiedy cała piątka zmykała z powrotem do samochodów.

Dion wciąż się śmiał, kiedy wypadli na ulicę. Serce mu waliło, adrenalina pulsowała w żyłach.

- Ale numer! - wydyszał.

Kevin śmiał się razem z nim.

- A nie mówiłem?

- Jedziemy! - rozkazał Paul, biegnąc do samochodu. - Za mną!

- Chodź! - ponaglił Kevin.

Dion wskoczył na siedzenie pasażera. Nie pamiętał, kiedy ostatnio tak dobrze się bawił. Takie rzeczy zdarzały się na filmach, nie w prawdziwym życiu. Z pewnością nie w jego życiu.

Dwa samochody odjechały z bliźniaczym piskiem opon.

W domu nie paliło się światło, kiedy Dion wrócił, chociaż samochód mamy stał na podjeździe.

Za nim parkowała czerwona corvetta.

Dion szybko obejrzał się na znikające tylne światła samochodu Kevina, ale już nie zdążył go zatrzymać. Znowu spojrział na dom. To nic, powiedział sobie. Po prostu zaprosiła którąś nową przyjaciółkę na niewinne pogaduszki, tylko tyle.

Więc dlaczego pogasiła wszystkie światła?

Cicho, na palcach, przeszedł po zwirowanym podjeździe do frontowych drzwi. Były zamknięte, ale on miał klucz. Wyjął portfel, wyciągnął klucz z przegródki za banknotami i otworzył drzwi.

Usłyszał mamę w sypialni.

Nie była sama.

Stał bez ruchu. Więc to tak. Znowu zaczynała od początku. Te wszystkie pierdoły, które mu wciskała, że niby rozpoczyna nowy rozdział, to zwykły pic na wodę. Każde cholerne słowo było kłamstwem.

Więc co im teraz pozostało?

Jak długo potrwa, zanim ona znowu coś schrzani i wyleci z pracy?

Ostrożnie przeszedł po drewnianej podłodze do swojej sypialni, bez jednego skrzyknięcia - sztuczka, którą opanował do perfekcji dawno temu. W nieruchomym powietrzu korytarza czuł ostry odór whiskey. Żałował, że nie potrafił zwyczajnie olewać tego wszystkiego, machnąć ręką i płynąć z prądem. Ale nie należał do osób, które się nie przejmują.

Zamknął drzwi swojego pokoju, rozebrał się i położył do łóżka. Głośna pijacka rozmowa, która go powitała po wejściu do domu, teraz przerodziła się w coś gorszego. Przez cienką ścianę słyszał donośne skrzypienie sprężyn łóżka przy akompaniamencie urywanych, piskliwych, zdyszanych okrzyków. Matka wkrótce zacznie swoją litanię: „O Boże, dobry jesteś!... Jesteś taki dobry!... Tak! Tak! O Boże!... Jesteś taki duży!... O Boże, jesteś taki duży!... O Boże!” Znał to na pamięć. Nigdy się nie zmieniało. Nie używała imion i niejedną raz się zastanawiał, czy to dlatego, że nie znała imion mężczyzn, których sprowadzała do domu.

Naciągnął koc na głowę i zatkał uszy, żeby nic nie słyszeć, ale ona krzyczała coraz głośniejszej. Czy to jej naprawdę sprawiało przyjemność? Czy szczerze mówiła te wszystkie prymitywne pochlebstwa, czy tylko udawała? Nie wiedział.

Zamknął oczy i próbował się skupić na wcześniejszych wieczornych wygłupach zamiast na przedstawieniu w pokoju obok, ale nie mógł.

W tej chwili nienawidził mamy.

Podobno nastolatki buntują się przeciwko rodzicom, świadomie odrzucają rodzicielski system wartości, żeby wypracować własną osobowość. Ładnie to brzmiało na lekcjach psychologii, on jednak wcale nie uważał, że się przeciwko czemuś buntuje. Natomiast nie wątpił, że w jego przypadku brak towarzyskiej swobody to reakcja na „nadmiernie permissywny” styl życia matki.

Może dlatego nigdy nie uprawiał seksu.

Za nic nie przyznałby się do tego publicznie, nawet przed Kevinem, ale taka była prawda. Wynajdywał dla siebie usprawiedliwienia, wmawiał sobie, że lepiej poczekać, aż znajdzie właściwą osobę, ale wiedział, że to tylko wymówki. Fajnie się pochwalić takimi wzniosłymi zasadami moralnymi, to go trochę podnosiło na duchu, jakby podjął świadomą decyzję, żeby postępować właściwie, ale w rzeczywistości nie różnił się od innych. Przyjąłby seks z pocałowaniem ręki, gdyby dostał taką propozycję.

Ale nigdy nie dostał.

A może jednak by odmówił. Ludzie zawsze zakładają, że dzieci tak zwanych liberalnych rodziców mają łatwiej pod tym względem, lepiej sobie radzą z własną seksualnością, on jednak wiedział z doświadczenia, że to nieprawda. Na odwrót, szczegółowa znajomość życia miłosego matki jakby skalala akt seksualny, który wydawał mu się odrażający i obrzydliwy, niepodniecający i niepożądany. Ponadto nasłuchiwał się porannych matczynych komentarzy i mógł porównać to, co jęczała w łóżku, z późniejszymi ocenami.

I to go przerażało.

- Jesteś taki dobry! - krzyczała w drugim pokoju. - Jesteś taki duży!

Mocniej zatkał uszy.

Zasnął z zatkanyimi uszami.

Dion obudził się w środku nocy, żeby pójść do łazienki. Wygramolił się z łóżka i poczłapał na korytarz. Gdzie wpadł na „gościa” mamy. Odskokzył, przestraszony.

- Przepraszam - mruknął zaspany mężczyzna i przytrzymał go za ramiona. - Nie wiedziałem cię.

Był przystojny - jak oni wszyscy - wysoki i muskularny, z gęstymi, czarnymi, kręconymi włosami i wąsaty. I całkiem nagi.

Dion patrzył, jak facet wraca na palcach do sypialni matki i zamyka drzwi.

Rano zniknął. Kiedy Dion się obudził i przyszedł do kuchni na śniadanie, matka już tam siedziała, popijała kawę i czytała gazetę. Podniosła na niego wzrok z taką miną, jakby nic się nie stało.

- O której wczoraj wróciłeś? - zapytała wesoło.

- Koło jedenastej - mruknął.

Podszedł do blatu, wziął dwie kromki chleba z odpakowanego bochenka, włożył je do tosteru i przesunął dźwignię w dół.

- Dobrze się bawiłeś? - zagadnęła.

A ty? - chciał zripostować, ale tylko kiwnął głową. Wyjął masło z lodówki.

- Ale nie mogłem zasnąć - dodał znacząco.

Matka jakby nie zauważyła aluzji. Dion nalał sobie soku pomarańczowego.

Tego dnia była dla niego miła, zniknęły wszelkie ślady wrogości z ubiegłego tygodnia, ale z jakiegoś powodu poczuł się przez to jeszcze gorzej. Przypomnił sobie, co jego przyjaciel z Mesy zawsze mówił o dziewczynach, które go traktowały jak śmiecia, że potrzebowały tylko „porządnego ruchania”.

Grzanki wyskoczyły z tosteru, więc posmarował je masłem i usiadł przy stole naprzeciwko matki. Uśmiechnęła się do niego.

- Co chcesz dzisiaj robić?

- Nie wiem - burknął.

Złożyła rozrywkową część gazety i sięgnęła po pierwszą stronę.

- Coś wymyślimy.

Kiwnął głową, żując powoli. Patrzył, jak czytała. Mała czerwona plamka na prawym rękawie jej szlafroka przyciągnęła jego wzrok. Wyglądała jak krew.

14.

Porucznik Horton popatrzył na szczątki Rona Fowlera.

Szczątki.

Odpowiednie słowo. Ponieważ bezkształtna masa czerwonego mięsa i kości, która leżała przed nim na kamiennej podłodze, prawie nie przypominała człowieka. Wyglądała jak resztki posiłku, przeżute i wyplute z paszczy jakiegoś gigantycznego potwora.

Odwrócił wzrok, niezdolny wytrzymać tego widoku dłużej niż przez chwilę. Błysnął flesz, kiedy fotograf robił następne zdjęcie. Horton odstał do tyłu, wdzięczny za baterię wentylatorów, które niejako ograniczały smród. Odwrócił się do koronera.

- Jak długo on nie żyje, według pana oceny?

- Trudno określić bez badań, ale według mojej zgadujoceny dwa dni. Góra trzy.

Jack Hammond, detektyw przydzielony Hortonowi do pomocy w śledztwie, dalej przesłuchiwał Jauverta Paulinga, właściciela wytwórni win.

- Jak to się stało, że nie odkryliście tego przez dwa albo trzy dni?

- Co to znaczy „jak”? Po prostu nie odkryliśmy.

- Samochód Fowlera przez cały czas stał na parkingu.

- Czego pan chce ode mnie? - Twarz małego człowieczka poczerwieniała. - Dla nas to pracowity okres. Rona nie było, kiedy przyjechaliśmy rano, więc myśleliśmy, że odjechał. Kiedy nie pojawił się wieczorem, znaleźliśmy naszego dziennego asystenta ochrony, żeby przejął zmianę, a kiedy się okazało, że Ron zaginął, wezwaliśmy was.

- I nikt nie zauważył ciała? Pomimo tylu kamer i monitorów?

- Wysiadł podgląd piwnicy; właśnie szukaliśmy kogoś, żeby to naprawił. O tej porze roku zaglądamy do piwnicy nie częściej niż raz na tydzień. Wino fermentuje bez nas.

Horton wyłączył się z tej litanii pytań i odpowiedzi, ponownie spojrzął na szczątki, odwrócił głowę. Na sekundę zamknął oczy i wysiłkiem woli spróbował odepchnąć od siebie

rekordową migrenę, która narastała w głębi czaszki i dawała się poskromić tylko podwójną dawką najmocniejszej aspiryny.

Pomyślał, że robi się za stary na to gówno.

Na betonowej podłodze rozległy się kroki. Horton obejrzał się i zobaczył szefa Goodridge'a, kapitana Furniera oraz grupę pomagierów, maszerujących przez destylarnię. Kapitan kiwnął mu głową, podobnie jak szef policji.

- Krótkie streszczenie - zażądał kapitan, wyjmując mu z ręki podkładkę.

Horton przedstawił skróconą wersję wydarzeń, stan na chwilę obecną.

Goodridge i Furnier słuchali, nie zadając pytań, twardym wzrokiem obejmując krwawą scenę.

Pierwszy odezwał się szef.

- Jakież teorie?

Horton wzruszył ramionami.

- Zważywszy na naturę przestępstwa, działamy zgodnie z założeniem, że to jakaś sekta składająca ofiary z ludzi i zwierząt, chociaż, jak widać, scena wydaje się bardziej chaotyczna niż w przypadku rytuału. Sprawdzę w komputerze nazwiska i praktyki miejscowych świrów, kiedy wrócimy na komisariat.

Hammond przepyta pracowników wytwórni.

Szef kiwnął głową.

- Chcę, żeby pan zachował maksymalną dyskrecję. Jeśli media to zwęszą, rozdmuchają sprawę...

- Co rozdmuchają? - zapytał Pauling, pochodząc bliżej. - Jaką sprawę? Fakt, że sataniści zakradli się do mojej wytwórni, pili moje wino i składali ofiary ze zwierząt w mojej komorze fermentacyjnej? Czy fakt, że zabili i rozszarpali na strzępy mojego strażnika?

- Coś takiego łatwo urasta do rozmiarów sensacji... - zaczął szef.

- Bo to jest sensacja! Jezu, co wy chcecie zrobić? Wyciszyć to i udawać, że nic się nie stało? Ale się stało! W mojej wytwórni! Moje cholerne buty lepią się do cholernej podłogi, na której pełno cholernej krwi! - Wycelował palcem w twarz szefa. - Gówno mnie obchodzi, czy media się o tym dowiedzą. Ja tylko chcę, żebyście złapali tego drania.

- Nie obchodzi pana? - powtórzył szef. - A jak to wpłynie na sprzedaż pańskiego wina, kiedy konsumenci się dowiedzą, że w waszej piwnicy odprawiano satanistyczne rytuały?

- Panowie - powiedział Horton i wszedł pomiędzy dwóch mężczyzn, żeby rozładować narastające napięcie. - Nie mamy powodów do kłótni. Stoimy po tej samej stronie. Wszyscy chcemy złapać tego, kto to zrobił, i chyba mamy większe szanse, jeśli będziemy ze sobą współpracować.

Szef zmierzył go chłodnym spojrzeniem.

- Nie potrzebuję pańskich rad, poruczniku. Wiem, jak się zachować w śledztwie.

Horton wycofał się potulnie i kiwnął głową, przelknąwszy ripostę, która sama mu się pchała na usta i dotyczyła reputacji matki szefa. Na chwilę został oślepiiony, kiedy przypadkowo spojrzął we flesz fotografa. Pospiesznie spuścił oczy. Kiedy odzyskał wzrok, ponownie zobaczył makabryczne szczątki strażnika, strzęp poszarpanej koszuli przyklejony krwią do kości, trzepoczący w podmuchu wentylatorów. Odwrócił głowę.

Robił się za stary na to gównu.

15.

Ariadna - mówił profesorskim tonem pan Holbrook, przechadzając się przed frontem klasy - była księżniczką Teb i...

- Kreta - odezwał się Dion.

Nauczyciel przestał mówić, przestał chodzić, popatrzył na niego. Spojrzenia pozostałych uczniów powędrowały za wzrokiem wykładowcy.

- Co? - zapytał pan Holbrook.

- Kreta - powtórzył nieśmiało Dion. - Ariadna była księżniczką Kreta. Pan powiedział, że Teb,

Spuścił oczy na blat ławki, na swoje ręce, zażenowany, że w ogóle zabierał głos; nie rozumiał, dlaczego poprawił tę pomyłkę, nie rozumiał, skąd wiedział, że to błąd.

Nauczyciel kiwnął głową.

- Masz całkowitą rację, Dion. Dziękuję.

Wykład trwał dalej.

Dwadzieścia minut później zabrzączał dzwonek i chociaż nauczyciel wciąż mówił, pisząc na tablicy, natychmiast zatrzaśnięto książki, schowano ołówki i uczniowie hurmą ruszyli do drzwi. Pan Holbrook odwrócił się, ścierając z palców kredowy pył.

- Dion - powiedział. - Chciałbym z tobą chwilę porozmawiać. Złowieszcze „ooo” rozległo się wśród wychodzących uczniów.

- Zaczekam na zewnątrz - rzucił Kevin w przelocie.

Dion napotkał wzrok Penelope i ucieszył się, że na niego spojrziała.

Klasa szybko opustoszała. Nauczyciel podszedł do swojego biurka i usiadł na obrotowym krześle. Odchylił się do tyłu i spojrzął na Dionę, złożony palce w wieżyczkę.

- To oczywiście - powiedział - że doskonale znasz mitologię klasyczną.

Zakłopotany Dion przestąpił z nogi na nogę.

- Nie całkiem - zaprzeczył.

- Owszem, znasz. I chciałem tylko, żebyś wiedział, że mogę ci załatwić indywidualny tok nauki. W tej klasie najwyraźniej tylko tracisz czas. To właściwie podstawy mitologii, elementarz dla początkujących. Uważam, że znacznie więcej skorzystasz na przyspieszonym kursie.

- Nie - powiedział szybko Dion.

- Nie spiesz się tak. Pomyśl o tym. Nie wiem, jakie masz plany akademickie na przyszłość, ale zapewniam cię, że takie posunięcie będzie wyglądało imponująco na twoim świadectwie.

Z korytarza dobiegały okrzyki, rozmowy, trzaskanie szafek: odgłosy lunchu. Dion zerknął nerwowo w stronę otwartych drzwi, potem znowu przeniósł uwagę na nauczyciela.

- Okay - ustąpił. - Pomyślę o tym.

- Przedyskutuj to z rodzicami. Naprawdę czuję, że marnujesz się w tej klasie.

- Dobrze - przyrzekł Dion.

Cofnął się, wziął swój notes i książkę z ławki. Pan Holbrook się uśmiechnął.

- Wiem. Lunch. Idź. Zmykaj. Ale obiecaj mi, że się zastanowisz, okay? Porozmawiamy później.

- Okay - powiedział Dion. - Ee, dziękuję. Na razie.

Wyszedł z klasy. W korytarzu Kevin, Penelope i jej przyjaciółka Vella stali razem obok jednej szafki. Dion wiedział, że rozmawiali o nim, i z niewiadomych powodów to go napęliło absurdalną, niedorzeczną radością. Ruszył do nich zdecydowanym krokiem, ale na jego widok Penelope szybko pomachała Kevinowi na pożegnanie i zniknęła razem z przyjaciółką w strumieniu uczniów spieszących na lunch.

- O co chodziło? - zapytał Kevina.

- A co? Zazdrosny?

Nawet o tym nie pomyślał.

- Bez obawy. - Zaśmiał się Kevin. - Jest cała twoja. Tylko z nią rozmawiałem. Nie chcę jej bzyknąć.

Dion wyszczerzył zęby.

- Aha, chcesz się z nią zaprzyjaźnić?

- Po co? Mam już psa - prychnął Kevin. - Chodź. Spóźniliśmy się i zrobił się tłok. Weźmy coś do żarcia.

Zaczęli przepychać się przez tłum w stronę kafeterii.

Dion stał za Kevinem i próbował podsłuchać seksualnie niedwuznaczną rozmowę dwóch mięśniaków w sąsiedniej kolejce, kiedy poczuł lekki kobiecy dotyk na plecach. Dreszcz spłynął mu po ramieniu, wywołując gęsią skórkę. Odwrócił się. Tak jak miał nadzieję tak jak się obawiał, przed nim stała Penelope. Z bliska widział czystą gładkość jej

skóry, naturalną czerwień warg. Kiwnęła mu głową i uśmiechnęła się, ale miała lekki ślad zamartwienia na czole, cień troski w oczach.

- Czego chciał pan Holbrook? - zapytała. - Masz kłopoty?

Dion uważnie wpatrywał się w jej twarz. Czy jej na nim zależało? Czy była zainteresowana?! Dłonie mu się spocily i wytarł je o dzinsy, ale ton głosu nie zdradzał żadnego podniecenia.

- Mówił, że powinienem być w klasie zaawansowanej mitologii, ale skoro takiej nie ma, chciał mi załatwić indywidualny tok nauki.

Troska przerodziła się w panikę.

- Zgodziłeś się?

Była zainteresowana!

- Nie - odparł z uśmiechem.

Rumieniec wypłynął jej na policzki.

- Ja tylko... ee, to znaczy... Kevin wsadził głowę pomiędzy nich. - Podobasz się jej, okay? Boże, powiedzcie to wreszcie. Mam tego dość. Przez półtorej godziny muszę patrzeć, jak oboje gracie komedię, a potem przez tydzień wysłuchuję jego analizy. Ona ci się podoba. Ty jej się podobasz. Oboje się sobie podobacie. Coś pominąłem?

Teraz oboje się zaczerwienili z zażenowania. Stali w niezręcznym milczeniu, unikając swojego wzroku, i żadne nie wiedziało, co powiedzieć.

- Może usiądziesz z nami? - zaproponował Kevin, przywłaszczając sobie następną oczywistą odzywkę Diona.

- Tak, dziękuję - odpowiedział za Penelope.

Penelope spojrzała niepewnie na Diona, potem przeniosła wzrok na jeden ze stołów.

- Powinam jeść z...

- Przyrowadź ją - przerwał Kevin. Ponaglił ich gestem, żeby się przesunęli do przodu w kolejce. - I ruszcie się. Blokujecie ruch. Jezu, czy muszę wszystko za was robić?

Dion i Penelope popatrzyli na Kevina, potem na siebie i parsknęli śmiechem.

Zapłaciwszy za swój lunch, Penelope poszła po Vellę, która przynosiła jedzenie z domu, i dziewczęta usiadły razem z Dionem i Kevinem przy stole niedaleko Kącika Seniorów. Kevin zainicjował rozmowę i zręcznie wciągnął wszystkich do dyskusji, ale czterostronna wymiana zdań wkrótce została zdominowana przez Diona i Penelope, którzy zwracali się głównie do siebie nawzajem, traktując Kevina i Vellę raczej marginalnie.

Dion szybko wypił colę, ale prawie nie tknął hamburgera, ponieważ skupił całą uwagę na Penelope. Spodziewał się niezręcznej, kulejącej rozmowy, podtrzymywanej pytaniami o ulubione jedzenie-ulubione filmy-ulubioną muzykę, co częściowo się potwierdziło, jednak

przez większość czasu konwersacja płynęła swobodnie, naturalnie i wcale nie zdawała się wymuszona czy sztuczna. Bał się, że zabraknie im tematów, ale każde pytanie, każda odpowiedź, każda uwaga, każde wspomnienie otwierały całkowicie nowe obszary i dziedziny do dyskusji. Żadne z nich nie wspomniało o kwestii poruszonej przez Kevina, toteż pulsowało pomiędzy nimi podskórne napięcie, które powodowało stały dopływ odurzającej adrenaliny do krwi Diona.

Lunch skończył się o wiele za szybko.

Zadzwieczał dzwonek i Kevin wstał, wyrzucił swoje opakowania do metalowego kosza na odpadki obok stołu, pomachał na pożegnanie i ruszył na szóstą lekcję. Vella też wyrzuciła swoje śmiecie i czekała w podyktowanej szacunkiem odległości na przyjaciółkę. Wokół nich tłum rozpadał się na strumienie spieszące do klas.

Penelope spojrzała na Diona, odwróciła wzrok.

- Więc co robisz po szkole? - zapytała, nie patrząc mu w oczy.

- A co?

- No, pomyślałam, że moglibyśmy się razem pouczyć. To znaczy mam trochę kłopotów z mitologią, zwłaszcza z rozróżnianiem tych wszystkich tytanów i olimpijczyków. - Uśmiechnęła się. - Skoro jesteś takim ekspertem, może zgodzisz się mi pomóc.

Nie miała żadnych kłopotów i Dion o tym wiedział, ale postanowił grać według jej reguł.

- Okay - powiedział.

- Możemy się spotkać w bibliotece... - Zastanawiała się przez chwilę. - Albo możesz przyjechać do mnie do domu. Tam nie jest tak cicho, ale dużo wygodniej.

- Jasne - powiedział. - Bardzo chętnie.

- Masz samochód?

Pokręcił głową, zawstydzony.

- Nie.

- Nie szkodzi. Ani ja. Autobus podwozi mnie pod sam dom i możesz pojechać ze mną. Na pewno jedna z moich... na pewno moja matka odwiezie cię do domu.

- Chodź! - zawołała Vella stojąca z boku. - Spóźnimy się!

- Spóźnisz się - ostrzegł Dion z uśmiechem.

- Oboje się spóźnimy.

- Więc gdzie chcesz się spotkać?

- Przed biblioteką, po szkole.

- Przyjdę - obiecał.

- Więc do zobaczenia.

Pomachał jej na pożegnanie i patrzył, jak biegnie do Velli. Obie dziewczyny popędziły przez szeroki trawnik w stronę szafek na książki.

Wciąż wpatrywał się w miejsce, gdzie zniknęły w budynku, kiedy zabrzączał dzwonek.

Podczas jazdy autobusem nie rozmawiali tak swobodnie, jak przy lunchu. Nieobecność Kevina i Velli wywoływała dodatkową presję, toteż napięcie, wcześniej narastające pomiędzy nimi, teraz rozkwitło w pełni i wysunęło się na pierwszy plan, a wysiłek włożony w zaranżowanie tego pozornie zwyczajnego spotkania niemal uniemożliwiał podtrzymywanie iluzji, że są po prostu kolegami z klasy, uczącymi się razem. Odzywali się rzadko, mówili z wahaniem, formułowali pytania niezręcznie i udzielali szybkich, rzeczowych odpowiedzi. Jednak wzajemna sympatia pomogła im przezwyciężyć tę powierzchowną nieśmiałość i zanim hamulce autobusu zasyczały na przystanku przed bramą wytwórni win, jeśli nawet nie rozmawiali jak starzy przyjaciele, to przynajmniej nie zachowywali się jak przerażone dzieci.

Wysiedli z autobusu, który odjechał powoli z chrzęstem żwiru. Penelope kluczem otworzyła małą czarną skrzynkę, przymocowaną do niskiego słupka obok bramy. Szybko wstukała serię cyfr na maleńkiej klawiaturze i zamknęła skrzynkę. Olbrzymia brama rozwarła się z cichym pomrukiem. Penelope uśmiechnęła się do Diona.

- Chodź.

Dion ruszył za nią przez żelazną bramę i dalej po krętym brukowanym podjeździe. Przy ogrodzeniu po obu stronach wąskiej drogi rosły wysokie drzewa służące za naturalną osłonę, ale niemal natychmiast ustępowały miejsca winoroślom na palikach, zasadzonych w równoległych rzędach, które ciągnęły się przez całe akry płaskiej ziemi uprawnej. Po drugiej stronie ogromnej winnicy Dion zobaczył dom i przylegający do niego budynek wytwórni win.

Zagwizdał.

- Łau - powiedział.

Penelope zachichotała.

- Nigdy czegoś takiego nie widziałem - wyznał.

Popatrzył na wysokie jońskie kolumny, które tworzyły perystyl oddzielający wytwórnię od parkingu. Za nimi w nierównym szeregu wznosiły się trzy neoklasykistyczne budowle. Poczyniono ustępstwa na rzecz nowoczesności - kiedy podeszli bliżej, dostrzegł metalowe urządzenia klimatyzacyjno-grzewcze, odblaskowe szyby okienne, wyraźnie oznakowane wyjścia awaryjne - lecz z daleka cały kompleks wyglądał zupełnie jak starożytne greckie miasto na wzgórzu. Dom w plantatorskim stylu, chociaż nieco odsunięty od wytwórni i wyraźnie amerykański, również zawierał elementy dawnej architektury i nie psuł ogólnego wrażenia.

Dion pomyślał o małym domku, który wynajmowali z matką. Nigdy sobie nie wyobrażał, że można mieszkać w takim pałacu. Spojrzał na Penelope. Dzielące ich różnice nagle wydały się ogromne.

Uśmiechnęła się do niego.

Próbował jej odpowiedzieć uśmiechem, próbował wymyślić coś do powiedzenia, żeby nie zabrzmiało głupio. Odchrząknął.

- Któregoś dnia przeglądałem turystyczną mapę winnic, ale nie widziałem na liście waszej wytwórni.

- Nie wpuszczamy turystów - wyjaśniła. - Nie pozwalamy zwiedzać wytwórni.

- Naprawdę? - zdziwił się Dion. Wytwórnia wyglądała jak zbudowana specjalnie dla turystów. Ze swoją pseudogrecką architekturą i malowniczym położeniem stanowiła naturalną atrakcję turystyczną, znacznie bardziej interesującą niż Edinger, Scalia czy inne przeciętne wytwórnie, które zwiedzało się z przewodnikiem. Zmarszczył brwi. - Więc czemu to wygląda tak... Czemu to tak wygląda?

Penelope wzruszyła ramionami.

- Tak chciały kobiety z syndykatu.

Dion ponownie spojrzął na kompleks i nagle przestało mu się podobać. Podziw i zainteresowanie, które odczuwał jeszcze przed chwilą, zniknęły. Załapała go fala wstrętu, odraza tak silna, że niemal fizyczna. Szybko odwrócił wzrok, ale Penelope zdążyła zauważyć jego minę.

- Co się stało? - zapytała. Zbył ją machnięciem ręki.

- Nic - odparł.

Ale popatrzył jeszcze raz na budynki wytwórni win i poczuł strach. Gęsia skórka wystąpiła mu na ramionach i przypomniawszy o równie irracjonalnej reakcji na wzgórzach w zeszłym tygodniu. Zakaszczał, żeby ukryć zdenerwowanie.

- Chodź.

Penelope kiwnęła głową i ruszyła przodem. Minęli rządki winorośli i szeregi zbieraczy, przecięli parking i krótką ścieżką dotarli do domu. Strach odpłynął równie szybko, jak się pojawił, i zanim weszli na frontowe schody, zamienił się we wspomnienie.

- Nie ma to jak w domu - powiedziała Penelope.

Dion popatrzył na dwupiętrową rezydencję.

- Zawsze tu mieszkałaś?

- Przez całe życie.

- Widać masz dużą rodzinę.

- Nie. Tylko ja i matka.

- Twój ojciec nie...?

- Nie. Pokręcił głową.
- Tylko wy dwie w tym wielkim domu?
- No, nie tylko. Moje inne... kobiety z syndykatu też tutaj mieszkają.

Dion przytaknął bez słowa.

Penelope przystanąła u stóp schodów na ganek i odwróciła się do niego.

- Wiem, co gadają w szkole - powiedziała cicho - ale nie jestem lesbijką.

Dion poczuł, że się czerwieni.

- Nie mówiłem, że jesteś...

- Ani żadna kobieta z syndykatu. - Teraz mówiła stanowczym tonem, z poważnym wyrazem twarzy. Pomimo całej nieśmiałości, pomimo wcześniejszej niepewności wydawała się bardzo dorosła jak na swoje lata, znacznie bardziej dojrzała i opanowana niż inne dziewczęta w jej wieku. - Słuchaj - zaczęła. - Wiem, jak to wygląda w oczach nabuzowanych hormonami chłopaków, ale syndykat to tylko przedsiębiorstwo handlowe, nic więcej. Wszystkie mieszkamy w tym samym domu, ale dlatego, że jest duży i wygodny. Nasza wytwórnia to nie jakiś seksklub czy filia Playboya. Nic takiego się tutaj nie dzieje. Przyznaję, że wszystkie kobiety to zdeklarowane feministki, ale wbrew powszechnym opiniom nie ma w tym nic złego. Są agresywne, bo muszą. Prowadzą firmę. I wszystkiego dokonały same. Nikt im nie pomagał, nikt ich nie zachęcał, nikt nawet nie chciał ich zatrudnić, kiedy na początku szukały pracy w innych wytwórniach. Odniosły sukces wbrew mężczyznom i nie dla mężczyzn, ale to nie znaczy, że są lesbijkami.

Urwała, żeby złapać oddech. Dion uśmiechnął się do niej łagodnie.

- Nie obchodzi mnie, czy są lesbijkami - powiedział. - Ale gdybym myślał, że ty jesteś lesbijką, nie przyjechałbym tutaj.

Teraz nadeszła jej kolej, żeby się zarumienić.

Oboje milczeli przez chwilę. Dionowi spocily się ręce, więc wytarł je ukradkiem o dzinsy. Powiedział to. Zdobył się na odwagę. Wyraził na głos to, co myślał, i teraz ona wiedziała na pewno, że jest nią zainteresowany. Obliznął wargi. Co ona powie? Jak zareaguje? Milczenie się przeciągało i nagle Dion nabral pewności, że popełnił błąd, że za wcześnie odkrył karty.

Penelope najwyraźniej postanowiła udawać, że nie słyszała jego uwagi.

- Chce ci się pić? - zapytała głosem łagodniejszym niż wcześniej, wypełnionym uczuciem, którego nie potrafił określić, ale z niewiadomych powodów to go podniosło na duchu. Nie patrząc na niego, gestem zaprosiła go do środka. - Mamy sok w lodówce.

Dion poczuł lekkie rozczarowanie i jednocześnie ulgę. Jeśli go nie zaakceptowała, to przynajmniej nie odrzuciła. Ciągle jeszcze miał szansę i na razie to mu wystarczyło. Kiwnął głową.

- Super - powiedział.

Weszli do środka.

Wewnątrz dom wyglądał mniej imponująco niż z zewnątrz. Zamiast nietykanych antyków o wartości muzealnej, jakich się spodziewał, zobaczył mieszaninę mebli i stylów, w większości współczesnych, nielicujących z okazałą fasadą. Dom jednak był wygodny, pokoje ciepłe i przytulne. W pokoju rodzinnym, zdominowanym przez szerokoekranowy telewizor, plachty dzisiejszej gazety zaścielały niski stolik do kawy z drewna i białych płytek. Na poręczu fotela leżała otwarta książka w miękkiej oprawie, powieść Danielle Steel. Przy drzwiach stały dwie pary damskich butów.

Początkowe onieśmienie Diona częściowo ustąpiło. Wprawdzie rodzina Penelope była bogata, ale żyli tak samo jak wszyscy.

- Kuchnia jest tam!

Poszedł za Penelope do kuchni, gdzie kobieta w średnim wieku, w wytartych dżinsach i zwykłej białej bluzce, siekała strąki papryki na wolno stojącym rzeźnickim bloku. Odwróciła się, kiedy weszli, wymieniła szybkie spojrzenia z Penelope, po czym obdarzyła Diona promiennym uśmiechem.

- Cześć - powiedziała.

Dion uśmiechnął się i kiwnął głową.

- Cześć.

- Dion, to moja mama. Mamo, to jest mój kolega Dion.

Matka Penelope wcale jej nie przypominała. Była drobna i ciemna, podczas gdy Penelope była wysoka i jasnowłosa. Rysy twarzy miała pospolite i nijakie, w kontraście z uderzającą urodą Penelope. Była również starsza i bardziej spracowana, niż Dion się spodziewał. Jedyne, co łączyło matkę i córkę, to wewnętrzna nieśmiałość, wrodzona rezerwa, chociaż matka Penelope wydawała się bardziej otwarta.

- Chcecie się czegoś napić?

- Tak - powiedziała Penelope. - Soku?

- Mamy winogronowy. Dzisiejszy, świeżo wyciśnięty.

- Może być.

Matka Felice otworzyła drzwi białej lodówki i wyjęła duży szklany dzban, napelniony po brzegi sokiem winogronowym. Ostrożnie podeszła do blatu, trzymając dzban obiema rękami, żeby nic nie rozlać na podłogę.

- Skąd jesteś? - zapytała, kiedy postawiła dzbanek i wyjęła dwie szklanki z kredensu. - Wiem, że nie stąd.

- Z Arizony.

- Naprawdę? A dokładnie?

- Mesa. To niedaleko Phoenix.

- Wiem, gdzie jest Mesa. Miałam przyjaciółkę ze Scottsdale, dziewczynę, z którą chodziłam do szkoły średniej.

Penelope uśmiechnęła się, kiedy matka podała jej szklanę z sokiem. Matka Felice zawsze potrafiła sprawić, że ludzie czuli się przy niej swobodnie, pozbywali się skrępowania. Ze wszystkich matek ona była najbardziej życzliwa, najbardziej troszczyła się o uczucia innych i to ją zawsze wysyłano, żeby załagodziła sytuację, kiedy matka Margeaux się po kimś przejechała. Penelope ucieszyła się, że Dion chyba polubił jej matkę i że jej matka też polubiła Diona.

Drzwi rozwarły się z trzaskiem i matka Janine hałaśliwie weszła do kuchni, objając się o framugę, kiedy ściągała z rąk robocze rękawice.

- Kto... - zaczęła, zobaczyła Diona i urwała w połowie zdania. - Cześć - powiedziała z uśmiechem.

- To jest Dion - oznajmiła matka Felice. - Kolega Penelope.

- Dion? - Matka Janine uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Wyciągnęła rękę, lekko uściśnęła dłoń Diona. - Bardzo się cieszę, że cię poznałam. Bardzo mi miło. Jestem... ciotką Penelope, Janine.

- Dzień dobry - bąknął Dion.

Penelope zauważyła, że jej matki wymieniają ukradkowe spojrzenia i uśmiechają się z aprobatą. Zarumieniła się, ale nie odwróciła wzroku. Czowała się zażenowana, ale również dumna. Nigdy jeszcze nie zaprosiła do domu żadnego chłopca i cieszyła się, że jako pierwszego wybrała właśnie Diona, którego matki od razu zaakceptowały, chłopca miłego, inteligentnego, przystojnego i dobrze wychowanego.

- Chciałbyś zwiedzić wytwórnię? - zapytała matka Janine. - Z przyjemnością cię oprowadzę...

- Musimy się uczyć - przerwała jej Penelope.

- Możemy się pouczyć później - zaproponował Dion.

- Musimy się uczyć - powtórzyła stanowczo.

Kiwnął głową.

- Racja - powiedział. - Racja. - Oddał pustą szklanę matce Penelope.

- Dziękuję.

Na chwilę zapadło milczenie. Dion miał krępującą świadomość, że wszyscy na niego patrzą: Penelope, jej matka i ciotka. Nie wiedział, co powiedzieć, i chciał już wygłosić jakąś ogólną uwagę, kiedy Penelope przysła mu z pomocą i zaproponowała, żeby poszli do ogrodu.

- Uczyć się w ogrodzie? - zdziwił się Dion.

Penelope parsknęła śmiechem.

- Pokażę ci. Chodź.

Dion pożegnał się z dwiema kobietami i wyszedł z kuchni. Chociaż nic nie zaszło, niczego nie zauważył, odniósł wrażenie, że zdawał jakiś egzamin. Pomyślał o matce i ciotce Penelope i nie bardzo to mu się spodobało.

Przeszedł przez bibliotekę za Penelope, która otworzyła przesuwane szklane drzwi i wyszła na zewnątrz.

16.

Frank Douglas był barmanem od dawna, przez trzydzieści trzy ze swoich pięćdziesięciu sześciu lat, i chociaż nie miał stopnia naukowego z socjologii, w czasie spędzonym za kontuarem nauczył się odczytywać ludzi. Pojedynczo i w tłumie. Nalewał drinki, wycierał szkło, wdawał się w niezobowiązujące pogawędki z co bardziej rozmownymi stałymi bywalcami, ale przez cały czas zmysły miał wyostrzone, anteny nastawione, mierzył, badał, oceniał.

A ten tłum był dziwny.

Nalał sobie wody mineralnej i wypił połowę jednym haustem. Ostatnio wszyscy nocni klienci byli dziwni. Przynajmniej jak na ten bar. Pionier zwykle przyciągał stałą klientelę, solidnych robociarzy, amatorów piwa, którzy wpadali się napić po pracy albo zabawić się wieczorem. Ale w ciągu ostatnich kilku tygodni charakter lokalu stopniowo się zmienił. Nie, nie charakter: osobowość. Ponieważ ludzie pozostali ci sami i poszczególni klienci sprawiali wrażenie, że nie różnią się niczym od swoich dawnych wcieleń. Ubierali się tak samo, jeździli tymi samymi samochodami, przychodzili i wychodzili o tych samych porach. Ale konfiguracja tłumu złożonego z tych ludzi zmieniła się kompletnie, co wpłynęło na atmosferę w barze. Zniknęły niekończące się dyskusje o weekendowych wydarzeniach sportowych, narzekania na domowe kłopoty, nudne gadanie o zakupach. Rozmowy stały się ciche, mniej publiczne, bardziej intymne, bardziej osobiste, zwykle pomiędzy parą ludzi. Zwykle pomiędzy mężczyzną a kobietą.

I ostatnio większość klientów piła wino zamiast piwa.

Dużo wina.

Frank dopił wodę mineralną, wypłukał szklankę. Jego spojrzenie powędrowało pod ścianę w głębi, gdzie niegdyś puste boksy były teraz zajęte co do ostatniego, zapelnione przez ludzi, którzy siedzieli bardzo blisko siebie w półmroku.

To było najdziwniejsze. Wiele z tych osób znało się od lat, było przyjaciółmi czy kumpami od piwa, ale miłości zawsze szukali gdzie indziej. Teraz nagle jakby odkryli się nawzajem i zachowywali się jak nastolatki w rui.

To nie miało sensu.

Na niecierpliwy znak dekarza Josha Aldridge'a nalał mu następny kieliszek nalewki winnej i postawił przed nim na serwetce.

Jeszcze mniej sensu miało dręczące go przecucie, że pod pozorami spokoju szaleje ledwie skrywana burza. Dziwaczne przecucie, pozbawione podstaw, ale chociaż próbował je

sobie racjonalnie wyperswadować, nie chciało odejść. Pomimo intymnych rozmów, czułych gestów, całej romantycznej otoczki miał wrażenie, że wystarczy najłżejsza prowokacja, żeby podburzyć ten tłum, zbudzić uśpioną przemoc, która czyhała tuż pod powierzchnią.

Pracował jako barman w wielu miejscach, w wielu miastach. Mieszał drinki w punkowych klubach i na dyskotekach, w knajpach dla motocyklistów i kowbojów. Potrafił wyczuć niebezpieczeństwo. I chociaż klienci tego wieczoru zachowywali się spokojnie i grzecznie, chociaż zdawali się tylko szukać towarzystwa, wiedział, że chcą czegoś więcej. Czegoś znacznie gorszego.

I tego się bał.

17.

Budowle na szczycie skalistego wzgórza przypominały budynki wytwórni wina. Maje-
statyczne gmachy z wysokimi doryckimi kolumnami, dźwigającymi ciężką entablaturę,
ozdobioną misternie rzeźbionym fryzem. Największy budynek wznosił się pomiędzy dwoma
mniejszymi odpowiednikami. Przed środkowym budynkiem stali ludzie w długiej kolejce,
która wiała się daleko w dół po jałowym zboczu. Trzymali w rękach kosze owoców i niedaw-
no upolowaną zwierzynę.

Nie chciał niczego od tych ludzi. Chociaż był głodny, nie pragnął żadnych owoców, nie
pożądał myśliwskich trofeów. Pożywienie, którego potrzebował, znajdowało się w dolinie,
daleko za murami świątyni.

Świątynie. Te budynki to świątynie.

Odwrócił się od kolejki i zaczął zbiegać po stoku. Lekkostopy, silny i zwinny, poruszał
się z szybkością, która wydawała się naturalna, a jednocześnie nadludzka. Niemal frunął
nad nierównym gruntem, odnajdując punkty oparcia, skacząc po kamieniach tkwiących w
ziemi.

Potem znalazł się u stóp wzgórza i pędził w stronę drzew. Czuł słodki zapach wina i piż-
mowy odór kobiet.

Spóźnił się. Na łące w dolinie obrzędy już się rozpoczęły. Przyniesiono tam kadzie z wi-
nem i dwie zostały opróżnione do połowy. Całe i rozbite puchary leżały porozrzucane wśród
trawy. Niemal setka ludzi śmiała się, wrzeszczała, śpiewała. Wielu było nagich, a większość
pijanych. Pary - kobiety z mężczyznami, kobiety z kobietami, mężczyźni z mężczyznami -
kopulowały jak szalone na miękkiej trawie.

Wbiegł na środek łąki.

- Przybyłem! - oznajmił. Jego donośny, grmiący głos odbił się echem od wzgórz.

Ludzie zebrali się wokół niego. Zamierzał przyłączyć się do świętowania, ale zrozumiał, że uroczystość odbywała się na jego cześć. Wcisnięto mu do ręki ogromny kielich wina, który opróżnił do dna. Natychmiast zastąpiono kielich następnym i następnym, aż wypił dziesięć pod rząd i ugasił pragnienie.

Poczuł się dobrze, poczuł się wspaniale, gotów zaspokoić swoje inne pragnienie.

Zapach podniecenia otaczał go ze wszystkich stron, mieszał się z aromatem wina, ciężka piżmowa woń kobiet, lżejsza i ostrzejsza mężczyzn.

Rozejrzał się po twarzach w tłumie. Dzisiaj chciał dwie.

Zatrzymał spojrzenie na postaciach kobiety i jej młodej córki. Kiwnął głową i obie zrzuciły szaty. Kobieta miała piersi pełne mleka, włosy na łonie gęste. Córka była bezwłosa, zaledwie dojrzała. Jednym swobodnym ruchem strząsnęła z siebie ubranie. Oczy obu kobiet rozszerzyły się z podziwu i żądzy na widok jego ogromnego członka.

Najpierw wziął kobietę, przechylił ją przez kłodę i wszedł w nią od tyłu przy owacji pozostałych uczestników święta. Krzyknęła z bólu, radości i gorącej ekstazy. Poruszał się coraz szybciej, coraz bardziej gorączkowo, kiedy oblewano ich winem i kobieta zaczęła się rzucać, i jego czas się zbliżał. Chwylił ją za włosy i tłukł jej głową o pień przy każdym pchnięciu, a jego nasienie wytryskiwało głęboko w jej ciało.

Przestała oddychać dużo wcześniej, zanim skończył, chociaż krew wciąż płynęła z jej rozbitej głowy.

Później córka usiadła mu na kolanach i ujeżdżała go, a on nadział ją i rozdarł od środka. Zaspokojenie nadeszło dokładnie w chwili jej śmierci. Zerwał się na nogi i wydał okrzyk, a wokół niego rozpoczęła się rzeź. Wrzaski bólu i rozkoszy zlewały się harmonijnie, tworząc muzykę piękną dla jego uszu. Wdychał krew, seks i śmierć, spoglądając dumnie w dół na zużyte, skręcone, rozzerwane ciała matki i córki, ociekające czerwonym i białym płynem. Umarły, ale siła życiowa jeszcze ich nie opuściła do końca i nogi wciąż im drgały wspomnieniem ekstazy.

Dion zbudził się nagle, podrywając głowę z poduszki. Miał jeszcze przed oczami ostatni obraz, młoda dziewczyna i jej matka oblane krwią i nasieniem, podrygujące. Ten widok budził w nim strach, obrzydzenie, mdłości. Zamknął oczy, odetchnął głęboko, znowu otworzył oczy. Pokój wydawał się zbyt ciemny, nocne cienie bardziej złowrogie niż zwykle. Dion cały się spocił ze strachu.

Miał również erekcję.

- I co, zakisiłeś ogóra?
- Dion zatrzasnął drzwi szarki, ignorując pytanie. Kevin wyszczerzył zęby.
- Daj spokój, stary. Mnie możesz powiedzieć. Ja bym ci powiedział.
 - Wolalbym, żebyś tak nie mówił o Penelope.
 - Oho, to miłość, nie tylko pożądanie! - Kevin wyciągnął rękę do przechodzącego chłopaka i chciał wygłosić jakąś kąśliwą uwagę, ale Dion go powstrzymał.
 - Hej, mówię poważnie.
- Uśmiech Kevina zbladł.
- Przepraszam. Tylko żartowałem.
 - Nie, to ja przepraszam - powiedział Dion. - Nie chciałem na ciebie naskoczyć.
 - Chyba naprawdę ci na niej zależy, co?
- Dion wzruszył ramionami.
- Nie wiem. - Niezręcznie przełożył książki z ręki do ręki.
 - Zależy ci. Widzę.
 - Zaraz dzwonek - zmienił temat Dion.
- Ruszyli w stronę klasy.
- Jedziesz z nami w piątek? - zapytał Kevin. - Wybieramy się nad jezioro Berryessa, żeby postraszyć biwakowiczów.
 - Niestety. W piątek mam nadzieję na randkę.
 - Masz nadzieję? To znaczy, że nie wiesz? Nie zaprosiłeś jej?
 - Nie - przyznał Dion.
 - Nie bądź taką ofermą. Pokaż jaja. Chyba masz jaja, co?
- Dion roześmiał się.
- Twoja siostra mówi, że mam.
 - Więc ją zaproś. Cholera, ile ty jeszcze potrzebujesz zachęty? Spodziewasz się, że ona do ciebie przyjdzie i wyzna ci miłość bez granic, zanim ją zaprosisz na zwykłą randkę? Puknij się w głowę. Bez obrazy, ale jeśli cipojadka Penelope zaprasza cię do swojej cholernej winnicy i przedstawia mamusi, to chyba znaczy, że cię lubi. O ile wiem, żaden facet oprócz ciebie nigdy nie wszedł w tamte progi.
- Dion uniósł brwi.
- Cipojadka Penelope?
- Kevin podniósł ręce z miną niewiniątka.
- Ja tego nie wymyśliłem.
- Obaj skręcili w stronę wschodniego skrzydła.
- Więc ruszysz tyłek?
 - Zobaczymy.
 - To znaczy, że pojedziesz z nami w piątek?
 - Mam nadzieję, że nie.

- Masz nadzieję?
- Właśnie.
- Więcej ikry, człowieku.
- Okay, nie jadę z wami. Idę na randkę.
- Zawsze tak jest - poskarżył się Kevin. - Facet znajduje sobie dziewczynę, zapomina o kumplach...

Dion parsknął śmiechem.

- Mogę cię ustawić z jej przyjaciółką Vella.
- Gumowa lala ma w sobie więcej życia.

Wokół nich tłum nagle się przerzedził, kiedy uczniowie spieszenie wchodzili do klas.

- No to leć. - Kevin ruszył korytarzem. - Spotkamy się na mitologii.
- Przyjdę.
- Ja myślę. - Zaśmiał się Kevin.

Dion i Penelope powoli szli przez winnicę, słońce oblewało ich żarem późnego lata. Penelope opowiadała o winoroślach, hybrydach i metodach uprawy. Dion słuchał, co mówiła, oglądał egzemplarze, które mu pokazywała. Z bliska winorośle wyglądały inaczej, niż się spodziewał. Miały mniej liści, łodygi wydawały się wyschnięte i poskręcane, dziwnie sękaty. Nawet winogrona nie pasowały do jego wyobrażeń. Obfite kiście na niektórych krzakach rosły gęściej od liści, ale same jagody były znacznie mniejsze niż zwykle deserowe winogrona.

Szli dalej. Zbiory przerwano na kilka dni, dopóki pozostałe grona nie dojrzeją, więc mieli dla siebie całą winnicę. Wędrowali ramię w ramię, coraz dalej od podjazdu. Grunt tutaj był nierówny, poprzecinany bruzdami, nie dało się iść prosto. Niejeden raz otarli się przypadkowo grzbietami dłoni i Dion czuł, jak przenikają go podniecające dreszcze wyczekiwania. Rozpaczliwie pragnął naruszyć kilkucentymetrowy dystans i wziąć Penelope za rękę. To wydawało się naturalne, właściwe, lecz chociaż wyczuwał takie samo pragnienie z jej strony, miał zbyt małe doświadczenie w takich sytuacjach, żeby wiedzieć na pewno. Mógł źle odczytać znaki i nie ośmielił się polegać na własnym instynkcie. Potrzebował czegoś więcej niż aluzja, więcej niż obietnica: potrzebował zapewnienia, że ona czuje to samo, zanim wykona pierwszy ruch.

Przystanęli na chwilę przy końcu rzędu. Dion oparł stopę o długą, kolistą rurę spryskiwacza i otarł pot z czoła.

- Co tam jest? - zapytał. - Za tym murem?

Wskazał kamienne ogrodzenie, biegnące przez całą długość pola, znikające za domem i budynkami wyczołnami.

- Nie wiem - odpowiedziała szybko Penelope.
- Nie wiesz?

Pokręciła głową.

- Przestań, mnie możesz powiedzieć. - Uśmiechnął się łobuzersko. - Nie sprzedam waszych rodzinnych sekretów.

Penelope nie odwzajemniła uśmiechu.

- Nie wolno mi tam chodzić.

- Nie wolno? Dlaczego?

Odwróciła się do niego.

- Chcesz zobaczyć, jak to się robi? - zapytała. - Chcesz zobaczyć, jak robimy wino?

- Ee, jasne - odparł, marszcząc brwi.

- No to chodźmy.

Nie czekając na odpowiedź, pomaszzerowała z powrotem wzdłuż rzędka winorośli, wymachując ramionami ze swobodą zbyt wystudiowaną i perfekcyjną, żeby była prawdziwa.

Dion obejrzał się na mur, zaciekawiony, co takiego kryło się na zakazanym terenie. Penelope najwyraźniej bała się tego miejsca i nie chciała o nim mówić, lecz jej niespodziewanie gwałtowna reakcja tylko podsyciła jego początkowe zdawkowe zainteresowanie. Postanowił koniecznie zapytać ją o to przy innej okazji, kiedy pozna ją lepiej, kiedy nie będzie się bała.

Przystanęła, obejrzała się i przywołała go gestem.

- No chodź!

Pospiesznie ruszył w jej stronę, a ona puściła się biegiem. Ze śmiechem biegli po nierównym gruncie aż do podjazdu. Dion zatrzymał się pierwszy.

- Poddaję się - oświadczył, ciężko dysząc. Pochylił się i oparł dłonie na kolanach. - Uff!

- Rozumiem, że nie uprawiasz sportu?

- Chodzę piechotą do szkoły i z powrotem.

- Całe trzy przecznice!

- Prędzej sześć.

Penelope roześmiała się.

- Prawdziwy Arnold Schwarzenegger!

Dion wyprostował się, odzyskawszy oddech. Uśmiechnął się do Penelope na znak, że docenia dowcip, ale wbrew sobie poczuł się lekko dotknięty. Nie chciała go obrazić - mówiła lekkim tonem, całkowicie niewinnym - niemniej poprzyściągł sobie, że zacznie ćwiczyć.

Popatrzyła na niego.

- Gotowy? - zapytała.

Kiwnął głową.

- Więc chodźmy.

Razem poszli podjazdem i weszli do głównego budynku przez rozsuwane drzwi z przyściennego szkła. Dion spodziewał się ciemnego, rustykalnego wnętrza, zastawionego

od podłogi do sufitu dębowymi beczkami, słabo oświetlonego gołymi żarówkami - hollywoodzka koncepcja wytwórni win. Lecz długie pomieszczenie za małym oszklonym biurem, do którego weszli, jaśniało antyseptyczną bielą, z kafelkową podłogą w szachownicę i rzędem lśniących zbiorników z nierdzewnej stali pod północną ścianą. Dion widział gumowego węża obok jednego ze zbiorników i odpływ na środku podłogi.

Penelope kiwnęła głową kobiecie w średnim wieku, siedzącej przy terminalu komputerowym.

- Ja tylko oprowadzam kolegę - wyjaśniła.

Kobieta się uśmiechnęła.

- Proszę bardzo.

Weszli przez otwarte drzwi.

- Zaczynamy zwiedzanie jakby od końca - powiedziała Penelope. - Albo z boku. - Wskazała na rząd zbiorników. - Służą do fermentacji. Dawniej cały proces fermentacji odbywał się w drewnianych beczkach, ale ta metoda nie jest najbardziej wydajna w naszych czasach. Pozwalamy, żeby wino fermentowało tutaj, a potem przelewamy je do drewnianych beczek na czas dojrzewania, żeby uzyskać określone gatunki.

- Po co? - zapytał Dion.

- Ponieważ drewno naprawdę dodaje winom smaku. Sekwoja nadaje lekki, prawie niewyczuwalny smak; dąb ma mocniejsze działanie. Więc wszystko zależy od gatunku i rocznika. Białe i różowe fermentują i dojrzewają tutaj aż do końca. Niektóre czerwone dojrzewają w dębowych beczkach.

Dion pokręcił głową.

- Dziwnie jest słuchać, jak ktoś w moim wieku tak opowiada o winach. No bo nawet jeszcze nie wolno ci pić alkoholu, a zachowujesz się jak ekspert.

- A czego się spodziewałeś? Wychowałam się tutaj

- No tak. - Rozejrzył się po pomieszczeniu. - Pomagasz czasem?

- Raczej nie. Kręcę się tu i tam, ale one nigdy nie chciały, żebym pracowała w wytwórni. Zresztą ja też nie chciałam.

- Matka pozwala ci czasem spróbować jakiegoś wina? We Francji piją nawet małe dzieci. Dostają wino do wszystkich posiłków. Wy też tak robicie?

- Nie - zaprzeczyła z prostotą Penelope. - Ja nie piję.

Diona to ucieszyło.

- Chodź, pójdziemy do tłoczni.

Podeszwy ich tenisówek skrzypiały absurdalnie głośno i piskliwie na cichych kafelkach. Penelope poprowadziła Diona wzdłuż rzędu zbiorników i otworzyła białe drzwi na samym końcu. Przeszli przez następną, identyczną salę z dużymi, zamkniętymi metalowymi zbiornikami, gdzie Penelope kiwnęła głową dwóm pracownikom, i znaleźli się w tłoczni.

Łącznia wielkości małego sklepu spożywczego była równie nowoczesna, lecz bynajmniej nie antyseptyczna. Pachniało tutaj winogronami, na podwyższonej podłodze z desek widniały purpurowe plamy. Maszyny rozmaitych kształtów i rozmiarów stały pogrupowane według rodzajów. Pod przeciwległą ścianą znajdowały się dwa urządzenia wyglądające na elektryczne generatory.

- Jak widzisz, nie stajemy boso w wielkiej kadzi i nie depczemy winogron. To są prasy do winogron różnych rodzajów. Kobiety z syndykatu kupowały rozmaite prasy, żeby eksperymentować z różnymi technikami. Wszystkie działają i zwykle w szczycie sezonu używamy większości z nich, ale najczęściej trzymamy się tej. - Postukała w długi metalowy cylinder, zawieszony w mocnej ramie. - Powietrzne prasy ciśnieniowe. Wyciskają od środka na zewnątrz zamiast na odwrót, jak pozostałe. Wytwarzają moszcz znacznie lepszy dla naszych celów.

- Moszcz?
- Sok winogronowy, z którego robimy wino.
- Och.

Oprowadziła go po wielkim pomieszczeniu, otwierała każdą prasę po kolei i objaśniała jej działanie. Potem wszedł za nią do ogromnej, wilgotnej sali przypominającej jaskinię, gdzie setki drewnianych beczek sięgały prawie do sufitu. Właśnie tak w jego wyobrazeniach wyglądała wytwórnia win.

- Tutaj wina tylko dojrzewają. Później butelkujemy produkt i wysyłamy. Pokazałabym ci aparat do butelkowania, ale jest w drugim budynku, który teraz jest zamknięty. Beczki, na które patrzysz, są ułożone według lat. Mamy tutaj wina liczące cztery, pięć, sześć lat. Moja... ciotka Sheila przeprowadza testy, żeby ocenić, kiedy wino jest gotowe.

Dion odetchnął głęboko. W gęstym powietrzu unosił się słodki zapach winogron i ciepła woń fermentacji.

Pomyślał o swojej mamie.

A jeśli on i Penelope w końcu się pobiorą? Co się stanie, jeśli w rodzinie znajdzie się wytwórnia win? Jeśli jego matka będzie miała nieograniczony dostęp do alkoholu?

Wolał o tym nie myśleć.

- To było podstawowe zwiedzanie, bez szczegółów technicznych. Jeśli chcesz bardziej dogłębnie poznać proces wytwarzania wina, chcesz prześledzić każdy etap, poproszę którąś z moich ciotek, żeby nas oprowadziła.

Pokręcił głową.

- Nie, to mi wystarczy. - Uśmiechnął się do niej. - Jesteś świetnym przewodnikiem wycieczek. Myślałaś kiedyś, żeby to robić zawodowo?

- Bardzo śmieszne.

Wyszli z pomieszczenia tymi samymi drzwiami, ale łącznię opuścili bocznym wyjściem prowadzącym do holu. Znajdowały się tam tylko jedne drzwi.

- Co tam jest? - zapytał Dion, kiedy je mijali.
- Tam? Laboratorium. Ale nie możemy tam wejść. To terytorium matki Sheili, a ona nikogo nie wpuszcza. Nawet ja nigdy tam nie byłam.
- Co to za wielki sekret?
- No, tam wymyślają nowe gatunki, nowe wina. Tam się odbywa poważna praca umysłowa.

Wyszli na zewnątrz i zmrużyli oczy w jaskrawym blasku popołudniowego słońca.

- Więc gdzie sprzedają wasze wino? - zapytał Dion. - Nie sprawdzałem, ale Kevin mi mówił, że nie kupuje się go w sklepie, że trzeba je zamawiać pocztą.

Twarz jej się ściągnęła.

- Nazywał to „lesbijskim sikaczem”?
- Nie - skłamał Dion.
- Kevin Harte? Ani razu nie użył słowa „lesba”?

Dion uśmiechnął się.

- No tak, użył.

Pokręciła głową.

- Produkujemy tak zwane specjalne marki. Kevin ma rację, prowadzimy głównie sprzedaż wysyłkową, ale to dlatego, że większość naszych klientów mieszka poza stanem. Albo za granicą.

- Co to jest „specjalna marka”?

- To wino kupowane głównie przez kolekcjonerów albo koneserów. Odpowiednik na przykład limitowanego wydania książki. Wiele mniejszych firm, jak nasza, nie może konkurować z wielkimi markami na masowym rynku, więc w pewnym sensie wykułyśmy sobie własną niszę. Produkujemy gatunki wina, których wielkim firmom nie opłaca się wytwarzać. Specjalne marki zwykle oznaczają wina wytwarzane z nieznanych lub egzotycznych szczepów czy też nowych hybryd winogron. Niektóre wytwórnie stosują archaiczne lub ryzykowne metody tłoczenia, fermentacji czy też destylacji.

- Mówisz, jakbyś cytowała podręcznik.

Zaśmiała się.

- Blisko. Naszą broszurę reklamową.

- Więc w czym się specjalizujecie?

- Głównie produkujemy greckie wino, gatunki, jakie pijano w starożytnej Grecji, za czasów Homera i Sokratesa. Wino odgrywało ważną rolę w religijnym i społecznym życiu starożytnej Grecji, ale klasyczne techniki wytwarzania wina zostały praktycznie zarzucone na rzecz winiarstwa w europejskim stylu. To niemal zapomniana sztuka. Maszyny, które widziałeś, są nowoczesne, ale służą do powielania dawnych metod. - Penelope uśmiechnęła się nieśmiało. - To też jest w broszurze.

- To wyjaśnia waszą architekturę - zauważył Dion. - I pewnie dlatego chodzisz na mitologię.

Wydawała się zdziwiona.

- Niekoniecznie. Właściwie nigdy mi to nie przyszło do głowy. Ale skoro o tym mówisz, tak, pewnie to jakoś na mnie wpłynęło.

Powoli szli przez trawnik w stronę domu. Dion podniósł wzrok, zobaczył matkę Penelope i dwie ciotki, obserwujące ich przez okno. Pomachały do niego z uśmiechem i on też pomachał, ale zrobiło mu się trochę nieswojo. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że on i Penelope byli szpiegowani.

- Robi się późno - powiedział. - Powiniem wracać.

- Tak szybko? - Penelope wydawała się rozczarowana.

- Mama czeka na mnie z obiadem.

Naprawdę? - zapytał sam siebie. Ze szkoły zadzwonił do mamy do pracy i uprzedził, że wybiera się do Penelope i wróci do domu w porze obiadowej. Zakładał, że matka wróci przed nim, przygotuje obiad, ale natrętny głos pod czaszką powtarzał, że w ten sposób dał jej czas wolny, że wykorzystała tę okazję, żeby robić to, co chciała, i nie będzie jej w domu, kiedy on wróci.

Przestań, powiedział sobie.

- Zawsze mówisz o matce - zauważyła Penelope. - Ojciec z wami nie mieszka?

Dion pokręcił głową.

- Twoi rodzice się rozwiedli?

- Nie. - Popatrzył na nią świadomy, że ona czeka na więcej, niepewny, ile powinien ujawnić. Nabrał powietrza i skoczył na głęboką wodę. - Nie wiem, kto był moim ojcem - wyznał.

Odrzucił wzrok, zakłopotany, zawstydzony, chociaż wiedział, że nie miał na to żadnego wpływu.

- Ale czy...

- Mama też nie wie.

- Och.

Zamilkła. Chciał jakoś się usprawiedliwić, wytłumaczyć, że to nie jego wina, prosić, żeby nie miała mu za złe okoliczności jego poczucia, ale nie mówił nic. Próbował odczytać wyraz jej twarzy, ale nie potrafił odgadnąć, czy była rozczarowana, rozgniewana, obrażona, czy mu współczuła, czy stał się nieczysty w jej oczach, czy nie robiło jej to żadnej różnicy. Cisza ciągnęła się bez końca i poczuł, że musi coś powiedzieć.

- Moja mama to dziwka - palnął.

Natychmiast tego pożałował. To słowo wcale nie wyrażało jego prawdziwych uczuć, a wypowiedziane na głos zabrzmiało o wiele za ostro, zbyt okrutnie. Chciał odciąć się od matki i jednocześnie pokazać, że nie podziela jej poglądów, nie pochwała jej stylu życia. Ale nie

podobał mu się zimny, krytyczny ton własnego głosu, bezmyślne potępienie zawarte w tym jednym słowie. I widział, że dziewczynie też się nie podoba.

- Jak śmiesz tak mówić o swojej matce? - zapytała, odwracając się do niego.

Chciał to cofnąć, wyjaśnić, co miał na myśli, ale nie potrafił.

- Nie wiem - bąknął nieporadnie.

- Nie masz żadnego szacunku dla rodziców?

Milczał.

- Przepraszam - powiedziała i odsunęła się. - Nie chciałam na ciebie naskoczyć. Nie znam twojego życia, ale nie uważam, że możesz zwalić wszystko na matkę. Ciężko ci było, ale jej też. Ona pewnie stara się, jak może. Trudno być samotnym rodzicem, wiesz? Ja przecież nie oskarżam moich matek o... - Urwała.

- O co?

- O ojca. - Odwróciła wzrok.

Przez chwilę milczeli, idąc dalej po trawie. Dion odezwał się pierwszy.

- Co się stało z twoim ojcem?

Nie odpowiedziała.

- Penelope? - nacisnął lekko.

- Mój ojciec - oznajmiła - został rozszarpany przez wilki.

Wstrząśnięty Dion zamilkł. Spojrzał na nią i odwrócił wzrok, nie wiedząc, jak się zachować. Nabrał głęboko powietrza.

- Przykro mi - powiedział cicho.

Penelope lekko skinęła głową.

- Mnie też - odparła opanowanym głosem i wysunęła się do przodu. - Nie mówmy o tym.

Dion zawahał się na chwilę, niepewny, czy powinien kontynuować rozmowę, czy raczej przerwać. Penelope powiedziała, że nie chce o tym mówić, on jednak wyczuł, że było inaczej. Ten temat zawsze był dla niego drażliwy; pamiętał, jak się czuł, kiedy go pytano o ojca, a ona na pewno czuła się tysiąc razy gorzej. Niemniej przyspieszył kroku i dogonił ją na skraju parkingu.

- Pamiętasz go? - zapytał.

Zwolniła, zatrzymała się i odwróciła do niego.

- Byłam mała, kiedy zginął. Mam jego zdjęcia i matki o nim opowiadały, więc wydaje mi się, jakbym go znała. Ale nie, nie pamiętam go. Ojciec istnieje tylko w moich myślach. - Spojrzała na zegarek. - Już prawie wpół do szóstej.

- Tak, powinienem iść.

Penelope oblizała wargi.

- Dalej jesteśmy przyjaciółmi?

Kiwnął głową.

- Dalej jesteśmy przyjaciółmi.
- Nie masz do mnie żalu?
- Nie masz do mnie żalu?
- Nie - zaprzeczyła. - Skąd.
- Ja też nie.

Penelope obejrzała się na dom, nieśmiało zerknęła na niego.

- Mama mówiła, że tym razem mogę sama cię odwiedzić.
- Świetnie - ucieszył się Dion.

Mówił szczerze. Nie miał nic przeciwko matce Penelope, ale kiedy go ostatnio odwoziła, czuł się bardzo niezręcznie. Penelope siedziała z tyłu, tuż za nim, ale i tak miał wrażenie, że jest w samochodzie sam na sam z jej matką. Matka podtrzymywała rozmowę, zadawała pytania, w większości dziwnie osobiste. Albo zwyczajnie dziwne. Uśmiechała się do niego z niemal seksualnym podtekstem, przyglądała mu się wzrokiem, w którym kryła się niejasna groźba lub obietnica. W jakiś niesamowity sposób przypominała mu jego mamę, co go ogromnie krępowało. Szybko zrewidował swoją początkową opinię na jej temat. I odetchnął z ulgą, kiedy samochód zatrzymał się pod jego domem.

Oczywiście nic nie wspomniał Penelope. A tym razem, kiedy zobaczył jej mamę, znowu wyglądała jak zwykła kura domowa.

Ale cieszył się, że nie musiał znowu jechać z nią samochodem.

- Wezmę kluczyki i powiem im, że jedziemy - powiedziała Penelope.
- Okay.

Wszedł za nią po schodkach do domu.

Penelope okazała się dobrą kierowcą. Prowadziła bezpiecznie i ostrożnie, trzymając obie ręce na kierownicy, zwalniając na żółtych światłach. Dion mimo woli uśmiechnął się na widok jej sumiennej koncentracji.

Widocznie zauważyła to kątem oka.

- Z czego się szczerzysz?
- Z niczego.
- Nabijasz się ze mnie?
- Coś ty!

Włączyła migacz, żeby skręcić w lewo.

- Wiesz, niezbyt często prowadzę.

Zaśmiał się.

- Nigdy bym nie zgadł.

Zostawiła silnik na chodzie, kiedy podjechała pod jego dom i wrzuciła luz.

- Niewiele się nauczyliśmy - stwierdził Dion, podnosząc książki z siedzenia pomiędzy nimi.

- Nie - przyznała.

Patrzył na nią i chciał jej dotknąć, chciał przynajmniej podać jej rękę na pożegnanie, ale nie miał odwagi.

- Wejdiesz do środka? - zapytał.

- O nie! - Energicznie pokręciła głową, jakby zaszokowana propozycją. - Nie mogę. Muszę zaraz wracać. - Z zakłopotaniem spuściła wzrok na kierownicę. - Poza tym matki tego nie pochwalały.

- Matki?

- Hę?

- Matki. Powiedziałaś: „matki”.

- Naprawdę?

- Tak. I mówiłaś tak już wcześniej.

Zarumieniła się.

- No, ja tak chyba o nich myślę. To znaczy wiem, że to się wydaje dziwaczne, ale one wszystkie się mną opiekują. Kobiety z syndykatu dzielą się obowiązkami zawodowymi i trochę też obowiązkami rodzinnymi. Po prostu... - Pokręciła głową. - Nie, to nie całkiem tak. - Westchnęła. - Równie dobrze mogę być z tobą szczerą. Nigdy nikomu tego nie mówiłam, ale tak naprawdę nie wiem, która jest moją matką.

Popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Żartujesz.

- Nie. To prawda. To znaczy jakby adoptowałam matkę Felice na moją matkę, bo najbardziej ją lubię, a do szkoły i tak dalej muszę mieć jedną matkę. Ale wszystkie traktuję jak matki i nie wiem, która jest prawdziwa.

- Nie pytałaś?

Wzruszyła ramionami.

- Nie bezpośrednio. Ale to trochę niewygodny temat. Pewnie ludzie się czują w ten sposób, kiedy próbują rozmawiać z rodzicami o seksie. To trudne.

- Popatrzyła na niego. - Do niedawna nawet mi to nie przeszkadzało. Pewnie wydaje ci się dziwne, ale w ten sposób mnie wychowano. Nigdy nie znałam niczego innego. Więc dla mnie to się wydaje naturalne.

- Naturalne? Uśmiechnęła się.

- Prawie.

- Ale dlaczego? To takie... dziwaczne.

Znowu wzruszyła ramionami.

- Matki uważają, że wyrosnę na zdrowszą i bardziej spełnioną osobę, jeśli uniknę rodzinnych stresów, jakich doświadczają wszyscy inni. Jeśli nie będę musiała odgrywać tradycyjnej roli w rodzinie, nie ograniczę się do odgrywania tradycyjnej roli w społeczeństwie. - Uśmiechnęła się smutno. - Chyba jestem jakimś eksperymentem.

Dion pokręcił głową.

- Nieudanym eksperymentem.
- Nie uważam. Myślę, że jesteś bardzo udana. I zadziwiająco normalna.

Roześmiała się.

- Normalna? Wiesz, że chyba tylko ty tak mnie nazwałeś.
- Dlatego że inni nie znają cię tak dobrze jak ja.

Poczerwieniała i odwróciła wzrok. Dion impulsywnie wyciągnął rękę i dotknął wierzchu jej dłoni, spoczywającej na kierownicy. Natychmiast poderwała głowę i spojrzała mu w oczy. Przez chwilę patrzyli na siebie. Pod palcami czuł jej gładką, miękką, chłodną skórę. Wysunęła dłoń spod jego dłoni.

- Zobaczymy się jutro w szkole - powiedziała, wrzucając bieg.
- Ale...
- Muszę jechać.
- Wciąż te same rodzicielskie zakazy, co?

Roześmiała się.

Dion wysiadł z samochodu, zatrzasnął drzwi.

- Do widzenia - powiedział.
- Do widzenia. Zobaczymy się w szkole.

Pomachała mu na pożegnanie. Patrzył, jak samochód sunie gładko ulicą, a potem mru-gając czerwonym światelkiem znika za rogiem.

18.

April siedziała przed telewizorem i czekała na Diona. Telewizor był włączony, ale ona nie patrzyła na ekran. Myślała o synu, jak dorastał, dojrzewał. W wyobraźni ujrzała go jako dziecko, potem wyobraziła sobie, jak chodzi z dziewczyną z ogólniaka, trzyma ją za rękę, całuje. Ten widok nie sprawił jej przyjemności. Wiedziała, że to normalne i naturalne, że Dion już dawno powinien wykazać zainteresowanie płcią przeciwną, ale to jej się wcale nie podobało.

Złościła się na siebie za takie myśli. Zawsze sobie obiecywała, że nie będzie nadopiekuńcza matką. Dotąd z łatwością dotrzymywała tej obietnicy. Jeśli już, to była raczej za mało opiekuńcza, zbyt często zostawiała go samopas. No, ale Dion nigdy nie wymagał ścisłego nadzoru. Nie należał do chłopców, którzy obracają się w złym towarzystwie, piją, imprezują czy zażywają narkotyki.

To ona robiła te wszystkie rzeczy.

Teraz jednak się martwiła. Nie żeby nie ufała synowi. Chodziło o coś więcej. Z przykrością przyznawała, że jest zazdrosna. Wiedziała, co by na to powiedziała Margaret.

Wiedziała, że wszystkie wyśmiałyby ją, poradziłyby, żeby przestała niańczyć syna, żeby dała mu trochę luzu. Ale ona wbrew wszystkiemu chciała, żeby się nie zmieniał, żeby został dokładnie taki jak teraz. W jej zazdrości nie było nic seksualnego. Nic z tych rzeczy. Po prostu mimo całej inteligencji i wyrobienia, mimo wszystkich życiowych doświadczeń wciąż miał w sobie jakąś naiwność i niewinność, coś, o czym tylko ona wiedziała, co tylko przed nią odkrywał. Nie chciała, żeby to się zmieniło. Nie chciała, żeby to zniknęło.

W telewizji pojawiła się reklama wina, gatunku znanego w całym kraju, produkowanego tutaj, w Dolinie Napa. April skupiła wzrok na butelce schłodzonego białego wina, zroszonej wilgocią, ustawionej na sekwojowym stole przed grillem.

Kieliszek wina bardzo by się teraz przydał. Naprawdę bardzo. Musiała się trochę odprężyć, zamiast w kółko rozpamiętywać tę sytuację. Co to mówiła Margaret o leczniczych właściwościach dobrego wina? April wstała i zamierzała już pójść do kuchni, kiedy zważyło się na nią niechciane wspomnienie tamtego wieczoru. Usiadła z drzeniem.

Nie każde wino było dobre.

Usłyszała, że Dion puka do frontowych drzwi, naciska dzwonek z szybkością karabinu maszynowego. Zatopiona w myślach, nie słyszała podjeżdżającego samochodu, nie widziała go przez okno. Znowu wstała.

- Idę! - zawołała.

Otworzyła drzwi i Dion wpadł do środka. Był zarumieniony i wyraźnie podekscytowany.

- Co na obiad? - zapytał, kładąc książki na ławce wieszaka w holu. - Umieram z głodu.

April uśmiechnęła się.

- To brzmi podejrzenie. Czemu jesteś taki głodny? Co robiłeś?

Spojrzał na nią.

- Hę?

- Nie udawaj - drażniła się z nim. - Jak jej na imię?

Poczerwieniał.

- Mamo...

- Żadne „mamo”. Właśnie o tym powinniśmy rozmawiać. Powinniśmy się komunikować, pamiętasz? Nie ukrywać swoich myśli i emocji, i te de, i te pe.

Dion się uśmiechnął.

- Mówię poważnie. - Wróciła na kanapę, usiadła, poklepała siedzenie obok siebie. - Siadaj. Pogadamy.

- Słuchaj, mam lekcje do odrobienia.

- Myślałam, że jesteś głodny.

- Muszę odrobić lekcje do obiadu.

- Najpierw pogadamy. Dobrze się bawiłeś?
- Mamo...
- Jeśli chcesz jeszcze kiedyś wyjść z tego domu, lepiej mnie słuchaj. W końcu jestem twoją matką. Mam prawo wiedzieć. Jak ona ma na imię?

Dion usiadł obok matki.

- Już ci mówiłem, jak ona ma na imię. Penelope.
- Penelope jaka? Nie powiedziałeś mi nazwiska.
- Daneam. Penelope Daneam.

Zmarszczyła brwi.

- Daneam? Jak Winnice Daneam?
- Aha. Słyszałaś o nich?

Poczuła lekki ucisk w żołądku.

- Czy to, hm, poważne? Spotykacie się, chodzicie ze sobą czy jak to się teraz nazywa?
- Nie wiem - odparł.
- Jaka ona jest?
- Miła.
- Czy jest ładna?
- Tak.
- Zwyczajnie ładna, całkiem ładna czy bardzo ładna?
- Mamo!

Uśmiechnęła się do niego.

- Dobrze, dobrze. Próbuję tylko się dowiedzieć, na czym stoimy. Umówisz się z nią? Na prawdziwą randkę?

- Mówiłem ci, że nie wiem. Nawet nie wiem, czy ona mnie lubi.
- Ale ona ci się podoba, tak?

Dion wstał.

- Mam lekcje.
- Siadaj. - Złapała go za sprzączkę paska i ściągnęła z powrotem na kanapę. - Wiesz, masz szczęście - powiedziała.

- Dlaczego?

- Dlatego. Przeżywasz teraz piękny okres, nawet jeśli sobie tego nie uświadamiasz. Wiem, że to denerwujące. Nie możesz myśleć, nie możesz się skupić na pracy domowej, przez połowę czasu zastanawiasz się, co ta druga osoba robi, czy cię lubi i czy myśli o tobie. Ale to podniecające. Wszystko traktujesz jak znak. Analizujesz każdy jej ruch, każde słowo, szukasz odpowiedzi, co ona do ciebie czuje. - Uśmiechnęła się smutno do syna. - Kiedy już ją złapiesz, kiedy ją masz, tracisz to. Szkló powiększające znika. Nie zwracasz już takiej uwagi na drobne gesty, słuchasz raczej treści słów niż podtekstu. - Poklepała go po dłoni. - Nie mówię, że to coś złego. Wcale nie. Ale... już nigdy nie jest tak samo.

Dion popatrzył na nią. Nigdy nie słyszał, żeby matka mówiła w ten sposób, i po raz pierwszy zaczął trochę rozumieć jej postępowanie. Nawet miał lekkie wyrzuty sumienia, że wcześniej nazwał ją tak brzydko. I w dodatku nie powiedział Penelope, że kocha matkę. Pomyślał, że powinien być jej powiedzieć. Powinien.

- Ja też jestem głodna - oznajmiła April, zmieniając temat. Wstała i zapaliła lampę nad stołem, żeby odegnać cienie czające się w pokoju. - Zjedźmy coś.

- Co na obiad?

- Tacos.

- Dobra.

- Ja usmażę mięso i posiekam warzywa. Ty jedź do sklepu po tortille.

Jęknął.

- Zmęczony jestem. Muszę się uczyć. Nie chcę...

- Albo zjemy kanapki z jajkiem.

Westchnął, pogodzony z porażką.

- Daj mi kluczyki i trochę kasy.

- Wiedziałam, że dasz się przekonać. - Sięgnęła po torebkę leżącą na stole, wyjęła kluczyki i portfel. Podała mu dwa dolary. - Powinno wystarczyć.

Wyszedł z domu.

Patrzyła, jak wsiadał do samochodu i wycofywał się na ulicę, zmartwiona, zaniepokojona i trochę przestraszona. Penelope Daneam. Jakoś jej to nie dziwiło. I dlatego właśnie się bała.

19.

Tego wieczoru przy obiedzie rozmawiano ciszej, bardziej górnolotnie, z większą rezerwą. Penelope wyczuwała nadchodzącą wielką dyskusję. Siedziała na swoim zwykłym miejscu pomiędzy matką Felice a matką Sheila przy długim stole w jadalni i starała się nie siorbać przy jedzeniu spaghetti, żeby nie mącić ciszy. Dłonie miała spocone, mięśnie napięte i czekała na to pierwsze niewinne, naprowadzające pytanie, które poruszy kwestię nurtującą wszystkich obecnych. Dion.

Żadna z matek nie powiedziała ani słowa o Dionie po jego pierwszej wizycie. Przynajmniej nic ważnego czy istotnego. Rzuciły żartobliwe, zawołowane aluzje, dając jej poznać,

jak się cieszą, że wreszcie wykazała jakieś zainteresowanie chłopcami. W następnych dniach odkryła, że znacznie chętniej opowiadała o szkole, że przestała się bronić przed każdym pytaniem o swoje życie towarzyskie. Nawet jeśli Dion nie znaczył nic więcej, przynajmniej posłużył jako sprawdzian jej normalności, namacalny dowód, że wbrew najgorszym obawom jej matek i jej samej nie była kompletnie nieprzystosowana.

Ale oczywiście Dion znaczył więcej i wiedziała, że właśnie o tym matki chciały z nią porozmawiać.

Przeniosła wzrok z matki Margeaux, przeżywającej w zamyśleniu u szczytu stołu, na matkę Margaret naprzeciwko. Wolałaby, żeby matki po prostu powiedziały, o co chodzi, zamiast niepotrzebnie rozdmuchiwać każdy drobiazg.

Ale takie już miały zwyczaje. Podobnie jak miały zwyczaj przestrzegać sztywnego protokołu przy stole, chociaż dla Penelope te codzienne uroczyste obiady lekko trąciły fałszem. Nawet jako dziecko zawsze odnosiła wrażenie, że matki udają uprzejmość i wykwinne maniere dla nieistniejącej publiczności, odgrywają sceny, które widziały na filmach czy w telewizji. Nigdy nikomu się nie przyznała, że wiele razy matki, spożywające wyszukane dania na kosztownej importowanej porcelanie, przypominały jej małpy przebrane w garnitury, powtarzające wyuczone ruchy, których sensu nie rozumiały. Ta analogia, chociaż surowa i trochę niesprawiedliwa, nie wydawała się całkiem chybiona. Pod pozorami spokoju matki miały w sobie coś dzikiego, nieokiełznanego, co próbowało się wyrwać z klatki przyjętych form. Zwłaszcza matka Margeaux wydawała się taka opanowana, taka powściągliwa, Penelope jednak wiedziała z doświadczenia, że ta zewnętrzna fasada racjonalności stanowiła właśnie tylko fasadę. Kiedy matka Margeaux wpadła w złość albo wypła za dużo, kiedy przestawała nad sobą panować, działy się przerażające rzeczy.

Penelope nie chciała oglądać żadnej ze swoich matek, kiedy się naprawdę upiły.

Skończywszy jeść, odsunęła talerz i przełknęła resztkę soku winogronowego. Wstała i z ukłonem zwróciła się do matek:

- Mogę iść? Mam dzisiaj dużo lekcji do odrobienia.
- Nie możesz - odparła matka Margeaux.

Penelope usiadła z powrotem. Domowe obiady stanowiły nie tylko formalną uroczystość, ale także niewygodny rytuał i chociaż uczestniczyła w nich codziennie przez całe życie, nadal działały jej na nerwy. Obiad podawano punktualnie o siódmej trzydzieści wieczorem i nieważne, co która robiła, o siódmej musiała przerwać, umyć się i przebrać w zieloną sukienkę. Suknie matek wyglądały identycznie - długie do ziemi, o prostym kroju - natomiast sukienka Penelope była trochę inna, nie tak kosztowna. Obiad zawsze zaczynał się od piosenki, byle jakiej piosenki, którą każda intonowała po kolei. Żeby wstać od stołu po

posiłku, każda musiała poprosić pozostałe o pozwolenie; jeśli nie otrzymała jednogłośnie aprobaty, musiała czekać. Dopóki Penelope nie została pierwszy raz na noc u koleżanki w piątej klasie, myślała, że wszyscy tak jadają. Nawet wpadła w panikę, kiedy odkryła, że zapomniała zabrać ze sobą zielonej sukienki. Ale najadłszy się wstydu po szczegółowym wypytaniu matki koleżanki, dowiedziała się, że nie wszyscy traktują obiad jak rytuał, że właściwie nikt tak nie robi. I poczuła się strasznie głupio.

Przechyliła pustą szklankę, wysączyła na język ostatnie krople soku winogronowego. Obróciła w palcach widelec.

Wreszcie matka Felice poruszyła temat Diona.

- Jak tam twój chłopak? - zapytała.
- Dion?
- Oczywiście.
- On nie jest moim chłopakiem.

Następne pytanie uwięzło matce w gardle. Szybko rozejrzała się wokół stołu. Zapadło milczenie.

- Penelope - odezwała się matka Margeaux cichym, lecz mocnym głosem.

Penelope spojrzała w stronę szczytu stołu. Matka Margeaux osuszyła usta serwetką i odłożyła serwetkę na kolana. W ciepłym, przyćmionym świetle jej wargi były prawie równie ciemne jak włosy. Białka oczu wydawały się ogromne, kiedy skupiła przenikliwy wzrok na Penelope.

- Myślałam, że ty i Dion chodzicie ze sobą- powiedziała.

Penelope poprawiła się na krześle.

- Właściwie nie. Jeszcze nie.
- No więc właściwie co was łączy?
- Dlaczego chcecie wiedzieć? - Penelope poczuła, że się czerwieni.

Matka Margeaux uśmiechnęła się.

- Nie mamy nic przeciwko Dionowi. Ani waszym randkom. Po prostu chcemy znać charakter waszego związku. W końcu jesteśmy twoimi matkami.

- Nie wiem - przyznała Penelope. - Nie wiem, na czym polega nasz związek.
- Zamierzacie kiedyś wyjść razem?
- Mówiłam ci, nie wiem.
- Ale on ci się podoba? - upewniła się matka Felice.

- Tak! - Wstała, zażenowana, zirytowana. - Mogę już iść? Naprawdę mam dużo lekcji.

- Tak, możesz iść. - Matka Margeaux rozejrzała się wokół stołu. Nikt się nie sprzeciwił.

Penelope szybko wyszła z jadalni i wbiegła po schodach, po dwa stopnie naraz. Udało jej się uniknąć wielkiej dyskusji, ale dyskretne śledztwo matek było jeszcze gorsze. W tym się

kryła jakaś niepokojąca tajemnica. Same pytania wydawały się całkiem niewinne, ale zadawano je tonem dalekim od niewinności i kiedy Penelope rzuciła się na łóżko, wciąż miała przed oczami pełen satysfakcji uśmiech matki Margeaux.

20.

Porucznik Horton stał przed drukarką i czytał raport, który wysuwał się z maszyny. Podniósł długą wstęgę perforowanego papieru i zmarszczył brwi, czytając statystyki prowadzenia pojazdów pod wpływem alkoholu. Wzrost o dwieście procent w ostatnim miesiącu? Wzrost o sto dziewięćdziesiąt sześć procent w porównaniu z tym samym okresem w zeszłym roku? To niemożliwe. Na pewno ktoś się pomylił. Horton upuścił wydruk. Drukarka igłowa dalej klikała, hałaśliwie wystukując po jednej linii.

Teraz trzeba będzie poświęcić godzinę na ponowne sprawdzenie danych wejściowych.

Pomyślał, że uzbiera mu się całkiem sporo czasu przy komputerze, zanim to się skończy. Oprócz pełnowymiarowego śledztwa w sprawie morderstwa musiał nadal wykonywać swoje zwykłe obowiązki, co oznaczało dwunasto-godzinny dzień pracy i pracujące weekendy.

Łyknął letniej kawy, odstawił papierowy kubek na półkę z instrukcjami obsługi, schylił się i zajrzał przez okienko z przyciemnionego plastiku, żeby przeczytać ostatnie linijki raportu.

Aresztowania osób zakłócających spokój w stanie nietrzeźwym - wzrost o sto piętnaście procent.

Coś tu stanowczo nie grało.

Po przeniesieniu z San Francisco, ponad dekadę wcześniej, Horton dziwił się stosunkowo niską liczbą aresztowań związanych z nadużyciem alkoholu w Napa i okolicznych miejscowościach. Publiczne pijaństwo, lekkomyślne narażanie życia, jazda po pijanemu i podobne wykroczenia zdarzały się zadziwiająco rzadko, zwłaszcza jak na region nastawiony głównie na produkcję napojów wysokowych. Zupełnie jakby mieszkańcy, świadomi swojej ekonomicznej zależności od alkoholu, specjalnie starali się zachować umiar w spożywaniu trunków. To się nie zmieniło podczas całego okresu służby Hortona i wszyscy przyjmowali to za pewnik.

Horton usiadł na niskim, pustym stoliku obok drzwi i czekał, aż raport skończy się drukować. Wyłowił buteleczkę tylenolu z kieszeni marynarki, przełknął dwie tabletki i popił resztką kawy. Głowa go nie bolała, ale czuł tępe łomotanie krwi w skroniach i myśli

napływały powoli, ospale, jakby grzęzły we mgle.

Spojrzał na wyblakły plakat, który przed laty ktoś przypiął pinezkami do ściany naprzeciwko: stylizowana tancerka podnosząca wysoko nogę w kankanie. Z niewiadomych powodów plakat przypominał mu Laurę. Mimowolnie zaczął się zastanawiać, co się z nią stało. Ostatnio rzadziej nawiedzały go te myśli, ale nawet po tylu latach wciąż budziły więcej niż odrobinę smutku. Przestał płacić alimenty, kiedy ponownie wyszła za męża, i chociaż wtedy uważał, że powinien nadal utrzymywać z nią kontakty, nadal mieć ją na oku, nie chciało mu się fatygować. Od tamtego czasu przeprowadził się trzy razy. Nie wiadomo, ile razy ona się przeprowadzała. Co jakiś czas nachodziła go ochota, żeby przepuścić jej nazwisko przez komputer i sprawdzić, gdzie ona teraz mieszka, ale nie znał jej obecnego nazwiska, nie wiedział nawet, czy wciąż jest żoną tego samego mężczyzny.

Dziwnie pomyśleć, że dwoje ludzi niegdyś tak sobie bliskich teraz nawet nie wie, czy to drugie jeszcze żyje. W swoim czasie Horton szczerze wierzył, że nie mógłby bez niej żyć, i miał egoistyczną nadzieję, że oboje dożyją do dziewięćdziesiątki, a potem on umrze pierwszy, żeby nie musiał cierpieć w samotności. Tymczasem był samotny od ponad piętnastu lat, a kobieta, która niegdyś znała jego najintymniejsze sekrety, najgorsze lęki, stała się obca, dzieliła marzenia i nadzieje z innym mężczyzną, którego nigdy nie widział na oczy.

Horton zsunął się ze stołu, wstał. Po cholerę o tym myślał? Czemu marnował czas na jakieś nostalgiczne bzdety? Wystarczyły mu do szczęścia obecne kłopoty. Wystarczyły z pewnością.

Po pierwsze morderstwa.

Dochodzenie w sprawie morderstw nie szło najlepiej. Policjanci robili, co mogli - przesłuchiwali rodzinę i znajomych, sprawdzali kontakty zawodowe, przeczesywali okolicę w poszukiwaniu ewentualnych świadków, przeglądali akta podejrzanych - ale nie mieli żadnych istotnych dowodów i pomimo najnowocześniejszej techniki żadnych nie zdobyli. Zdałoby się, że w przypadku morderstwa Fowlera, o wyraźnie sekciarskim charakterze, łatwiej natrafić na jakąś wskazówkę, jednak oba śledztwa utknęły w martwym punkcie. Policja po prostu wykonywała rutynowe czynności, działała zgodnie z procedurą i czekała, aż wypłynie coś nowego. Jeśli te dwie zbrodnie były ze sobą powiązane - a wszyscy w to wierzyli, od szefa do ostatniego funkcjonariusza - morderca znał się na rzeczy. Oczywiście był szalony, ale również oczywiście nie był głupi.

Przerażająca kombinacja.

Jack Hammond uważał, że to coś całkiem innego. Nie chciał powiedzieć, co właściwie jego zdaniem się wydarzyło - widocznie należał do jakiejś sekty lub grupy religijnej, która

wymagała ślubów milczenia - ale robił aluzje do wskrzeszenia, przepowiedni i różnych zwiariowanych religijnych bredni. Dlatego odsunięto go od sprawy.

Horton wyszedł do holu, rozejrzył się w obie strony. Na końcu korytarza zobaczył w gabinecie kapitana, którego sylwetka rysowała się wyraźnie na tle oświetlonych oszklonych drzwi. Starszy mężczyzna właśnie dyskretnie dolewał whisky do kubka z kawą od McDonalda. Horton zmarszczył brwi. Kapitan Furnier pije w pracy? Nie wierzył własnym oczom. Nie znał większego służbisty niż kapitan, który dostawał szau, jeśli zebranie personelu nie odbywało się ściśle według regulaminu. Coś takiego było całkiem nie w jego stylu.

Hammond. Furnier.

Dziwne rzeczy się działy.

Kapitan podniósł wzrok, spojrzął przez szybę, zobaczył go. Horton natychmiast cofnął się do pokoju komputerowego. Stał przed drukarką i zaczął składać długie zwoje raportów.

Po chwili usłyszał ciężkie kroki kapitana w korytarzu, ale nie podniósł wzroku, a kapitan nie zatrzymał się przy nim.

Funkcjonariusz Dermis McComber wyjechał z parkingu Winchella z cyrkonową bułeczką w rękę, ze styropianowym kubkiem kawy między nogami. Powoli toczył się po Main w stronę peryferii miasta, wypatrując pijaków, épunów, imprezowiczów, parok w samochodach, zwykłych wykroczeń piątkowego wieczoru. Cieszył się, że znowu patroluje ulice, znowu siedzi za kółkiem. Rutyna, ale biła na głowę robotę w zabójstwach z Hortonom. Nie ma żadnego porównania. Tamto prestiżowe gówno wyglądało efektownie w telewizji, robiło wrażenie na kobietach, ale napędzało cholernego pietra i wcale mu się nie podobało.

Przejechał skrzyżowanie ze Spring Street i zwolnił, mijając park. Kusilo go, żeby zaświecić reflektorami w ciemny kąt parkingu, pod drzewami, ale wciąż jadł cyrkonową bułeczkę i miał lepkie palce. Dokończył ciastko, przytrzymał kierownicę kolanami, wyciągnął nawilżaną chusteczkę higieniczną i wytarł rękę.

Popił kawy. Praca w wydziale zabójstw wyglądała inaczej, niż sobie wyobrażał. Zupełnie inaczej. Szkolenie w akademii nauczyło go, co robić i jak działać, ale nie przygotowało go emocjonalnie na takie przeżycia. Żadne filmy ani wizje lokalne nie mogły należycie odtworzyć dręczącego napięcia i wyostrzonego realizmu prawdziwej sceny morderstwa.

I żaden manekin czy wynajęty aktor, nawet z najlepszą charakteryzacją, nie mógł zastąpić prawdziwego trupa.

Zwłaszcza okaleczonego trupa.

McComber zadrzał i przykręcił klimatyzację, chociaż wiedział, że zimno płynęło z jego wnętrza. Od tamtego dnia w wytwórni win prześladowały go koszmary o strażniku Fowlerze. Koszmary, w których Fowler, okrwawiony i pozbawiony twarzy, stał w komorze fermentacyjnej i wrzeszczał bez końca rozdartą raną, ziejącą w miejscu ust. Koszmary, w których Fowler ścigał go przez mroczny, drgający labirynt żywych winorośli do potwornej kadzi czarnego wina. Koszmary, w których przychodził do pracy i wszyscy w komisariacie byli straszliwie, okrutnie oszpeconi.

Poprzedniego wieczoru upił się, naprawdę zalał się do nieprzytomności, po raz pierwszy, odkąd poznał Julie. Nie zrozumiała, bała się go i chociaż pragnął jej współczucia, jednocześnie chciał ją uderzyć, skrzywdzić, odegrać się na niej za swoje problemy. Z trudem się powstrzymał, żeby nie trzasnąć jej w twarz.

Skręcił w Grapevine Road. Pociągnął następny łyk kawy, ale smakowała obrzydliwie, więc odkręcił szybę, wylał resztę i rzucił pusty kubek na podłogę radiowozu. Zbliżał się do jednego z najbardziej uczęszczanych zakątków dla zakochanych, więc zwolnił, licząc na łut szczęścia.

Nagrodził go widok czerwonej mazdy, zaparkowanej pod drzewem na poboczu drogi.

McComber zgasił światła, powoli podjechał i stanął za mazdą. Chwytał latarkę, wysiadł z radiowozu i podszedł bliżej, opierając prawą dłoń na kolbie pistoletu. Kiedy oczy przywykły do ciemności, zobaczył na miejscu pasażera nastoletniego chłopca, odchylonego do tyłu, z zamkniętymi oczami, z twarzą odprężoną i szczęśliwą. W chwilę później dziewczyna uniosła głowę znad jego kolan, odgarnęła włosy z oczu na kark i znowu pochyliła głowę.

McComber wyszczerzył zęby. To już mu się bardziej podobało. Szykowała się zabawa.

Przybrał swoją najbardziej poważną minę, podszedł do samochodu i głośno zapukał w szybę od strony kierowcy, świecąc latarką do środka.

Córka szefa policji wyprostowała się i spojrzała na niego tępo, wciąż obejmując palcami sztywny, wilgotny penis chłopca.

Zaszokowany McComber zagapił się na parę nastolatków. Oboje byli kompletnie pijani. Poznał to po ich szklistych oczach, po obwisłych, zaślinionych ustach. Ich spocona skóra lśniła w świetle latarki. Cała przyjemność ze straszenia prysła, ale McComber postanowił udawać, że nie wie, kim jest dziewczyna. Gestem kazał chłopcu opuścić szybę.

Zaczekał, aż okno zostało otwarte, zanim się odezwał. Próbował nie patrzeć na sztywny organ, wciąż wystający spomiędzy fałd spiesznie podciągniętych spodni.

- Co wy tu robicie, bawicie się w doktora?

Mówił groźnym, oficjalnym tonem, ale chociaż chłopak wydawał się przerażony, córka szefa nie dała się zastraszyć. Podniosła z podłogi butelkę wina i pociągnęła długi łyk, nie patrząc na policjanta.

- Pierdol się.

Córka szefa czy nie, nadeszła pora, żeby zagrać ostro.

- Mogę zobaczyć pana prawo jazdy? - zapytał McComber.

Chłopiec nerwowo obliznął wargi.

- Bardzo przepraszamy. Proszę nie...

- Prawo jazdy - powtórzył McComber.

Chłopiec pogrzebał w kieszeni i wyciągnął portfel. Ręce mu się trzęsły, kiedy wyjmował prawo jazdy.

- Pan Holman? - McComber odczytał nazwisko obok zdjęcia marnej jakości. - Pan i młoda dama, proszę wysiąść z samochodu.

- My nie...

- Proszę wysiąść z samochodu.

Zamierzał tylko ich postraszyć, zrobić im kilka testów na trzeźwość i puścić ich z ostrzeżeniem, nagle jednak butelka po winie przeleciała nad dachem mazdy w stronę jego głowy.

- Odpierdol się, świni! - wrzasnęła córka szefa.

Szkło rozbilo się na asfalcie.

Chociaż wiedział, że powoduje nim gniew zamiast rozsądku, że ten postępek może go kosztować karierę, szybko obszedł samochód, wywłókł opierającą się dziewczynę na jezdnię i wykręcił jej rękę za plecami.

- Brutalność policji! - zapiszczała.

- Młoda damo, jeśli nie będzie pani współpracować, resztę nocy spędzi pani w więziennej celi.

- Ona nie chciała - próbował ją usprawiedliwić chłopiec.

- Pierdol się! - Dziewczyna szlochala, ale nie smutno, tylko z gniewem i frustracją.

Rzuciła policjantowi wyzywające spojrzenie. - Już prawie przyszedł i nic na to nie poradzisz, kurwa!

- Kto prawie przyszedł?

- On!

- Jaki on?

Oczy jej się zamglily, spojrzenie straciło intensywność.

- Nie wiem - odparła ze zmieszaniem, ale wciąż wyzywająco.

- Proszę pana, zabiorę ją do domu. Ona przeprasza...

- Zamknij się - warknął McComber.

Prawie przyszedł.

Niemal zrozumiał, o co chodzi, i dlatego teraz trzymał ją bez ruchu, dlatego chciał, żeby oboje się zamknęli, żeby mógł pomyśleć. Nawet na zewnątrz samochodu czuł zapach wina, które pili. Ciężka woń wisiała w powietrzu, nasilając się co kilka sekund z każdym

oddechem dziewczyny, przyprawiała go o lekkie mdłości, wywoływała lekki ból głowy.

Prawie przyszedł.

On również to czuł, odkąd zobaczył ciało dozorky w wytwórni win, chociaż nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby to wyrazić tymi słowami. Coś wyraźnie wisiało w powietrzu, narastające napięcie, jakby akumulacja energii albo gromadzenie się mocy, albo... sam nie wiedział. Ale coś dojrzewało do wybuchu. Coś, czego nie rozumiał, a gdyby zrozumiał, pewnie by nie uwierzył. Coś, w co najwyraźniej wdepnęła córka szefa.

Nagle sam zapragnął się napić.

Spojrzał na chłopca, który właśnie zapinał pasek spodni.

- Panie Holman?

Przestraszony chłopiec podniósł wzrok.

- Tak?

- Mógłbym pana przymknąć jako nieletniego za spożywanie alkoholu, za posiadanie otwartego pojemnika z alkoholem w samochodzie, za nieprzystojne obnażenie, a gdybym chciał być wredny, również za ustawowy gwałt. - Popatrzył na chłopca, zaczął na odpowiedź i z zadowoleniem stwierdził brak odpowiedzi. - Ale tym razem puszcę was z upomnieniem, pod warunkiem że zamknie pan samochód i na piechotę... powtarzam, na piechotę odprowadzi pan młodą damę do domu. Jeśli wrócę później i zobaczę, że samochodu nie ma, to będzie również znaczyło, że pan prowadził pod wpływem alkoholu, a na takie wykroczenie niestety nie mogę przymknąć oka. Czy wyraziłem się jasno?

Chłopiec z wdzięcznością kiwnął głową.

- Pierdol się! - wrzasnęła córka szefa.

- Niech pan stąd zabierze tę uroczą panienkę, zanim ją zapudłuję za pijaństwo i agresywne zachowanie.

Puścił dziewczynę, a chłopiec natychmiast chwycił ją za ramię i odciągnął.

- Nie możesz tego powstrzymać! - krzyknęła. - Nic nie możesz zrobić!

McComber powoli wrócił do samochodu, nie zwracając uwagi na zaczepki dziewczyny. Zastanawiał się, czy powinien zawiadomić szefa o zachowaniu jego córki, czy raczej to przemilczeć. Całkiem stracił dobry nastrój, który towarzyszył mu na początku incydentu z mazdą, i teraz wcale już nie miał ochoty patrolować ulic.

Miał ochotę się napić.

Miał ochotę się upić.

Prawie przyszedł.

Nie odpowiedział na machanie chłopca, kiedy minął parę nastolatków i pojechał dalej.

21.

Ziemia była wilgotna, niebo zachmurzone, powietrze pachniało świeżo i orzeźwiająco po niedawnym deszczu. Ponad dachami korony drzew wydawały się niemal czarne na tle szarości, ciężkie liście i gałęzie były poruszane tylko chłodną północną bryzą, dmuchającą prosto w twarz. Dion czuł się szczęśliwy bez żadnego konkretnego powodu. Takie dni nieodmiennie wprawiały go w dobry nastrój, choćby nie wiadomo co się zdarzyło poprzedniego wieczoru. Odetchnął głęboko, poczuł dym z ogniska, zrobił wydech, zobaczył obłoczek pary. W kałuży na chodniku dostrzegł odbicie nieba, sylwetki drzew i dachów jak szkic węglem.

Jesień zawsze była jego ulubioną porą roku. Większość dzieciaków kojarzyła jesień z początkiem roku szkolnego, czekała niecierpliwie na lato i wakacje, on jednak zawsze kierował się bardziej instynktem, przywiązywał mniejszą wagę do materialnego świata. Kochał jesień, zawsze kochał. Ta pora roku sprawiała, że czuł się zdrowszy, pełen życia. Jesień zwyczajowo uważano za schyłek natury, smutny okres przed śmiercią, on jednak dowiedział się od Penelope, że winorośl zadawała kłam tym opiniom, przeciwstawiała się ogólnej tendencji - umierała, kiedy inne rośliny kwitły, rozkwitała, kiedy inne umierały, trochę tak jak on.

Przejechała furgonetka, opony zasyczały na mokrym asfalcie. Dion odczekał chwilę, zanim przeszedł przez ulicę. Z chlupotem przebrnął przez płytką kałużę. Spuścił wzrok i zobaczył błotnistą czarną wodę.

Czarna woda.

Nagle zrobiło mu się zimno, aż zadygotał. Dobry nastrój prysnął na wspomnienie snu z zeszłej nocy.

Koszmarne sen.

We śnie matka zataczała się po łące, pijana i naga, w jednym ręku trzymając przelewającą się bukłak z winem, w drugim odcięty penis. Krew wciąż kapiała z poszarpanego końca. W pobliżu znajdowały się inne kobiety, również nagie, również pijane, on jednak patrzył tylko na matkę. Zrobił krok do przodu po szeleszczących zeschniętych liściach. Matka odwróciła się, zobaczyła go i wydała donośny, radosny okrzyk podniecenia. Odrzuciła bukłak, odrzuciła penis i zaczęła tańczyć z dzikim zapamiętaniem jakiś szalony, rytualny taniec. Obok przebiegł kozioł, tuż przed nią, a ona skoczyła na niego, opasała ramieniem jego szyję, wykręciła i obaliła go na ziemię. Trzasnęła pękająca kość, a potem matka siedziała na ścierwie, szarpała paznokciami, rozdzierała zębami, ekstatycznie smarowała się krwią.

Pomiędzy jej nogami wyraźnie widział włochatą erekcję kozła.

Potem inne kobiety przyłączyły się do mamy, dziki, rozpasany tłum łąpczywych rąk i głodnych ust. Matka chwyciła sztywny członek kozła, wyrwała go i uniosła dumnie w górę.

A potem był sam w ciemnościach, płynął na wznak po powierzchni czarnej rzeki, wszystkie jego myśli, wszystkie uczucia, wszystkie wspomnienia blakły, znikwały, odchodziły, aż stał się kawałkiem nicości odpływającym w większą nicość, czarna woda wlewała się przez uszy, przez nos, przez usta, żeby go wypełnić.

Obudził się zmarznięty, drżący, skopawszy koc z łóżka, nie tyle przestraszony, ile... zaniepokojony. A także przygnębiony, przepełniony dziwnym poczuciem straty.

Odepchnął od siebie te wrażenia przy śniadaniu, splukał pod prysznicem i zapomniał o nich, kiedy zobaczył wspaniały jesienny dzień za oknem.

Ale teraz się martwił. Powoli szedł chodnikiem w stronę szkoły. Sny, które ostatnio miewał, wydawały się jakieś inne. Nie przypominały zwykłych koszmarów, jakby nie pochodziły z tych samych pokładów podświadomości co normalne sny. Nie potrafił określić, co takiego w sobie miały, ale to go przerażało.

- Hej, kutafonie!

Dion podniósł wzrok i zobaczył Kevina, wychyłonego z okna mustanga Paula po stronie pasażera.

- Podwieźć cię?

Dion pokręcił głową, machnął na nich, żeby jechali dalej.

- Potrzebuję ćwiczeń.

- Myślałem, że ćwiczysz pompki na Penelope!

Dion wskazał Kevina, a potem swoje kroczce.

- Twoje śniadanie, stary!

Kevin zaśmiał się.

- Później!

Mustang przyspieszył, opony zapiszczały na mokrej nawierzchni, rozbryzgując wodę.

Czarna woda, pomyślał Dion, patrząc na rozbryzgi. Zadrżał.

Kevin zamknął swoją szafkę.

- Jak to nazwała? Kombinat?

- Syndykat.

Kevin zastanawiał się przez chwilę.

- Wiesz - powiedział - kiedyś jedna religijna sekta prowadziła wytwórnię win koło Santa Rosa, dawno temu, nie wiem dokładnie. Fountaingrove, chyba tak się nazywała. Kierowała nią sekta o nazwie Bractwo Nowego Życia. Jeśli dobrze pamiętam, używali wina

w swoich ceremoniach. To coś podobnego.

- Rodzina Penelope to nie sekta.
- Nie wydaje ci się trochę odjechana?

Dion przekręcił szyfrowy zamek, pociągnął, żeby sprawdzić, czy drzwiczki się zamknęły.

- Trochę - przyznał.

- No więc miej oczy otwarte - poradził mu Kevin. - Masz tutaj rzadką okazję zobaczyć wszystkie możliwe permutacje kobiet Daneam. Widzisz przyszłość Penelope. Za dwadzieścia lat będzie wyglądać jak jedna z nich. Niedaleko pada jabłko od jabłoni i te wszystkie bzdety. Zostałeś uczciwie ostrzeżony. Jeśli nie podoba ci się to, co widzisz, wycofaj się teraz. Oszczędź sobie żalu i rozczarowania.

Dion spróbował się uśmiechnąć.

- Podoba mi się to, co widzę.
- Mam nadzieję.

Dion próbował nie myśleć o rodzinie Penelope, kiedy razem z Kevinem szedł do klasy.

„Bachus”, napisał pan Holbrook na tablicy. „Dionizos”. Podkreślił te słowa, wytarł pył kredowy o spódnie i odwrócił się przodem do klasy.

- Bachus albo Dionizos - oznajmił nauczyciel - był chyba najważniejszym z bóstw olimpijskich. Ważniejszym nawet niż Zeus czy Apollo. Nie ma o nim tak wielu historii, ale pozostaje faktem, że w tamtych czasach cieszył się największą popularnością ze wszystkich bogów i miał najbardziej lojalnych wyznawców. W dużym stopniu można to tłumaczyć faktem, że był to jedyny olimpijski bóg jednocześnie śmiertelny i boski z natury.

Jakiś uczeń w głębi sali podniósł rękę.

- Tak? - rzucił nauczyciel.

- Z którego imienia będzie sprawdzian? - zapytał uczeń. - Bachus czy Dionizos?

- W tej klasie będziemy go nazywali jego właściwym greckim imieniem: Dionizos. Na sprawdzianie mogą być oba.

Szmer gorączkowego gryzmolenia wypełnił klasę.

- Jak mówiłem, Dionizos był jednocześnie bogiem i śmiertelnikiem, synem Zeusa i Semele, księżniczki tebańskiej. Zeus zakochał się w księżniczce i zapłodniwszy ją pod jedną ze swoich licznych postaci, przysiągł na rzekę Styks, że spełni każde jej życzenie. Hera, żona Zeusa, jak zwykle zazdrosna, podsunęła Semele pomysł, żeby zobaczyć Zeusa w całej chwale jako króla niebios, i takie życzenie wyraziła księżniczka. Zeus wiedział, że jeśli się ukaże w swojej prawdziwej postaci, żaden śmiertelnik tego nie przeżyje, ale przysiągł na Styks i

musiał dotrzymać obietnicy. Więc przyszedł do księżniczki jako bóg i Semele umarła na widok jego straszliwej potęgi, ale Zeus zdążył zabrać dziecko, które miało się narodzić.

Pan Holbrook odwrócił się z powrotem do tablicy i napisał jeszcze dwa słowa: „Apolliniński. Dionizyjski”.

- Przez lata, przez stulecia, zwykle nie rozumiano i błędnie oceniano Dionizosa. W najogólniejszym sensie te dwa słowa oznaczały „dobro” i „zło”. Jeśli coś opisywano jako „apollinińskie”, kojarzyło się ze światłem i dobrem, ładem i porządkiem. Natomiast określenie „dionizyjski” oznaczało ciemny i chaotyczny, często utożsamiany ze złem. Chociaż Dionizos bynajmniej nie był złym ani dobrym bogiem, łatwo zrozumieć ten błąd. Jako w połowie bóg i w połowie człowiek, Dionizos miał dwoistą naturę. Tę dwoistość jeszcze bardziej podkreśla fakt, że Dionizos był bogiem wina, bogiem winnej latorośli. Wino łagodzi obyczaje, ale też wywołuje kłótnie. Dionizos również może być przyjazny i życzliwy, ciepły, dobry i hojny. Może też być okrutny, dziki i brutalny. Podobnie jak to samo wino, które zbliża do siebie ludzi, może ich zamrozić i skłonić do popełniania hańbiących czynów i potwornych zbrodni, Dionizos może sprowadzić na swoich wyznawców radość albo ból, szczęście lub cierpienie. Może pomagać człowiekowi albo go zniszczyć. Niestety przez lata ciemna strona Dionizosa zaćmiła jego dobrą stronę do tego stopnia, że obecnie większość ludzi postrzega go w sposób bardzo zniekształcony.

Pan Holbrook znowu odwrócił się do tablicy. „Dionizyjskie obrzędy”, napisał. „Bachanalia”.

- Przyjrzymy się teraz kultowi Dionizosa, któremu często oddawano cześć poprzez pijackie orgie i uprawianie rozpusty.

Dion poczuł, że ołówek szturchnął go w plecy.

- Nareszcie dochodzimy do ciekawych rzeczy - szepnął Kevin.

Dion parsknął śmiechem.

Vella nie przysłała do szkoły, Kevin miał wizytę u dentysty i po raz pierwszy Dion jadł lunch sam na sam z Penelope. Cieszył się z nieobecności Kevina, chociaż miał wyrzuty sumienia. Lubił Kevina, lubił jego towarzystwo, teraz jednak wołał być sam z Penelope.

Oboje odstali swoje w kolejce w kafeterii - Dion wziął hamburgera i colę, Penelope sałatkę i sok - i usiedli przy stole obok niskiego murku, który oddzielał część jadalną od boiska softballu.

Rozmowa toczyła się gładko, swobodnie, bez zahamowań, przeskakując z muzyki na szkołę i plany na przyszłość.

- Co chcesz robić w życiu? - zapytała Penelope. - Kim chcesz zostać?

Uśmiechnął się.

- Kiedy dorosnę?
- Ona też się uśmiechnęła i kiwnęła głową.
- Kiedy dorosisz.
 - Nie wiem - powiedział. - Dawniej myślałem, że chciałbym być archeologiem albo paleontologiem, wykopywać skamieliny i artefakty, podróżować do egzotycznych miejsc. Myślałem, że to pasjonujący zawód.
 - Pasjonujący? - Zaśmiała się. - Oglądałeś za dużo filmów z Indianą Jonesem.
 - Pewnie tak - przyznał. - Potem chciałem być dentystą. No wiesz, wielka poczekalnia z kolorowymi magazynami i akwariem ze słoną wodą, praca pięć godzin dziennie w przyjemnym środowisku i zgarniasz ciężką kasę.
 - Nieźle.
 - Chyba tak. Ale potem zmieniłem zdanie.
 - Kim teraz chcesz być?
 - Chyba nauczycielem.
 - Dlaczego?
 - Mogę skłamać i powiedzieć, że chcę pomagać w rozwoju młodych umysłów i wpajać im wielkie prawdy, ale naprawdę to z powodu długich urlopów. Jestem zepsuty. Lubię wakacje. Chcę mieć dwa miesiące letnich wakacji, dwa tygodnie ferii na Boże Narodzenie i tydzień na Wielkanoc. Nie wytrzymałbym dwóch tygodni urlopu w roku i koniec. - Odgryzł kęs hamburgera. - A ty?
- Wzruszyła ramionami.
- Wytwórnia win. Co innego?
 - A gdybyś nie chciała pracować w wytwórni? Co wtedy?
 - Ale chcę.
 - A gdybyś nie chciała? Gdybyś chciała zostać programistką komputerową? Co na to twoja... twoje matki?
 - Nie wiem.
 - Nie mają komu tego zostawić oprócz ciebie, prawda? Nie masz braci ani siostr.
 - Nie mam żadnych krewnych.
- Popatrzył na nią.
- Żadnych?
- Jej spojrzenie powędrowało przez boisko, potem wróciło do niego. Złośliwie zmarszczyła nos.
- A gdybyś mógł być każdym, kim zechcesz? Nic praktycznego czy realistycznego. Twoje sekretne marzenie.
 - Gwiazdor rocka - palnął.
- Roześmiała się.
- Tysiące dziewczyn wrzeszczą na mój widok, fanki do wyboru.

-Hej!

Uśmiechnął się, napił coli.

- Naprawdę nie masz żadnych innych krewnych? Tylko twoje matki?

Poczerwieniała.

- Nie chcę o tym rozmawiać, okay? Kiedy indziej.

- Okay. Rozumiem.

Dion dokończył hamburgera, zwinął foliowe opakowanie i rzucił do najbliższego kosza na śmieci. Spudłował o parę metrów, więc wstał, podniósł folię i wrzucił do środka. Odwrócił się. Przez cienki materiał bluzki widział kontury stanika Penelope. Usiadł obok niej.

- Więc jak to jest z nami? - zapytał, siląc się na niedbały ton. - Jesteśmy przyjaciółmi czy... więcej niż przyjaciółmi?

Oblizła wargi i nie odpowiedziała.

Serce waliło mu w piersi i nagle zapragnął cofnąć te słowa.

- Jak jest z nami? - zapytał ponownie.

- Nie wiem.

- Ani ja. - Głos mu się załamał.

Oboje milczeli przez chwilę.

- Chcę być więcej niż przyjaciółmi - powiedziała cicho Penelope.

Znowu zamilkli. Hałas wokół nich odpłynął, stracił znaczenie. Patrzyli sobie w oczy i żadne nie wiedziało, co powiedzieć, ale żadne nie odwróciło wzroku. Milczenie stało się niezręczne, ale w przyjemny sposób, radosne zakłopotanie świeżej intymności. Dion uśmiechnął się ze skrępowaniem.

- Czy to znaczy, że jesteś, ee, moją dziewczyną?

Przytaknęła, ale spuściła wzrok.

- Jeśli chcesz.

- Chcę - odpowiedział.

Znowu chwila wahania, niepewności, a potem wziął ją za rękę. Dłonie mu się spociły. Wstydził się tego, ale nie tak bardzo, żeby cofnąć rękę. Ścisnął dłoń Penelope.

Oddała mu uścisk.

Wypuścił wstrzymywany oddech.

- No, to nie było takie trudne.

- Nie było?

Roześmiała się.

On też się roześmiał.

A potem śmiali się razem.

Dion spotkał się z panem Holbrookiem po lekcjach. Nie rozmawiał z nauczycielem o indywidualnym toku nauki od tamtego dnia, prawie o tym zapomniał, ale na ostatniej lekcji

otrzymał różowy blankiet z zawiadomieniem, że ma się zgłosić po szkole do nauczyciela mitologii. Wrzuciwszy książki do szafki, poszedł przez szybko pustoszejący hol do pokoju Holbrooka.

Klasa była pusta. Czekał przez pięć minut, ale nauczyciel się nie pojawił. Chciał już wyjść, ale zobaczył napis na tablicy:

„Dion,
zaczekaj. Zaraz przyjdę”.

Na tablicy widniały też inne słowa, na wpół zatarte. Wiele napisano w jakimś obcym języku, literami nie pochodzącymi z angielskiego alfabetu i Dion wiedział nie wiadomo skąd, że nie miały żadnego związku ze szkołą ani lekcjami.

Z jakiegoś powodu to go przestraszyło.

Drzwi się otworzyły i Holbrook wszedł do klasy. Niósł całe naręczce materiałów, które położył na biurku. Na wierzchu znalazło się coś jakby złożone prześcieradło.

- No więc jak leci, Dion? - zagadnął.
- No, od porannych lekcji w moim życiu nie zaszły żadne wielkie zmiany.

Holbrook zachichotał, ale bez wesołości.

- Racja, widzieliśmy się przecież rano, prawda? W klasie.

Dion opierał się o ławkę i teraz się wyprostował. W głosie nauczyciela brzmiało coś dziwnego, niezwykłego, nie na miejscu.

Groźba.

Poczuł ściskanie w żołądku. Ten głos wyrażał skrywaną, zawoalowaną wrogość, podobnie jak spojrzenie, którym go obrzucił nauczyciel. Co Holbrook miał przeciwko niemu?

Nagle uświadomił sobie, że drzwi klasy są zamknięte.

- Ja... dostałem pana wezwanie. - Podniósł różowy formularz, daremnie próbując powstrzymać drżenie głosu.

- Tak - potwierdził Holbrook.
- Chodzi o ten indywidualny tok nauki? Już panu mówiłem, że nie chcę.
- Dlaczego? - zapytał nauczyciel. - Boisz się zostać ze mną sam? - Wyszczерzył zęby.

To się robiło za bardzo dziwaczne. Dion ruszył do drzwi.

- Przepraszam, muszę już iść - oświadczył.
- Boisz się, że cię zaatakuję?

Dion przystanął i odwrócił się do nauczyciela. Zobaczył teraz, że materiały na biurku to zwoje pergaminu.

- Z jakiego powodu pan mnie wezwał? - zapytał spokojnie, wytrzymując spojrzenie nauczyciela.

Holbrook odwrócił oczy, cofnął się o krok.

- A jak myślisz, dlaczego cię wezwałem?

Dion pożałował, że nie ma przy sobie Kevina. Gdyby mógł liczyć na moralne wsparcie przyjaciela, odpowiedziałby: „Bo jest pan zbrodźcą, dlatego”. Ale Kevina tu nie było i Dion nie odważył się odszczeknąć nauczycielowi.

- Nie wiem - powiedział.

Holbrook wysunął górną szufladę biurka. Dion wyciągnął szyję i próbował zobaczyć, czego szukają palce nauczyciela. Wśród ołówków i spinaczy dostrzegł błysk czegoś, co wyglądało jak długi nóż.

Drzwi się otworzyły i Dion podskoczył, przestraszony.

- Chwileczkę! - rzucił Holbrook.

Dion nie wiedział, czy nauczyciel zwraca się do niego, czy do grupy mężczyzn wchodzących do klasy, ale przepchnął się obok nich i wypadł na korytarz. Serce mu waliło, cały się spocił. Natychmiast zauważył, że szkoła wydawała się opustoszała, ani śladu uczniów czy kadry nauczycielskiej.

Odwrócił się, napotkał spojrzenie ostatniego mężczyzny i szybko pobiegł korytarzem do wyjścia. Przybyszy było pięciu, każdy niósł zwoje papirusu oraz białą tkaninę - całkiem jak Holbrook. Dion nie wiedział, czy zaproszono go na spotkanie Ku-Klux-Klanu, czy innego tajnego stowarzyszenia, ale sytuacja wcale mu się nie podobała, więc nie zwolnił, dopóki nie wybiegł z budynku na ulicę i ruszył chodnikiem do domu.

22.

Pastor Robens rozejrzał się po niemal pustym kościele. Próbował się uśmiechnąć, chociaż nie miał na to najmniejszej ochoty. Trzy tygodnie wcześniej, kiedy frekwencja na nabożeństwach zaczęła spadać, przypisał to epidemii grypy. Przed dwoma tygodniami obwinał ważny mecz. Lecz w zeszłym tygodniu, kiedy jego trzódka nadal się kurczyła, kiedy liczba osób uczestniczących w niedzielnej mszy zmniejszyła się do jednocyfrowej i odstępy pomiędzy ludźmi w ławkach wciąż się poszerzały, musiał przyznać, że sprawa jest poważna.

Od pięciu dni usiłował rozgryźć problem, ustalić, co się dzieje. Przejrzał swoje notatki z ostatnich dwóch miesięcy w obawie, że mógł powiedzieć coś obraźliwego, co odstręczyło wiernych, ale niczego takiego nie znalazł. Nawet zadzwonił do kilku długoletnich parafian, którzy przestali uczęszczać na niedzielne nabożeństwa, i zapytał, czy coś się stało, czy mają

jakis powód, żeby nie chodzić do kościoła. Wszyscy co do jednego zapewnili, że wszystko w porządku i że pojawią się w niedzielę.

Żaden się nie stawiał.

I zabrakło sześciu innych.

Pastor Robens złożył dłonie i uśmiechnął się do nielicznych obecnych, kiedy organista skończył grać. Uśmiech był fałszywy, stanowił maskę. Pastor nie czuł się dzisiaj szczęśliwy ani spokojny.

Martwił się.

Ostatnie nuty hymnu ucichły. Pastor Robens skłonił głowę.

- Módlmy się.

Polly Thrall połknęła opłatek i łączywie wypila wino. Ojciec Ibarra uśmiechnął się do niej, pobłogosławił ją i przesunął się do następnej osoby, Billy'ego Bencha. Spojrzał ponad głową Billy'ego na puste ławki, potem na podwójny szereg klęczących kobiet i mężczyzn. Ogólna frekwencja spadała, ale coraz więcej osób przystępowało do komunii.

Dużo więcej.

Powinien się z tego cieszyć. Ale jakoś nie mógł. Gorliwość, z jaką parafianie wypijali swój łyk wina, wydawała mu się świętokradcza, niemal wyzywająca. Odprawiali najświętszy z rytuałów, entuzjastycznie wykonywali wszystkie stosowne czynności, ale było w tym coś niewłaściwego, bluźnierczego, ich entuzjazm wydawał się niezdrowy i niechrześcijański. Jakby bardziej się interesowali winem niż samym obrzędkiem, chociaż to nie miało sensu.

Billy zjadł podany opłatek, łakomie wypił wino.

Ojciec Ibarra uśmiechnął się, udzielił błogosławieństwa i ruszył dalej.

Nie podobała mu się ta sytuacja.

Ani trochę.

23.

Restauracja wyglądała inaczej, niż Dion się spodziewał. Sądząc po nazwie i okazałej, rustykalnej, nieco europejskiej fasadzie, wyobrażał sobie Foxfire Inn jako gustowny i elegancki lokal, ciemną salę jadalną z wiktoriańskimi meblami, kosztownymi kandelabrami i przyciszoną klasyczną muzyką. Owszem, w środku było ciemno, ale znajdowały się tam boksy z czerwonymi, dość sfatygowanymi winylowymi obiciami, a na gołych ścianach wisiały sportowe trofea: łby łosi, poroża, broń. Przez otwarte drzwi, prowadzące do zadymionego

baru, widział neonową reklamę piwa i słyszał gorączkową paplaninę komentatora sportowego z nastawionego zbyt głośno telewizora.

Nic się nie układało tak, jak zaplanował.

Ale Penelope wcale się nie przejmowała.

Dion przygotował każdą chwilę tego wieczoru, przeciwiczył każdy temat rozmowy, na razie jednak nic nie szło po jego myśli. Idealny romantyczny wieczór, który sobie wyobraził, zmienił się w ciąg katastrof.

Ale to nie miało znaczenia. Penelope tylko się roześmiała, kiedy zostawił portfel na stacji benzynowej Sheila i musiał po niego wrócić. Uprzejmie udała, że nic nie widzi, kiedy przyszedł się przywitać z matkami i miał rozpięty rozporek. Nie okazała rozczarowania, kiedy zobaczyła wnętrze „ładnej” restauracji, do której obiecał ją zabrać i do której nałożyła swoją najlepszą sukienkę.

Logistyka wieczoru okazała się koszmarem, lecz Penelope okazała się lepsza, niż mógł sobie wymarzyć.

Gwoli uczciwości należało przyznać, że jedzenie było niezłe. Jedli powoli i rozmawiali. Opowiadał jej o swoim życiu, ona jemu o swoim. Od pierwszej chwili instynktownie darzyli się zaufaniem i chociaż to była dopiero pierwsza randka, Dion zwierzał się Penelope z myślmi i uczuć, jakich nigdy nikomu nie zdradzał i nie przypuszczał, że komuś o tym powie. Czuł, że jej mógł powiedzieć wszystko, co napelniało go jednocześnie strachem i radością.

Dwie godziny minęły jak z bicia strzelił.

Skończyli jeść i pomocnik sprzątnął wszystko oprócz szklanek z wodą, po czym wróciła kelnerka.

- Czy podać państwu coś jeszcze? - zapytała.

Dion spojrzał pytająco na Penelope, która pokręciła głową.

- Chyba nie - powiedział.

- Zaraz przyniosę rachunek.

Dion uśmiechnął się i kiwnął głową, ale kiedy spojrzał na Penelope, zorientował się, że nie wie, ile zostawić napiwku. Obiad udał się zadziwiająco dobrze, znacznie lepiej, niż Dion liczył czy się spodziewał, teraz jednak znowu miał szansę wszystko zawalić. Jeśli zostawi napiwek za mały, wyjdzie na skąpiradło. Z drugiej strony jeśli zostawi za duży napiwek, Penelope uzna go za głupka, ponieważ wiedziała, że nie jest bogaty. Ale w tym przypadku ile to będzie za mało? Ile to będzie za dużo?

- Ja dam napiwek - zaproponowała Penelope.

Zagapił się na nią. Zupełnie jakby czytała w jego myślach. Ale pokręcił głową.

- Nie.

- Zapłaciłeś za obiad. Przynajmniej tak mogą się zrewanżować.

Otworzyła torebkę, wyjęła trzy banknoty jednodolarowe i położyła na stole.

Trzy dolary.

Odrpreżony, zgarnął banknoty i oddał dziewczynie.

- Nie - powtórzył stanowczo. - Ja zapłacę.

- Wielki macho. - Uśmiechnęła się, ale schowała pieniądze. Zapłacili rachunek i szli już do drzwi, kiedy Dion usłyszał kobiecy głos wołający:

- Młody człowieku!

Obejrzał się i po lewej stronie zobaczył starszą kobietę, siedzącą samotnie przy małym stoliku. Miała po pięćdziesiątce albo przed sześćdziesiątką i nosiła obcisłą, jaskrawą sukienkę, niemodną i niestosowną w jej wieku. Farbowane blond włosy upięła w sztywny, nieładny kok i nawet w przyćmionym świetle widział grubą warstwę jej makijażu. Mrugnęła do niego.

Z przykrością pomyślał o matce. Zbyt łatwo mógł ją sobie wyobrazić jako tę podstarzałą damulkę, samotną i zdesperowaną, rozpaczliwie próbującą odtworzyć czasy, które dla niej dawno minęły.

- Młody człowieku! - powtórzyła kobieta ochryplym, piskliwym głosem.

Dion odwrócił się, żeby odejść.

- Ona cię woła - odezwała się Penelope. - Idź i zobacz, czego chce.

- Nie. Ona woła kogoś innego.

- Młody człowieku!

- Idź i zobacz, czego chce. Bądź miły.

Dion przeszedł po dywanie do stolika starszej pani. Nie nosiła stanika; widział jej duże piersi i sterzące sutki pod opiętą tkaniną sukni. Poczul wstręt do siebie, że to zauważył.

- Siadaj - powiedziała kobieta, wskazując mu krzesło obok siebie. Pokręcił głową.

- Musimy iść.

Z tak bliska czuł zapach alkoholu. Wisiał nad jej stolikiem jak ciężkie, tanie perfumy, przesycił powietrze, a kiedy kobieta się odezwała, nasilił się w dwójnasób. Złapała go za ramię kościstymi palcami. Widział plamy wątrobowe na pomarszczonej skórze pod bransoletką.

- Widzisz tę rybę tam wysoko? - zapytała kobieta.

Wskazała ogromnego plastikowego marlina, zawieszzonego na ścianie za jego plecami. Zdawał sobie sprawę, że ludzie przy sąsiednich stolikach patrzą na niego i chichoczą. Twarz go paliła.

- Widzisz tę rybę?

Przytaknął bez słów.

- Właściciel restauracji ją złowił.

Poszukał wzrokiem pomocy u Penelope, ale ona tylko patrzyła na niego z twarzą bez wyrazu.

- Złowił tę rybę na ścianie.
- Tak - bąknął Dion.
- Właściciel złowił tę rybę.
- No, muszę już iść. - Próbował się uwolnić.

Kobieta ścisnęła go mocniej.

- Właśnie tamtą rybę. Właściciel złowił tamtą rybę.

I nagle zapragnął ją uderzyć, spoliczkować. Kobieta dalej bełkotała pijacko, idiotycznie, z oczami zastygłymi w ślup, usta jej się otwierały i zamykały jak u marionetki brzuchomówcy, i chciał ją mocno walnąć, poczuć, jak jego pięść napotyka kość pod skórą, usłyszeć jej płacz, usłyszeć jej krzyk, kiedy będzie ją bił.

Od alkoholowych wyziewów kręciło mu się w głowie. Wyszarpnął ramię.

- Tamtą rybą jest plastikowa - oświadczył.
- Właściciel złowił tamtą rybę! - upierała się płacząco kobieta. Piersi jej się przesunęły pod ciasną sukienką.

- Właściciel nie złowił tamtej ryby. Tamtą rybą jest plastikowa. A pani jest pijana.

Szybko ruszył przez salę do Penelope. Słyszał, jak ludzie chichoczą przy stolikach za jego plecami.

- Właśnie że złowił! Właśnie tamtą rybę!
- Chodź - powiedział Dion. Wziął Penelope za rękę i pociągnął do drzwi.
- Życzę przyjemnego wieczoru - powiedziała hostessa, kiedy wychodzili z restauracji.

Nocne powietrze było chłodne i rześkie, świeże i czyste. Ciężkie drewniane drzwi zamknęły się za nimi i odcięły restauracyjny hałas.

- O co jej chodziło? - zapytała Penelope.

Dion pokręcił głową, odetchnął głęboko.

- Stara się upiła.
- Wiem, ale dlaczego tak gwałtownie zareagowałaś? Myślałam, że ją uderzysz.
- Tak myślałaś?
- Tak to wyglądało.
- Ja po prostu... nie wiem, chyba dostałem klaustrofobii. Głowa mnie trochę boli. Musiałem stamtąd wyjść.

Przybrała zatroskaną minę.

- Źle się czujesz?

- Nie, nic mi nie jest. - Na dworze od razu zrobiło mu się lepiej. - Nie wiem, co mnie naszło. Po prostu nie mogłem tam wytrzymać. - Pokręcił głową, uśmiechnął się do niej. - Chodźmy. Jutro szkoła i muszę cię odwiedzić do domu.

- Na pewno nic ci nie jest?

- Na pewno.

Ręka w rękę poszli chodnikiem w stronę parkingu. Obcasy ich butów głośno stuknęły w ciszy. Dion zerknął na stojak z gazetami, który mijali po drodze.

I przystanął z zapartym tchem.

Na pierwszej stronie gazety zobaczył zdjęcie wąsatogo mężczyzny.

Mężczyzny, który spędził noc z jego matką.

Nie musiał czytać nagłówka, żeby wiedzieć, że ten człowiek został zamordowany.

- O co chodzi? - zapytała Penelope.

Uświadomił sobie, że ścisła jej dłoń, więc rozluźnił palce. Obliznął wargi, nagle wyschnięte.

- Nic - wykrztusił.

Patrzył na zdjęcie i myślał o mężczyźnie, którego spotkał w nocy na korytarzu, myślał o matce w kuchni następnego ranka.

Myślał o krwi na rękawie jej szlafroka.

Wyjął ćwierćdolarówkę z kieszeni, wrzucił do automatu, otworzył pokrywę i wyciągnął egzemplarz gazety.

- Co to znaczy? - zapytała Penelope, czytając nagłówek. Spojrzała na niego. - Znasz tego człowieka?

Dion złożył gazetę i wsunął pod pachę. Pokręcił głową.

- Nie - odpowiedział. - Nie znam.

Ruszył przodem przez parking do samochodu.

Matki nie było, kiedy wrócił do domu, nie zostawiła mu żadnej wiadomości na lodówce. W domu nie paliły się żadne światła, co znaczyło, że wyszła jeszcze za dnia, pewnie niedługo po nim.

Umyślnie położył gazetę na stole w salonie - złożoną, ze zdjęciem na wierzchu, żeby na pewno je zobaczyła.

Poszedł spać.

Zasypiał, kiedy wtargnęła do jego pokoju, pijana i zapłakana. Klapnęła ciężko na brzegu łóżka. Poderwał się i usiadł. Zaspianymi, ledwie widzącymi oczami zobaczył na cyfrowym budziku pierwszą z minutami.

Matka objęła go mocno i poczuł przez bluzkę miękkość jej ciała. Pachniała słodko winem i kwaśno nieświeżym oddechem. Przypomniała mu starą kobietę z restauracji. Jedną

ręką masowała jego nagie plecy. Próbował się wyrwać, cofnął się w stronę wezglowia.

Puściła go, przestała płakać i nagle odwróciła się do niego z gniewem.

- O co chodzi? - zapytała. - Jesteś pijany?

- Nie! - zaprzeczył.

- Lepiej nie kłam. Jeśli kiedyś poczuję alkohol w twoim oddechu, wyrzucę cię z domu.

Jesteś już dość duży, żeby sam sobie poradzić, i jeśli nie przestrzegasz moich zasad, to wynocha. Zrozumiano?

- Dlaczego? - Gotów był się kłócić o coś, w co nie wierzył, ale chciał ją zranić.

- Bo ja tak mówię. Bo to złe.

- Ale nie jest złe, kiedy ty się szlajasz i sprowadzasz do domu obcego faceta, żeby się z nim pieprzyć...

Trzasnęła go mocno w twarz, równie boleśnie co głośno. Ze złością podciągnął koc i przesunął się na drugą stronę łóżka. Policzek go piekł. Niechciane łzy napłynęły do oczu.

Matka na chwilę zamarała w bezruchu, z pustą twarzą, a potem nagle znowu się rozpłakała. Płakała otwarcie, bezwstydnie. Twarz jej poczerwieniała, strumienie łez spływały po policzkach. Z ust zwisiała nitka śliny, której nie pofatygowała się otrzeć.

- Nie powtarzaj moich błędów - wybełkotała niewyraźnie.

Twarz ciągle go bolała.

- Jeśli to błędy, czemu dalej je popełniasz?

- Nie wiem. Chciałabym ci powiedzieć. Chciałabym znać łatwą odpowiedź. Ale nie wiem. Piję. Palę. Nie mogę nic poradzić. Chciałabym powiedzieć, że to nałóg albo choroba, ale to coś innego. Nie chcę taka być, Dion.

Ale nic nie mogę poradzić.

Patrzył na nią z drugiej strony łóżka. Coś w jej zachowaniu, jakiś niepokój podpowiedział mu, że nie tylko była pijana, ale także znalazła gazetę, którą dla niej zostawił. Zaczął myśleć o zamordowanym mężczyźnie.

Zaczął myśleć, że ona widziała jego śmierć.

Kiedy Dion ją odwiózł, Penelope weszła do kuchni, żeby się napić wody. Słyszała, jak matki rozmawiają w salonie, i chociaż nie chciała im przeszkadzać, tylko przemknąć na górę do łóżka, usłyszała, jak matka Margeaux ją woła. Posłusznie weszła się przywitać.

Matka Margeaux stała obok kominka.

- Witaj, Penelope. Jak twoja randka?

Penelope wzruszyła ramionami.

- Dobrze.

Na kanapie obok matki Sheili siedziała wysoka blondynka, której Penelope nie znała. Kobieta nosiła krótką dżinsową spódniczkę i obcisłą białą bluzkę, podkreślającą krągłość pełnych piersi. Nieznajoma uśmiechnęła się do Penelope, która odwróciła wzrok.

- Dokąd poszliście?
- Tylko na obiad.
- Dobrze się bawiłaś?
- Tak.

Matka Margeaux uśmiechnęła się.

- To dobrze. - Spojrzała na zegarek. - Porozmawiamy jeszcze przez chwilę, ale po wyjściu naszego gościa chcemy pomówić o twoim wieczorze.

- Jestem zmęczona. Już późno...
- Nie tak późno. Wykąp się i wróc na dół.
- Ale...

- Penelope. - Ton głosu matki Margeaux sugerował, że nie zamierza tolerować żadnych dyskusji.

- Tak, mamo. Przyjdę.

Penelope wycofała się na górę. Wyjęła piżamę z szuflady komody i zwędziła magazyn „People” z pokoju matki Felice, żeby poczytać w wannie.

Pół godziny później znowu zeszła na dół. Weszła do salonu. Blondynka zniknęła, ale wszystkie pięć matek siedziało półkolem na miętko wyściełanych sofach, twarzami do niej. Takie ustawienie wyglądało trochę onieśmielająco. Wszystkie matki milczały, żadna się nie uśmiechała. Czekwały cierpliwie, aż Penelope do nich dołączy. Matka Margeaux wciąż miała na sobie elegancki kostium, jak zwykle na spotkaniach z potencjalnymi klientami, strój obliczony na wywołanie wrażenia siły i pewności, i ten przekaz docierał do Penelope głośno i wyraźnie.

Usiadła potulnie na kozetce.

- Zamierzamy porozmawiać o seksie - oznajmiła matka Margeaux.

Penelope zamrugła.

- Nigdy o tym nie rozmawialiśmy - ciągnęła matka Margeaux - chociaż chyba powinniśmy dawno temu.

Policzki Penelope zrobiły się gorące. Spojrzała na swoje pantofle, nerwowo potarła stopą o stopę.

- Ja już wszystko wiem-powiedziała.
- Tak, ale wątpię, czy wiesz o kontroli urodzin.
- Wiem. - Marzyła, żeby te męczarnie się skończyły.
- Wiesz o pigułce? Wiesz, co to jest wkładka domaciczna? Diafragma? Kondom?
- Tak - bąknęła żałośnie.
- Skąd się tego wszystkiego dowiedziałaś?

- Nie wiem.
- Ze szkoły?
- No, chyba tak. Po prostu... nie wiem. Czytałam o tym. Słyszałam rozmowy.
- Czy rozmawialiście o tym z Dionem? Rozmawialiście o kontroli urodzin?
- Mamo!
- Jesteś w klasie maturalnej, podobnie jak Dion. Zakładam, że oboje wykazujecie naturalne popędy, powszechne u wszystkich młodych kobiet i mężczyzn w waszym wieku. To znaczy, że prawdopodobnie będziecie uprawiać seks. Twoje matki i ja chcemy tylko wiedzieć, czy o tym rozmawialiście.

Penelope odwróciła wzrok z zażenowaniem i nie odpowiedziała.

- Całowałaś go już?
- To nie wasza sprawa.
- To nasza sprawa. Myślałaś, żeby uprawiać z nim seks?
- Słuchajcie - powiedziała Penelope. - Do niczego nie doszło. I może nigdy nie dojdzie.
- Jeśli dojdzie - powiedziała matka Margeaux - nie chcemy, żebyś stosowała antykoncepcję w żadnej postaci.

- Co?

Zaszokowana Penelope podniosła wzrok. Przenosiła spojrzenie z jednej matki na drugą, ale chociaż wszystkie uśmiechały się do niej pobłaźliwie, najwyraźniej wcale nie żartowały. Czowała się zakłopotana i jednocześnie zdezorientowana. Zbita z tropu. Nie wiedziała, co powiedzieć i jak zareagować.

Matka Janine wyszczerzyła zęby.

- Czy myślałaś o jego kutasie? - zapytała.

Penelope wytrzeszczyła na nią oczy. Nigdy nie słyszała, żeby jej matki używały wulgarnych wyrażen, najwyżej czasami mówiły: „do diabła” czy „do cholery”, toteż takie słowo w ustach jednej z nich zabrzmiało wyjątkowo obscenicznie.

- On ma duże. Jest ładny i długi.

- Wystarczy - przerwała matka Margeaux surowym tonem.

Penelope rozejrzała się po półkolu twarzy. Matki wcale się nie oburzyły, jak się spodziewała. Siedziały spokojne i niewzruszone, jakby codziennie odbywały takie rozmowy. Co tu się dzieje?

- Nie stosuj żadnych środków antykoncepcyjnych - poprosiła łagodnie matka Felice.

Matka Margeaux i matka Sheila przytaknęły.

- Zaproś go tutaj - zaproponowała matka Margeaux z uśmiechem. - Zaproś go jutro na obiad. Właściwie nie miałyśmy okazji go poznać.

Zmieszana Penelope popatrzyła na matki. Raz wygłaszały takie zwariowane teksty, a po chwili zachowywały się jak typowi troskliwi rodzice. Z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Czy to jakiś test, czy co?

- Test? - Matka Margeaux się roześmiała. - Wielkie nieba, skąd. I nie zamierzamy wywierać na ciebie żadnego nacisku. Ale jak wiesz, wychowałyśmy cię w atmosferze całkowitej szczerości i uczciwości, więc chcemy od początku ustalić pewne sprawy. Na pewno sama przyznasz, że lepiej spojrzeć prawdzie w oczy, niż udawać, kłamać i zaprzeczać, jak się postępuje w większości rodzin. Jesteś już kobietą, stoisz wobec kobiecych problemów i uznajemy ten fakt.

- On ma wielkiego. - Matka Janine się uśmiechnęła. - Ma wielkiego kutasa.

- Janine! - Matka Margeaux rzuciła jej miazdzące spojrzenie, które starło uśmiech z jej twarzy. Znowu odwróciła się do Penelope. - Zaprosisz go na obiad?

Kiwnęła głową, wciąż oszołomiona.

- Zapytam go. Nie wiem, czy się zgodzi.

- Zgodzi się.

Wszystkie milczały przez chwilę, wymieniając spojrzenia. Penelope wstała.

- To wszystko?

- Tak. Możesz iść spać.

Wyszła z salonu i ruszyła na górę. W połowie schodów usłyszała stłumiony chichot matki Janine. Już po chwili wszystkie śmiały się histerycznie. Nawet matka Felice.

24.

W domu było ciemno, kiedy Horton wrócił z pracy. Widocznie przepaliła się żarówka w podłączonej do timera lampie w salonie. Metodą Braille'a przejrzał metalową zawartość kółka na klucze na stopniu nieoświetlonego ganku, szukając okrągłej gładkości klucza od domu. Znalazł go obok kanciastego kluczyka do dawno sprzedanego thunderbirda. Otworzył drzwi i automatycznie zapalił światło, wchodząc do środka.

Dom cuchnął starością i stęchlizną, kurzem i brudnymi ubraniami, dawnymi posiłkami. Horton przeszedł po ciemnym, kudłatym dywanie salonu. Nawet przy zapalonym świetle pokój wydawał się mroczny, jakiś poźółkły cień uparcie opierał się wszelkim wysiłkom rozweselenia wnętrza. Wyglądał na to, czym był, pomyślał Horton. Mieszkanie samotnego

mężczyzny. Choć pokoje urządziła jego była żona, ten ślad kobiecej ręki nigdy nie został odnowiony, odświeżony ani unowocześniony. W całym domu panowała kawalerska atmosfera. Puszka po piwie Coors z wczorajszego wieczoru stała w wyschniętym kółku wilgoci na zagraconym stoliku do kawy obok sterty gazet, stosu częściowo otwartych listów z reklamami oraz opróżnionej torby chipsów ziemniaczanych. Wczorajsze skarpetki zwinięte w kulki walały się pomiędzy nogami kanapy.

Ciszę mącił tylko stłumiony pomruk elektrycznego zegara na zatłoczonej półeczce z drobiazgami nad sprzętem hi-fi. Horton szybko włączył telewizor, wdzięczny za hałas i towarzysztwo na ekranie. Zawadził spojrzeniem o oprawioną rodzinną fotografię na telewizorze i jak zawsze przesunął wzrok dalej, nie patrząc.

Poszedł do kuchni. Wyjął z zamrażarki zamrożone burrito, przeciął plastikowe opakowanie i włożył naleśnik do mikrofalówki. Wyciągnął z lodówki piwo. Czasami żałował, że musiał jeść i spać. Czasami żałował, że nie mógł pracować bez przerwy. Nie cierpiał swojej pracy, ale w gruncie rzeczy jeszcze bardziej nienawidził wolnego czasu. W pracy przynajmniej miał zajętą głowę, myślał o czymś innym oprócz swojego życia.

Opróżnił puszkę trzema szybkimi łykami, ale stwierdził, że to za mało. Potrzebował czegoś mocniejszego.

Zegar w mikrofalówce zadzwonił. Horton wyjął burrito, rzucił na talerz i ściągnął folię. Otworzył szafkę w niszy nad lodówką i wyjął butelkę szkockiej. Chciał wyjąć szklankę, ale się rozmyślił. Nie potrzebował kolejnej szklanki do zmywania.

Usiadł, zjadł kęs burrito, pociągnął łyk szkockiej.

Skończył burrito i butelkę prawie w tym samym czasie.

25.

W świetle poranka, kiedy spiker radiowy recytował litanię wydarzeń z wczorajszego wieczoru, kiedy kuchnię wypełniał zapach świeżej kawy, podejrzenie, że mama jest zamieszana w czyjąś śmierć, wydawało się nie tylko naciągane, ale wręcz śmieszne. Dion stał w drzwiach i przez chwilę przyglądał się matce, która przy blacie, odwrócona do niego plecami, smarowała grzanki serkiem śmietankowym. Gdyby zabiła tego mężczyznę, musiałyby popełnić zbrodnię pomiędzy drugą w nocy, kiedy go spotkał na korytarzu, a szóstą rano, kiedy zeszła na śniadanie. Musiałyby to zrobić bez hałasu i równie dyskretnie pozbyć się ciała.

Cieszył się, że jego podejrzenia się rozwiały. Gdyby wciąż podejrzewał matkę, nie wiedziałby, co zrobić. Wydać ją? Anonimowo zawiadomić policję? Zapytać ją wprost? Nie robić nic? Nie wiedział.

Matka widocznie go usłyszała albo wyczuła jego obecność, bo się odwróciła. Wokół oczu miała ciemne obwódki - dowód kaca. Próbowala się do niego uśmiechnąć, ale tylko częściowo jej się udało.

- Przepraszam za wczorajszy wieczór - powiedziała. Unikała jego wzroku.

W milczeniu kiwnął głową, równie zakłopotany, i zajął się szukaniem soku pomarańczowego w lodówce.

- Po pracy wyszłam z Margaret, Janine i paroma innymi przyjaciółkami i chyba za dużo wypilałam.

Zmarszczył brwi. Czy ona nie widziała gazety? Zerknął na nią. Wydawała się skruszona, zawstydzona, ale nie do tego stopnia, jakiego oczekiwał. Odchrząknął.

- Ten facet został zamordowany - oznajmił.

Popatrzyła na niego pytająco.

- Twój przyjaciel. Facet, z którym spędziłaś noc.

- O czym ty mówisz?

- Nawet nie przeczytałaś gazety?

Pokręcił głową i zdecydowanie ruszył do salonu, ale gazeta już nie leżała na stole.

- Co zrobiłaś z gazetą?

- Z jaką gazetą?

- Tą, którą tu położyłem wieczorem!

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Sama nie wstała i nie wyszła.

- Dion...

- Zostawiłem ją dla ciebie!

- Po co?

Nagle wściekł się na matkę.

- Bo facet, z którym się rżnęłaś, został zamordowany! Myślałem, że to cię chociaż trochę obchodzi!

Twarz jej stwardniała. Natarła na niego z furią, ale cofnęła się za kanapę. Przystanęła i wycelowała w niego palcem.

- Nigdy więcej nie odzywaj się do mnie w ten sposób.

- Świetnie! - zawołał Dion. - W ogóle nie będę się do ciebie odzywał!

- Świetnie!

Mierzyli się wzrokiem przez chwilę. Potem matka odwróciła się i pomaszerowała z powrotem do kuchni.

Dziwka, pomyślał. Cholerna dziwka.

Przeszedł przez hol do swojej sypialni i trzasnął drzwiami.

Dion nerwowo wytarł spocone dłonie o spodnie i nacisnął dzwonek. Gdzieś wewnątrz domu zadźwięczała melodyjka. Po chwili Penelope otworzyła drzwi.

- Cześć - powiedziała nieśmiało.

Uśmiechnął się do niej.

- Cześć.

Drzwi rozwarły się na całą szerokość i za plecami Penelope zobaczył jej matki. Kobiety miały na sobie identyczne zielone sukienki - obcisłe sukienki, podkreślające kształty. Przez cienką tkaninę widział ciemne sutki i niewyraźne trójkąty przygniecionych włosów łonowych. Z zażenowaniem uświadomił sobie, że żadna z kobiet nie nosiła bielizny.

Penelope również ubrała się na zielono, ale jej sukienka była luźniejsza, z innego, grubszego materiału, mniej odsłaniała.

Wszystkie były bose.

Dion poczuł się niezręcznie w swoich dżinsach, białej koszuli i czarnych tenisówkach. Miał wrażenie, że popełnił jakąś towarzyską gafę.

- Wejść - powiedziała Penelope. - Chyba nie miałeś żadnych kłopotów z bramą?

Pokręcił głową.

- Żadnych.

- To dobrze. - Uśmiechnęła się i posłała mu spojrzenie proszące o cierpliwość, po czym wskazała za siebie. - Dion, poznaj moje matki. Tym razem wszystkie. - Wskazywała po kolei kobiety stojące w szeregu. - To jest matka Margeaux, matka Felice, matka Margaret, matka Sheila i matka Janine.

- Wskazała Diona. - Matki, to jest Dion.

Kobiety powitały go dziwnym, niezręcznym na wpół dygnięciem, na wpół ukłonem, ruchem jakby znajomym, chociaż nie potrafił go z niczym skojarzyć.

- Bardzo się cieszymy, że przyjąłeś nasze zaproszenie na obiad - powiedziała matka Margeaux. - Tyle o tobie słyszałyśmy i bardzo chciałyśmy oficjalnie cię poznać. - Obdarzyła go szerokim, białym uśmiechem, jak z reklamówki pasty do zębów, w zamierzeniu życzliwym i przyjaznym, który jednak podziałał nieco onieśmielająco.

- Może przejdziecie do drugiego pokoju? - zaproponowała matka Felice. - Porozmawiacie sobie, a ja przygotowuję obiad.

- Jest zupa cytrynowa i kurczęta z kozim serem - oznajmiła Penelope. - Mam nadzieję, że to lubisz. Chyba powinnam najpierw cię zapytać.

- Pyszności - zapewnił ją szczerze.

Matka Janine chwyciła go za rękę, odciągnęła od Penelope i poprowadziła do drugiego pokoju. Czuł jej gładkie palce, lekko naciskające jego kłykcie.

- Jestem zaszczycona, że wreszcie cię poznałam - oświadczyła. - I taka przejęta.
Obejrzał się na Penelope, która tylko się uśmiechnęła, wzruszyła ramionami i poszła za nimi.

- Czy miewasz sny, Dion?

- Każdy ma sny - odpowiedział.

Matka Janine zaśmiała się niskim, zmysłowym śmiechem, który jakoś go zaniepokoił.

- Zeszłej nocy śniło mi się, że jestem pchłą i kąpię się w twojej krwi...

- Janine! - odezwała się ostro matka Margeaux.

Ręka została uwolniona i Penelope przysunęła się do niego.

- Usiądź koło mnie - szepnęła. - Pomogę ci przez to przebrnąć.

Weszli do salonu.

Stół w jadalni był wielki i królewski, nakrycia tradycyjne. Pokój pachniał czymś nieznanym, jednocześnie organicznym i obcym. Dion usiadł w pobliżu szczytu stołu, obok Penelope. Przedobiednia rozmowa okazała się ani taka niezręczna, jak się obawiał, ani taka dziwna, jak się spodziewał. Matki Penelope zadawały pytania typowe dla rodziców, dyskretnie badając jego zamiary wobec ich córki, i wydawały się całkiem zadowolone z odpowiedzi.

Obiad okazał się całkiem inny. Jak tylko weszli do jadalni, wszelkie rozmowy ucichły, jakby nagle przekroczyli barierę dźwięku. W ciszy rozlegało się tylko szuranie nóg krzeseł i ciche plaskanie bosych stóp na sekwojowej podłodze.

Teraz słyszał tylko siorbanie zupy.

Odchrząknął, żeby coś powiedzieć, choćby zwyczajowo skomplementować kuchnię matki Felice, ale chrząknięcie zabrzmiało tak głośno, że natychmiast zrezygnował z zabierania głosu.

Po drugiej stronie stołu matka Sheila podniosła karafkę spomiędzy bliźniaczych waz na zupę.

- Masz ochotę na trochę wina? - zwróciła się do Penelope niemal szeptem.

Dziewczyna zagapiła się na nią ze zdumieniem.

- Nie wolno mi...

- To wyjątkowa okazja. Poza tym masz prawie osiemnaście lat. Jesteś dorosła, odpowiedzialna. Myślę, że sobie poradzisz. - Uśmiechnęła się przekornie. - Mieszkasz w wytwórni win przez całe życie. Nie mów mi, że nigdy ukradkiem nie próbowałaś.

Penelope splonęła rumieńcem.

- Uważam, że nie powinna pić - odezwała się matka Felice, sznurując usta.

Penelope uśmiechnęła się z wdzięcznością do swojej ulubionej matki.

- Może się napić, jeśli chce - zawyrokowała matka Margeaux ze szczytu stołu.

Matka Sheila nalala Penelope kieliszek.

- Proszę bardzo. - Spojrzała pytająco na Diona. - Dion?

Poprawił się na krześle, okropnie zakłopotany. Napatrzywszy się z bliska na niszczycielskie skutki alkoholu, nie uważał picia ani za dorosłe, ani za podniecające, raczej za coś złego i trochę przerażającego. Nie chciał jednak obrazić matek Penelope. Serce mu waliło.

- Tylko troszeczkę - powiedział.

Matka Sheila uśmiechnęła się i nalala.

Dion wziął łyżeczek. Nigdy przedtem nie próbował alkoholu, chociaż miał mnóstwo okazji. Smakowało lepiej, niż się spodziewał, całkiem przyjemne. Mama często zostawiała otwarte butelki po całym domu, wiele razy czuł jej pijacki oddech i po jakimś czasie wystarczał sam zapach, żeby go zemdlilo.

Ale to wino było dobre. Pociągnął drugi, większy łyk.

Przy stole ponownie zapadła cisza. Pozostałe matki dalej siorbały zupę i popijały wino. Matka Felice wyszła doglądać kurczaków.

Dion zjadł zupę i widząc, że skończył pierwszy, starał się sączyć wino jak najwolniej. Opróżnił kieliszek i matka Sheila szybko nalala mu następny. Nie tknął go. Miał lekkie mdłości, trochę kręciło mu się w głowie i kiedy rozejrzał się po uśmiechniętych twarzach matek Penelope, w pierwszej chwili pomyślał, że go otruły. Wsypały mu zabójczą truciznę do wina, żeby go nie dopuścić do ich córki. Ale to była głupia, idiotyczna myśl. Przynajmniej wystarczyło mu rozsądku, żeby zrozumieć, że alkohol wpłynął na jego procesy myślowe i zmącił mu rozum.

Czy tak się czuł pijany człowiek? Jeśli tak, wcale mu się nie podobało.

- Napij się jeszcze - zaproponowała matka Sheila, wskazując jego nietknięty kieliszek.

Pokręcił głową, która wydawała się ciężka, przepelniona.

- Nie, już wystarczy.

- No, pij - zachęciła go matka Janine.

Poczuł bosą stopę ocierającą się o jego nogę, głaszczącą go po łydce.

Myślenie sprawiało coraz większą trudność. Spojrzał na Penelope, siedzącą obok niego, a ona odwzajemniła spojrzenie i wzruszyła ramionami na znak, że nie wie, co mu poradzić.

- Nie smakuje ci nasz gatunek? - zapytała matka Margeaux.

Dion wziął kieliszek i posłusznie wypił łyk. Kiwnął głową.

- Jest bardzo dobry - oświadczył.

Wypił jeszcze łyk. Wrażenia się zmieniły i teraz odkrył, że to mu się podoba. Ociężałość i mdłości zniknęły, zastąpione lekką euforią.

Matki Penelope uśmiechnęły się do niego.

Matka Felice wniosła kurczaki.

Resztę posiłku zjedli w milczeniu.

Po obiedzie Penelope poszła na górę, przebrała się w dżinsy i podkoszulkę, po czym w dwójce wyszli do ogrodu. Powietrze było rześkie i chłodne, ale Diona rozgrzewał wewnętrzny ogień. Przypuszczał, że to skutek alkoholu.

Zastanawiał się, czy w tym stanie zdoła prowadzić samochód.

Penelope poprowadziła go do tej samej kamiennej ławki, na której siedzieli zeszłym razem. Oparłszy się o mur za ławką, Dion zobaczył kilka długich żerdzi zwieńczonych sosnowymi szyszkami. Zmarszczył brwi. Podobnie jak powitalny ukłon kobiet, to również wydawało się znajome, nie wiadomo skąd.

- Twoje matki są miłe - powiedział. Własny głos wydał mu się zmieniony, głośniejszy, wzmocniony. Ciekawiło go, czy Penelope zauważyła różnicę.

Kiwnęła głową.

- Owszem. Na ogół. Ale czasami są trochę dziwne.

Zachichotał.

- W tym masz rację.

Siedzieli obok siebie na ławce. Penelope przysunęła się bliżej. Ich dłonie, spoczywające płasko na kamieniu, prawie się stykały. Dion nakrył jej palce swoimi i zdziwił się ich ciepłem. Pochylił się w lewo, przycisnął ramię do jej ramienia. Nie wiedząc, co powiedzieć, nie wiedząc, czy powinien coś powiedzieć, objął ją i przyciągnął do siebie. Oblizał wargi, żeby je zwilżyć, po czym ją pocałował.

Czekała na to i uniosła ku niemu twarz. Wargi się rozchyliły, języki się spotkały i Dion poczuł natychmiastową reakcję między nogami. Pocałunek stał się namiętny, usta mocniej napały na usta, języki się splątały.

Dion się odsunął.

- Czy twoje... twoje matki mogą nas tutaj zobaczyć?

Penelope objęła go za szyję.

- Nie - odparła. - Poza tym one mi ufają.

Wsunęła mu język głęboko do ust. Z wahaniem sięgnął dalej i nakrył dłonią jej prawą pierś. Była mała, lecz twarda, sutek sterczał pod tkaniną. Penelope nie odepchnęła jego ręki, tylko przywarła do niego. Zaczął ją masować, zataczał palcami powolne koła i poczuł, że nieznacznie zeszywniała.

Przesunął rękę w dół, do jej spodni.

Tym razem próbowała go odepchnąć.

- Nie! - zaprotestowała, ale stłumił jej głos pocałunkiem.

Nie zważając na jej sprzeciw, wsunął czubki palców pod pasek dżinsów, dotknął chłodnego jedwabiu majtek.

Odsunęła się.

- Nie - oświadczyła stanowczo, wyjmując jego rękę ze spodni.
- Okay - powiedział, cofając dłoń. - Przepraszam.

Twarz go paliła i oddychał ciężko. Zdawał sobie sprawę, że chociaż przeprosił, w jego głosie nie było skruchy. Trochę się wstydził tego, czego próbował, wstydził się, że został odtrącony. Ale inna, głębiej ukryta, bardziej mroczna część jego osobowości czuła gniew, gniew z powodu jej odmowy, gniew z powodu jej postawy, gniew na nią. Chciał ją uderzyć, zadać jej ból, chciał czuć ciepłą, ustępliwą elastyczność jej skóry, kiedy ją spoliczkuje, chciał trzasnąć ją w usta, żeby popłynęła krew, chciał rzucić ją na twarde kamienny mur i wziąć ją siłą, żeby krzyczała z bólu, strachu i pożądania.

Zorientował się, że zaciska pięści, więc rozluźnił palce. Pokręcił głową, żeby rozproszyć mgłę.

Co się z nim działo?

Penelope wstała, przyglądała włosy i podkoszulkę.

- Robi się późno - powiedziała.

Dion kiwnął głową i oboje weszli z powrotem do środka. Wszystkie matki odprowadziły go do drzwi, żeby się pożegnać. Dion podziękował im za wspaniały wieczór.

- Może przyjdiesz w następną sobotę? - zaproponowała słodko matka Janine, kiedy wyjmował kluczyki z kieszeni.

Spojrzał na Penelope, która odwróciła wzrok.

- Okay - powiedział. - Dzięki. Bardzo chętnie.

Penelope zamknęła drzwi łazienki na klucz. Chciało jej się płakać. Życie jest takie niesprawiedliwe! Spuściła majtki, odwinęła jakieś trzydzieści centymetrów papieru toaletowego, złożyła i przez papier wyjęła podpaskę. Cholera, dlaczego musiała dostać okres właśnie teraz? Owinęła papierem podpaskę i wrzuciła do kosza.

Wspomniała dotyk ręki Diona na piersi, jego język w jej ustach, nacisk jego erekcji na udzie. Pragnęła go wtedy i kiedy wsunął palce w jej spodnie, chciała, żeby włożył rękę do końca, żeby dotknął jej waginy.

Dlaczego akurat teraz dostała okres?

Spojrzała na czerwień krwi, przesiąkającej przez biały papier toaletowy. Chociaż nie znosiła przykrej konieczności miesiączkowania, nienawidziła bólu i niewygody, pryszczy i huśtawek nastroju, sama krew jej nie przeszkadzała. Jedyne, co lubiła w tej całej męczarni, to zmieniać podpaski.

Zobaczyła szkarłatną smugę na czubku wskazującego palca i przysunęła go do nosa. Zapach krwi ją ożywił, niemal podniecił. Miała ochotę dogonić Diona i zgwałcić go.

Usiadła na sedesie, bo trochę jej się zakręciło w głowie. Nie powinna pić wina. Od tego dziwnie się zachowywała i dziwne myśli przychodziły jej do głowy.

Wstała, wyjęła nową podpaskę, przymocowała do majtek. Zanim je podciągnęła, odechnęła głęboko piżmowym zapachem. Dotknęła swojej piersi, wspominając, jak czuła ręce Diona przez cienką podkoszulkę. Przez chwilę, kiedy kazała mu przestać, sprawiał wrażenie, że chciał ją uderzyć, zmusić do uległości.

I przez chwilę, przez krótką chwilę chciała, żeby tak zrobił.

Dion wciskał pedał gazu, wracając z wytwórni win. Czuł ogień w kroczu, kiedy pędził zaciemnioną wiejską drogą do domu, bolesne napięcie domagające się rozładowania. Był twardy, wyjątkowo twardy, ale nie odczuwał żadnej przyjemności. Raczej przykry dyskomfort. Penis wydawał się niezwykle wrażliwy, przy każdym obrocie kierownicy ocierał się o bieliznę. To bolało, ale jednocześnie zwiększało erekcję.

Nacisk na penisa wzrastał, kiedy Dion przydeptywał pedał gazu, przyspieszał, przekraczał dozwoloną prędkość, desperacko pragnąc wrócić do domu.

Pomyślał o Penelope, jak dotykał jej majtek, chłodny jedwab i gładka, miękka skóra pod palcami.

Erekcja pulsowała.

Nie mógł dłużej wytrzymać. Zjechał na pobocze, wrzucił luz i dosłownie wypadł z samochodu, zostawiwszy silnik na chodzie. Zanurkował w krzaki, gorączkowo rozpiął pas, szarpnięciem rozsunał rozporek lewisów i chwycił swój nabrzmiąły organ. Złapał go mocno i zaczął pompować, przesuwając rękę szybko tam i z powrotem wzdłuż prącia.

Doszedł prawie natychmiast, strumień gęstego, mlecznobiałego nasienia trysnął na kurz i zeschłe liście.

Dion dalej się masturbował, aż bolało, ale nie mógł się spuścić po raz drugi.

Członek wciąż sterczał sztywno jak drąg.

O Boże, pomyślał. Naprawdę coś z nim było nie tak. Potrzebował pomocy. Lekarskiej albo psychiatrycznej, albo jednej i drugiej...

Zgiął się wóół i zwymiotował w krzaki, gardło i żołądek pracowały w mdlącym tandemie, kurczyły się i rozkurczały, dopóki nie wyrzucił z siebie wszystkiego.

Wytańł usta i powłókl się z powrotem do samochodu, zapinając spodnie. Nie płakał, nie czuł potrzeby płaczu od... już nie pamiętał, jak dawno. Od lat. Teraz jednak wsiał do samochodu, zablokował drzwi, sprawdził, czy okna są zamknięte, i oparł głowę na kierownicy.

Chlipał jak dziecko.

26.

Panno Daneam?

Penelope odwróciła się i szybko rozejrzała po zatłoczonym szkolnym korytarzu, szukając właściciela głosu. Zatrzymała wzrok na panu Holbrookku stojącym w otwartych drzwiach pokoju nauczycielskiego. Przywołał ją gestem. Rzuciła Velli przepraszające spojrzenie i podeszła do nauczyciela mitologii.

- Penelope - powiedział.

- Tak?

- Penelope - powtórzył przeciągle, obracając słowo na języku. - Dobre imię. Klasyczne imię.

- Tak, wiem. Penelopa była żoną Odyseusza.

Obejrzała się niecierpliwie na Vellę.

- Nie znasz przypadkiem pochodzenia twojego nazwiska?

Pokręciła głową.

- Niestety moja rodzina nie interesuje się genealogią.

- Czy nie masz czasem greckich przodków?

Wzruszyła ramionami.

- A co?

- Och, nic. Pytam przez ciekawość. Tak naprawdę zawołałem cię dlatego, że chciałem zapytać, czy nie jesteś spokrewniona z Daneamami z winnicy Daneam.

Przytaknęła.

- To nasza rodzinna firma.

- Wczoraj wieczorem spróbowałem waszego wina. Wyjątkowe. Naprawdę bardzo interesujące. Pomyślałem sobie, że może załatwisz mi zwiedzenie wytwórni.

- Nie wpuszczamy zwiedzających. - Zmarszczyła brwi. - I skąd pan wziął butelkę naszego wina? Nie sprzedajemy go tutaj.

- Przyjaciółka dała mi spróbować.

- Skąd je miała?

- Chyba kupiła w sklepie z alkoholami.

- Tutaj? W Napa?

Kiwnął głową.

- Chyba tak.

- Dziwne. Muszę o to zapytać mamę.

Pan Holbrook uśmiechnął się.

- Może przy okazji zapytasz o zwiedzenie wytwórni?

- Przykro mi, ale nie wpuszczamy zwiedzających.

- Tylko zapytałem.

Penelope popatrzyła na niego.

- Ale to nie wpłynie na mój stopień?

Zachichotał.

- Nie - zapewnił. - Dostaniesz trzy z minusem, jak zawsze.

- Co?

- Tylko żartowałem. Nie martw się. Ty i Dion łatwo zarobicie piątki.

- No to do widzenia. - Odsunęła się od drzwi.

- Do zobaczenia w klasie.

Penelope przeszła z powrotem przez już mniej zatłoczony korytarz. Dziwne, pomyślała. Bardzo dziwne. O co mu chodziło? Czy chciał poznać którąś z jej matek? Żadne inne wyjaśnienie nie przychodziło jej do głowy. Dlaczego on się tak zachowywał? Spróbowała sobie wyobrazić pana Holbrooka z matką Margeaux albo z matką Janine, ale nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

- Co jest? - zapytała Vella, podchodząc do niej.

- On chciał zwiedzić wytwórnię.

- Po co?

Penelope pokręciła głową.

- Nie wiem. Może chciał poznać moją mamę.

Obie zaśmiały się, idąc na czwartą lekcję.

27.

Mel Scott po pracy pojechał do domu zamiast prosto do szpitala. Wiedział, że to głupie i kompletnie bez sensu, ale chciał się przebrać przed wizytą u Barbary. Nie obchodziło jej, co nosił, nawet tego nie widziała, ale przebieranie się dla niej pomagało udawać, że wszystko jest jak dawniej, kiedy Barbara jeszcze żyła.

Nie żeby umarła. Była w śpiączce od dziewięciu miesięcy, ale wciąż żyła i lekarz powiedział, że istnieje nikła szansa, że się obudzi.

Chociaż ta szansa zmniejszała się z każdym dniem.

Została potrącona w piątek po południu, kiedy wracała piechotą z pracy. Pijany kierowca zignorował znak stopu i nie zauważył jej, kiedy wyszła zza rogu. Uderzył ją z tyłu, a ona odbiła się od maski i trzasnęła głową o asfalt. Krew poplamiała jedną z białych linii przejścia dla pieszych tak mocno, że trzeba było ją przemalować.

Miała szczęście, że nie zginęła.

Jak na ironię po procesie, po skazaniu sprawcy na piętnaście lat bez możliwości warunkowego zwolnienia, Mel sam zaczął pić i chociaż pilnował się, żeby nigdy nie prowadzić po pijanemu, często odwiedzał w tym stanie żonę w szpitalu.

Zastanawiał się, czy o tym wiedziała.

Ostatnio przerzucił się z whisky na wino i chociaż to powinno oznaczać poprawę i drastycznie zredukować jego spożycie alkoholu, z niewiadomego powodu zaczął pić jeszcze więcej. Dużo więcej. Teraz popijał wino nie tylko po pracy i po obiedzie, ale do obiadu, do lunchu i coraz częściej do śniadania. Jakby nigdy nie miał dosyć.

Tego ranka wlał nawet trochę do ciasta na naleśniki.

Rozmyślał o tym przez cały dzień. Próbował racjonalizować swój ostatni postępek, tłumaczył sobie, że tak samo Julia Child* dodawała prawie do wszystkiego kuchenną sherry, ale inna jego cząstka ostrzegała, że to nie jest normalne zachowanie. To jest obsesja, nałóg, uzależnienie.

* Julia Child (1912-2004) - wprowadziła w Ameryce wykwinną kuchnię francuską, była autorką licznych książek kucharskich oraz popularnych programów telewizyjnych, (przyp. tłum.).

Ale nie miał żadnych skrupułów.

Co najdziwniejsze, to wszystko nie miało żadnego wpływu na jego pracę, chociaż nawet gdyby miało, nie groziły mu żadne reperkusje. Niecały rok dzielił go od emerytury, a kontrola i proces zwolnienia zabrałyby co najmniej tyle czasu - gdyby w ogóle podjęto takie postępowanie, co było ryzykowne wobec kogoś w jego wieku i z jego szeroko nagłośnionymi problemami.

W domu Mel wziął prysznic, uczesał się i nałożył garnitur. Pojechał do szpitala, pomachał lekarzom i pielęgniarkom w skrzydle jego żony i wszedł do jej pokoju.

Jej stan się nie zmienił. Jak zawsze Mel przez sekundę czuł rozczarowanie. Wiedział, że będzie leżała nieruchomo na łóżku, dokładnie w tej samej pozycji, dokładnie z tym samym wyrazem twarzy, ale w głębi duszy ciągle miał nadzieję, że wywoła jakąś reakcję, kiedy otworzy drzwi, że ona spojrzy na niego nieprzytomnie i zapyta, co się stało, że będzie na niego czekała z otwartymi ramionami.

Dalej jednak leżała bez ruchu, z podłączonymi rurkami i czujnikami, z maszynami i butlami tlenu wokół łóżka.

Poklepał się po kieszeni marynarki. W zeszłym tygodniu zaczął przynosić flaszkę na wizyty u Barbary, piersiówkę. Zdawał sobie sprawę, że to żalosne, godne politowania zachowanie zrozpaczonego człowieka, ale potrzebował wsparcia. Lekarze i pielęgniarki zaprotestowali, kiedy to odkryli, straszili go przepisami szpitalnymi, ale sprzeciwiali się tylko dla

zasady. Wiedzieli, jak bardzo był przywiązany do Barbary, wiedzieli, ile go kosztuje ta tragedia, i rozumieli, nawet jeśli nie pochwalali.

Przeżywał ciężkie chwile.

Namacał flaszkę i wyciągnął z kieszeni. Sprawdził, czy nikogo nie ma w korytarzu za drzwiami, i szybko wypił całą zawartość.

Usiadł na swoim krześle obok łóżka i na chwilę zamknął oczy, czując działanie wina. Kiedy znowu otworzył oczy, Barbara wyglądała inaczej. Szpitalne otoczenie i sprzęt medyczny wydawały się teraz niepotrzebne, nieprawdziwe, jakby Barbara tylko spała.

- Barbaro? - zawołał cicho.

Nie odpowiedziała.

Przelknął napływające łzy. Ona nie spała tak zwyczajnie. Była w śpiączce. Głębokiej śpiączce. I mogła nigdy się nie obudzić.

- Barbaro? - powtórzył.

Dotknął jej policzka, poczuł ciepło, ale bez życia. Spojrzał na ścianę, próbował pomyśleć, co zrobi na obiad, próbował pomyśleć o rzeczach, które jutro musiał zrobić w pracy, próbował pomyśleć o czymkolwiek, byle tylko nie płakać.

Pożałował, że nie zabrał drugiej flaszki.

Samotna łza wymknęła mu się spod powieki i stoczyła do połowy pobrużdżonego policzka, zanim ją stał. Siedział bez ruchu. Po chwili nastrój minął.

Z wdzięcznością wziął rękę Barbary i jak zawsze opowiedział jej o swoim dniu. Opisywał drobiazgi, które składały się na jego życie, dzielił się z nią myślami i wrażeniami, jakby była z nim w domu i robiła obiad. Wyobrażał sobie jej odpowiedzi i czuł się prawie tak, jakby naprawdę z nią rozmawiał.

Mówiąc, głaskał jej dłoń. Głaskał dalej nawet wtedy, kiedy skończyły mu się tematy.

Pomyślał o wszystkich razach, kiedy ta dłoń go głaskała.

Uśmiechnął się. Nie robili tego zbyt często przez ostatnie lata. Nadal się kochali, może bardziej niż kiedykolwiek, ale seks jakoś przestał ich bawić, oboje. W ciągu ostatniej dekady zdarzało im się to rzadko, a nawet wtedy nie zawsze się udawało.

Ostatnio jednak odkrył, jak bardzo mu brakowało tej części ich związku. Samotny w łóżku, wspominał ich wczesne wspólne lata, kiedy robili to prawie co noc - i kiedy zaspokajała go nawet w te dni miesiąca.

Ostatnio często się masturbował.

Trzymał rękę Barbary i wpatrywał się w jej twarz. Lekko rozchylone usta, pełne i wilgotne, wyglądały zapraszająco.

Zamknął oczy. Co on sobie myślał? Co mu odbiło, do cholery? Puścił jej rękę. To przez wino. Za dużo dzisiaj wypił. Zaczynał tracić rozsądek.

Otworzył oczy, ponownie spojrzął na wilgotne wargi Barbary i poczuł mrowienie w łądźwiach.

Wstał jak we śnie, przeszedł przez pokój i zamknął drzwi. Wrócił do łóżka. Miała rurki w nosie, pomyślał. Będzie mogła oddychać.

I oczywiście chciałaby go uszczęśliwić.

Nie. To szaleństwo.

Przez chwilę stał obok łóżka, patrząc na jej znajomą twarz. Czuł, jak jego erekcja rośnie coraz bardziej. Zrobił się twardy, boleśnie twardy.

Opuścił spodnie i włożył na nią.

Usłyszał, że drzwi otwierają się za jego plecami. Usłyszał, że pielęgniarka się zachłysnęła.

- Panie Scott! - krzyknęła.

Ale on już wepchnął członek do jej ust i pompował.

28.

Penelope stała sama w głównym szkolnym korytarzu. Tylko że szkoła była pusta, opuszczona, wiekowy kurz pokrywał gołe posadzki. Na zewnątrz panowała noc, jedynie odrobina księżycowego blasku przeświecała przez okna zabite deskami, ale wystarczyło, żeby Dion zobaczył, że Penelope była naga. I że się dotykała.

Potem usłyszał natarczywe, coraz głośniejsze łopotanie, jakby stada ptaków zrywających się do lotu albo lądującego helikoptera. Dźwięk narastał, potężniał i z czerni za plecami Penelope wyłonił się ruchomy kształt, opadał poprzez spektrum kolorów, jaśniejszy, szary, biały, ogromny, trzepoczący, niewyraźny stwór, w którym ku swemu przerażeniu Dion rozpoznał monstrualnego łabędzia. Nawet w ciemności widział miękkie wargi na pomarańczowym, nieustępliwym dziobie, ludzkie oczy spoglądające z zimnym wyrachowaniem spod płataniny piór. Jak na dany znak Penelope przestała się obmacywać, opadła na czworaki i czekała.

Za nią Dion zobaczył masywny penis łabędzia.

Penelope wygięła plecy, wypięła pośladki w stronę łabędzia, który dosiadł jej od tyłu. Krzyknęła raz, głośno, straszliwym krzykiem bólu, a potem pióra fruwały, łabędź rozpadał się w deszczu bieli, który spływał na Penelope, i dziecko makabrycznie wylaziło z jej narzmiętego czoła, skóra pękła poniżej linii włosów, rozdarła się w powodzi krwi, która spłynęła z wylaniającego się noworodka.

Dziecko uśmiechnęło się do Diona, wysuwając resztę ciała z głowy Penelope, która upadła na bok.

- Ojciec - powiedziało dziecko głosem jak grom. - Syn.

Dion zbudził się z dziwnym uczuciem. Usiadł. Dolna połowa jego ciała wydawała się inna, nieznaną, jakby należała do kogoś obcego. Na chwilę zamknął oczy, znowu otworzył. Odkrył, że boi się poruszyć nogami, boi się, że go nie posłuchają, że będą działać w sposób, do jakiego nie jest przyzwyczajony.

Przekręcił głowę i wyjrzał przez okno. Na dworze było jeszcze ciemno. Widział zaokrągloną sylwetkę wzgórza, oświetloną od tyłu blaskiem księżyca.

Natychmiast odwrócił wzrok, przestraszony.

Co się ze mną dzieje, do cholery?

Nie wiedział i dużo czasu minęło, zanim znowu zasnął.

29.

Kevin i Dion minęli szkolny autobus w drodze na parking. Wcześniej padało i zrobiło się mokro, kałuże rozlane na wszystkie strony zdradzały każdą nierówność chodnika.

- Wiesz - powiedział Kevin - odkąd się spiknęliśmy, ty mnie całkiem olewasz. Nie żeby mi brakowało twojego żalosego towarzystwa, ale...

Styropianowy kubek wypełniony lodem, wyrzucony z okna autobusu, wylądował na chodniku po prawej stronie Kevina.

- Złamas! - wrzasnął chłopięcy głos.

- Nie zwracaj mi dupy swoimi problemami! - odwrzasnął Kevin.

Schylił się, podniósł kubek i cisnął w bok autobusu. Lód uderzył o blachę z mokrym pląśnięciem. Dion parsknął śmiechem.

- Więc jakie masz plany na wieczór?

Dion wzruszył ramionami.

- Nie mam żadnych planów.

- Nie spotykasz się z Penelope?

- Nie wiem.

- Więc zrób sobie wolny wieczór. Chcemy znowu odwiedzić ojca Ralpha. Paul miał szlaban przez zeszyły tydzień, więc tym razem zamierza naprawdę się odegrać na swoim starym. Będzie super.

- Ja nie...

- No zgódź się, nie bądź pizdenty.

Dion zachichotał.

- Pizdenty?

- Pizdenty - przytaknął Kevin.

- Okay - ustąpił Dion ze śmiechem. - Przekonałeś mnie.

Znowu spotkali się w Burgertime. Chłopak, którego Dion nie znał, przyjechał furgonetką, więc zmieściło się wszystkich sześciu. Tym razem w samochodzie krążyła butelka i Paul zapalił jointa. Dion zmarszczył brwi. Czy mu się zdawało, czy to wszystko wydawało się bardziej szalone niż zwykle, bardziej dzikie? Zaproponowano mu jointa, ale stanowczo pokręcił głową.

- Cienias - zaszydził Paul.

Dion nie odpowiedział.

Jak poprzednim razem, zaparkowali w pewnej odległości od domu ojca Ralpha, a potem przekradli się przez krzaki i błoto na tylne podwórze. Tym razem w domu nie paliły się żadne światła. Tylko z jednego okna wylewała się pulsująca niebieskawa poświata telewizora.

Paul podkraść się do tego okna i zapuścił żurawia do środka. Natychmiast przykucnął, trzęsąc się ze śmiechu.

- Zobaczcie sami! - szepnął. - On tam obraca jakąś laskę!

Pozostali przysunęli się bliżej i zajrzeli do sypialni.

Dion poczuł ściskanie w żołądku. Jedna z matek Penelope, matka Margaret, klęczała na czworakach na podłodze obok łóżka. Pastor klęczał za nią ściskając w rękę swój nabrzmiały organ, ustawiając się w odpowiedniej pozycji. Sukienka i bielizna, spodnie i majtki wały się na dywanie. Pusta, przewrócona butelka po winie leżała na nocnym stoliku. Matka Penelope krzyknęła i jej wielkie piersi podskoczyły, kiedy pastor wszedł w nią od tyłu.

- Tak! - jęknęła. - Tak! Tak!

Dion odwrócił się i oparł o ścianę. Zrobiło mu się niedobrze.

- Przygotujcie się do ucieczki - uprzedził Paul.

Wstał, podniósł aparat fotograficzny i zaczął trzaskać zdjęcia. Dion widział w wyobraźni zmieniający się żywy obraz, kiedy seria szybkich błysków rozdarła ciemność. Widział szok, gniew i strach pastora, widział zmieszanie matki Margaret, kiedy zobaczyła publiczność za oknem.

- W nogi! - wrzasnął Paul.

I Dion pobiegł za pozostałymi przez krzaki, łamiąc gałęzie, ślizgając się w błocie, potykając o korzenie, aż dotarli do furgonetki. Odjechali wśród śmiechów i pokrzykiwań.

- Co to za towar? - zapytał ktoś.

Kevin pokręcił głową.

- Nie wiem.

- Chociaż cycki niezłe - ocenił Paul. - Nic dziwnego, że mój stary się na nią napalił.,

Dion zamknął oczy, a inni się śmiali i furgonetka pędziła przez noc w stronę baru z hamburgerami.

Następnego ranka w szkole unikał Penelope, bał się spojrzeć jej w oczy czuł się winny, jakby to on odpowiadał za zachowanie jej matki, jakby to on zrobił coś złego.

Spotkał Kevina przy szafkach przed lekcją, ale nie usłyszał zwykłych żartobliwych docinków. Przyjaciel wydawał się ponury i przygaszony.

- Słyszałeś nowinę, tak?

Dion zaprzeczył ruchem głowy.

- Ojciec Ralph nie żyje.

Dion zagapił się na przyjaciela, oniemiały.

- Atak serca, tak uważają.

Paul ciężko to znosi.

- Co z tą kobietą? Czy...

- O niej nic nie słyszałem. Pewnie się zmyła, kiedy to się stało.

- Może to się stało po jej wyjściu.

- Wątpię. Pewnie to się stało przez nią.

Dion zamknął szarękę.

- Czy... czy Penelope wie?

- Nie mam pojęcia. - Kevin zmarszczył brwi. - A co?

- Nic - odparł Dion. - Tak pytam, bez powodu.

Kevin przyjrzał mu się podejrzliwie.

- Bez powodu?

- Bez powodu. - Dion przełknął ślinę, odwrócił wzrok. - Chodź. Już późno.

Kevin powoli kiwnął głową.

- Tak. Dobra.

Razem poszli do klasy.

Tego wieczoru rozmawiał z Penelope przez telefon.

Zadzwoiła do niego, zmartwiona, że jej unikał przez cały dzień, a on chciał jej powiedzieć, co widział, co się stało, ale zamiast tego skłamał, że Kevin ma rodzinne kłopoty i musiał zostać z przyjacielem, podtrzymywać go na duchu.

Penelope milczała przez chwilę.

- Myślałam, że to dlatego, że zmieniłeś zdanie.

- Zmieniłem zdanie?

- O nas.

Teraz Dion zamilkł. Serce mu waliło, ręka trzymająca słuchawkę drżała. Przełknął ślinę, musiał się do odpowiedzi.

- Nie zmieniłem - wykrztusił.

Penelope wydawała się równie zdenerwowana jak on.

- Co do mnie czujesz? - zapytała.

Wiedział, co chciała usłyszeć, ale nie był pewien, czy mógł to powiedzieć. Albo czy powinien to powiedzieć.

Ale i tak powiedział.

- Kocham cię.

I mówił prawdę. Nie wiedział, czy czuł to przedtem, czy czuł to przez cały czas, ale czuł to teraz i puls mu przyspieszył, kiedy odpowiedziała cicho:

- Ja też cię kocham.

Bolesna erekcja napierała na jego dżinsy. Był w sypialni, za zamkniętymi drzwiami, więc lewą ręką rozpiął spodnie i uwolnił stwardniały członek. Dotknął się delikatnie i udawał, że to ona go dotyka.

Żadne z nich się nie odezwało i Dion zdawał sobie sprawę, że milczenie staje się niezręczne.

- Czy ty... - zaczął.

- Czy my... - odezwała się Penelope w tej samej chwili. Wybuchnęli śmiechem.

- Ty pierwsza - powiedział Dion.

- Czy się spotkamy w ten weekend?

- Tak - odparł Dion. Głaskał się z zamkniętymi oczami, przyciskając słuchawkę do ucha, i zastanawiał się, czy Penelope będzie go głaskać w ten weekend.

- Jutro i w niedzielę jest jarmark - podsunęła. - Czytałam w gazecie.

- Dobry pomysł.

- Mogę prowadzić, jeśli chcesz.

- Nie, ja poprowadzę - oświadczył Dion.

Nagle przypomniał sobie matkę Penelope, nagą na czworakach przed ojcem Ralphem.

I doszedł. Spermą zachlapała całe dżinsy i narzutę na łóżku. Wypuścił miękący organ i spojrzął z niesmakiem na bałagan.

- Muszę kończyć - powiedział szybko. - Zobaczymy się jutro. Okay?

- Okay. O której po mnie przyjedziesz?

- Może być dziesiąta?

- W porządku.

- Więc o dziesiątej.

- Okay. - I po przerwie: - Kocham cię.

- Ja też cię kocham.

- Dobranoc - powiedziała Penelope.

Chciał odpowiedzieć: „cześć”, ale „dobranoc” wydawało się miłsze, bardziej intymne, bardziej stosowne.

- Dobranoc.

Odłożył słuchawkę, rozejrzał się za chusteczką, ręcznikiem czy serwetką, żeby wytrzeć narzutę. Skrzywił się, wycierając lepką lewą rękę o spodnie. Co się z nim działo, do cholery?

Nie wiedział, ale znowu pomyślał o matce Penelope na czworakach i nie wiadomo dlaczego przypomniał sobie wino, które wypił w domu Penelope, jak smakowało, i jego penis zaczął sztywnieć.

Zanim się zorientował, zanim zdążył się opamiętać, ściągnął spodnie do kostek i znowu gwałtownie się onanizował.

Doszedł prawie natychmiast.

30.

Piętnaście centów reszty. Dziękuję.

Nick Nicholson wrzucił monety w nadstawioną dłoń młodej kobiety i odprowadzał ją wzrokiem pełnym podziwu, kiedy wychodziła z jego sklepu do czerwonej corvetty na parkingu. Lekko kołysała tyłkiem, opiętym ciasną spódniczką. Obejrzała się i uśmiechnęła się do niego, zanim otworzyła kluczykiem drzwi samochodu i wsiadła. Szybko odwrócił spojrzenie, przyłapany, chociaż nie chciał się przyznać.

Co było w tych winach Daneam? Otrzymał dostawę we wtorek i właśnie sprzedał ostatnią butelkę burgunda kobiecie z corvetty. I nie tylko on miał takie obroty. Jim z O-Kay Liquor wyprzedził swój zapas prawie natychmiast, podobnie jak Phil z Liquor Shack.

Najdziwniejsze, że nigdy przedtem nie widział etykiety Daneam. Oczywiście słyszał o wytwórni, ale o ile wiedział, Daneam sprzedawała tylko za zamówieniem pocztowym i tylko dla kolekcjonerów. Teraz ni z tego, ni z owego firma zaczęła dostarczać swoje produkty do miejscowych sklepów, oferując wszystkie pozycje z katalogu.

Równie spontanicznie ludzie zaczęli kupować. Nie tylko kolekcjonerzy, nie tylko koneserzy, ale zwykli ludzie. Bez żadnej reklamy, bez akcji promocyjnej nagle powstał popyt na wina Daneam wśród całego społeczeństwa.

Nick tego nie rozumiał.

Rozmawiał z kilkoma przyjaciółmi, którzy zaopatrywali niektóre najlepsze restauracje w okolicy, i oni również zaczęli kupować wina Daneam. Dwaj nawet przyznali produktom tej winnicy status wina stołowego.

Wszystko w ciągu ubiegłego tygodnia.

Szaleństwo.

Krzepki, brodaty mężczyzna w wystrzępionych džinsach i koszulce Chicago Cubs wszedł do sklepu, wprawiając w ruch dzwoneczki nad drzwiami. Pomaszerował prosto do lady.

- Macie jakieś wina Daneam? - zapytał.

Nick pokręcił głową.

- Niestety, właśnie sprzedałem ostatnią butelkę.

Mężczyzna trzasnęła pięścią w kontuar.

- Cholera!

- Niech pan spróbuje w Liquor Barn na Lincolna.

- Właśnie stamtąd jadę, dupku. - Rozejrzył się po sklepie. - Na pewno nie masz nic schowanego na zapleczu?

- Nie. Przepraszam.

- Gówno prawda! Sam poszukam.

- Nie, nie poszuka pan. - Nick sięgnął pod kontuar, dotknął ukrytej broni. - Teraz pan wyjdzie. Zaraz.

- Kto tak mówi?

- Ja tak mówię.

Nick twardo spojrzął mężczyźnie w oczy i próbował go zmusić do spuszczenia wzroku z nadzieją, że nie będzie musiał wyciągać broni, żeby go nastraszyć.

- Kurwa - rzucił mężczyzna, kręcąc głową.

Przewrócił małą wystawę kosmetyków i ruszył do frontowych drzwi. Dzwoneczki za-brzęczały szaleńczo, kiedy wypadł jak burza na ulicę.

Nick odetchnął z ulgą, ale nie zdjął ręki z broni, dopóki nie zobaczył, jak mężczyzna przecina ulicę i znika. Stał jeszcze przez chwilę, pełen rozterki, potem obszedł kontuar, zamknął frontowe drzwi na klucz i przekręcił tabliczkę w oknie z „Otwarte” na „Zamknięte”. Powinien zamknąć sklep dopiero za pół godziny, ale nie chciał dłużej tkwić za ladą. To nie miało sensu.

Skończyły mu się wina Daneam.

I miał przecucie, że klienci, którzy zjawiają się dziś wieczorem, nie będą pytać o nic innego.

31.

Dion zbudził się, przeciągnął, przetarł oczy. Kopnięciem zrzucił koc, który zbytnio mu ciążył. Na zewnątrz świeciło słońce, przez szyby wlewały się prostokątne kolumny światła, lecz atmosfera wydawała się mroczna, przytłaczająca. Dion nigdy nie cierpiał na klaustrofobię, teraz jednak odczuwał coś podobnego. Wszystko zdawało się ciasne, zbyt bliskie, jakby pokój i cały świat zamykały się wokół niego. Nawet bielizna za bardzo ograniczała swobodę ruchów, bawełna zbyt mocno obcisła skórę. Zerwał z siebie podkoszulkę, ściągnął szorty, ale wrażenie pozostało.

Wstał. Jego ciało wydawało się małe. Dziwne uczucie, ale tylko w ten sposób mógł je opisać. Z pewnością nie skurczył się przez noc, ale z trudem mieścił się w ciele, jakby jego istota zrobiła się za duża w stosunku do fizycznej postaci.

Nie, to nie jego ciało się skurczyło. To on urósł wewnątrz.

Ale to nie miało sensu. Skąd mu to przyszło do głowy?

Miał sny. Przez całą noc. I chociaż pamiętał tylko fragmenty obrazów, wypełniała go pewność, że wszystkie stanowiły jedność, wiązały się ze sobą, przeplatały i zazębiały, niczym poszczególne odcinki serialu.

Z niewiadomych powodów to go przerażało.

Równie przerażające były obrazy, które zapamiętał: głowa matki Margaret z wyszczerzonymi zębami, nabita na jego ogromną erekcję, z którą paradował przed liczną orgiastyczną publicznością w amfiteatrze pod gołym niebem; sznureczek mrówek na ziemi nagle rosnących, morfujących, zmieniających się w ludzi, którzy kłaniali mu się i przysięgali dogonną wierność; martwe kobiety pływające w czarnym jeziorze, z twarzami pustymi i nieruchomymi, ale kopiące nogami, wiosłujące ramionami; pan Holbrook bez koszuli, wtaczający głaz na pochyłe zbocze w ciemnej jaskini; trzy piękne nagie kobiety stojące na szczycie wysokiej skały i śpiewające, podczas gdy mężczyźni na równinie w dole biegli przed siebie jak szaleni i rozbijali sobie głowy o skałę.

Nie wiedział, dlaczego te sny budziły w nim taki strach, ale wydawały się bardziej rzeczywiste niż prawdziwe życie. Najbardziej go przerażało, że ten strach zawierał w sobie element oczekiwania. Chociaż się obudził i sny odpłynęły, nieprzyjemne uczucie pozostało, nie jako zanikająca, szczątkowa reakcja na coś, czego doświadczył, lecz jako narastające, pełne grozy wyczekiwanie na coś, co jeszcze się nie wydarzyło.

Wszedł do łazienki, przejrzał się w lustrze.

Czyżby potrafił przepowiadać przyszłość?

Straszna myśl.

Szybko wziął prysznic i znowu odniósł wrażenie, że jego ciało już do niego nie pasuje.

Odepchnął od siebie tę zwariowaną myśl.

Nie powiedział wcześniej mamie, że umówił się z Penelope. Po prysznicu ogolił się, ubrał i wszedł do kuchni, żeby coś przegryźć, a ona go poprosiła, żeby skosił trawnik. Powiedział jej wtedy, że zamierzał wyjść, a ona ku jego zdziwieniu zawahała się przez chwilę, zanim wyraziła zgodę. Spodziewał się z jej strony zrozumienia, życzliwości, pełnego poparcia. Dotąd odnosiła się z entuzjazmem do jego planów, cieszyła się, że wreszcie ma dziewczynę, więc nawet to lekkie wahanie go dotknęło. Mama nie krytykowała Penelope, ale brak całkowitej, stuprocentowej akceptacji równał się negacji i Dion natychmiast się najeżył.

Cholera, mama nawet nie знаła Penelope. Dlaczego ferowała pochopne wyroki?

Może powinien jej przedstawić Penelope.

Może.

Później o tym pomyśli.

Zjadł szybkie śniadanie składające się z kakao i grzanki, po czym pożyczył od mamy dziesięć dolarów, obiecując, że jej zwróci.

- Zwrócisz mi? - zapytała. - Jak?
- Kiedy zacznę pracować.
- Zamierzasz podjąć pracę?

Wyszczерzył zęby.

- Nie. Ale kiedy zacznę, będziesz pierwszą osobą, którą splącę.

Rzuciła w niego kluczykami od samochodu.

- Spadaj.

Na szczęście bak okazał się pełny, więc Dion nie musiał marnować pieniędzy na benzynę. Nie pomyślał o tym wcześniej. Gdyby pomyślał, pożyczyłby dwadzieścia dolarów.

Wycofał się z podjazdu i wyjechał na ulicę. Zerknął na wschód, w stronę wzgórza, i chociaż ten widok przedtem go denerwował, teraz wydawał się znajomy i krzepiący. Dion już nie pamiętał, dlaczego wcześniej wzgórze budziło w nim taki strach.

Chociaż do dziesiątej został jeszcze kwadrans, kiedy Dion zajechał przed bramę wytwórni win, Penelope już na niego czekała, siedząc na ławce obok wjazdu. Ucieszył się, że zastał ją samą, że nie musiał iść do domu i witać się z matkami. Dzisiaj nie miał na to ochoty.

Wstała na jego widok, podeszła do samochodu i wsiadła, kiedy przechylił się i otworzył jej drzwi po stronie pasażera.

- Cześć - powiedziała.
- Cześć.

Czuli się onieśmieleni, intymna wieczorna rozmowa przez telefon w prywatnym zaciszu sypialni wprawiała ich w zakłopotanie w racjonalnym świetle dnia. Dion wstydził się, że zabawiał się ze sobą podczas tamtej rozmowy, niemniej znowu dostał erekcji.

Czy zrobią to dzisiaj wieczorem?

Nie wiedział, lecz ta możliwość jednocześnie go przerażała i podniecała.

Penelope sięgnęła do torebki i wyjęła wycinek z gazety.

- Jarmark jest na Elm, poza miastem. Wiesz, gdzie to jest?

Pokręcił głową.

- Jedź do następnej przecznicy i skręć w lewo. Powiem ci, dokąd jechać.
- Okay.

Potem milczeli, bo żadne nie wiedziało, co powiedzieć i jak się zachować. Dion chciał włączyć radio, ale zdawał sobie sprawę, że w ten sposób tylko podkreśli niezręczną atmosferę, więc trzymał obie ręce na kierownicy.

Odchrząknął.

- Co to za jarmark? Rolniczy?

- Nie. To jakby festyn, festyn magii. Wróżą z kart, przepowiadają przyszłość, takie rzeczy.

Przepowiadają przyszłość? Co za niesamowity zbieg okoliczności.

- Tutaj skręć w lewo - poleciła Penelope.

Posłusznie obrócił kierownicę i jednocześnie zerknął w prawo, na kępę drzew. Zagajnik wyglądał znajomo i na mgnienie powróciła scena ze snu.

Kobiety w lesie, nagie, umazane krwią, wyjące dziko, wrzeszczące, błagające o niego...

- Co ty wyprawiasz? - zawołała Penelope.

Samochód w połowie zjechał z jezdni i podskakiwał na wyboistym poboczu, kierując się w stronę nasypu. Dion gwałtownie skręcił w drugą stronę, zbyt gwałtownie i Penelope rzuciło na drzwi, kiedy samochód wrócił na swój pas.

- Co ci się stało?

- Przepraszam - bąknął zawstydzony Dion. - Zagapiłem się.

Poczuł miękką dłoń na ramieniu i uświadomił sobie, że po raz pierwszy ona go dotknęła z własnej inicjatywy.

- Dobrze się czujesz?

- Doskonale - zapewnił.

Ale nie czuł się dobrze. Senne koszmary wyrwały się z granic snu i wtargnęły do świata jawy, zakłóciły rzeczywistość, niemal doprowadziły do wypadku, więc przestraszył się jak cholera. Co się dzieje? Przez głowę przemknęła mu myśl, czy to nie jakiś flashback po kwasie. Może dawno temu, kiedy był dzieckiem, mama dodała mu LSD do mleka, a teraz wreszcie doświadczał skutków ubocznych.

Nie, nawet w najgorszych chwilach mama nie zrobiłaby czegoś takiego.

Tak naprawdę wcale nie myślał, że to coś w tym rodzaju. Nie podejrzewał, że to przez narkotyki, które dostawał jako niemowlak, albo promienie ultrafioletowe wpadające przez dziurę w warstwie ozonowej, albo nawet chorobę psychiczną. Nie. Nie wiedział, co się działo, ale przerażało go znacznie bardziej niż każda z tych możliwości.

- Na pewno? - zapytała.

- Aha.

Spojrzał na Penelope i uśmiechnął się z nadzieją, że uśmiech wygląda wystarczająco szczerze.

Czwarty Doroczny Festyn Sztuki i Muzyki New Age Krainy Wina zaczynał się o jedenastej, ale kiedy Penelope i Dion przyjechali trochę po dziesiątej trzydzieści, już sporo ludzi kręciło się pomiędzy stoiskami i przyglądało się, jak spóźnialscy rozstawiają stragany na trocinach. Oboje wysiedli z samochodu i trzymając się za ręce, przeszli po małej drewnianej kładce do wejścia. Weekendowa impreza pierwotnie miała się odbywać w parku w śródmieściu, jak podawał artykuł wycięty z gazety przez Penelope, ale nie mogła się zmieścić w przepisowych granicach wymaganych przy rejestracji, dlatego organizatorzy musieli przenieść festyn na łąkę u stóp wzgórza.

Zmiana lokalizacji bynajmniej nie wpłynęła na frekwencję. Mnóstwo ludzi przyjechało za wcześnie i samochody wciąż się wtaczały na zaimprovizowany parking. Napis nad budką kasjera głosił, że wstęp kosztuje dolara dla dzieci, dwa dolary dla dorosłych, piknikowe kosze i butelki z wodą mile widziane. Dion wyjął portfel, wyciągnął banknot pięciodolarowy i podał kasjerce.

- Byłaś tu w zeszłym roku? - zwrócił się do Penelope.

Pokręciła głową.

- Z kim? Nie miałam z kim pójść. Zresztą nigdy o tym nie słyszałam aż do zeszłego tygodnia.

- Trzymasz rękę na pulsie wydarzeń, co?

Wymierzyła mu szturchańca w ramię i ten spontaniczny koleżeński gest sprawił, że nagle stała mu się bliska. Objął ją w talii i przyciągnął do siebie.

Odebrali bilety i przeszli przez bramę, gdzie mężczyzna z kucykiem ostemplował im dłonie na wypadek, gdyby chcieli wyjść z festynu i wrócić później w ciągu dnia.

Dion rozejrzał się po plakatach zapelnionych pogańskimi symbolami. Na najbliższym stoisku piętrzyły się przybory do czarowania.

- Jesteś chrześcijaninem? - zapytała Penelope.

Odwrócił się do niej.

- Czemu pytasz? A ty?

- Chyba tak. To znaczy nie chodzę do kościoła, ale wierzę w Boga.

Kiwnął głową.

- Ja też - powiedział.

Uśmiechnęła się do niego przekornie.

- Przestraszyłam cię, co? Kiedy usłyszałeś słowo „chrześcijanin”, myślałeś, że chcę wiedzieć, czy jesteś powtórnie urodzony.

- Nie - skłamał.

- Nie udawaj.

Roześmiał się.

- No dobrze. Tak. Przez chwilę. Pomyślałem, że może ukrywałaś ten sekret przede mną, czekałaś, aż poczujesz, że możesz mi zaufać, i nagle teraz postanowiłaś mnie zaskoczyć.

- Bo te pogańskie rzeczy mnie obrażają?

Wyszczzerzył zęby.

- Coś w tym rodzaju.

- Pięknie. - Zaśmiała się. Ruszyli w stronę stoiska z czarami. - Och, i zapomniałam ci powiedzieć: jestem lesbijką.

Kobieta za straganem z czarami, która widocznie podsłuchiwała, obdarzyła ich promiennym uśmiechem.

- Wszystkie jesteśmy lesbijkami w naszym kowenie - oświadczyła. - Faktycznie uprawianie czarów to celebrowanie naszej kobiecości.

Dion poczuł, że Penelope dyskretnie odciąga go od stoiska.

- Mamy literaturę, jeśli jesteście zainteresowani - zawołała za nimi kobieta.

Penelope pokręciła głową.

- Nie, dziękujemy - powiedziała, odchodząc.

Zatrzymali się przy następnym stoisku z egzotycznymi instrumentami muzycznymi z Trzeciego Świata. Dion pobawił się deszczowym kijem, podczas gdy Penelope uderzała drewnianym młotkiem w kłodę drzewa, która wyglądała jak marimba.

Wędrowali przez jarmark ręka w rękę.

Penelope spojrzała w stronę przyczepy kempingowej bez okien, na której wymalowano słowa: „Rozwój po życiu”. Odwróciła się do Diona.

- Wierzysz w niebo? - zapytała. Wzruszył ramionami.

- Chyba tak.

- Zastanawiałaś się kiedyś, jak tam jest? No, bo większość ludzi uważa niebo za cudowne miejsce, gdzie ponownie łączysz się z ukochanymi osobami na wieczność, ale zawsze się zastanawiałam, z którymi ukochanymi osobami. Jeśli kobieta owdowieje i ponownie wyjdzie za mąż, czy po śmierci połączy się z oboma mężami? Czy w niebie istnieje poligamia? A co z wcześniejszymi chłopcami czy kochankami?

Dion roześmiał się.

- Nigdy o tym nie myślałem w ten sposób.

- A co z ulubionymi zwierzętami? Dużo ludzi myśli, że w niebie spotkają znowu swojego psa lub kota. Ale którego psa lub kota? Czy Bóg każe ci wybierać i pozwala zachować tylko ulubione zwierzę, czy też otaczają cię wszystkie zwierzęta, które miałeś przez całe życie?

- Dziwaczne.

- No więc jak ty widzisz niebo?

- Nie wiem. Właściwie nigdy o tym nie myślałem.
- Ja zawsze myślałam, że każdy ma duże towarzystwo. Otaczają go rodzice, bracia i siostry, przyjaciele, kochankowie, mężowie i żony, psy, koty, chomiki, złote rybki i wszystko, co kiedyś kochał.

- Spory tłum.
- To nie wszystko. Każdy z nich też ma swoje niebo. Więc każdy z tych ludzi ma własne towarzystwo. Każdy z twoich rodziców, przyjaciół, kochanków, ulubionych zwierząt, ich przyjaciół, kochanków, zwierząt i tak dalej.

- To przypomina piekło.
Przytaknęła z namysłem.
- Rzeczywiście.
- A jak myślisz, czym jest piekło?
- Nie wiem. Masz jakieś pomysły?
- Och, gorące miejsce, gdzie schylał się nad ławeczką gimnastyczną, a pan Holbrook wsadza mi brzytwę w tyłek przez całą wieczność.

Uderzyła go ze śmiechem.

- Jesteś okropny!
- Widocznie to wpływ Kevina.

Z prawej strony dobiegł pisk sprzężenia w mikrofonie. Dion spojrział tam i zobaczył zespół muzyczny w dziwacznych kostiumach na niewielkim podium. Przed sceną stała grupa około trzydziestu osób.

Muzycy zaczęli grać.

- Dziwny instrument - zauważyła Penelope. - Jak myślisz, co to?

Dion zeszytywniał. Mocniej ścisnął jej ramię.

- Hej ! - zawołała. - Co ty wyprawiasz?

A potem tańczył, śmiał się, zbiegał nagi ze wzgórza, ścigany przez kobiety. Czuł zapach ich dojrzałości, ich gorącego podniecenia, zmieszany z ostrym odorem kozła. Wiedział, że kobiety zamierzają rozedrzeć go na strzępy, rozszarpać jego ciało i pić gorącą krew, ale tego właśnie chciał, do tego tęsknił i czuł szaleńczą ekstazę, kiedy przed nimi uciekał, pragnął przedłużyć to uczucie, pragnął rozkoszować się każdą chwilą pościgu, zanim poczuł cudowny ból ich zębów i paznokci, kiedy znowu go zabijały.

Otworzył oczy i patrzył w niebo, otoczony kręgiem ludzi. Zorientował się, że leży na ziemi. Kamienie i chwasty uwierały go w plecy przez materiał koszuli.

- Dion?

Zobaczył, że Penelope pochyla się nad nim, zmartwiona. Przykucnęła, wzięła jego ręce w swoje.

- Nic ci nie jest?
- Co...? - zaczął. Odchrząknął. - Co się stało?

- Nie wiem. Nagle po prostu się przewróciłeś. Jakbyś zemdlął albo co.

- Mam wezwać karetkę? - zapytał jeden z mężczyzn.

- Nie - powiedział Dion i usiadł. - Już w porządku.

- Może lekarz powinien cię obejrzyć - zaproponowała Penelope.

- Nic mi nie jest. - Wstał i chociaż trochę kręciło mu się w głowie, próbował niczego po sobie nie pokazać. Rozejrzał się po twarzach zgromadzonego tłumu i zmusił się do uśmiechu. - To wszystko. Przedstawienie skończone. Wrzućcie pieniądze do kapelusza.

Kilka osób zachichotało i tłum zaczął się rozchodzić. Dion poczuł rękę na ramieniu.

- Na pewno nic ci nie jest? - zapytał mężczyzna, który przedtem chciał wezwać karetkę.

- Nic - zapewnił Dion. - Potknąłem się o kamień. Zamroczyło mnie przy upadku.

Mężczyzna kiwnął głową i odszedł.

- Wcale się nie potknąłeś - odezwała się Penelope.

Nie, nie potknął się. Ale nie wiedział, co się stało. Wiedział tylko, że nie chce iść do lekarza - ponieważ się bał, że lekarz coś znajdzie, albo z góry wiedział, że nic się nie da znaleźć.

Może miał guza w mózgu. Albo jakiś rodzaj raka. Może miał lekki udar, atak serca czy coś w tym rodzaju.

Nie. Wiedział o tym nie wiadomo skąd. To nie miało nic wspólnego z medycyną. To wywołał dźwięk piszczałek. I jakoś się wiązało z jego snami, i...

Głowa go bolała tak, że zamknął oczy.

- Lepiej wracajmy - powiedziała Penelope. - Ja poprowadzę.

Kiwnął głową i pozwolił się wyprowadzić przez bramę, przez pole, do samochodu.

- Naprawdę uważam, że powinieneś iść do lekarza - powtórzyła Penelope. - A jeśli to coś poważnego...

- Nic takiego.

- Najpierw zjechałeś z drogi, potem...

- To flashback po kwasie - oświadczył.

- Co? - Zatrzymała się, puściła jego rękę. Twarz miała białą, zaszokowaną.

- Przyjaciel mojej mamy wrzucił mi to do mleka, kiedy byłem niemowlakiem - skłamał. - Co jakiś czas mam nawroty.

- Mój Boże.

Znowu wziął ją za rękę i ruszyli dalej do samochodu. Wymyślił historyjkę, jak mama to odkryła, jak facet został aresztowany i trafił do więzienia. Chciał jej wyznać prawdę, chciał jej powiedzieć, że nie wie, co się dzieje, ale coś go powstrzymywało. Chociaż prawda była

znacznie bardziej niewinna niż popełnione przez niego kłamstwa, wydawała się jakaś bardziej osobista i nie mógł się zdobyć na taką otwartość.

W końcu poszli do kina na popołudniowy seans, który pochłonął resztę z jego dziesięciu dolarów. Później Penelope postawiła mu obiad w McDonalddie. Kiedy skończyli jeść, prze-spacerowali się po kilku jeszcze niezamkniętych sklepach.

Wciąż był wczesny wieczór, kiedy Dion zatrzymał samochód przed bramą wytwórni win, wyłączył silnik i zgasił światła. W samochodzie zrobiło się ciemno, kiedy nagle zgasło oświetlenie deski rozdzielczej, ale widział wyraźnie twarz Penelope w nikłym blasku sodowej lampy nad bramą wytwórni. Wyglądała cudownie w półmroku, cera gładka i blada, usta pełne i czerwone. Noc przydała jej urzekającym oczom jeszcze więcej głębi. Wziął ją za rękę, dotknął ciepłej, miękkiej skóry.

- Co do mnie czujesz? - zapytała.

Do jej głosu zakradło się lekkie drżenie.

Wiedział, co chciała usłyszeć, ale nie wiedział, czy potrafi to powiedzieć. Powiedział to już przez telefon, ale osobiście było trudniej. Poza tym nigdy jeszcze nikogo nie kochał i nie wiedział, czy kocha Penelope. Lubił ją i wyraźnie się w niej zadurzył, ale nie wiedział, czy to głębsze uczucie.

- A ty co do mnie czujesz? - zapytał.

Spojrzała mu w oczy.

- Kocham cię - oświadczyła.

- Ja... ja też cię kocham - odpowiedział i mówił prawdę.

Pocałowali się. Lewą rękę wsunął jej za plecy, a prawą objął jej pierś i ścisnął lekko. Członek mu stwardniał i kiedy wsunął język do jej ust i napotkał jej miękkie język, myślał, że eksploduje. Ręka spoczywająca na jej piersi zaczęła cierpnąć od niewygodnej pozycji, więc naturalnym ruchem opuścił ją na jej kolana. Nie próbowała go odepchnąć. Wsunął dłoń pomiędzy jej rozchylone nogi i zaczął masować jej krocze przez dżinsy.

Wyciągnęła rękę i lekko obrysowała palcami jego erekcję.

Kątem oka przez przednią szybę dostrzegł jakiś ruch na zewnątrz. Podniósł wzrok, kiedy całował Penelope, i zobaczył, że kamera zainstalowana na szczycie bramy obraca się w stronę samochodu, ale nie chciał przerywać, naruszać rytmu, który odnaleźli. Popchnął Penelope na siedzenie i zaczął rozpinać jej spodnie.

32.

April jechała szybko, żeby zdążyć do domu przed Dionem. Obracała w głowie to, co usłyszała od Margaret i innych.

To wiele wyjaśniało, myślała.

To wyjaśniało wszystko.

33.

Księżyc w pełni wisiał wysoko nad wzgórzami, wcześniej żółty, teraz wybielony. Sklepy Rocznik 1870 zamykano. Tim South i Ann Melbury szli ręką w rękę przez zwirowany parking do samochodu za kilkoma innymi spóźnialsłymi maruderami. Wieczór był ciepły, ale w powietrzu wyczuwało się już chłód jesieni. Tim w każdym razie czekał niecierpliwie na zmianę pór roku. Nie znosił się ciągle pocić - jego stary dart nie miał klimatyzacji i nawet przy otwartych oknach strasznie się nagrzewał - ani spędzać pierwszej połowy każdej randki w jasnym świetle dnia. Nie dość, że starzy kazali mu wracać do domu na jedenastą, to jeszcze ściemniało się dopiero o ósmej albo wpół do dziewiątej, co dodatkowo utrudniało sprawę. Cieszył się, że dni robią się krótsze. I nie mógł się doczekać zmiany czasu z letniego na zimowy.

Dotarli do samochodu i Tim rycersko otworzył drzwi po stronie pasażera, żeby Ann mogła wsiąść, zanim obszedł wóz dookoła i wsiadł od strony kierowcy.

Ann przeczesła palcami swoje krótkie, sterczące włosy.

- No więc co chcesz teraz robić? - zapytała.

Tim wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

Wiedział, co będą teraz robić. Oboje wiedzieli. Ale zawsze odgrywali tę pełną hipokryzji scenkę, udawali, że to spontaniczna decyzja obu stron, jakby każde z nich nie myślało o tym przez cały dzień, nie umyło w łazience intymnych części ciała, nie sprawdziło, czy ma czystą bieliznę i skarpetki bez dziur.

- Możemy wstąpić do Dairy Queen - zaproponowała Ann. - Jeszcze jest otwarte.

- Możemy - zgodził się Tim. Zrobił przerwę. - Albo po prostu pojeździmy sobie.

Uśmiechnęła się.

- Na South Street?

Przytaknęła i wyszczerzył zęby.

- Możemy.

- Okay.

Uruchomił silnik i wyjechał z parkingu na ulicę. Wprawdzie South nie była oficjalną uliczką zakochanych, ale oni chętnie z niej korzystali, ponieważ okrążała wytwórnie win i zalesione wzgórza, daleko od głównych tras ruchu, bezpieczna i zaciszna.

Jak zawsze, zjechali na pobocze z ubitej ziemi i zaparkowali w zaciemnionym miejscu pomiędzy dwoma wielkimi drzewami. Tim wysiadł z samochodu i wziął koc z tylnego siedzenia. Kilka razy robili to w samochodzie, kiedy padało albo było za zimno, ale nie wspominali tego najlepiej. Tylna kanapa była ciasna i niewygodna, a z przodu połowę miejsca zajmowała kierownica, utrudniająca ruchy, więc w miarę możliwości woleli to robić na zewnątrz.

Tylko tego będzie mu brakowało, kiedy nadejdzie zima.

Obok z rykiem przemknął pikap, oślepił ich reflektorami i usłyszeli śmiech sekundy wcześniej, zanim balon wypełniony wodą trafił w maskę darta.

- Gnoje! - wrzasnął Tim.

Odpowiedział mu tylko cichnący klakson ciężarówki.

- Chodźmy do lasu - zaproponowała Ann. - Dalej od szosy.

- A jak mi zniszczą samochód?

- Nie zniszczą.

- Już zaczęli. - Wskazał mokrą maskę.

- Chcesz wracać do domu?

- Coś ty.

- No to chodź. - Wzięła go za rękę i pociągnęła przez trawę w stronę drzew. - Nie chcę tu zostać i czekać, aż ci kretyni wrócą i następnym razem trafią w nas.

- Ale...

- Żadnych ale.

Pokręcił głową.

- Trudna z panią sprawa, panno Melbury.

- Żebyś wiedział.

Okrążyli kępę krzaków zasłaniającą ich od strony drogi.

- Może tutaj? - zapytał Tim.

- Grunt jest nierówny. Pamiętasz, jak sobie pokaleczyłam plecy?

Przytaknęła i skrzywił się. Ruszyli dalej.

Dotarli do małej polanki i Tim chciał już zaproponować, żeby tu rozłożyli koc, kiedy usłyszał szelest liści i trzask gałązek w głębi lasu. Przystanął, chwycił Ann za ramię i przyłożył palec do ust.

- Ciii.

Ona też usłyszała.

- Myślisz, że to jakieś zwierzę? - szepnęła.

- Nie wiem.

Powoli ruszył przed siebie.

- Chyba nie powinniśmy...

Oboje zobaczyli to jednocześnie. Ruch pomiędzy drzewami, przebłyski skóry, błękitnawo białej w blasku księżyca.

- Chodź - szepnął Tim i podkraśl się bliżej. Przez zasłonę liści zobaczył krągłe piersi, trójkąt włosów łonowych. Naga kobieta. Tańcząca.

Ann pokręciła głową, przystanęła.

- Chodźmy stąd.

- Zobaczymy, co to jest.

Wziął ją za rękę. Dłoń miała wilgotną, spoconą.

- Pewnie to jakaś orgia.

- Tak myślisz? - Tim wyszczerzył zęby. - Chodź, popatrzemy.

- Nie - odparła poważnym tonem. - Boję się.

- Nie ma się czego bać.

- Nie ma się czego bać? Kobieta tańczy nago podczas pełni księżyca i ty mówisz, że nie ma się czego bać? Nie wiemy, kto to jest. Może to czarownica, satanistka albo co. Chodźmy stąd. Znajdziemy inne miejsce.

- Nie - powiedział Tim z uporem. - Chcę zobaczyć.

Zostawił ją i poszedł w stronę tańczącej kobiety. Usłyszał niski, gardłowy śmiech, a potem seksowny jęk.

Rzeczywiście to chyba orgia.

Skradał się dalej. Na ziemi wały się puste butelki po winie, wiele potłuczonych, więc trudno było zachować ciszę. Słyszał, że Ann idzie za nim, odłamki chrząszczą jej pod nogami. Chciał ją ostrzec, żeby nie hałasowała, ale bał się odezwać.

Bał się?

Tak. Bał się. Był podniecony, podekscytowany, rozpalony, ale Ann miała rację. Ta cała sytuacja była jakaś niesamowita, przerażająca. Nagie kobiety nie tańczą na pustym polu przy pełni księżyca bez żadnych powodów.

Widział teraz kobietę wyraźniej. I drugą kobietę. Były starsze, po trzydziestce albo po czterdziestce, ale wciąż cholernie seksowne, śmiały się i tańczyły z radosnym zapamiętaniem. Lesbijki? Nie wiadomo. Pomyślał, że Ann pewnie miała rację. Pewnie członkinie jakiejś sekty odprawiały tutaj swoje pogańskie rytuały.

Przykucał za krzakiem na skraju pola. Ann przysunęła się do niego, przywarła do jego pleców.

- Chodźmy - syknęła mu do ucha.

Pokręcił głową, zapatrzony w kobiety. Śmiały się i najwyraźniej świetnie się bawiły. Miał coraz większą erekcję, kiedy patrzył na podskakujące piersi, na kępki włosów między udami.

Taniec przyspieszył, coraz bardziej gorączkowy, coraz bardziej frenetyczny. Tim nie zauważył, kiedy dokładnie przekroczona została granica pomiędzy wolną formą a fanatyzmem; widział tylko, że nagle kobiety już nie tańczyły, już nie świętowały. Ich kroki stały się dzikie, ich ruchy groźne. Wyglądały jak szalone, niemal opętane, aż się przestraszył. Erekcja opadła i chciał tylko wrócić bezpiecznie do samochodu, do domu.

Teraz śmiech rozbrzmiewał również z tyłu i nie brzmiał już radośnie. Tim obejrzał się i zobaczył nagą kobietę tańczącą na polance, gdzie wcześniej chciał rozłożyć koc.

- Chodźmy stąd - szepnęła Ann.

Pokręcił głową. Celowo czy nieświadomie kobiety, kimkolwiek były, otoczyły ich. Nie mogli teraz wrócić do samochodu tak, żeby ich nie zobaczyły.

Ale dlaczego tak się bał, że ich zobaczą?

Nie wiedział. Ale okropnie się bał i żałował, że od razu nie posłuchał Ann i nie odszedł, kiedy usłyszeli pierwsze dźwięki.

Coś złapało go z tyłu.

Próbował wrzasnąć, ale jakaś ręka zatkała mu usta, brudna ręka pachnąca winem i kobietą. Próbował się wyrwać, próbował kopać, próbował walczyć, lecz ten ktoś był silniejszy i trzymał go mocno. Przekręcił głowę jak najbardziej w lewo i zobaczył nagą kobietę, niosącą Ann na pole. Dwie następne zanosły jego.

Przez chwilę nic nie widział, tylko trawę i brudne nogi pod jakimś dziwnym kątem. Potem rzucono go na ziemię. Jakaś gałązka dźgnęła go w bok. Krzyknął z bólu i usłyszał swój głos. Już nie zatykały mu ust. Wrzasnął jak najgłośniejszym, najpierw: „Ratunku!”, a potem sam czysty wrzask. Ann też krzyczała. Kobiety, które trzymały go za ręce i nogi, obróciły go tak, żeby ją widział.

Kobiety zrywały z niej ubranie, śmiały się, popijały z butelki czerwone wino, gęsty płyn spływał im po brodach, po policzkach, wyglądał jak krew.

Kurwa, co się działo?

Wypełnił go już nie strach, ale panika - i pewność, że oboje z Ann nie wyjdą z tego żywi, że zginą.

Pierwsza kobieta, tancerka, którą najpierw zobaczyli, dopiła wino. Stała nad Ann, twarzą do jej nóg, z butelką w ręku.

- Nie! - wrzasnęła Ann z prawdziwym przerażeniem w głosie. - Nie!

Jej krzyk się urwał, kiedy kobieta usiadła jej na twarzy i zaczęła złośliwie wypychać szyjkę butelki między jej nogi, tam i z powrotem, tam i z powrotem, dźgając z całej siły, aż szkło zrobiło się mętne od krwi.

- Ann! - krzyknął Tim, ale pozostałe kobiety go opadły, szarpały go za ubranie, ciągnęły za włosy. Przygwoździły go do ziemi. Palec odnalazł jego gałkę oczną, wcisnął się w głąb i wydobył ją w strumieniu gorącego płynu. Zęby przegryzały skórę, rozrywały ciało. Palce zagłębiały się w jego odbyt, rozciągały, rozdzierały. Jego wrzaski stały się niezborne, niezrozumiałe, pozbawione słów. W powietrzu wisiał zapach soli, seksu i mocnego wina.

I rozszarpały go na strzępy.

34.

Dawno minęła pora, kiedy Penelope zwykle chodziła spać, ale wciąż nie mogła zasnąć. Zawsze była wyczulona na nastroje, wręcz nadwrażliwa, a w domu panowała napięta atmosfera. Matki rzadko się kłóciły i nigdy przy niej, ale zdarzały się różnice zdań, wyrażane w subtelny sposób, poprzez drobne zmiany w domowych rytuałach, świadome naruszenia ustalonej etykiety. Niewątpliwie uważały, że ukrywają przed nią swoje problemy, żeby ją oszczędzić, ale te potajemne konflikty jeszcze bardziej ją wyczuły na wszelkie drgania emocji.

Obecna kłótnia była poważna.

Zwykle dyskusję podejmowała jedna czy dwie matki, a pozostałe starały się to zatuszować, odgrywały role arbitrów, zachowywały twarz przed Penelope. Lecz tego wieczoru wszystkie wydawały się dziwnie milczące, dziwnie poważne, kiedy wróciła do domu. Wszystkie oprócz matki Margeaux, która z niewiadomego powodu była nieobecna. Matka Felice zadała Penelope kilka zdawkowych pytań, ale nawet nie udawała, że interesują ją odpowiedzi, zaś pozostałe matki siedziały w milczeniu i wyraźnie czekały, żeby wyszła z salonu i pozwoliła im kontynuować rozmowę.

Więc wyszła, poszła do łazienki i wzięła gorący prysznic, a kiedy potem zeszła do kuchni po szklankę wody, słyszała, jak matki rozmawiają w salonie. Mówiły zniżonymi głosami, niemal konspiracyjnym tonem, jakby się obawiały, żeby ich nie podsłuchano. Tajemnicza atmosfera tej rozmowy sprawiła, że Penelope podeszła cicho i stanęła pod drzwiami.

- To nasza córka. - Usłyszała głos matki Felice.
- To już nie ma znaczenia - odparła matka Margaret.

Penelope odeszła od drzwi. Nie chciała dłużej słuchać. Serce jej waliło, krew pulsowała w żyłach. Pobiegła po schodach do sypialni i zamknęła za sobą drzwi na klucz.

Od tamtej pory nie mogła zasnąć.

Teraz wyciągnęła rękę, po omacku odnalazła zegarek na nocnym stoliku, przysunęła do oczu słabo fosforyzującą tarczę.

Pierwsza w nocy.

Odłożyła zegarek i zapatrzyła się w ciemność. Najbardziej na świecie pragnęła zakraść się do pokoju matki Felice, jak dawniej wpełznąć do łóżka swojej ulubionej matki, zapytać, co się stało, co się dzieje, o czym one mówiły...

To już nie ma znaczenia.

...ale wiedziała, że to niemożliwe. Chociaż matka Felice ją wspierała, chociaż jej broniła, Penelope nie miała pewności, że matka jest całkowicie po jej stronie. Owszem, matka Felice ją kochała, ale należała do nich i możliwe, że lojalność wobec nich przeważała.

Jedna z nich.

Kiedy do tego doszło? Kiedy nastąpił ten podział na „my” przeciwko „nim”?

Nie wiedziała, ale prawdopodobnie to narastało od dawna. Zauważyła już wcześniej, że chociaż jej uczucia do matki Felice pozostały niezmienione, z wiekiem coraz mniej lubiła pozostałe matki. Nigdy nie potrafiła ocenić, czy to dlatego, że się zmieniała, czy dlatego, że one się zmieniły. W dzieciństwie wszystkie wydawały jej się jednakowo miłe, kochała je wszystkie, ale w miarę dorastania zaczęła dostrzegać różnice pomiędzy nimi. I różnice pomiędzy tym, jakie były naprawdę i za jakie je uważała. Stopniowo w jej oczach siła i zdecydowanie matki Margeaux stały się apodyktyczne, niegdyś podziwiana żelazna wola upodobniła ją do despotycznego tyrana. Wolny duch matki Janine wydawał się początkowo lekkomyślny i nieodpowiedzialny, potem autodestrukcyjny, w końcu zwyczajnie szalony. Beznamiętny intelektualizm matki Margaret uznała za zimny, pełne poświęcenia studia matki Sheili nad winoroślami - za obsesyjne i irytujące.

Może to nic nie znaczyło. Może wszystkie dzieci przez to przechodziły. Zbuntowane nastolatki i tak dalej.

Może.

Ale ona tak nie myślała.

Nie zmieniło się tylko jedno: wszystkie miały nad nią jednakową władzę. Jeśli w firmie istniał podział pracy, hierarchiczna struktura z matką Margeaux na szczycie, w rodzinie nie stosowano takich rozróżnień. Przynajmniej wobec Penelope. Wszystkie były jej matkami i jeśli otrzymywała sprzeczne polecenia, stawiano jej sprzeczne wymagania czy narzucano

sprzeczne ograniczenia, do niej należało rozwiązanie problemu. Wcześniej się nauczyła, że nie dało się nastawić jednej matki przeciwko drugiej. Zawsze brały swoją stronę.

I dlatego nie mogła teraz zapytać matki Felice.

To również wpływ Diona, pomyślała. Odkąd go poznała, zrobiła się bardziej asertywna, gotowa bronić swojego zdania, otwarcie sprzeciwiać się matkom czy okazywać nieposłuszeństwo. Patrzyła teraz na swoje życie jego oczami, postrzegała je jakby z zewnątrz i chociaż zawsze potrafiła tak robić do pewnego stopnia, dopiero teraz w pełni widziała, wiedziała, rozumiała, jakie dziwne życie prowadzi.

Nie pasowała do własnego życia.

Taka była prawda. Wychowano ją w ten sposób, ale to się nie przyjęło. Często czuła się obco wśród swoich rówieśników, teraz jednak czuła się równie obco przy swoich matkach.

A gdyby jej ojciec żył?

Ostatnio coraz częściej o tym rozmyślała. Jak różniłoby się jej życie? Jak sama by się różniła?

Żałowała, że nie pamięta ojca, ale była za mała, kiedy zginął, i знаła go tylko z opowieści matek. Nawet jego wygląd stanowiłby tajemnicę, gdyby nie fotografia.

Gdyby tylko żył trochę dłużej...

Pamiętała prawie wszystko, niemal od narodzin, i gdyby ojciec pożył jeszcze kilka miesięcy, prawdopodobnie zachowałaby jakieś jego wspomnienie. Wyraźnie pamiętała, jak leżała w kołysce w pokoju dziecinnym, kiedy miała zaledwie kilka miesięcy, chociaż jej wspomnienia, uczucie rzecz biorąc, chyba nie były tak dokładne, jak uważała, składały się nie tylko z prawdziwych wydarzeń, ale również z wyobrażeń dzieciństwa, wizji stworzonych na podstawie opowieści matek, ekstrapolacji wypadków, o których tylko słyszała. Ale wszystkie obrazy były takie żywe, takie realne, że wydawały się prawdziwe, nie jak coś, co sobie później wyobraziła albo poznała z drugiej ręki.

Tylko że wiele z tych wspomnień nie pasowało do opowieści matek.

To ją przerażało.

W jednym wyraźnie zapamiętanym sennym koszmarze albo przebłyску wspomnienia widziała matkę Janine, nagą, roześmianą, oblaną keczupem, tańczącą w blasku księżyca za oknem dziecinnego pokoju. Ale to przecież nieprawda. To się nie wydarzyło.

A jeśli się wydarzyło?

Tego właśnie się bała.

Przywołała z pamięci sny o ojcu. Czy to również się wydarzyło? Oczyma duszy widziała szczególnie wyraźny obraz, który kilkakrotnie powracał w koszmarach: ojciec nagi,

wrzeszczący, przytrzymywany przez resztę matek, podczas gdy matka Margeaux zlizuje krew z rany ziejącej w jego piersi.

Usiadła na łóżku. W ustach jej zaschło. Wyciągnęła rękę, pomacała blat nocnego stolika w poszukiwaniu szklanki z wodą, ale zapomniała zabrać wodę do sypialni.

Zrzuciła koc i wstała. Mogła się napić wody w łazience, z kubka do mycia zębów, ale nie lubiła tamtej wody. Plukała nią usta, ale nie połykała. Wiedziała, że woda w umywalce płynie z tej samej rury co w kuchennym zlewie, ale ponieważ w tym pomieszczeniu znajdowała się również toaleta, woda wydawała się skażona.

Penelope postanowiła zejść do kuchni.

Jak najciszej otworzyła drzwi sypialni i wyszła na korytarz. Dom był ciemny i dopiero teraz zauważyła, że wszędzie panowała kompletna cisza. Rano i po południu zawsze ktoś się krzątał, coś się działo, hałas, ruch. Teraz jednak matki spały, zgaszono wszystkie światła i ta mroczna cisza wydawała się groźna, przytłaczająca.

Penelope nie chciała budzić matek, więc nie zapaliła światła, tylko wymacywała drogę wzdłuż ściany do schodów. Z dołu, pewnie z któregoś kuchennego okna bez zasłon, docierała rozproszona błękitnawa poświata, która jeszcze bardziej pogłębiała mrok. Penelope dostała gęsiej skórki na ramionach i mało nie zawróciła do sypialni. Tej nocy dom wydawał się jakiś upiorny i chociaż mieszkała tu przez całe życie, chociaż tysiące razy wchodziła i schodziła po tych schodach, teraz ich nie poznawała.

Zmusiła się, żeby zacząć schodzenie. Co z niej za dziecko, żeby bać się ciemności? Nie ma tutaj niczego innego niż za dnia. A dzięki systemowi alarmowemu dom jest chyba najbezpieczniejszym budynkiem na zachód od Pentagonu. Nikt się tutaj nie ukryje. Nikt się nie włamie.

Nie bała się włamywacza.

Nie, musiała przyznać, że nie. Próbowiła logicznie podejść do sytuacji, ale jej strach kpił sobie z logiki. Nie miał żadnych podstaw, żadnych konkretnych powodów.

I nie potrzebował.

Zeszła z ostatniego stopnia i pospiesznie skręciła w prawo, w drzwi do kuchni. Tutaj wreszcie zapaliła światło. Małą lampkę nad kuchenką. Jak się spodziewała, światło przegnało strach. Teraz rozpoznawała otaczające ją sprzęty - blat kuchenny, zlew, lodówka, piecyk - i atmosfera nierealnego zagrożenia, dławiąca ją jeszcze przed kilkoma sekundami, rozwiła się bez śladu.

Nic nie pokona potworów skuteczniej niż światło.

Otworzyła zmywarke, wyjęła szklankę i odkręciła wodę.

Jakaś postać przemknęła za oknem nad zlewem.

Penelope podskoczyła i prawie upuściła szklankę, złapała ją w ostatniej chwili. W pierwszej chwili pomyślała: duch. Błada postać o niewyraźnych konturach, rozmazana w ruchu.

Potem usłyszała znajomy dźwięk wyłączanego alarmu, kiedy wstukano hasło na panelu obok drzwi, i w kręgu słabego światła za szybą zobaczyła matkę Margeaux.

Co ona robiła tak późno na dworze? Gdzie była?

Drzwi się otworzyły. Penelope stała obok zlewu ze szklanką w ręku, kiedy matka Margeaux weszła do kuchni. Zobaczyła Penelope, ale nic nie powiedziała. Minęła ją szybko i cicho, jakby nieobecna.

Penelope też milczała i patrzyła, jak biała sylwetka matki rozplywa się w ciemnościach korytarza. Znowu dostała gęsiej skórki, kiedy się zastanawiała, dlaczego bluzka matki jest podarta.

Dlaczego jest poplamiona krwią.

35.

Horton patrzył na pustą butelkę wina, która stała przed nim na stole. Patrzył na nią prawie od dwudziestu minut i próbował wydedukować, dlaczego była pusta.

Nie pamiętał, żeby wypił to wino.

Wiedział, że wypił. Był pijany i dotkliwie tego świadomy. Ale za skarby nie potrafił sobie przypomnieć szczegółów tego wydarzenia: jak długo trwało opróżnienie butelki, skąd w ogóle wziął wino, kiedy zaczął pić.

Zaćmienie.

To go przeraziło. Spotkał w życiu dość pijaków, żeby rozpoznać objawy, i chociaż ostatnio częściej zaglądał do kieliszka, nie uważał, żeby tracił kontrolę nad swoim piciem.

W tym sęk - sama zainteresowana osoba nigdy tak nie uważa.

Lecz oprócz zrozumiałego strachu przed alkoholizmem coś jeszcze nie dawało mu spokoju, kiedy patrzył na butelkę, coś związanego z samym winem.

Daneam.

Lesbijskie wino. Słyszał o nim, nawet raz czy dwa widział butelkę, jednak o ile się orientował, nigdy nie było powszechnie dostępne.

A przecież przysięgłby, że kupił tę butelkę w Liquor Shack.

Ale nie pamiętał na pewno.

Potał oczy, masował, aż zabolalo. Wino Daneam podzialalo na niego zupełnie inaczej niż alkohole, które dotąd pijał. Nie czuł się samotny, skazany na towarzystwo własnych smutków, tylko... połączony. Z kim lub czym, nie wiedział, ale miał poczucie zjednoczenia z innymi poprzez wino, poprzez upojenie, tak niesamowite, że ciarki go przechodziły.

Czuł także... no, seksualne podniecenie. To również zwykle się nie zdarzało. Innym, może, ale nie jemu. Zawsze uważał alkohol za przeciwieństwo afrodyzjaku. Deseksualizator, jeśli już. A jednak siedział teraz z erekcją, pobudzony wspomnieniem, jak kiedyś z Laurą próbowali czegoś perwersyjnego. Chciała, żeby ją przykuł kajdankami do łóżka i brutalnie zgwałcił, a on zgodził się bardziej niż chętnie, ale kiedy przyszło do rzeczy, kiedy leżała przed nim rozkrzyżowana i skuta, był zbyt pijany i nie mógł utrzymać wzrodu.

Teraz jednak, wspominając tamten incydent, nie miał żadnych problemów z utrzymaniem erekcji. Napierała boleśnie na spodnie i pomyślał, że gdyby Laura tu była, przewróciłby ją na podłogę i przerznął na wylot.

Sięgnął po butelkę. Leżała wygodnie w ręku, znajomo, jakby przed chwilą pił z niej wino, chociaż tego nie pamiętał.

Zaćmienie.

Co się dzieje, do cholery?

Zadzwoił telefon.

Horton skoczył na równe nogi, natychmiast trzeźwy, wybiegł z kuchni i popędził do telefonu w salonie. Nikt do niego nie dzwonił, chyba że z komisariatu, więc od razu zbudził się w nim instynkt gliniarza, jakaś wiecznie czujna część jego umysłu włączyła się automatycznie i zniweczyła skutki alkoholu.

Złapał słuchawkę w połowie drugiego dzwonka.

- Horton.

- Poruczniku? Tu funkcjonariusz Deet. Jestem na miejscu przestępstwa i łączę się przez komisariat. Mamy tu, ee, chyba podwójne zabójstwo...

- Skończ z tą policyjną gadką. Co się stało?

- Dwoje nastolatków. Rozszarpani na kawałki.

Hortonowi zaschło w ustach.

- Gdzie?

- Na South Street.

- Jadę.

Reflektory, latarki i czerwono-niebieskie stroboskopowe migacze radiowozów oświetlały pusty odcinek drogi pomiędzy wejściem do winnicy Daneam a starym ranczem Mitchella. Horton stanął za blokadą drogową obok karetki pogotowia i zapalił papierosa. Dym wypełnił mu płuca przyjemnym ciepłem. Wydmuchnął dym i spojrział w stronę dodge'a darta,

gdzie McComber i drugi mundurowy zdejmowali odciski palców. Ktoś zauważył samochód pół godziny wcześniej i zawiadomił gliny. Rodzice obu ofiar dzwonili na komisariat przed paroma godzinami, zaniepokojeni o dzieci, i kiedy tablice rejestracyjne porzuconego pojazdu okazały się takie same, wysłano Deetsa i McCombera.

Znaleźli ciała w niecałe pięć minut.

A raczej to, co z nich zostało.

Horton głęboko zaciągnął się papierosem i próbował nie myśleć o tej kupce mięsa i kości, którą zapakowali do worka i wsadzili do karetki. Dorośli to już wystarczająco źle, ale dzieciaki, nastolatki... Spojrzał w gwiazdy i po raz milionowy zadał sobie pytanie, dlaczego Bóg, jeśli istnieje, pozwala na takie gównno.

Nie cierpiał tej zaszraney roboty.

Wreszcie jednak nastąpił przełom w śledztwie. A co najdziwniejsze, poszlakę znalazł ten głab Deets.

Broń. Z odciskami palców.

Krwawymi odciskami.

Horton rzucił niedopalek na asfalt za blokadą i podszedł do radiowozu. Broń wciąż leżała na masce, gdzie ją zostawił, opakowana, oznakowana, gotowa do laboratorium: butelka po winie Daneam.

Wziął do ręki pakunek, pomyślał o butelce wciąż stojącej na jego kuchennym stole i za-drżał.

- Poruczniku!

Horton podskoczył i mało nie upuścił butelki. Udając spokój, odwrócił się do funkcjonariusza.

- Tak?

- Skończył pan z tym?

Horton spojrział na pakunek w rękę i powoli kiwnął głową.

- Tak - powiedział. - Skończyłem. Jest wasza.

36.

April obudziła się skacowana i napalona.

Przekreśliła się i zerknęła na budzik stojący na komodzie, ale nie mogła odcyfrować, czy jest osma trzydzieści, czy dziewięta trzydzieści. Wyciągnęła rękę w dół, na podłogę obok łóżka. Palce odnalazły butelkę wina, nie całkiem opróżnioną, zostało jeszcze parę kropel. Przechyliła szyjkę butelki nad ustami, żeby krople spłynęły jej na język.

Boże, smakowało wspaniale.

Lewą rękę wsunęła pod prześcieradło, między nogi. Leniwie zaczęła się głaskać. Była już wilgotna i w pochwie czuła mrowienie, które rozpoznała jako potrzebę wypełnienia.

Dałaby wszystko, żeby teraz mieć w sobie twardego kutasa.

Z kuchni dobiegł do niej szum odkręcanej wody, szcęk sztućców, garnków i pokrywek. Przystała się obmacywać i upuściła butelkę z powrotem na podłogę. Odetchnęła głęboko, na chwilę zamknęła oczy, a potem usiadła, opierając się o wezłowie. Pomyślała o wczorajszym wieczorze, o tym, co jej powiedziały Margaret, Margeaux i inne.

Dion?

To niemożliwe.

Nie chciała dopuścić takiej możliwości.

To prawda. Właśnie dlatego upiła się wczorajszego wieczoru. Powtarzała sobie, kiedy opróżniała pierwszą butelkę, że miała już dosyć grzecznego zachowania, że chciała po prostu trochę zaszaleć, bo tak długo się pilnowała, jednak w rzeczywistości piła nie dlatego, żeby się zabawić, ale żeby zapomnieć, nie myśleć, zagłuszyć to, co powiedziały o jej synu.

Ponieważ wiedziała, że to prawda.

W tym cały problem. Wiedziała, że to prawda. Chyba zawsze podświadomie wiedziała. Była zdziwiona, ale nie zaskoczona ani zaszokowana, kiedy kazały jej usiąść i wyjaśniły jej wszystko, i natychmiast uwierzyła. We wszystko.

- Mamo? - Dion zapukał do drzwi sypialni.

Nie odpowiedziała.

- Mamo? Już prawie dziesiąta. Wstajesz czy nie?

Dziesiąta? Zezem spojrzała na budzik. Nie pokazywał dziewiątej trzydzieści. Pokazywał dziewiątą pięćdziesiąt.

- Mamo?

Znowu czuła to mrowienie, tę nieznośną potrzebę między nogami. Zrzuciła nakrycie i stanęła nago naprzeciwko drzwi, nic nie mówiąc, po trosze z nadzieją, że Dion wejdzie i ją zobaczy, ale kiedy znowu zawołał: „Mamo!” i zaczął obracać klamkę, szybko powiedziała:

- Wstałam! Nie wchodź! Jestem rozebrana!

- Okay.

Usłyszała, jak odchodził korytarzem, i zawstydzila się, że w ogóle przyszło jej do głowy, żeby się obnażać przed synem. Dlaczego tak się zachowywała? Co jej się stało?

Ale doskonale wiedziała, dlaczego tak się zachowywała, doskonale wiedziała, co jej się stało. Patrząc na zamknięte drzwi, opuściła rękę i zanurzyła palce we włosy łonowe, w miękką, gąbczastą wilgoć pomiędzy nogami.

Trudno poderwać faceta w niedzielę rano.

Da się zrobić, ale trudno.

Zostawiła Diona w domu z listą rzeczy do zrobienia i pojechała na polowanie. Dawno tego nie robiła i fajnie się czuła. W pierwszych dwóch knajpach nie bardzo było z czego wybierać: pijaczki, menele, stare dziady. Ale do trzech razy sztuka i w Happy Hour znalazła przystojnego, atletycznego młodego człowieka, trochę zużytego, dawniej z pewnością niezłego ogiera, który najlepsze lata miał za sobą, ale jeszcze się trzymał.

Usiadła obok niego, piła z nim, rozmawiała z nim, dotykała go i kiedy zaproponował, żeby się przenieśli do niego, chętnie się zgodziła.

Teraz leżał na łóżku, nagi i skomlący, na prześcieradłach zachlapanych spermą, krwią i uryną, a ona spoglądała na niego z góry, obolała i zaspokojona. Lekko przesunęła palcem po jego włosach. Wzdrygnął się pod jej dotykiem i ta reakcja sprawiła jej przyjemność.

Zamierzała już się ubrać i wracać do domu, nagle jednak nabrała ochoty na więcej. Spojrzała na zegarek. Trzecia piętnaście. Miała jeszcze czas. Dion nie spodziewa się jej przed szóstą.

Uklękła przed nim, sięgnęła między jego nogi, chwyciła nabrzmiąły, zakrwawiony penis.

- Nie - krzyknął. - Już nie.

Spoliczkowała go.

- Tak - powiedziała z uśmiechem.

Wzięła go w usta, poczuła słony smak spermy, krwi i moczu. Zaczęła ssać.

W drodze do domu wstąpiła do Taco Bell i kupiła trochę tacos na obiad.

Wróciła na czas, żeby obejrzeć główne wydanie wiadomości.

37.

W poniedziałek po południu Dion został zawieszony za bójkę.

Przedtem nigdy w życiu się nie bił. W szkole podstawowej i średniej kilka razy spotykały go pogrózki ze strony chuliganów, ale zawsze udawało mu się uniknąć bicia: uciekał albo nie przychodził na spotkanie, albo stosował jakieś sprytnie wybiegi.

Ale tym razem to on wywołał bójkę.

Później nawet nie pamiętał dokładnie, co się stało i jak doszło do eskalacji przemocy. Jeszcze przed chwilą siedzieli z Kevinem, Pauliem i Rickiem na stole w stołówce, a minutę

później on i Paul tarzali się po cementowej podłodze, okładając się pięściami. Paul rzucił jakiś dowcip o lesbijskich skłonnościach Penelope, a Dion stanął w jej obronie i odplacił pięknym za nadobne. Obelgi latały w powietrzu, po czym wybuchła bójka.

Nie pamiętał, żeby świadomie chciał wyrządzić Paulowi fizyczną krzywdę. Po prostu nagle rzucił się z pięściami na drugiego chłopca i zanim Kevin z Rickiem ich rozdzielili, popłynęła krew.

Zebrał się tłum i chociaż Dion słyszał okrzyki tylko niewyraźnie, postrzegał ludzi dookoła tylko jako tło samej bójki, wiedział, że publiczność jest po jego stronie, że go dopinguje. Z każdym zadany ciosem widzowie wiwatowali, okazując nieklamane zadowolenie.

A potem odciągnięto ich od siebie.

Zebrani uczniowie przyglądali mu się w milczeniu, niemal ze czcią. Dygotał, napompany adrenaliną, kiedy pan Barton, szkolny psycholog, prowadził go do gabinetu. Niejasno zdawał sobie sprawę, że w tej bójce Paul ucierpiał znacznie bardziej od niego. Jeszcze kilka dni temu nie pomyślałby, że to możliwe, teraz jednak wcale nie był zdziwiony, tylko zadowolony z siebie.

Pan Barton zamknął drzwi, kazał mu usiąść na krześle naprzeciwko biurka i oznajmił, że zawiesza go w prawach ucznia na trzy dni. Dion drętwo kiwnął głową. Psycholog uśmiechnął się do niego.

- Robię to tylko dlatego, że muszę, wiesz. Gdyby to zależało ode mnie, pozwoliłbym ci go zabić.

Dion zamrugał.

- Co?

Pan Barton otworzył dolną szufladę, wyjął butelkę wina i odkorkował.

- Wiesz, jak to jest. Wszyscy musimy odgrywać nasze małe gierki.

Dion poniewczasie się zorientował, że psycholog jest pijany. Pan Barton pociągnął łyk wina i Dion rozpoznał ten sam słodki, upojny zapach co na obiedzie u Penelope. Pachniało kusząco i miał ochotę się napić, ale kiedy psycholog go poczęstował, odmówił.

- Śmiało - zachęcał pan Barton.

Dion niemal czuł smak wina w ustach i znajome pulsowanie między nogami, ale zmusił się, żeby powiedzieć:

- Nie.

Psycholog pociągnął następny długi łyk z butelki.

- Rozumiem - powiedział. - Oszczędzasz się na później.

Machnął ręką w stronę drzwi.

- Jesteś wolny - powiedział i mrugnął. - Jesteś zawieszony. Zmiataj stąd.

Dion wstał i wyszedł. Dopiero poza terenem szkoły, kiedy wracał piechotą do domu, zaczął rozpamiętywać, co się stało, zastanawiać się, co w niego wstąpiło i dlaczego zachował się tak nietypowo.

Pobić kogoś? Zrobić komuś krzywdę?

I czerpać z tego przyjemność?

I ta dziwna rozmowa z psychologiem...

Wyczuwał, że te wszystkie wydarzenia mają jakiś związek ze sobą, ale nie potrafił ich połączyć. Czuł się sfrustrowany. Jakby rozwiązywał zadanie z matematyki, które prawie rozumiał, ale nie mógł rozgryźć do końca.

To miało coś wspólnego z jego snami. I matkami Penelope. I jego mamą. I winem.

Zanim dotarł do domu, znowu dygotał.

Tym razem nie z powodu adrenaliny.

Ze strachu.

Penelope wpadła po szkole. Nie widział jej rano w klasie, nie spotkał jej na lunchu, więc przypuszczał, że zachorowała i została w domu, ale kiedy próbował do niej zadzwonić po południu, zaraz po powrocie, połączył się z automatyczną sekretarką i odłożył słuchawkę, nie zostawiawszy żadnej wiadomości.

Teraz przyjechały z Vellą. Vella weszła do domu nerwowo, Penelope rozglądała się z ciekawością. Nigdy jeszcze nie była u Diona, który żałował, że nie zdążył trochę posprzątać. Naczynia ze śniadania wciąż piętrzyły się w zlewie, widoczne przez drzwi kuchni, podłogę w salonie zaśmiecały puszki po coli i gazety, które próbował czytać przez całe popołudnie. Nie najlepsze pierwsze wrażenie.

Uśmiechnęła się do niego.

- Więc to nazywasz domem.

Poczerwieniał.

- Zwykle jest czyściej - próbował się bronić. - Gdybyś zadzwoniła, że przyjdiesz, przynajmniej zrobiłbym porządek.

Penelope zaśmiała się.

- Chciałam cię przyłapać w twoim naturalnym środowisku.

Vella z zakłopotaniem spojrzała w okno.

- Słyszałyśmy, co się stało - powiedziała. - Że cię zawiesili.

Twarz go paliła. Chciał się wytłumaczyć, ale nie wiedział jak, chciał przeprosić, ale nie wiedział za co. Więc stał jak głupek i kiwał głową, patrząc na Vellę, unikając wzroku Penelope.

- I tak nikt nie przepada za Paulem - ciągnęła Vella. - Jesteś wielkim bohaterem.

Ale po tonie jej głosu poznał, że nie uważała go za bohatera.

- Tak jakoś się stało - bąknął. Spojrzał na Penelope. - Nazwał cię lezbą.

Zarumieniła się.

- Hej - rzucił, zmieniając temat. - Napijcie się czegoś? Coli? 7-Up? Doktora Peppera? Vella pokręciła głową.

- Nie. Musimy iść. Mam wracać ze szkoły prosto do domu. I tak się spóźnię. Moja mama dostanie szału, jeśli jeszcze bardziej się spóźnię.

- Pomyślałam, że może wpadniesz - zaproponowała szybko Penelope. - Vella nas podrzuci, a potem cię odwiezę.

- Ale musimy się pospieszyć - dodała Vella.

Dion kiwnął głową, uśmiechnął się do Penelope.

- Tylko zostawię мамie wiadomość.

Dziesięć minut później Vella wysadziła ich przed bramą wytwórni win. Pożegnali się, Penelope podziękowała przyjaciółce i Vella odjechała. Penelope otworzyła kluczem czarną skrzynkę alarmu i wstukała kod dostępu. Minę miała pochmurną i Dion lekko dotknął jej ramienia, niezbyt intymnym gestem, pamiętając o kamerze obserwującej ich znad szczytu bramy.

- Coś się stało? - zapytał.

Penelope chciała zaprzeczyć, ale potem kiwnęła głową. Brama się rozwarła i weszli na podjazd.

- O co chodzi? - zapytał Dion. Odwróciła się do niego.

- O moje matki.

Nie zdziwił się, właściwie tego się spodziewał. Serce mu waliło.

- Co z nimi?

Pokręciła głową.

- No właśnie. Sama nie wiem.

Powoli ruszyli podjazdem. Opowiedziała mu, co się stało w sobotę wieczorem, kiedy wróciła do domu, opisała, jak matka Margeaux wśliznęła się do domu po północy, w podartej i zakrwawionej bluzce.

- Kocham moje matki - powiedziała. - Ale ich nie znam. - Odetchnęła głęboko. - I... boję się ich.

- Myślisz, że...

- Myślę, że zabiły mojego ojca.

Zatrzymali się, popatrzyli na siebie. Lekki wiatr przyniósł z winnicy ciche, melodyjne dźwięki rozmowy po hiszpańsku. Gdzieś w pobliżu domu zawarczał uruchomiony silnik samochodu.

- Nie mam dowodu - ciągnęła szybko. - Niczego konkretnego. To tylko przecucie, ale... - Urwała. Po chwili podjęła znizowanym głosem, rozglądając się na wszystkie strony,

jakby sprawdzała, czy nikt nie podsłuchuje: - Wczoraj udawałam chorobę. Zostałam w domu. Dzisiaj chciałam, żebyś przyszedł nie dlatego... no wiesz. Dlatego że bałam się sama wracać do domu. - Znowu głęboko odetchnęła, w jej oczach zaślniły łzy. - Nie wiem, co robić.

- Trzeba było do mnie zadzwonić.
- Nie mogłam.
- Dlatego nie poszłaś dzisiaj do szkoły?
- Poszłam po lunchu. Rano byłam w... w bibliotece.

Dion oblizwał wargi.

- Co mogę zrobić?
- Nie wiem.

Wyciągnął ręce, objął ją, przytulił, a ona zaczęła płakać. Czuł, jak drżała i szlochała mu w koszulę, i chociaż chciał jej okazać współczucie, nie mógł opanować podniecenia. Potężna erekcja napinała jego dzinsy. Penelope musiała to zauważyć, ale chyba jej to nie przeszkadzało, więc przytulił ją mocniej.

Pomyślał o mężczyźnie, którego jego mama przyprowadziła do domu, mężczyźnie, który został zamordowany. Niewygodne skojarzenie samo się nasuwało. Miał ochotę powiedzieć o tym Penelope, ale nie chciał jej jeszcze bardziej denerwować. Sam zastosował strusią politykę, czyli udawał, że nic się nie stało, ale Penelope reagowała w dokładnie odwrotny sposób. Próbował sobie wyobrazić, co to dla niej znaczy mieszkać z osobami, które podejrzewała o morderstwo. Ponad jej ramieniem spojrzął na budynki w greckim stylu na szczycie wzgórza i zadrżał.

Zbyt wiele się wydarzyło, zbyt wiele się działo. Nie wiedział, co robić, co powiedzieć, jak zareagować. To nie była zwykła, codzienna sytuacja, kiedy mógł znaleźć radę na każdy kłopot, mógł z kimś pogadać, zwrócić się do kogoś o pomoc. Przecież nie mógł iść na policję i zgłosić, że ostatnio dręczą go dziwaczne sny i że Dolina Napa ma w sobie coś niesamowitego, aha, i że Penelope uważa swoje matki za morderczynie. Nie mógł porozmawiać z mamą, ponieważ... no, ponieważ podejrzewał, że ona jest w to zamieszana. Pewnie mógł powiedzieć Kevinowi, ale Kevin miał nie większe możliwości od niego, żeby coś z tym zrobić.

Z czym?

No właśnie. To był najbardziej frustrujący aspekt tej całej sprawy. Nic się nie stało. Przynajmniej nic konkretnego. Same przecucia, znaki i aluzje, nic, co mogłyby pokazać palcem i przekonać kogoś z zewnątrz, że jego obawy są usprawiedliwione.

Ale Penelope też się bała.

To już coś znaczyło.

Odsunęła się od niego, otarła oczy, spróbowała się uśmiechnąć.

- Przepraszam - powiedziała. - Chyba pobrudziłam ci koszulę tuszem.

- Nie przejmuj się tym.

Milczeli przez chwilę.

- Więc co chcesz zrobić? - zapytał Dion.

- Chcę zajrzeć do laboratorium. Chcę wejść do lasu. Chcę, żebyś poszedł ze mną.

- Myślisz, że co znajdziesz?

- Pewnie nic. Ale chcę wiedzieć, dlaczego przez tyle lat nie miałam tam wstępu. Myślałam o tym wczoraj i czuję się jak ofiara skinnerowskiego eksperymentu, tresowana i warunkowana, żeby działać w określony sposób. To znaczy nigdy nawet nie interesowało mnie laboratorium. Przyjęłam do wiadomości, że nie mogę tam wchodzić. Ciekawi mnie las, ale boję się tam wejść i mam wrażenie, że uwarunkowano mnie do takich reakcji. - Spojrzała mu w oczy. - Chcę przełamać moje uwarunkowanie.

Powoli kiwnął głową.

- A jeśli coś znajdziemy?

- Nie wiem. Nie będziemy się martwić na zapas.

Matka Felice piekła chleb w kuchni, matka Sheila była gdzieś w winnicy, ale pozostałe pojechały do San Francisco na spotkanie z dystrybutorem.

- Doskonale - powiedziała Penelope do Diona nad szklankami soku winogronowego.

- Co? - zapytała jej matka.

- Nic.

Do soku dostali trochę świeżego chleba, a potem weszli na górę, ostentacyjnie do pokoju Penelope. Postawiła Diona na straży na szczycie schodów, wśliznęła się do sypialni matki Sheili i po chwili wyszła z kluczem w rękę, który szybko schowała do kieszeni.

Zeszli po schodach i wyszli na zewnątrz, po czym okrążyli dom z prawej strony i dotarli do głównego budynku wytwórni w miejscu niewidocznym z kuchennego okna. W środku było ciemno, paliło się tylko oświetlenie awaryjne. Penelope nie włączyła pozostałych świateł. W półmroku przeszli przez tłocznię i przystanęli przed małymi drzwiami.

- Zaczekaj tutaj - poleciła Penelope, otworzyła drzwi i weszła do środka.

- Co to jest?

- Ochrona. Wyłączę kamery. - Coś kliknęło, zaszumiało, zapiszczało i Penelope wyszła, zamykając za sobą drzwi. - Chodź.

Nie pamiętał dokładnie położenia laboratorium. Zdawało mu się, że to gdzieś daleko, na drugim końcu budynku, więc zdziwił się, kiedy Penelope zatrzymała się przed następnymi drzwiami.

Spojrzała na niego i próbowała się uśmiechnąć.

- To tutaj - powiedziała.

Bała się, słyszał to w jej głosie. Położył jej rękę na ramieniu uspokajającym gestem, kiedy wkładała klucz do zamka.

Rozejrzała się, sprawdzając jeszcze raz, czy nikt ich nie śledzi i kamery ochrony są wyłączone, potem szybko otworzyła drzwi i weszła do środka.

Dion ruszył za nią.

Nie bardzo wiedział, czego się spodziewał, ale z pewnością nie tego. Czujniki włączyły oświetlenie, jak tylko przekroczyli próg i stanęli w wejściu, patrząc na...

Nic.

To było laboratorium tylko z nazwy. Bez aparatury, bez probówek i zlewek, bez stołów, w ogóle bez mebli. Puste ściany, nieskazitelnie czysta podłoga. Tylko pośrodku, dokładnie w centrum pomieszczenia znajdował się okrągły otwór, otoczony niskim kamiennym murem.

Dion chciał wyjść. Jeśli przedtem wszystko wydawało się zbyt rozmyte, niewyraźne, teraz szybko nabierało zbyt konkretnego wymiaru. Przerazała go świadomość, że matki Penelope od lat spędzały tutaj czas, wmawiając jej, że pracują w laboratorium nad zwalczaniem plam na winogronach i gatunkami wina, podczas gdy w rzeczywistości niczego tu nie było oprócz tej studni. Nie potrafił dostrzec żadnego sensu w tym pozornie irracjonalnym postępowaniu i tego najbardziej się bał, i nagle bał się również o Penelope. Nie wiedział, czy jego mama pozwoliłaby jej z nimi zamieszkać...

Penelope ścisnęła go za rękę, ruszyła przed siebie.

- Nie! - zawołał Dion.

- Co?

- Nie podchodź bliżej.

Uśmiechnęła się, ale bez wesołości.

- Myślisz, że jakiś potwór stamtąd wyskoczy i mnie porwie?

Nie całkiem tak myślał, ale podobnie.

- Muszę wiedzieć - powiedziała cicho.

Mocno ścisnął jej rękę i oboje wyszli na środek pokoju. Zajrzeli do studni, spodziewając się czarnej, bezdennej otchłani albo pustego szybu z kośćmi na dnie. Lecz zamiast tego zobaczyli własne odbicia, jakąś stopę poniżej kamiennej cembrowiny, spoglądające na nich ze szklistej powierzchni wina barwy ciemnego burgunda.

- Co to jest? - zapytała Penelope.

- Nie wiem - odparł, ale podświadomie wiedział. Ponieważ strach, który czuł przedtem, zniknął i zastąpił go spokój. Nie miał już wrażenia, że rzeczy, których nie rozumie, wymykają się spod kontroli. Ten pokój, studnia, wino, wszystko wydawało mu się przyjazne, kojące, jakby znalazł się w znajomym otoczeniu. Odetchnął głęboko. Zapach wina

przypomnił mu gabinet szkolnego psychologa, pana Bartona, pijącego wino z butelki ukrytej w biurku. Powrócił myślami do bójk z Paulem. Chociaż to, co się stało, budziło w nim zgrozę i wstręt do siebie, w głębi duszy czuł satysfakcję i kiedy odtwarzał bójkę w myślach, kiedy wyobrażał sobie drobne zmiany, które spowodowałyby śmierć Paula, zaczął się uśmiechać.

- Dlaczego się uśmiechasz? - zapytała Penelope.

Otworzył oczy, popatrzył na nią, zamrugał. Dlaczego się uśmiechał? Na myśl o zabiciu Paula? Pokręcił głową.

- Nic takiego.

Oboje zajrzeli do studni wina.

- Co teraz? - zapytał Dion.

- Las - odpowiedziała Penelope.

- Na pewno?

Kiwnęła głową.

- Wiedziałaam, że muszę tam pójść, odkąd wczoraj w nocy przyłapałam matkę Margeaux, jak zakradała się do kuchni. Próbowalaam udawać, próbowałam o tym nie myśleć, próbowałam sobie wmawiać, że... że można to jakoś wytłumaczyć, ale wiedziałam, że nie można.

- Ale...

- Żadnych ale.

Kiwnął głową.

- Więc chodźmy. Zobaczmy, co tam jest.

38.

Horton stał oparty o ścianę, kiedy komputer porównywał odciski palców z przechowywanymi w bazie danych. Patrzył, jak miga podzielony ekran, lewa połowa wyświetlająca odcisk z butelki, prawa pokazująca odciski, z którymi go porównywano. Proces odbywał się automatycznie, ale nie błyskawicznie i Horton wiedział, że trzeba dużo czasu, żeby sprawdzić wszystkie odciski zgromadzone w pamięci maszyny. Oprócz kompletnych zestawów odcisków palców wszystkich przestępców, aresztowanych w tym okręgu przez ostatnie dziesięć lat, pamięć zawierała odciski dzieci, którym je pobrano po urodzeniu, osobników dobrowolnie zgłaszających się na pobranie odcisków palców oraz niezidentyfikowane odciski z innych miejsc przestępstwa. Komputer miał również dostęp do banków odcisków innych departamentów w całym stanie, jeśli były online.

Przeszukiwanie trwało już prawie od dwudziestu czterech godzin i zdaniem Filberta, technika monitorującego maszynę, mogło potrwać jeszcze dwa razy tyle, zanim zostaną porównane wszystkie odciski.

Cholera, pomyślał Horton, przy moim szczęściu okaże się, że odcisk należy do kogoś, kogo wcale nie ma w bazie danych.

Lyknął kawy i zamierzał już wrócić do gabinetu, kiedy nagle obraz na ekranie znieruchomiał. Zamigotało czerwone światelko i rozległ się brzęczyk.

- Poruczniku? - powiedział Filbert, obracając się z krzesłem.

Horton podszedł do technika, który stukał w klawisze, i zajrzał mu przez ramię. Identyfikacja właściciela odcisku nałożyła się na dolną część ekranu.

Margeaux Daneam.

Nagle zaschło mu w ustach. Dopił kawę. Nie podejrzewał tego, nie spodziewał się, ale z jakiegoś powodu to go nie zaskoczyło. Popatrzył na nazwisko i adres wytwórni win pod spodem. Przeszedł go zimny dreszcz.

- Wydrukuj to - polecił Filbertowi.

Technik nacisnął klawisz i kopia danych zaczęła się wysuwać z laserowej drukarki połączonej z terminalem.

Daneam.

Roztarł gęsią skórkę na ramionach. Nie chodziło o fakt, że prominentna miejscowa bizneswoman jest zamieszana w brutalny gwałt i morderstwo dwójga nastolatków. Chodziło o okoliczności towarzyszące. Peryferie. Wzrost statystyk prowadzenia pojazdów w stanie nietrzeźwym i zakłóceń porządku publicznego, pozostałe morderstwa, jego pijaństwo i cała reszta.

Wszystko się ze sobą wiązało.

I właśnie o to chodziło. Był policjantem od dawna, widział przestępstwa duże i małe, ale zawsze występowały niezależnie od siebie. Przestępca lub przestępcy popełnili zbrodnię, sprawa rozwiązana, sprawcy skazani, koniec pieśni. Ale tutaj było inaczej. Pomyślał, że najbliższa analogia to narkotyki, ale chociaż miliardy przestępstw miały związek z narkotykami, każde popełniano oddzielnie. Owszem, wszystkie miały wspólne korzenie, ale nie łączyły się ze sobą. Nie jak... to.

To jakieś niesamowite.

Pomyślał o Hammondzie i jego odjechanych teoriach. Może detektyw jednak nie całkiem się mylił.

Filbert oddał wydrukowany arkusz i wręczył Hortonowi.

- Wydrukuj jeszcze kilka - polecił Horton. - I daj szefowi.

Filbert kiwnął głową.

- I dzięki.

Horton otworzył drzwi laboratorium i wyszedł na korytarz.

W komisariacie panował chaos.

Horton stał oszołomiony. Mijali go ludzie biegnący korytarzem w obie strony. Policjanci jeszcze nieuzbrojeni pośpiesznie przypasywali broń i zakładali wyposażenie bojowe. Kilka osób krzychało jednocześnie, z głośników wydobywał się niezrozumiały bełkot.

- Co jest? - zapytał Horton, łapiąc za ramię jakiegoś rekruta.

- Zamieszki na State Street, sir.

- Co się stało?

- Nikt nie wie. Grupa piętnastu czy dwudziestu osób z jakiegoś baru nagle zrobiła się agresywna i zaatakowała ludzi, którzy maszerowali w paradzie halloweenowej. Pięć ofiar śmiertelnych.

- Śmiertelnych?

- Tak, sir.

- Jezu pieprzony.

- Podobno jakiś funkcjonariusz oberwał. Horton puścił ramię rekruta.

- Idź! - rozkazał.

Młodziak odszedł z pośpiechem, a Horton przepchnął się przez kłębowisko ludzi do gabinetu Goodridge'a. Miał jakieś dziwne przeczucie. Nie przypuszczał, że te Daneam wywołały zamieszki, ponieważ wiedziały, że policja znalazła odcisk palca, zidentyfikowała go i zamierza zgarnąć starą Margeaux. Raczej nie. Ale nie wątpił, że maczały w tym palce. Postawiły na to swoją karierę. Nigdy nie ufał tym lesbom. Nie wiedział, czy dosypują czegoś do swojego wina, czy uprawiają czarną magię, ale w jakiś sposób doprowadziły do eskalacji przemocy, a on zamierzał położyć temu kres.

Wszedł do gabinetu szefa, pokazał mu wydruk, powiedział o identyfikacji i zażądał nakazu oraz kilku ludzi.

- Nie mam nikogo wolnego - odparł Goodridge. - Czemu nie zaczekasz do jutra? Margeaux Daneam nigdzie nie wyjedzie.

Horton zagapił się na niego, zaskoczony.

- Co?

Szef zmierzył go chłodnym wzrokiem.

- Słyszałeś. Zaczekamy.

- Znaleźliśmy jej krwawy odcisk palca na butelce, której użyto do penetracji i rozerwania Ann Melbury, i nie wolno mi jej aresztować?

Goodridge otworzył dolną szufladę biurka, wyjął butelkę wina Daneam.

- Spokojnie, Horton. Za bardzo się gorączkujesz. Napij się. Wyluzuj trochę.

Horton patrzył na szefa i zrobiło mu się zimno. Odwrócił się bez słowa i wyszedł z gabinetu.

- Horton! - zawołał za nim szef.

Zignorował wezwanie i szedł dalej. W wejściu do magazynu spostrzegł Deetsa, czekającego na wyfasowanie ekwipunku. Złapał młodego gliniarza za ramię.

- Idziesz ze mną - rozkazał.
- Ale powinienem...
- Dopasowaliśmy odcisk z butelki. Mamy mordercę. Potrzebuję cię przy aresztowaniu. Deets nagle stanął na baczność.
- Tak jest, sir. Dziękuję, sir.

Horton zmarszczył brwi.

- Ile razy ci mówiłem o tym cholernym „sir”?
- Przepraszam, panie poruczniku. Ja tylko...
- Weź radiowóz - rozkazał Horton. - Podjedź od frontu. Zaczekam na ciebie.
- Tak jest, si... Okay!

Deets pognął korytarzem pod prąd.

Horton sięgnął do kieszeni, wyciągnął papierosa, zapalił. No więc nie mają nakazu. Wielkie rzeczy. Phillips załatwi mu nakaz po fakcie i antydatuje. A co zrobi szef... to już zupełnie inna historia.

Zaciągnął się głęboko papierosem, a potem przepchnął się przez kolejkę mundurowych do wyjścia.

Zajechali przed wytwórnię win i zaparkowali na miejscu dla gości. Horton spodziewał się, że ktoś im wyjdzie na spotkanie, ponieważ musieli się zapowiedzieć. Ktoś w środku otworzył im bramę, ale posiadłość wydawała się opuszczona.

To mu się nie podobało.

Denerwował się coraz bardziej, ale Deets chyba nie zauważył niczego niezwykłego. Młody policjant wysiadł z samochodu, poprawił pas i ruszył do frontowych drzwi głównego budynku. Zatrzymał się dopiero wtedy, kiedy się zorientował, że Horton za nim nie idzie.

- Panie poruczniku? - zawołał.

Horton wygramolił się z samochodu i dołączył do Deetsa. Jego policyjny instynkt pracował na najwyższych obrotach. Nigdy jeszcze nie miał takiego pietra i chciał to załatwić najszybciej, jak się dało.

Nie chciał być tutaj po zmroku.

Żaloszne, ale prawdziwe. Ten niepokój nie miał nic wspólnego z Margeaux Daneam czy nawet makabryczną naturą morderstw, o które zostanie oskarżona. Chodziło o coś bardziej instynktownego, pierwotnego. Nie chciał tutaj być, kiedy zapadnie noc.

Instynkt gliniarza czy paranoja pijaka?

Nie wiedział. W każdym razie Deets nie podzielał tych uczuć. Maszerował zdecydowanym krokiem w stronę głównego budynku: gmachu w greckim stylu, górującego nad podjazdem i parkingiem. Horton pospieszył za nim.

- Tutaj!

Kobiecy głos dobiegł z lewej strony. Horton spojrział w tamtym kierunku. Zdawało mu się, że dostrzegł jakiś ruch w zacienionym przejściu pomiędzy głównym budynkiem a sąsiednim, ale nie miał pewności.

- Pani Daneam? - zawołał.

Rozległ się chór dzikich kobiecych śmiechów, piskliwe, obłąkańcze głosy kilku kobiet śmiejących się do rozpuku. Zimny dreszcz strachu przeszył Hortona. Znowu coś się poruszyło wśród cieni.

- Pani Daneam? Jesteśmy z...

Drzwi przyległego budynku otworzyły się i przez chwilę, na tle oświetlonego wnętrza, porucznik widział grupę nagich kobiet tłoczących się do środka. Potem drzwi się zamknęły i odcieły szaleńczy śmiech.

Co tu się dzieje, do cholery? Obejrzał się na Deetsa. Rekrut stał z rozdziawionymi ustami i tępym zdziwieniem na twarzy.

- Idziemy - rozkazał Horton, wyciągając broń z kabury.

Odzyskał pewność siebie, kiedy poczuł w rękę znajomy ciężar rewolweru. Ruszył biegiem do drzwi, z wdzięcznością słysząc za plecami odgłos kroków Deetsa.

Dotarli do drzwi jednocześnie i automatycznie zajęli pozycje po obu stronach. Horton wyciągnął rękę i zastukał głośno.

- Pani Daneam? - zawołał.

Nie usłyszał żadnej odpowiedzi, nawet śmiechu. Spojrzął na Deetsa i powiedział:

- Na trzy.

Kiwnął głową do rekruta.

- Raz. Dwa. Trzy.

Deets przekręcił klamkę i Horton mocnym pchnięciem otworzył drzwi.

Nic.

Przed nimi ciągnął się pusty, oświetlony korytarz. Nikogo nie widzieli, niczego nie słyszeli. Wymienili spojrzenia i powoli ruszyli przed siebie z wyciągniętą bronią. Po drodze próbowali otworzyć każde mijane drzwi, ale wszystkie wydawały się zamknięte na klucz.

- Mogą być za każdymi drzwiami - odezwał się Deets. Horton przytaknął.

- One były... nagie - ciągnął rekrut. Horton znowu kiwnął głową.

- Dlaczego były nagie?

- Nie wiem.
- To mi się nie podoba.

Nie tobie jednemu, pomyślał Horton, ale nic nie powiedział. Nacisnął klamkę następnych drzwi. Potem usłyszał wrzask dobiegający z głębi korytarza. Spojrzał na Deetsa i obaj puścili się biegiem w stronę dźwięku.

Korytarz zakręcał, odgałęział się w prawo. Z przodu po lewej stronie jedne drzwi były otwarte. Horton zatrzymał się i przywarł do ściany obok otwartych drzwi.

- Policja! - krzyknął. - Wychodzić z rękami na głowie!

Nie otrzymał odpowiedzi, więc skoczył w drzwi, przyjmując klasyczną strzelecką postawę.

Pokój okazał się pusty.

Horton szybko wszedł do środka. Niemal natychmiast uderzył go smród. Przytłaczający, ohydnie duszący odór starego wina i jeszcze starszej krwi, stęchła woń seksu i przemocy. Zemdlilo go, zgiął się w pół i rzygnął na podłogę w kącie przy drzwiach.

- Jezu - zakrztusił się Deets za jego plecami.

Horton otarł usta i wyprostował się. Pokój nie miał okien ani mebli. Pośrodku znajdowała się ogromna, pusta kadź na wino, wbudowana w podłogę jak wanna. Podeszedł do niej i zobaczył, że jednak nie jest pusta. Na dnie leżały, przyklepione zaschlą krwią, liczne kości i gnijące ścierwa zwierząt.

- Jasny gwint - powiedział Deets.

Horton ruszył do drzwi.

- Chodź. Wracamy do samochodu i wezwiemy wsparcie. Nie podoba mi się tutaj.
- Nie przyślą żadnego wsparcia. Wszyscy są przy zamieszkach.
- Na pewno nie wszyscy.

Deets poszedł za nim.

- Co tu się dzieje?
- Nie wiem - przyznał Horton.

Wyszedł na korytarz i spojrział w stronę, z której przyszli.

I zobaczył kobiety.

Przykucnęły przy zakręcie korytarza, brudne i rozczochrane, umazane błotem i krwią. Niektóre trzymały włócznie, inne - butelki wina. Horton stał bez ruchu. Czuł strach, ale również podniecenie. Chociaż kobiety wyglądały groźnie, przyłapał się na tym, że zagląda pomiędzy ich zgięte nogi, próbuje zobaczyć ocienione kroczka. To niewłaściwa reakcja, napomniał sam siebie. Nie powinien tak się zachowywać. Lecz wyczuwał coś zmysłowego w ich postawie, coś prowokacyjnego w ich kompletnym bezwstydy, jakby z dumą obnosiły swój brud.

Poczuł zapach alkoholu, wina. Odetchnął głęboko, wciągnął w nozdrza upojną woń. Wyobraził sobie, że rzuca się w tę gromadę kobiet, pozwala się rozebrać i wykorzystać, że go całują, liżą, pieszczą, siadają mu na członku, siadają mu na twarzy. Wszystkie były siostrami, prawda? To nawet lepiej.

Wrzasnęły jak jedna i rzuciły się na niego.

Zareagował powoli, jak oszołomiony. Zatoczył się do tyłu, wymierzył broń w kobiety, ale nie kazał im się zatrzymać, jak należało.

Deets zareagował szybciej. Przesunął się przed Hortona, obiema rękami trzymając rewolwer.

- Stać! - zażądał.

Przewróciły go na ziemię.

Wszystko rozegrało się szybko, tak szybko, że Horton nawet nie widział dokładnie, co się stało. Wiedział tylko, że w jednej chwili obskoczyły policjanta, wrzeszczały, śmiały się, dźgały włóczniami, szarpały zębami, rozdzierały paznokciami. Jakim cudem dopadły go tak szybko, dlaczego nie strzelał, jak go rozbroiły, która pierwsza do niego dotarła - nie wiedział.

Oddał strzał nad głowami kobiet, bo bał się strzelać w środek kotłowniny, żeby nie trafić Deetsa. Huknęło potężnie i ze ściany naprzeciwko wyleciał kłęb tynku, ale kobiety chyba nawet nie zauważyły. Dalej szarpały szaleńczo mężczyznę leżącego pod nimi i Horton zobaczył bryzgi krwi: najpierw krople, potem fontanny.

Uświadomił sobie, że nie słyszy krzyków Deetsa. Słyszał tylko wrzaski kobiet.

Instynkt podpowiadał mu, że Deets nie żyje. W pierwszym odruchu chciał strzelać, opróżnić magazynek broni, zabić jak najwięcej kobiet. Ale bał się jak nigdy w życiu i ten sam instynkt go ostrzegł, że jeśli zaraz się nie ruszy, raczej nie wyjdzie stąd żywy.

Pobiegł.

Żałował, że kobiety nie przyszły z drugiej strony i nie mógł wrócić tą samą drogą. Teraz nie miał wyboru, musiał uciekać w głąb budynku z nadzieją, że na drugim końcu znajdzie otwarte wyjście.

Nadchodziły. Słyszał ich dziki śmiech i paplaninę w jakimś obcym języku, zagłuszane przez jego ciężki oddech i kłapanie butów na betonie. Chciał sprawdzić, czy któreś drzwi w korytarzu nie są zamknięte na klucz, ale nie miał czasu. Biegł dalej, a korytarz zakręcał i znowu zakręcał.

Kończył się drzwiami. Horton modlił się, żeby drzwi nie były zamknięte na klucz, żeby prowadziły na zewnątrz, ale potem zobaczył, że nie musiał się modlić. W metalu osadzono okienko, przez które widział purpurowo-pomarańczowy zmierzch.

Udało mu się.

Dotarł do drzwi, chwycił klamkę i drzwi się otworzyły.

Odwrócił się i wycelował rewolwer. Nie miał oporów przed strzelaniem do tych kobiet. Nie o to chodziło. Rzecz w tym, że miał za mało kul na wszystkie.

Ale nie było ich tak wiele. Widział tylko trzy kobiety biegnące za nim. Przecież wcześniej było ich więcej?

Tak.

Złapały go od tyłu. Rozdzieliły się, kilka go ścigało, pozostałe zakradły się z drugiej strony budynku, a on nawet nie pomyślał, tylko jak głupiec wpadł prosto w pułapkę.

Zasłużył, żeby go schwytały, pomyślał.

Ale kiedy pierwsze paznokcie zagłębiły się w jego ciało i rozbita butelka po winie rozha-
ratała mu gardło, zmienił zdanie: nie, nie zasłużył.

39.

Stali przy ogrodzeniu i spoglądali w las.

Las.

Samo słowo brzmiało złowieszczo i Dion nagle pożałował, że przyszli tu sami, że nie zabrali Kevina i Velli. Albo jeszcze lepiej, że nie zaczęli do rana.

Bo już zapadła noc. Słońce zaszło szybko i zablysnął księżyc, który od dawna wisiał na niebie. W lesie panowała ciemność, sylwetki drzew rysowały się jak cienie na tle czarnych wzgórz. Za nimi, po drugiej stronie wysokich wzgórz na przeciwległym krańcu doliny, słońce powoli zanurzało się w fale Pacyfiku w orgii żółto-pomarańczowych barw. Tutaj jednak pozostał tylko mrok i blada, błękitnawa poświata księżycza.

Dion bał się lasów, i to nie miało nic wspólnego z Penelope, jej matkami ani niczym, co widział, słyszał albo sobie wyobraził. To była instynktowna reakcja na roztaczający się przed nim widok, fizyczna odpowiedź na coś za drzewami, co wzywało go na jakimś podprogowym poziomie.

Coś za drzewami.

Naprawdę wierzył, że coś się kryło za drzewami, chociaż nie miał pojęcia, jak i skąd mu to przyszło do głowy. I naprawdę go wzywało. Bał się tego, ale jednocześnie to go kusilo, przyciągało.

Boże, co by teraz dał za drinka.

- Dion?

Spojrzał na Penelope. Była blada i wiedział, że nie tylko światło księżyca nadawało jej taki wygląd.

- Tak?

Spodziewał się, że powie coś poważnego i głębokiego, co wyrazi i wyjaśni skomplikowane emocje, które odczuwał - które oboje odczuwali - lecz kiedy się odezwała, jej słowa okazały się rozczarowująco, irytująco trywialne:

- Powinniśmy wziąć latarkę.

Odruchowo kiwnął głową.

- Tak - mruknął. - Powinniśmy.

W milczeniu przeczołgali się pod ogrodzeniem - podniósł drut kolczasty, żeby mogła prześliznąć się pod spodem - i kiedy zagłębili się w las, wziął ją za rękę. Dłoń miała ciepłą, spoconą, co mu się spodobało. Z jakiegoś powodu jej strach go podniecił i wywołał mrowienie w kroczu.

Dion próbował nie myśleć o swoich uczuciach, nie przyznawać się do nich, ponieważ prerażały go jeszcze bardziej niż las dookoła. Powinien powiedzieć dziewczynie, porozmawiać z nią, wyjaśnić, że coś jest nie tak również z nim, nie tylko z tym miejscem, ale nie mówił nic, trzymał ją za rękę i siedł dalej.

Otaczała ich cisza. Miejski hałas i warkot samochodów tu nie docierały, a sam las nie wytwarzał żadnych odgłosów: żadnych świerszczy, ptaków, zwierząt. Słyszeli tylko własne oddechy, tylko trzask gałązek, chrzęst żwiru i zgrzyt kamyków pod tenisówkami. Dion pomyślał, że ta cisza wydaje się znajoma, nie wiadomo skąd.

Ręka Penelope zeszywniała w jego dłoni. Dziewczyna przystanąła, więc obejrzał się na nią. W lesie panowała ciemność, korony drzew skutecznie przesłaniały powiększony księżyc. Tu i ówdzie snopy księżycowego blasku oświetlały niewielkie skrawki gruntu, ale Penelope stała w półmroku, blada twarz ledwie widoczna wśród cieni.

- Co?- zapytał.

- Może powinniśmy wrócić.

- Myślałem, że chciałaś...

- Boję się.

Przyciągnął ją bliżej, otoczył ramionami. Wiedział, że czuła jego erekcję, ale tylko jeszcze mocniej przycisnął ją do siebie.

- Tu nikogo nie ma - powiedział. Sam w to nie wierzył i nie rozumiał, dlaczego tak mówił, ale jeszcze raz oświadczył: - Nikogo tu nie ma oprócz nas.

- Boję się - powtórzyła.

Żałował, że nie zabrali ze sobą wina. Dzbanek tego czerwonego z kadzi. Kilka łyków i przestałaby się bać. Cholera, kilka łyków i wyskoczyłaby z majtek, i na czworakach błagałaby o...

Odepchnął ją, odetchnął głęboko.

- Może naprawdę powinniśmy wracać - powiedział.

- Ty też to czujesz.

Kiwnął głową, ale potem się zorientował, że ona nie widzi jego twarzy.

- Tak - przyznał.

Znowu wzięła go za rękę.

- Chodźmy... - zaczęła i nagle wciągnęła powietrze przez zęby, ścisnęła jego dłoń. -

Patrz.

- Co?

- Tam.

Pociągnęła go w lewo i dopiero teraz zobaczył prześwit pomiędzy pniami drzew, polanę. Łąkę. Nie chciał iść na tę łąkę, chciał wracać, ale pozwolił się prowadzić. Przeszli pomiędzy drzewami, dotarli na skraj polany i przystanęli.

- O mój Boże - szepnęła Penelope. Dyszała ciężko, dławiąc się czkawką. - O mój Boże.

Dionowi nagle zrobiło się zimno.

Polanę zaśmiecwały potłuczone butelki po winie, odłamki szkła lśniły w blasku księżyca. Tu i tam puste beczki wylańiały się z morza rozbitych butelek niczym czarne wieloryby. Wśród szkła wałały się rozrzucone kawałki kości. Drobne kostki - nadgarstka, stepu, śródstopia - ale w liczbie świadczącej wymownie, że odbyła się tutaj straszliwa masakra, że spoczywają tutaj szkielety dziesiątków, jeśli nie setek ludzi.

Ale nie kości tak zmroziły Dioną.

Tylko krew.

Pod szkłem, pod kośćmi trawę i ziemię pokrywały plamy ciemnej, szerniałej czerwieni, osad po rzece krwi, która niegdyś płynęła przez polanę. Nawet pnie drzew wydawały się ciemniejsze, niż powinny. Krzaczki i młode drzewka rosnące na obrzeżach polany przybrały wyraźne czerwono-brązowe zabarwienie, jakby krew przesączyla się przez korzenie do ich tkanek i zajęła miejsce chlorofilu w liściach.

Dion z wahaniem postąpił krok do przodu. Podeszwy jego tenisówek lepiły się do ziemi, jakby stąpał po świeżej farbie, odklejały się z mlaszczącym odgłosem, wrywając źdźbła trawy.

- Nie idź - wydyszała Penelope i pociągnęła go do tyłu.

Ale on musiał tam iść, musiał zobaczyć. Nigdy nie widział czegoś takiego, ten widok budził w nim zgrozę... a jednak wydawał się znajomy. Nie chodziło o butelki, kości czy krew. Chodziło o samą polanę zaslaną przez warstwę szczątków, która skutecznie ukryła prawdziwą naturę, całkowicie zamaskowała to, co powinien rozpoznać.

Ale dlaczego powinien to rozpoznać? Nigdy przedtem tutaj nie był.

Wszedł na łąkę razem z Penelope, która wciąż trzymała go za rękę. Polana okazała się większa, niż początkowo przypuszczał, i dopiero teraz w pełni sobie uświadomił ogrom zbrodni, którą tu popełniono. Ostrożnie stąpali wśród odpadków, starannie omijając kości.

Niektóre mogły należeć do ojca Penelope, pomyślał.

Nic nie mówił.

Cisza ciążyła coraz bardziej, przytłaczająca atmosfera stała się nie do wytrzymania. Po drugiej stronie polany, pod drzewami rosnącymi u stóp wzgórza, znajdował się niski kopiec. Kości i czaszki, wiele z przylepionymi resztkami wyschniętego ciała, ułożono w formy starożytnych runów na spłachetku oczyszczonej ziemi. Pośrodku tej kompozycji wznosił się prostokątny głaz wielkości łóżka, na którym zgromadzono stare, prymitywne narzędzia śmierci. Z gałęzi drzew w górze zwisały się haki na grubych łańcuchach. Dalej wśród drzew stał czarny, rzeźbiony posąg, kamienny idol. Kiedy podeszli bliżej, Dion rozpoznał podobiznę boga, obwieszoną trofeami ostatnich zabójstw: skalpami, uszami, palcami, penisami.

Bóg miał twarz Diona.

Penelope wbiła mu paznokcie w dłoń.

- O cholera.

Dion się cofnął.

- Nie - szepnął, kręcąc głową.

- Musimy wezwać policję - oświadczyła Penelope, ciągnąc go do tyłu. - Sami nic nie zrobimy.

Dion tępo kiwnął głową.

Gdzieś z lasów, ze wzgórz dochodziły krzyki i wrzaski, śmiechy i śpiewy, coraz bliższe, coraz głośniejsze. Dion spojrział na Penelope, ona spojrziała na niego i chociaż oboje wiedzieli, że powinni uciekać z polany, żadne nie wiedziało, dokąd iść. Nie potrafili określić, z której strony zbliżają się te odgłosy, więc równie dobrze mogli wyjść na spotkanie nadchodzącym ludziom.

Hałasy wywoływały wrażenie chaosu, anarchicznego rozpasania, co budziło w Dionie strach i jednocześnie dodawało mu otuchy. Ci ludzie, te kobiety, które wrzeszczały, śmiały się i śpiewały, mogły go zabić, ale on je rozumiał, wiedział, kim są i skąd przychodzą.

Kim były?

Wiedział, kim były.

Oboje wiedzieli, kim były.

Matki Penelope.

I rzeczywiście grupa kobiet wypadła spomiędzy drzew na drugim końcu polany, niemal dokładnie w tym samym miejscu, w którym oni weszli na łąkę. Nagie kobiety. Matki Penelope. Dźwigały dwóch nieruchomych policjantów. Były pijane, poruszały się chwiejnie,

kilka niosło coś, co wyglądało jak włócznie, ale zmierzały wyraźnie w ich stronę i chociaż się zataczały, posuwały się w dobrym tempie, prosto do ołtarza.

- Musimy uciekać - odezwała się Penelope.

Dion przytaknął. Zdawał sobie sprawę, że jeśli szybko nie znajdą jakieś kryjówki, kobiety wkrótce ich zauważą. Wziął Penelope za rękę, pociągnął pod osłonę drzew po prawej stronie rzeźbionego idola.

I wtedy ich spostrzegły.

Krzyk wzbił się pod niebo, piskliwy wrzask pięciu kobiet wyjących chórem. Dion obejrzał się przez ramię i zobaczył, że matki Penelope rzuciły się do biegu, wciąż wrzeszcząc identycznym tonem, szaleńczo szczerząc zęby i dźwigając nieruchomych policjantów.

- Uciekaj! - krzyknęła Penelope.

Próbował. Oboje próbowali. Ale matki biegły szybko, ich wrzaski mąciły w głowie, drzewa rosły tutaj gęściej, poszycie sięgało wyżej i...

I częściowo chciał, żeby go schwytano.

W tym problem. Bał się okropnie, jak nigdy w życiu, i naprawdę chciał uciec. Ale mocno ścisnął rękę Penelope, skręcał to w jedną, to w drugą stronę, jakby nie całkiem podświadomie chciał, żeby matki ich dogoniły. Chciał wiedzieć, co się potem stanie. Czuł strach, ale jednocześnie czuł się silny, napełniony dziwną energią, i wiedział, że cokolwiek się stanie, choćby najbardziej niesamowitego, on to wytrzyma.

Chciał to wytrzymać.

Matki dogoniły ich między pierwszymi drzewami. Silne ręce chwyciły go za ramiona, paznokcie wbiły mu się w skórę i brutalne szarpnięcie obróciło go twarzą do pijanej, szczerzącej zęby matki Margeaux.

Nie był taki gotowy, jak myślał, wcale nie taki silny i dzielny, jak sobie wyobrażał. Wrzeszczał, kiedy kobiety wlokły go z powrotem do prostokątnego ołtarza na szczycie kopca. Po lewej stronie słyszał wrzaski Penelope, ale nie mógł się na nią obejrzeć i nie wiedział, czy krzyczała z bólu, ze strachu, czy z obu powodów.

Wepchnęły mu do ust szyjkę butelki i wlały chłodne wino. Większość ściekła na brodę, ale trochę spłynęło do gardła. Smakowało dobrze, dziwnie uspokajało.

Potem uniesiono go wysoko i zrzucono na blok kamienia. Zaparło mu dech, ból przeszył plecy i głowę, ale kiedy wlało mu więcej wina do gardła, ból minął. Siła powróciła w jednym dziwnym, chłodnym dreszczu. Usiadł albo pozwolono mu usiąść i zobaczył, że matka Margaret i matka Sheila trzymają go za ramiona. Matka Sheila czy matka Felice? Nie pamiętał która.

U stóp kopca zobaczył pozostałe matki śmiejące się histerycznie. Matka Margeaux wbiła włócznię z szyszkowym grotem w odsłonięty teraz brzuch starszego policjanta.

Wypłynęła krew, nie trysnęła, tylko pociekła z rozdartej skóry.

Penelope, rzucona na trawę obok matek, właśnie próbowała usiąść. Zobaczyła, jak matki rechoczą i popiskują, rozbierając i patrosząc młodszego policjanta. Matka Margeaux wyrwała mu wnętrzności rękami, kiedy włócznie przebiły skórę.

- Co wy robicie? - krzyknęła Penelope. - Co się dzieje?

Dion też zadawał sobie pytanie, co się dzieje. Ale chociaż chciał krzyczeć, chciał wzywać pomocy, milczał.

Zamiast tego, kiedy patrzył na matki radośnie taplające się we krwi, z niewiadomego powodu zaczął się uśmiechać.

40.

On tu jest.

Wiedza wybuchła w głowie Dennisa McCombera, całkowicie uformowana. Policjant opuścił szybę w oknie radiowozu i wyrzucił kawę, którą popijał. Sięgnął po butelkę wina, leżącą na fotelu pasażera, wyciągnął wciśnięty do połowy korek i pozwolił sobie na długi, rozkoszny łyk.

On tu jest.

Pomyślał o córce szefa. Ciekawe, czy ta mała puszczałska też tam będzie. Pewnie tak. Cholera, jasne, że tak. Wiedziała o tym wcześniej od niego.

Przypomniał sobie, jak jej głowa podskakiwała na kolanach chłopaka. Czy wzięła go całego do ust? Zrobiła mu loda? McComber przypuszczał, że tak. Nawet jeśli nie, co za różnica? Jemu zrobi na pewno. Obciągnie mu aż do końca. Zmusi ją. Wyrucha tę kurewkę w buzię tak, że będzie pluła spermą przez miesiąc.

On tu jest.

Tak, On tu był i nadszedł czas, żeby go powitać. Czas się zalać i rozjebać sobie mózg na chwałę nowego boga.

Amen.

McComber pociągnął następny łyk z butelki i odpalił silnik.

Ktoś wyłączył szafę grającą i Frank Douglas był już gotów nawrzeszczeć na gnoja, kimkolwiek był, i wykopać go na pysk, kiedy zobaczył, że wszyscy w barze przestali tańczyć, przestali gadać, przestali się ruszać i gapią się na niego.

- On tu jest - szepnął ktoś i ten szepł zabrzmiał jak wystrzał w ciszy.

Frank nagle poczuł zimno.

Zerknął w stronę drzwi i zobaczył, że bramkarz Ted stoi z dwoma stałymi bywalcami, niedopita butelka czerwonego Daneam dynda mu w rękę.

Co się dzieje, do cholery?

On tu jest.

Wiedział, co się dzieje. No, może nie całkiem, ale od tygodni zbierało się na coś takiego, więc wcale się nie zdziwił, że wreszcie się stało. Spojrzał nad kontuarem na zebranych gości, którzy przepychali się na lewo i prawo, bezmyślnie ustawiali się w szeregu i wciąż na niego patrzyli.

Sięgnął pod ladę po śrutówkę, z ulgą namacał jej znajomy kształt i zdjął ją z uchwytu. Nie spojrzął na broń, ani na chwilę nie oderwał wzroku od tłumu, żeby nie dać im okazji. Prawie wszyscy byli nawaleni, nabuzowani, narąbani w cztery litery. Teraz na cyku odgrywiają odważnych, ale kiedy dojdzie co do czego, kiedy on zacznie strzelać, rozbiegną się jak spłoszone króliki.

Kiedy czy jeśli zacznie strzelać?

Popatrzył na Teda, zobaczył radosną agresję na twarzy bramkarza.

Tak. Kiedy.

Bo to się stanie. Miał doświadczenie w bójkach, widział niezliczone knajpiane rozróby i zawsze po przekroczeniu określonego punktu nie dało się uniknąć przemocy. Nieważne, kto co powiedział czy zrobił, nieważne, jaką gadkę odstawił, to się musiało stać.

Przekroczyli ten punkt, kiedy wyłączono szafę grającą.

Mocniej ścisnął naładowaną śrutówkę i jednym płynnym ruchem - ruchem, który ćwiczył w lustrze i na zapleczu, aż nauczył się to robić jak na filmie - wy dobył broń, celując prosto w środek tłumu.

- Cofnąć się! - rozkazał. - Cofnąć się i wynocha! Bar zamknięty!

Rudowłosa kobieta wybuchnęła śmiechem. Zaszokowany Frank zobaczył, że nie miała na sobie spódnicy, tylko majtki i bluzkę. Wodząc wzrokiem po tłumie, spostrzegł, że wiele osób nosiło podarte lub niekompletne ubrania.

- On tu jest! - wrzasnął ktoś.

- Wina! - krzyknęła kobieta. - Chcemy więcej wina!

- Bar jest zamknięty! - powtórzył Frank, przesuwając lufę broni.

Rudowłosa kobieta znowu się zaśmiała.

A Frank strzelił jej w twarz.

Niechący. Przynajmniej myślał, że niechący. To stało się tak szybko. Śmiała się z niego, on celował do niej z broni i przesunął wzrok od jej czarnych majtek do kurewskiej twarzy wypełnionej czarną nienawiścią, i nienawidził tej twarzy, chciał, żeby się zamknęła, i zanim zdążył pomyśleć, pociągnął za spust, a kiedy znowu spojrzął, leżała z odstrzeloną twarzą.

A tamci rzucili się na niego.

Nie miał czasu przeładować, nie miał czasu na nic. Ted pierwszy przeskoczył przez kon-tuar i wyrwał mu śrutówkę, a potem pozostali włązili na ladę. Widział piersi i pięści, penisy i włosy łonowe. Upadł pod ciosami i kopniakami, szturchany i drapany. Słyszał brzęk rozbi-janego szkła, trzask rzucanych krzesel. Słyszał śmiechy i wrzaski, czuł zapach alkoholu z nowo otwartych butelek. Wino polało mu się na twarz.

Nad nim Ted chwycił dubeltówkę jak kij golfowy i zamachnął się, krzycząc:

- Uwaga!

Frank nawet nie zdążył wrzasnąć, zanim kolba broni walnęła go w bok głowy.

Pastor Robens kulił się w swoim gabinecie, oparty plecami o drzwi zamknięte na klucz. Słyszał, co się dzieje w kościele, ale bał się wyjść i położyć temu kres, bał się nawet spojrzeć na bluźnierstwa popełniane pod jego dachem.

Pod Jego dachem.

To go najbardziej przerażało, ten całkowity brak szacunku dla Boga Wszechmogącego i Jego Syna Jezusa Chrystusa.

Zastał ich tutaj, kiedy wrócił z wieczornej wizyty w hospicjum AIDS. Włamali się do ko-ścioła, rozbili boczne okno, żeby się dostać do środka, i tańczyli w przejściach między ław-kami, dziesięć czy piętnaście osób, nastolatki i młodzi ludzie. Koszmarna rapowa muzyka grzmiała z magnetofonu ustawionego na podium. Butelki wina stały na dywanie, butelki wina kołysały się w rękach tancerzy. Wpadł do kościoła ogarnięty gniewem i słusznym obu-rzeniem, krzyknął na nich, żeby się natychmiast wynosili. Popędził pod ołtarz, wyłączył magnetofon i obrócił się przodem do imprezowiczów...

I zobaczył świętą figurę.

Figura Chrystusa, jego własna figura Chrystusa, którą otrzymał od wielebnego Morrisa w Atlancie. Leżała na boku w pierwszym rzędzie ławek, sprofanowana, jaskrawy uśmiech klauna namalowany szminką na twarzy, ogromny gliniany fallus przymocowany do krocza.

Na ławce obok figury stała młoda kobieta z włosami w blond pasemka. Miała na sobie czarny przezroczysty stanik i krótką czarną spódniczkę, podciągniętą na biodra, ale nie miała majtek. Masturbowała się, kołysząc biodrami w powolnym, zmysłowym rytmie.

Wśród znieruchomiałych tancerzy stała dziewczyna rozebrana do pasa, chłopiec z erek-cją sterczącą z rozpiętego rozporka. Dwaj młodzi mężczyźni, całkowicie ubrani, leżeli objęci na podłodze pod rozbitym oknem.

Kazanie, które zamierzał wygłosić, zamarło mu na ustach. Teraz widział w twarzach pijanych nastolatków coś twardego i agresywnego, jakieś zepsucie, nieokreśloną groźbę, której z początku nie zauważył.

Gniew zniknął zastąpiony przez narastający strach.

Nikt się nie odzywał.

Młoda kobieta na ławce z szyderczym uśmiechem przesunęła się w lewo, stanęła okrakiem nad zbezczeszczoną figurą.

Rozchyliła wargi sromowe i oddała moc.

Chichoty rozległy się echem w cichym kościele, parsknięcia przerodziły się w wybuchy śmiechu. Młodzi ludzie patrzyli na pastora, ale ich twarze nie wyrażały wstydu ani skruchy, które spodziewał się zobaczyć, zażenowania ani poczucia winy, które powinni okazywać, tylko triumf i przerażającą pogardę.

Chłopiec z włosami związanymi w kucyk zatoczył się do podwyższenia, podniósł butelkę.

- Hej, koleś, łyknij sobie.

Pastor Robens chciał wytrącić chłopcu flaszkę, złapać go za kołnierz i potrząsnąć, żeby odzyskał rozum, ale stał potulnie z boku, kiedy chłopiec pociągnął łyk wina i włączył magnetofon.

Pozostali znowu zaczęli tańczyć, podawali sobie butelki, śmiali się i pokrzykiwali. Dwaj młodzi mężczyźni na podłodze zdążyli się częściowo rozebrać. Pod ścianą w głębi jakaś dziewczyna wrzasnęła, kiedy chłopiec zaczął okładać ją pięściami po piersiach.

Pastor Robens uciekł do gabinetu i zamknął drzwi na klucz. Ścigały go chóralne śmiechy imprezowiczów.

Jak na ironię bardzo chciał się napić. Nigdy w życiu tak nie potrzebował drinka. Drżał i serce mu waliło ze strachu. Jeszcze nigdy nie widział niczego podobnego. Pracował z trudną młodzieżą, nawet przez jakiś czas działał w poradni dla gangów w centrum San Francisco. Ale żadne wcześniejsze doświadczenia nie przygotowały go na to. Młodzież z zaburzeniami emocjonalnymi i świeżo upieczeni kryminaliści - z tymi sobie radził. Tamci młodzi ludzie mieli określone, rozpoznawalne problemy. Ale ta grupa...

Coś walnęło w drzwi gabinetu. Pastor oparł się mocniej, zamknął oczy i zmówił szybką modlitwę, żeby nie weszli do środka.

Coś było z nimi nie tak w najgłębszym, podstawowym sensie, coś, co wykraczało poza powierzchowne kłopoty związane z rodziną, społeczeństwem czy nawet zaburzeniami emocjonalnymi, coś, co wyczuwał, chociaż nie widział, coś, co tylko częściowo rozumiał.

Zło.

Tak, właśnie. Zło. Te dzieciaki były złe. Złe nie w tym, co robiły, nie w tym, co mówiły, złe same w sobie.

Zamierzał schować się tutaj i zadzwonić na policję, ale kiedy przyciskał się plecami do drzwi, kiedy łowił uchem odgłosy hulanki w jego kościele, zrozumiał, że za bardzo się boi.

Ktoś zaczął wściekle walić w drzwi, tak mocno, że pastor czuł w kościach potężne uderzenia.

- Mam dla ciebie wielkiego kutasa, klecho!

Pastor zagryzł wargi i nie odpowiedział.

Siedział tutaj już ponad dwie godziny. Słyszał wrzaski bólu, okrzyki rozkoszy, pijacki śmiech. Przewracano sprzęty, rozbijano przedmioty, tłuczono szyby. I przez cały czas ta muzyka, ten ohydny, monotony rap ryczał na cały regulator, zagłuszał cichsze dźwięki, zniekształcał głośniejsze hałasy, aż wszystko wydawało się chaotyczne, niezrozumiałe i jeszcze bardziej przerażające.

A potem nagle... usłyszał, że odchodzą. Muzyka się urwała, śmiech ucichł, krzyki umilkły i intruzi wychodzili, wybiegali, wypełzali, wytaczali się na zewnątrz. Słyszał, jak wielkie drzwi się otwierają, słyszał bełkotliwe rozmowy cichnące w oddali. Chciał wyrzecć przez okno, zza zasłony, chciał sprawdzić, czy naprawdę odchodzą, chciał się upewnić, że słuch go nie zawiódł, ale bał się nawet poruszyć. Dopiero po godzinie wreszcie zdobył się na odwagę, żeby otworzyć drzwi gabinetu, wyjść do kościoła i obejrzeć zniszczenia.

41.

Co wy wyprawiacie?

Penelope stała pośrodku łąki i wrzeszczała na swoje matki, które pochylały się nad Dionem, smarowały go krwią i tłuszczem z wypatroszonych policjantów. Matki wyraźnie były pijane, ale chwilami jakby trzeźwiały, poważne i skupione, a potem znowu wpadały w dziki, gorączkowy szal. Zupełnie jakby coś je opętało.

Opętanie.

Czy to właśnie tutaj się stało?

Penelope tak nie uważała. Cokolwiek nadprzyrodzonego leżało u źródła tych zjawisk, to nie było nic nowego, nic obcego, nic z zewnątrz.

Pochodziło od jej matek.

- Zostawcie go! - wrzasnęła.

Matka Janine obejrzała się na nią, śmiejąc się wariacko.

- On ma fajnego kutasa! Bierz go, póki ciepły!

Matka Felice uderzyła ją w twarz.

Pozostałe wybuchnęły śmiechem. Matka Janine też się roześmiała, ale wyciągnęła rękę, pełną garścią złapała poplamioną winem tunikę matki Felice i zerwała brutalnym szarpnięciem.

Matka Sheila zaczerpnęła w złożone dłonie krwi z tłuszczem i oblała matkę Felice.

- Przestańcie! - wrzasnęła Penelope.

Przenosiła spojrzenie z jednej matki na drugą. Bała się okropnie i najbardziej na świecie chciała uciekać, jak najszybciej, jak najdalej stąd. Ale dokąd miała uciekać? Dokąd pójdzie? Na policję? Wiedziała, że tak powinna zrobić. Dwaj policjanci zginęli, zabici i wypatroszeni przez jej matki. I Bóg jeden wie, ile jeszcze ludzi zamordowały.

Jej ojca.

Ale nie mogła się zdobyć na donos, nie mogła zdradzić matek. Chciała je powstrzymać, nawet je pozabijać, ale jednocześnie pragnęła je chronić przed obcą interwencją.

Cokolwiek się stało, powinno pozostać w rodzinie.

Co znaczyło, że jeśli ktoś ma coś zrobić, wypadało na nią.

Matki wciąż bawiły się we krwi. Instykt nakazywał Penelope uciekać, umykać z łąki, wracać do światła, budynków, ulic, samochodów, do cywilizacji, ratować się. Wszystko, czego się nauczyła, w co wierzyła, co знаła, podpowiadało jej, żeby wezwać pomoc. Ale stwierdziła, że nie może tego zrobić. Nie swoim matkom.

Poza tym nie mogła zostawić Diona.

Dion.

Wrzeszczał, szarpał się, wyrywał się pijanym kobietom, którego go przytrzymały i smarowały krwią. Kiedy matka Felice oderwała się od pozostałych i ruszyła przez łąkę, Penelope zobaczyła, że matka Janine pięści jego penisa, naciera krwią.

Miał erekcję.

Zemdliło ją. Podeszła do matki Felice. Przystanąły w niewielkiej odległości od siebie. Matka uśmiechnęła się z triumfem i ze smutkiem.

- Więc teraz wiesz - powiedziała.

- Co wiem?

- Kim jesteście. Kim jesteście.

Penelope czuła się jeszcze bardziej zdezorientowana. I jeszcze bardziej przestraszona. Kim była?

Nagle uświadomiła sobie, że wcale nie jest taka zaszokowana, jak powinna, nie czuje takiego obrzydzenia, jak się spodziewała. Owszem, to było straszne i odrażające, ale ona reagowała intelektualnie, nie emocjonalnie, oceniała, jaką reakcją ta scena mogła wywołać u innych, zamiast kierować się własnymi odruchami. Reagowała tak, jak uważała, że powinna,

nie zgodnie z tym, co naprawdę czuła.

Strach, na pewno czuła strach, ale nie fizyczny. Nie bała się, że coś jej się stanie. Strach wynikał raczej z rozpoznania, ze świadomości, że to jej matki, że jest ich córką, że należy do nich.

Gniew. Dominował w niej gniew. Z powodu tego, co robiły Dionowi, do czego go zmuszały. Gniew skupiony, zlokalizowany, konkretny. Nie miała pojęcia, czy zareagowałaby tak samo, gdyby chodziło o kogoś innego. Czy w ogóle ją obchodzili zabici policjanci?

Nie.

Chodziło tylko o Diona.

Czuła zapach wina, zapach krwi i te zmieszane wonie ją przyciągały.

Popatrzyła na matkę.

- Kim jesteście?

- Menadami - odpowiedziała matka Felice.

Menady. Znała to słowo. Oszalałe kobiety, które w greckiej mitologii oddawały cześć Dionizosowi. Kobiety upojone winem i seksualną ekstazą, które zabiły Penteusa i rozszarpały Orfeusza na strzępy w dzikiej orgii krwi. Przedstawicielki chaosu w uporządkowanym poza tym świecie greckich bogów. Ciemna strona starożytnej religii.

Ale menady nie istniały w rzeczywistości. To postacie mitologiczne, fikcyjne.

Doprawdy?

- Zawsze istniałyśmy - powiedziała łagodnie matka Felice, obejmując ramieniem Penelope, dotkliwie świadomą, że matka jest naga, że krew na niej pachnie słodko, świeżo i kusząco. - Ale ludzie o nas zapomnieli. Zapomnieli o starych bogach.

- Nikt niczego nie zapomniał - sprzeciwiła się Penelope. - Ludzie...

- Ludzie nazywają to mitologią.

Penelope nie odpowiedziała.

- To nie są bajki ani legendy. W ten sposób prymitywne ludy próbowały wyjaśnić rzeczy, których nie rozumiały. - Matka dotknęła palcem krwi między piersiami, uniosła palec do ust. - To prawda.

Za jej plecami Dion wydał przeraźliwy wrzask, który przerodził się w głośny, niekończący się śmiech.

- Co wy mu robicie? - zapytała Penelope.

- Ożywiamy Go - odparła matka zniżonym głosem, pełnym czci i bojaźni. - Przywołujemy Go z powrotem.

Penelope poczuła zimny dreszcz.

- Kogo?

- Dionizosa.

I znowu się nie zdziwiła, chociaż powinna. Sam pomysł, że jej matki nacierają krwią ciało jej chłopaka, żeby zmienić go w greckiego boga... nie wymyśliłaby czegoś takiego nawet przez milion lat. Ale wydarzenia toczyły się własnym torem, wszystko się łączyło, splatało w sposób jakby naturalny, niemal nieunikniony, a ona mogła tylko stać z boku i patrzeć.

- Oddawałyśmy Mu cześć w dawnych czasach - podjęła matka. - Wtedy nie było proroków ani kapłanów, ale my spełniałyśmy tę funkcję. Czciłyśmy Go. A On nas nagroził. - Znowu nabrała na palec krwi, uniosła do ust. - Dał nam wino, seks i przemoc. Uczestniczył w naszych zabójstwach, w naszych obrzędach i wszyscy byli szczęśliwi. W tamtych czasach bogowie byli naszymi rówieśnikami. Nie jak w judaizmie, chrześcijaństwie czy tych innych nowoczesnych religiach. Naszej wiary nie zbudowano na historyjkach z odległej przeszłości. Nasza religia żyła i nasi bogowie żyli razem z nami. Interesowali się naszym losem. Schodzili z Olimpu, żeby przebywać wśród nas.

Jej głos ucichł i Penelope usłyszała śmiech Diona.

- Więc dlaczego wasi bogowie zniknęli?
- Ludzie przestali wierzyć.
- I co?

Matka Felice uśmiechnęła się czule do Penelope.

- Pamiętasz, jak byłaś mała i zabrałyśmy cię do San Francisco na przedstawienie *Piotrusia Pana*? Pamiętasz tę część, kiedy Błaznany Dzwoneczek umiera i publiczność musi krzyknąć, że w nią wierzy? Krzyczałaś ze wszystkich sił. Tak bardzo chciałaś uratować jej życie.

Penelope kiwnęła głową.

- Pamiętam.

- No więc bogowie są jak Błaznany Dzwoneczek. Nie potrzebują ziemskiego pokarmu. Potrzebują wiary. Wiara ich karmi, daje im moc. Bez niej... odchodzą w zapomnienie.

Jakie to dziwne, pomyślała Penelope. Jakie szalone. Racjonalna rozmowa o nieracjonalnym, wspomnienia z dzieciństwa i odniesienia do popularnej kultury usiłujące tłumaczyć starożytne zło.

Starożytne zło.

To było to? Wyświechtany frazes, oklepany temat kiepskich powieści i grozy i jeszcze gorszych filmów grozy, przywołujących wizje mściwych indiańskich demonów i nawiedzonych krain. Ale pasowało. Wydarzenia, o których mówiła jej matka, rozegrały się przed wiekami. Religia, którą wyznawały jej matki, była starsza od chrześcijaństwa o tysiąc lat.

- Bogowie odeszli, ale nie my. Nasze istnienie, w przeciwieństwie do nich, nie zależy od wiary. Jesteśmy z ciała i krwi. Ale jesteśmy też więcej niż ludźmi. On obdarzył nas boskością i dalej odprawialiśmy nasze rytuały, nasze obrzędy, wiedząc, że w końcu On do nas

powróci. „Bogowie narodzą się z ludzi - wyrecytowała. - Jak odeszli, tak powrócą, by zająć ponownie należne im miejsce na wyniosłym Olimpie”.

- Co to ma znaczyć?

Matka Felice nachyliła się i przysunęła twarz do twarzy Penelope.

- Jak myślisz, co się stało ze starymi bogami, z prawdziwymi bogami? Myślisz, że po prostu umarli? Myślisz, że odlecieli w kosmos? Nie. Niewiara ich osłabiła, ale nie zabiła. A Zeus w swojej nieskończonej mądrości zarządził, żeby znaleźli schronienie w ciałach ludzi. - Uśmiechnęła się, odsłaniając krew na zębach. Lewą pierś naciskała na ramię Penelope. - Ukryli się w nas. W naszych genach. W naszych chromosomach. W naszych komórkach. Inni bogowie schronili się w Dionizosie. A Dionizos schronił się w nas. A my wierzymy i nie przestaniemy wierzyć, więc oni nie umarli. Przekazywani z pokolenia na pokolenie, czekają, żeby ponownie się narodzić.

- Ale Dion...

- Jego matka też jest menadą. Jedną z nas.

Penelope pokręciła głową.

Matka Felice chwyciła ją za rękę, pociągnęła do ołtarza. Dion stał teraz na kamiennym bloku, pomiędzy matką Sheila a matką Janine. Od stóp do głów pokryty krwią, wyglądał jak czerwony posąg, tylko białka oczu i zęby błyskały na ciemnym tle. Jego olbrzymia erekcja drżała i wydawała się większa, niż Penelope pamiętała.

Wyglądała wspaniale.

Nawet umazana krwią wyglądała wspaniale.

Zwłaszcza umazana krwią.

Nie! Odepchnęła od siebie tę myśl.

Matka Margeaux podała dzban matce Janine, która wlała Dionowi wino do ust. Wypluł, ale ona nalała znowu i tym razem przełknął.

- Dion! - krzyknęła Penelope.

Jakby jej nie słyszał, nie poznawał.

- Nasz bóg jest najłatwiejszy do wskrzeszenia - wyjaśniła matka Felice. - Dionizos był już w połowie człowiekiem, jedynym półludzkiem bogiem, i On sprowadzi z powrotem pozostałych bogów Olimpu.

- Dlaczego to Dion? Myślałam, że on jest w was.

- On jest w nas wszystkich.

- Jednocześnie?

- On jest w tobie.

- Nie.

- On jest w naszych genach. - Ścisnęła rękę Penelope. - Nie tylko nazywamy się siostrami, twoje matki i ja. Naprawdę jesteście siostrami.

Wszystkie miałyśmy tego samego ojca, chociaż inne matki. Tak zawsze było. Przez pokolenia wierzono, że On może się odrodzić tylko wtedy, kiedy syn menady połączy się z ludzką kobietą. Uważano, że On jest w spermie. Dopóki matka Margeaux nie odkryła, że On jest w spermie i w jajeczku. Nie może się odrodzić poprzez syna menady spółkującego z normalną kobietą. Tylko menada poczęta przez tego syna, złączona z normalnym mężczyzną, może Go wskrzesić.

Penelope całkiem się pogubiła. Zbyt wiele się działo i zbyt szybko, a zwariowane wyjaśnienia matki podejrzanie przypominały jakieś skomplikowane zadanie z matematyki. Co ona mówiła? Że Penelope i Dion są spokrewnieni?

Kazirodztwo.

Nie. To niemożliwe. Zniosłaby wszystko, byle nie to. Potwory i starożytni bogowie. Krwawe ofiary i wielopokoleniowy plan rozrodczy. Wszystko było do przyjęcia.

Ale nie mogła być spokrewniona z Dionem.

- Jak myślisz, ile mam lat? - zapytała matka Felice.

Penelope pokręciła głową.

- Urodziłam się w 1920 roku. - Uśmiechnęła się. - Jak my wszystkie. Córki Harrisa, syna Elsmere.

- Ale wszystkie nie możecie być moimi matkami.

- Nie - przyznała matka Felice. - Ja jestem twoją prawdziwą matką. Ja wydałam cię na świat.

- Wiedziałam...

- Ale masz geny nas wszystkich. Też jesteś menadą. Wyglądasz jak człowiek, zachowujesz się jak człowiek, ale nie jesteś człowiekiem.

- Jestem!

Matka Felice uśmiechnęła się chytrze.

- Lubisz krew, prawda? Lubisz jej zapach, jej wpływ na ciebie. Lubisz wino. Kiedy dałyśmy ci spróbować, chciałaś więcej...

Penelope wiedziała, że to prawda, ale uparcie kręciła głową.

Podeszły do ołtarza. Zapach krwi i wina upajał. Pod nogami, obok wypatroszonych ciał dwóch policjantów, Penelope zobaczyła kości.

Matka Sheila zauważyła kierunek jej spojrzenia i zaśmiała się pijacko.

- Dawne imprezy - powiedziała. - Dawne obrzędy.

Strach powrócił.

- Kim oni byli?

Matka Felice wzruszyła ramionami.

- Obcy. Głównie przejezdni. Dawniej przewijało się tutaj znacznie więcej obcych niż teraz. Samotni, brudni, głodni młodzi mężczyźni, szukający pracy albo jałmużny, albo

jednego i drugiego. Staraliśmy się nie brać miejscowych do obrzędów.

- Ale nie zawsze nad tym panowałyśmy - wtrąciła matka Janine z uśmiechem. - Kiedy wstąpi w ciebie duch...

- To nie tylko ludzie - podjęła matka Felice. - Nie zawsze ludzie uczestniczyli w obrzędach. Czasami psy albo koty. Albo dzikie zwierzęta.

- Dzikie zwierzęta są najlepsze - stwierdziła matka Janine. - Dobrze walczą.

Penelope strząsnęła z ramienia rękę matki Felice. Chciała ją uderzyć, walnąć ją pięścią w brzuch i obalić na ziemię. Chociaż zawsze lubiła ją najbardziej ze wszystkich matek, w tej chwili jej nienawidziła. Nienawidziła ich wszystkich. Ale bijatyka nie pomoże. Nie tędy droga. Mogła wykorzystać element zaskoczenia, nawet znokautować matkę Felice, ale nie miała szans z matką Janine. A pozostałe matki pokonają ją w sekundę.

Nie, musiała to rozegrać na spokojnie, znaleźć jakieś inne wyjście.

Napotkała spojrzenie Diona. W jego oczach zobaczyła strach, grozę, ale również... co? Przyzwolenie? To nie miało sensu. Dion nie był reinkarnacją boga. Nie wierzyła w historjkę matki...

Tylko że wierzyła.

Tak, uświadomiła sobie, że wierzyła we wszystko. W każde słowo.

A świeża krew na erekcji Diona wyglądała cholernie kusząco.

Odwróciła się stanowczo, ale matka Sheila ją przytrzymała.

- Potrzebujemy cię.

- Jesteś jedną z nas - dodała matka Felice. - Przyłącz się do nas.

Pokręciła głową.

- Nie mogę.

- Uciekaj! - wrzasnął Dion.

Matka Janine podniosła na nią wzrok.

- Chcemy, żebyś się z nim pieprzyła.

Odmowa zamarła Penelope w gardle. Co? Co się dzieje? Czego one żądają? Przenosiła spojrzenie z jednej matki na drugą, ale widziała tylko życzliwość i zachętę, jakby żadna z nich nie uważała tej prośby za niezwykłą nawet w najmniejszym stopniu.

- Możemy Go sprowadzić z powrotem - wyjaśniła matka Felice. - Ale tylko ty możesz sprowadzić pozostałych. On musi się sparzyć z tobą.

- Wasze połączenie wskrzesi bogów - oznajmiła matka Margeaux.

- Pieprz się z nim! - rozkazała matka Sheila.

Penelope rozplakała się, nie mogła się powstrzymać.

- Nie.

Matka Janine wyszczerzyła zęby.

- Patrz, jakiego ma wielkiego chuja. Nie chcesz go pocuć w sobie?

Chciała i one o tym wiedziały, i to było najgorsze. Nie różniła się od nich i one o tym wiedziały. Menady.

- Nie! - krzyknęła.
- Nie! - zawtórował jej Dion jak echo.

Ale kiedy na niego spojrzała, w jego twarzy ujrzała odbicie własnej żądz.

Odwróciła się do matki Felice, swojej prawdziwej matki.

- Nie możecie mnie do tego zmusić.

- Nie, to twoja decyzja - przyznała matka Felice i w jej głosie brzmiała miękkość, wyrozumiałość, nieobecna w głosach i słowach pozostałych matek. - Nie musisz tego robić, jeśli nie chcesz. Inni czekają na powrót Zeusa, Artemidy, Afrodyty i pozostałych, ale nam wszystko jedno, czy tamci bogowie wrócą. Mamy naszego boga. Więc to zależy od ciebie. Cokolwiek zdecydujesz, staniemy za tobą.

Penelope obejrzała się na matkę Margeaux, szukając potwierdzenia. Matka Margeaux skinęła głową.

- Zechcesz, kiedy Go zobaczysz - zapewniła matka Margaret.
- Wszystkie zechcemy - dodała matka Sheila i wybuchnęły śmiechem.

W tym śmiechu brzmiała ostra nuta, która nie spodobała się Penelope, która ją przestraszyła. Należała do nich, a jednak nie należała i nie wiedziała, co się stanie, jak się rozwinię sytuacja.

Nie wiedziała, co sama zrobi, i to ją najbardziej przerażało. Racionalnie rozumując, powinna uciekać, sprowadzić pomoc, wezwać policję. Wiedziała, że matki pozwolą jej odejść. Nie zabiją jej, nawet nie spróbują jej zatrzymać.

Ale nie mogła odejść. Nie mogła wyrzec się rodziny, bez względu na wszystko. I nie mogła zostawić z nimi Diona. Poza tym nawet gdyby sprowadziła pomoc, mogła nie zdążyć na czas, żeby go uratować. Zanim on się przemieni.

Zanim się przemieni.

Wiedziała, że tak się stanie. Nie tylko wierzyła, ale wiedziała.

Teraz matki śpiewały, powtarzały słowa rytuału w języku, którego nie rozumiała. Jako uzupełnienie dzbanów pojawiły się butelki wina i matki przekazywały je sobie z rąk do rąk. Matka Margaret potknęła się o wypatroszone zwłoki jednego z policjantów, upadła na kolana, wstała ze śmiechem. Dion, wciąż przytrzymywany, skręcał się jakby z bólu w ramionach matki Janine i matki Sheili.

Matka Felice pociągnęła łyk z butelki i podała ją Penelope. Wino pachniało dobrze, ale Penelope odrzuciła butelkę za siebie, na łąkę. Butelka wylądowała na trawie, rozlewając zawartość.

- Hej - zawołała bełkotliwie matka. - Po co to zrobiłaś?

Spojrzała na Penelope z wrogością, która uświadomiła dziewczynie, że wcale nie jest tak bezpieczna przy matkach, jak jej się zdawało.

Cofnęła się, odstąpiła od ołtarza i szybko rozejrzała się po łące, żeby ocenić, w którą stronę powinna uciekać w razie czego.

Wtedy zobaczyła innych.

42.

Don wciąż nie bardzo wiedział, co się dzieje.

Leżał na ołtarzu. Tyle wiedział. I był nagi. Matki Penelope trzymały go za ręce i nogi i... coś mu robiły. Chciał zawołać Penelope, ale odchyłono mu głowę do tyłu i jedna matka otworzyła mu usta silnymi, żyłastymi palcami, a druga wlała mu wino do gardła. Czuł na całym ciele ręce pozostałych, namaszczające go krwią. Przełknął słodki, odurzający płyn, żeby móc oddychać. Palce objęły jego penisa, pieściły, głaskały i wbrew sobie poczuł, że twardnieje. Skądś dobiegł do niego krzyk Penelope.

Ręce puściły jego głowę. Otworzył oczy, spojrzał w dół. Miał olbrzymią erekcję, drżącą, pokrytą krwią.

Chciałby ją wepchnąć do ust Penelope, aż do gardła, zakneblować ją i zdusić ten piekielny jazgot.

Nie, wcale nie chciał.

Tak, chciał.

Obrócił głowę, spojrzał pomiędzy drzewa, na posąg boga z jego twarzą.

Cholera, co się dzieje?

Znowu wiano mu wino do ust. Oto, co się działo: próbowaly go upić. Chciał wypluć wino, ale tylko pociekło mu po brodzie.

Boże, smakowało wspaniale.

Teraz matki śpiewały, recytowały, ale nie rozumiał słów. Równie dobrze mogły mówić po grecku. Zachichotał. Po grecku. O Boże, już się upił. Nigdy się stąd nie wyrwie, jeśli nie zachowa przytomności umysłu...

Znowu przemocą otwarto mu usta, wiano więcej wina do gardła. Zakrztusił się, próbował przełknąć, mało się nie zadławił, ale ciepły płyn spłynął gładko i nappełnił go przyjemną lekkością.

Teraz rozumiał niektóre słowa recytowane przez matki. Nie wszystkie, ale niektóre. Słowa w obcym języku, ale gdzieś je słyszał. Może we śnie.

Zrozumiał, że one się modlą.

Do niego.

Nie powinny. Tak nie wolno. Próbował się wyrwać matkom, ale były silniejsze od niego, palce i nadgarstki miały jak z żelaza.

Dały mu więcej wina.

Rozejrzał się po łące. Nadchodzili inni, pojawiali się na obrzeżach polany, wyłaniali się spomiędzy krzaków i drzew. Błazi, z rozdziawionymi ustami, niemal wszyscy pijani. Poruszali się jak zdalnie sterowani zombi, mężczyźni i kobiety; niektórzy mieli latarki, inni trzymali noże, inni nieśli martwe psy i koty, inni tylko butelki wina.

Zobaczyli go, machali do niego, wołali do niego.

Zrozumiał, że w jakiś sposób komunikował się z tymi ludźmi, prowadził ich jak światło latarni morskiej. Wyobraził sobie, jak wszyscy pijani mężczyźni i kobiety w dolinie nagle przechylają głowy, żeby nasłuchiwać niesłyszalnego dźwięku, niczym kosmiczne klony w filmie grozy, po czym rzucają wszystko i idą tutaj, na łąkę, do niego.

Matki go puściły, ale nie mógł się ruszyć. Zmienił się w posąg, przykuty do miejsca. Coś mu zrobiły, rzuciły na niego czar, uwięziły go w tym cieple. Matka Janine wciąż wcierała mu krew w palce u nóg, ale nic nie czuł. Chciał ją kopnąć, wierzgnąć nogą i trzasnąć ją w twarz, ale nie mógł. Łzy wściekłości i frustracji spływały po jego nieruchomej twarzy.

Próbował krzyczeć, ale nie wydobył z siebie żadnego dźwięku.

Po lewej stronie zobaczył własną matkę, nagą i widocznie zalaną. Ocierała się zmysłowo o matkę Margaret. Chciał ją zawołać, podbiec do niej, ale nie mógł. Popatrzyła na niego szklistymi oczami i odwróciła wzrok.

Gdzieś głęboko w jego wnętrzu rozległ się pomruk, niski, wibrujący sejsmiczny grzmot, który odezwał się echem w mózgu, potężniał, narastał do ryku. Dion nie wiedział, czy inni też to słyszeli, czy tylko w nim huczał ten dudniący głos, zagłuszający wszystko inne, dławiący zmysły.

Dźwięk zmienił się w słowa. Jego słowa, a jednak nie jego. Jego myśli, a jednak nie jego. Słowa triumfu i porażki:

„Jestem tutaj”.

43.

April czuła narastającą potrzebę, coraz silniejsze pożądanie. Nie była jeszcze pijana, ale wkrótce się upije. Czuła już zapach krwi wiszący w powietrzu, ciężki i pobudzający jak wino, i robiła się niespokojna, nerwowa, nie mogła się doczekać, żeby zaspokoić swoją żądzę.

Margaret obdarzyła ją długim pocałunkiem w usta, przyciskając się do niej. April poczuła rozkoszną miękkość napierających sutków, drapanie sztywnych jak druty włosów łonowych. Wyczuwała krew Margaret pulsującą tuż pod skórą i chciała rozedrzeć skórę, żeby obmyć się we krwi.

Margaret odsunęła się z uśmiechem.

- Już prawie czas.

April spojrzała w stronę ołtarza, gdzie inne kobiety smarowały tłuszczem policjantów ciała jej syna, i jej podniecenie opadło. Dion wyrwał się mocnym rękoma, które go trzymały, stękał z wysiłku i z bólu.

Zrobiło jej się trochę niedobrze. Część jej osobowości, ta głęboko ukryta część, która zawsze kierowała jej poczynaniami, ale którą jej pokazano dopiero niedawno, pragnęła kontynuacji rytuału. Łaknęła wolności, którą przyniesie przemiana. Ale inna jej część, równie silna, która urodziła, wychowała i kochała syna, chciała tylko, żeby Dion uciekł.

Dion.

Jej syn.

Wiedziała teraz, że zaszła w ciążę, świadomie postarała się zająć w ciążę, żeby do tego doprowadzić. Urodziła dziecko, żeby On mógł powrócić, i w pewnym sensie zawsze o tym wiedziała. Ale kochała również syna, jak każda matka kocha swoje dziecko. Chciała, żeby dorósł i poszedł na studia, żeby się zakochał i ożenił, żeby odniósł sukces. Normalne rzeczy.

Dion zeszywniał, zamarł.

- Nie! - krzyknęła. Łzy spływały jej po policzkach.

Wytarła je gniewnie. Po winie zawsze robiła się taka sentymentalna.

Na łące gęstniał tłum. Ludzie przybywali gromadnie, biegli, zataczali się, czołgali po trawie w stronę ołtarza. Ona również słyszała głos w jej synu - Jego głos - wzywający ją i rozumiała, dlaczego wszyscy tu przyszli, ale jednocześnie żałowała, że nie jest sama z Dionem, nie pomoże mu przez to przejść, nie wyjaśni, co się dzieje.

Spojrzała na niego, zobaczyła ból w jego oczach, odwróciła wzrok.

Pociągnęła następny długi łyk wina z butelki, poczuła rękę na pośladku. Odwróciła się, zobaczyła Margaret.

- Już czas - powiedziała Margaret. - On tu jest.

44.

Patrzyła, jak się zmieniał.

Jeszcze nigdy nie widziała nic równie przerażającego. Chciała uciekać, chciała się odwrócić i odejść, ale stała jak wrośnięta i nie mogła nawet odwrócić wzroku. Ze wszystkich sił pragnęła, żeby to się zatrzymało, cofnęło, ale wiedziała, że się nie zatrzyma.

Zaczął rosnąć.

Najpierw powiększył się penis, błyskawicznie i ponad dwukrotnie. Pozostałe części ciała nie nadążały za tym przyspieszonym tempem, ręce, nogi, tors i głowa z opóźnieniem nadrabiały pierwszy spektakularny zryw. Skóra nie pękała, kiedy rósł, chociaż powinna. Penelope dotykała jego skóry, głaskała ją, pocierała i czuła tylko zwykłą, normalną ludzką skórę. Teraz jednak ta skóra rozciągała się niemożliwie jak guma, rozszerzała się, w miarę jak wydłużały się kości i rozwijały mięśnie.

Zmianom nie towarzyszył żaden dźwięk. Dion rozwarł usta do krzyku, ale milczał. Na łące rozlegały się tylko inkantacje matek oraz bełkotliwe głosy i hałaśliwe kroki nadchodzących pijaków.

Widok był straszliwy i Penelope dostała gęsiej skórki na ramionach, kiedy patrzyła, jak głowa Diona kiwa się nienaturalnie w przód i w tył na dziwacznie wydłużonej szyi, jak ręce drgają, przechodząc metamorfozę, jak nogi załamują się i tańczą, wykręcane biologicznym rytmem wzrostu.

To wyglądało strasznie, ale najbardziej przerażały zmiany zachodzące w twarzy. Poszerzyła się i rozrosła w taki sposób, że zniekształcone rysy Diona, chociaż nadal dawały się rozpoznać, tworzyły oblicze całkiem innej osoby. Nie, chodziło raczej o wyraz twarzy, wrzeszczące usta, które wygięły się w lubieżnym uśmiechu, wypełnione paniką oczy, które stały się puste, a potem zagościła w nich chytrałość. Moc i świadomość tej mocy spłynęła na niego, osiadła w nim. Dion, jeśli przetrwał wewnątrz tej postaci, został przygnieciony, zmiażdżony. Penelope patrzyła ze strachem i rozpaczą, jak kurczył się, zmniejszał i znikał, zagubiony w rosnącym ciełe.

Teraz miał dwa metry wzrostu.

Teraz dwa i pół metra.

Teraz trzy metry.

Przez powietrze przepłynęła zmarszczka, dotykalna fala intensywnej wilgoci, przeniknęła Penelope na wylot, wyraźne, migotliwe zafalowanie, które na mgnienie zniekształciło nie tylko przestrzeń w jej polu widzenia, ale także ziemię, drzewa, księżyc, gwiazdy.

I on przemówił:

- JESTEM TU.

Słowa zahuczały wśród drzew, rozległy się echem na wzgórzach, czyste, wyraźne i dostatecznie głośne, żeby je usłyszano nawet w centrum miasta. Wokół Penelope ludzie padali na kolana, śmiali się i szlochali, modlili się i wrzeszczeli. Matki podniosły wólczenie i tańczyły ze śpiewem wokół ołtarza, wokół Diona.

Diona?

Nie, to już nie był Dion.

Jednym szybkim, przerażająco zwinnym ruchem zeskoczył z ołtarza i chwycił matkę Margeaux w tali. Okręcił ją dookoła, potem odebrał jej butelkę, opróżnił jednym haustem i odrzucił obie: butelkę i matkę Margeaux. Matka Janine ukłękła przed nim i wypięła pośladki, obnażając się w orgiastycznej ekstazie, a on nadział ją na swoją ogromną erekcję. Wyraz pożądanego oczekiwania na jej twarzy zmienił się w ból, krzyknęła i próbowała uciec, ale on chwycił garścią jej włosy, szarpnął jej głowę do tyłu i pchnął.

Penelope zrobiło się niedobrze.

Coś się popsuło, sytuacja wymykała się spod kontroli. Pies przebiegł w podskokach przez łąkę i trzy kobiety, których nie rozpoznała, rzuciły się na niego, orały mu pysk paznokciami. Po lewej chłopiec z jej klasy matematycznej spoliczkował starszą panią, a potem kopnął ją w brzuch, kiedy osunęła się przed nim na ziemię.

Wszędzie widziała butelki wina.

Wina Daneam.

Skąd oni je mają? - zadawała sobie pytanie. Skąd się wzięło?

Najwyższy czas spadać stąd w cholerę. Rodzina czy nie rodzina, matki czy nie matki, ona tutaj nie należała. Dion zmienił się w potwora, matki się upiły i kompletnie zwariowały, więc pozostało jej tylko uciekać, ratować się, zanim coś jej się stanie.

Wrzaski matki Janine rozdzierały uszy, kiedy Dion...

Dionizos

...wyciągnął członek wciąż tryskający spermą. Dwoma zadziwiająco długimi krokami podszedł do następnej kobiety, młodszej, podniósł ją do góry, zerwał jej top i ze śmiechem całował jej wielkie piersi.

Nagle ktoś złapał Penelope od tyłu. Poczowała sztywną erekcję napierającą na jej pośladki. Okręciła się i zobaczyła doktora Jonesa, jej dawnego pediatrę, ze spodniami opuszczonymi do kostek i pijacką żądzą w spojrzeniu. Walnęła go mocno w żołądek i pobiegła, lawirując w szybko gęstniejącym tłumie. Wielu mężczyzn spuszczało spodnie, wiele kobiet ściągało spodnice. Jeszcze więcej zrębało z innych ubrania: pękały staniki, trzaskały rozdzierane slipy i figi.

Musiała się stąd wydostać. Musiała wrócić do domu.

Przepchnęła się przez grupę nastolatków, ominęła gang motocyklistów. Z tyłu dobiegł do niej wrzask Diona. W tym triumfalnym, pożądlwym ryku usłyszała nutę rozpacz, zagubienia i cierpienia. Serce jej się ścisnęło, łzy zaćmiły wzrok, ale biegła dalej. Dotarła do linii drzew i zanurzyła się w las. Z prawej strony dostrzegła na drodze sznur samochodów, światła reflektorów przebijały się przez liście i gałęzie.

Po niecałej minucie dotarła do ogrodzenia. W budynkach wytwórni zapalono chyba wszystkie światła. Ludzie kręcili się na podjeździe, na parkingu, na dachu magazynu. Słyszała muzykę ze wzmacniaczy, widziała małe tańczące figurki.

Rozległ się terkot półautomatycznego karabinu, kilka światel w głównym budynku zamigotało i zgasło. Krzyki, a potem cisza.

Nie mogła wrócić do domu.

Do miasta miała daleko, ale na szosie znajdzie prawdopodobnie samochody z pozostawionymi kluczykami. Nawet samochody zostawione z włączonymi silnikami. Dziś wieczorem ludzie zachowywali się niezbyt rozsądnie.

Eufemizm roku.

Ruszyła biegiem przez winnicę w stronę szosy, wypatrując, czy nikt nie czai się pomiędzy rządkami albo nie skrada się w jej stronę. Po niebie płynęły chmury, smolście czarne na tle ciemnego fioleto, ale nie przesłaniały księżyca, który zalewał krajobraz błękitnąwą poświatą.

Co się stało? Czyżby matki w sekrecie werbowały ludzi przez te wszystkie lata, nawracały baptystów, metodystów, katolików i prezbiterian z chrześcijaństwa na kult Dionizosa? To się wydawało niemożliwe, a jednak nie istniało inne wytłumaczenie tej... pielgrzymki. Dlaczego setki pijanych ludzi zważyło się do wytwórni win, żeby czekać na powrót dawno zapomnianego greckiego boga?

Głowa ją bolała. Sprawy za bardzo się pogmatwały. Wszystko, czego ją uczono, okazało się fałszywe, bezwartościowe. Zwyczajni ludzie - lekarze, gospodynie domowe, urzędnicy, robotnicy budowlani - nagle porzucili swój powszedni amerykański styl życia, odtrącili powszechnie przyjęte wartości, jakby zerwali maskę, żeby oddawać pijacką cześć bogu, którego znała z podręczników szkolnych jako mitologiczną postać. Matki, które ją wychowały, z którymi mieszkała przez całe życie, okazały się menadami, parzącymi się z ludźmi, żeby ją począć i żeby mogła spółkować ze wskrzeszonym starożytnym bogiem.

To byłoby cholernie śmieszne, gdyby nie było takie straszne.

Dotarła do ogrodzenia biegnącego wzdłuż drogi i skręciła w kierunku bramy. Widziała zataczających się pijaków, którzy wchodzili na teren wytwórni i człapali krętym podjazdem wśród porzuconych samochodów. Kilka par kopulowało zażarcie na ziemi po obu stronach

podjazdu. Wiedziała, że nie przemknie się niepostrzeżenie, ale mężczyźni i kobiety w pobliżu bramy wydawali się tacy pijani, że pewnie nie zwrócą na nią uwagi.

Dotarła do słupka bramy, przestąpiła nad parą leżącą na ziemi i po cichu prześliznęła się na drugą stronę.

- Wypatroszyłem tę dziwkę rybackim nożem - mówił jakiś mężczyzna podniesionym głosem. - Rozkroilem ją od gęby do cipy.

- Co zrobiłeś z cyckami? - zapytała z podnieceniem jakaś kobieta.

Penelope wybiegła na szosę, pomiędzy zaparkowane i zostawione na chodzie samochody. Mocny zapach wina wypełniał jej nozdrza i jej ciało reagowało, wyschnięte usta błagały o łyk, ale zmusiła się, żeby iść dalej. Nadal była widoczna z bramy, więc postanowiła przejść jeszcze ze sto metrów, zanim znajdzie samochód nadający się jako środek ucieczki.

Ucieczki dokąd?

Nie wiedziała. Jeszcze się nie zastanawiała. Najpierw komisariat policji, potem...

Potem pomyśli.

- Penelope!

Dion.

Dionizos.

- Penelope!

W tym krzyku brzmiało żądanie. Słyszała je z drogi, przerażało ją i jednocześnie przemawiało do niej. Sprawiało, że chciała zawrócić i pobiec do lasu, zrzucić z siebie ubranie i rozłożyć się przed Nim.

Sprawiało, że chciała wskoczyć do samochodu i jechać przed siebie aż do granicy stanu.

Snop światła wystrzelił spomiędzy drzew, perłowy, opalizujący promień, mieniący się kolorami tęczy. Na ten widok poczuła, że nogi się pod nią uginają. Dotąd nie zdawała sobie sprawy, z czym ma do czynienia. Tak, widziała metamorfozę Diona. Tak, wiedziała, kim były jej matki i kim on się stał. Tak, widziała rosnący tłum wyznawców. Ale powaga sytuacji jeszcze do niej nie docierała.

Lecz to światło, ten potężny, niesłabnący promień, który sięgał ku niebu i zdawał się rozświetlać konstelacje, uświadomił jej na najbardziej pierwotnym poziomie straszliwą moc Dionizosa. Nie był tylko potworem. Nie widziała jedynie transformacji Jekylla w Hyde'a. Widziała odrodzenie boga. Prawdziwego boga.

Jak mogła liczyć, że ucieknie przed taką potęgą?

- Penelope!

Teraz w opalizującej wiązce światła pojawiły się postacie, wirujące cienie, jakby duchy z filmu klasy B. Płynęły w górę ze źródła światła, zlewały się na niebie wysoko ponad

wzgórzami, zmieniały pozycje, aż uformowały obraz.

Jej wizerunek.

Wciągnęła powietrze. Podobieństwo nie ulegało wątpliwości. Wizerunek był równie biały jak promień, taka sama biel z tęczowymi przeblyskami, ale wyraźnie widoczny, trójwymiarowy portret, tak perfekcyjny w każdym szczególe, że wyglądał jak fotografia.

Tylko że to nie była fotografia.

On to stworzył.

On jej pragnął.

- Penelope!

Dotarła na środek drogi i zaczęła biec. Wokół niej kilku maruderów stało jak przykutych do miejsca, patrząc na jej postać jaśniejącą na niebie.

Chciał, żeby ją złapali i przyprowadzili do niego.

Po lewej stronie szosy głośno warczał silnik bez tłumika. Kłęby sinego dymu buchały z rury wydechowej porzuconego forda pikapa.

Penelope przecięła środkowy pas jezdni, podbiegła do ciężarówki, otworzyła drzwi i wskoczyła do środka. Na szczęście pojazd miał automatyczną skrzynię biegów. Wrzuciła wsteczny i cofnęła wóz. Uderzyła w zderzak małego samochodu stojącego z tyłu, ale nie zatrzymała się, żeby ocenić szkody. Zmieniła bieg i ruszyła do przodu z piskiem opon, zawracając na środku jezdni. Minęła bramę wytwórni, ale nie podniosła wzroku. Patrzyła prosto przed siebie.

I jechała.

W Dolinie Napa płonęły ognie. Penelope widziała płomienie i dym, ale nie słyszała syren i nie widziała wozów straży pożarnej. Włączyła radio. Na stacji rockowej DJ odmawiał modlitwę do Dionizosa, pijacki bełkot, który brzmiał jak prośba o wybaczenie. Na stacji country leciał Garth Brook „The American Honky Tonk Bar Association”, podczas gdy w tle grupa ludzi pokrzykiwała w studiu. Stacja z wiadomościami milczała.

Penelope wyłączyła radio.

Ulice miasta wydawały się dziwnie opustoszałe. Kilka samochodów na jezdni, kilku przechodniów na chodnikach. Widziała czyjeś zwłoki przed rzędem dystrybutorów na stacji benzynowej Texaco, samotnego szabrownika w wybitym oknie wystawowym Radio Shack, ale nikogo więcej. Gdzie się wszyscy podziali? W wytwórni win i w lesie zebrało się kilka setek ludzi, najwyżej tysiąc, co stanowiło drobny ułamek populacji miasta. Co się stało z pozostałymi?

Skreśliła w Soscol, ulicę prowadzącą do centrum i komisariatu policji.

I nadepnęła na hamulce.

Ulicę wypełniali świętujący. Samochody policyjne i wozy straży pożarnej odgradzały spory odcinek długości kilku przecznic, a pomiędzy nimi od ściany do ściany tłum tańczył i popijał jak podczas Mardi Gras. Wiele osób nosiło maski lub zaimprovizowane togi. Wiele było nagich. Penelope widziała zimne ognie i fajerwerki, butelki szampana i puszki piwa. Tu i ówdzie wybuchały bójki, a częściowo rozebrani policjanci radośnie tłukli ludzi pałkami, wymuszając posłuszeństwo.

Rozbite butelki po winie Daneam zaśmiecały jezdnię i kiedy Penelope zaczęła się wycofywać, usłyszała trzask szkła pękającego pod kołami auta. Zanim wykonała pełny skręt za róg, lewa tylna opona siadła, samochód fatalnie się przechylił, kierownica nagle przestała reagować.

Penelope wysiadła z pikapa i pobiegła po Third Street, jak najdalej od Soscol. Zrozumiała, że nie uzyska pomocy na policji. Dwaj ze stróżów prawa leżeli martwi w lesie, wypatroszeni, a reszta się bawiła.

Co teraz?

Nie wiedziała. Nie zdążyła jeszcze obmyślić planu zastępczego i w głowie miała pustkę. Najlepiej chyba znaleźć inny samochód i pojechać do San Francisco, zawiadomić tamtejszą policję. Niech oni się tym zajmą.

Ale czy sobie z tym poradzą?

Czy nawet Gwardia Narodowa sobie poradzi?

Pomyślała o słupie światła strzelającym prosto w niebo i zadrżała.

Vella.

Tak, Vella. Czemu wcześniej o niej nie pomyślała? Jeśli dotrze do domu Velli, może skorzystać z jej telefonu, żeby wezwać pomoc. Potem uciekną samochodem Velli.

A jeśli rodzice przyjaciółki zostali nawróceni?

Jeśli sama Vella została nawrócona?

Postanowiła nie martwić się na zapas.

Dom Velli znajdował się tylko kilka przecznic od szkoły, a do szkoły Penelope miała około półtora kilometra. Jeśli dojdzie...

Zobaczyła go na drugim końcu ulicy.

Stał przed stacją benzynową Mobil, górując nad otaczającą go hordą pijanych biesiadników. Dziwnie się poruszał. Nie urywanymi szarpnięciami, jak postać z kreskówki, ale nienaturalnie. Bardziej płynnie niż zwykli ludzie, jakoś niesamowicie. Spojrzał w jedną stronę, potem w drugą, obracając głowę w sposób, jakiego nigdy nie widziała. Czym prędzej skoczyła w wejście do pobliskiej cukierni. Chwyciła klamkę, ale drzwi okazały się zamknięte na klucz. Zamknęła oczy i modliła się, żeby nie poprowadził swoich wyznawców tą ulicą.

Wyrzyczał coś, co brzmiało jak rozkaz.

Ale to nie był rozkaz.

To było jej imię.

Szukał jej.

- Penelope!

Mocniej przycisnęła się do drzwi, jakby w ten sposób mogła się ukryć.

Nigdy nie bała się Godzilli, Rodana czy innych przzerośniętych japońskich potworów. Ich ogrom sprawiał komiczne wrażenie, groźba tak groteskowo powiększona wydawała się całkowicie bezosobowa. Zawsze bardziej ją przerażały horrory intymne, kameralne. Potrafiła się utożsamić z szeptami w nawiedzonym domu, nie potrafiła tego z napromieniowanym dinozaurom, który tratuje domy.

Teraz jednak miała do czynienia z czymś przypominającym przesadnie wyolbrzymione japońskie potwory, ze śmieszłą parodią obławy. I umierała ze strachu.

- Penelope!

Jego głos odbijał się echem od ścian budynków, aż okna drżały we framugach.

Czy mógł ją wyczuć? Z pewnością nie był wszechmocny, lecz przypuszczalnie potrafił wyczuć jej obecność, posiadał moc, żeby ją namierzyć. Jak inaczej mógł ją dogonić tak szybko?

- Penelope!

Odchodził.

Nie wiedział, gdzie była! Nie mógł jej namierzyć dzięki jakiejś boskiej mocy. Szukał na ślepo, zgadywał, próbował przewidzieć, dokąd ona pójdzie, co zrobi.

Mógł się domyślić, że pójdzie do domu Velli, ale nie przypuszczała, żeby tam na nią czekał. Na pewno nie wiedział, gdzie to jest, a jakoś sobie nie wyobrażała, żeby wielki bóg Dionizos zatrzymywał się przy budce telefonicznej i szukał adresu w książce.

Uśmiechnęła się do tej wizji, wyobraziła sobie wszystkich pijanych wyznawców czekających dookoła budki, podczas gdy On kartkuje książkę telefoniczną. Ten uśmiech dodał jej pewności siebie. Gdzie humor, tam nadzieja. Ostrożnie wyjrzała zza framugi i zobaczyła tylną straż orszaku, chwiejnym krokiem skręcającą za róg Jefferson.

Opuściła swoją kryjówkę i przebiegła na drugą stronę ulicy. Zamierzała dojść ulicą Vernon do Sandalwood i ulicą Sandalwood do domu Velli.

W ustach jeszcze bardziej jej zaschło. Boże, ale była spragniona. Odchrząknęła po cichu. Kieliszek schłodzonego wina dobrze by jej zrobił.

A jeszcze lepiej cała butelka.

Musiała wziąć się w garść. Nie mogła pozwolić, żeby nad nią zapanowało to gównno, które sprowadziły do miasta jej matki. Musiała pozostać trzeźwa, zachować rozsądek wśród chaosu. Tylko w ten sposób mogła się uratować.

Pobiegła ulicą Vernon. Po prawej stronie, obok chodnika, w maleńkim parku o powierzchni niewiele większej niż metr, stał stół piknikowy i fontanna z wodą pitną. Penelope podeszła do fontanny i napiła się do syta. Chłodna woda tryskała w górę z kranu, spływała gładko do gardła i bulgotała w żołądku. Nigdy jeszcze woda nie smakowała tak dobrze. Penelope od razu poczuła się silniejsza, ożywiona. Wyprostowała się i znowu zaczęła biec, teraz wolniej ze względu na pełny żołądek. Nie szkodzi, nie chciała się niepotrzebnie przemęczać. Później mogła potrzebować wszystkich sił.

Znowu ulica zdawała się wyludniona. Penelope biegła przez dzielnicę mieszkalną, ale w domach nie paliły się światła. Świecił tylko księżyc i rzadko rozmieszczone latarnie. Żadnych przechodniów, żadnych samochodów.

Ponownie zadała sobie pytanie: gdzie się wszyscy podziali?

Trzy przecznice dalej przestała biec, zwolniła do marszu i wreszcie się zatrzymała, żeby złapać oddech. Rozejrzała się niepewnie. Na pustej ulicy nagle powiało grozą. Wcześniej, kiedy biegła, nie zwracała uwagi na kręgi cienia wokół drzew i krzaków, niepokojącą czerń okien. Teraz jednak nie tylko tędy przechodziła. Teraz tutaj była i czuła się nieswojo.

Wciąż dyszała głośno, zmęczona po biegu, jednak zmusiła się, żeby podjąć marsz. Zdawało jej się, że słyszy jakieś odgłosy zagłuszane przez jej własny oddech i przesadnie donośne kłapanie tenisówek po asfalcie, trzaskające odgłosy, jakby pęknięcie gałązek pod ciężkimi butami. Przyspieszyła kroku. Przed sobą nie widziała nic niepokojącego, ale bała się obejrzeć, żeby nie zobaczyć kogoś lub czegoś skradającego się do niej przez cienie.

Znowu puściła się biegiem. Serce jej pękało z wysiłku, ale wolała umrzeć na zawał niż z rąk morderców.

Nie słyszała więcej niepokojących odgłosów, nikt jej nie złapał za ramię, nikt na nią nie wyskoczył z ciemności i dwie ulice dalej dotarła do Sandalwood.

Tam zobaczyła ludzi. Głównie uczniów. Dzieciaki ze szkoły. Na drugim końcu ulicy odbywały się wyścigi samochodowe, ale chaotyczne, niezorganizowane, bez żadnych zasad. Widziała, jak czerwony mustang Wade'a Netha walnął bokiem w białą corvette i zбочył na trawnik, a błękitny Chevrolet z 1957 roku uderzył w zaparkowanego jeeпа. Widzowie ustawieni wzdłuż ulicy wiwatowali szaleńczo. Butelki rzucane na jezdnię rozбивały się na nieregularne odłamki. Ktoś odpalił petardy.

Tuż przed nią czterej pijani zawodnicy szkolnej drużyny futbolowej urządzili sobie zawody w sikaniu - za cel służyła im pani Plume, nauczycielka muzyki.

Pani Plume nie miała nic przeciwko temu.

Penelope odwróciła się z obrzydzeniem, spojrzała w drugą stronę. Tam też kręcili się ludzie, ale mniej licznie. Szkoła przy następnej przecznicy wydawała się opustoszała.

Dom Velli stał kilka przecznic dalej. Penelope ruszyła szybkim krokiem.

Za nią rozległ się wrzask, tak przeraźliwy, że aż podskoczyła, świdrujący w uszach. Obróciła się gwałtownie i zobaczyła dziewczynę w toplesie, atakującą siekierą młodego człowieka na środku ulicy. Klinowate ostrze utkwilo mu w piersi. Zaczął krzyczeć, kiedy trysnęła krew, a dziewczyna wyszarpnęła broń i znowu się zamachnęła. W jednej chwili wszyscy zaczęli wrzeszczeć i tłum otoczył walczących. Pojawiły się inne narzędzia mordy, popłynęły strumienie krwi.

Penelope pobiegła, uciekła od tej rzezi w kierunku szkoły. Tutaj zaledwie parę osób kręciło się po ulicy. Większość stanowili uczniowie ze szkoły. Rozpoznała kilkoro, ale oni chyba jej nie poznawali, z czego się cieszyła. Przebiegła obok nich w nadziei, że dotrze do domu Velli bez przeszkód.

- Penelope!

Zatrzymała się jak wryta i rozejrzała się szybko. To był ludzki głos - nie Jego głos - ale wstrząsnął nią sam fakt, że ktoś ją wołał po imieniu.

- Penelope!

Teraz rozpoznała ten głos. Kevin Harte. Ale gdzie on jest? Tam. Po drugiej stronie ulicy, w cieniu drzewa, kopał starszą kobietę, która leżała na chodniku i czepiała się jego nóg. Spojrzał na Penelope.

- Tutaj! Pomóż mi!

Wahała się tylko przez chwilę, potem przebiegła na drugą stronę ulicy, gdzie Kevin usiłował się wyrwać z uścisku kobiety.

- Złap coś! - zawołał. - Uderz ją!

Kobieta wyglądała jak zombi. Miała na sobie tylko brudne, podarte majtki, śliniła się i rechotała skrzekliwie, wbijając paznokcie w nogi Kevina. Penelope rozejrzała się za jakimś kijem czy gałęzią, która mogłaby posłużyć za broń, ale nic nie znalazła na jezdni, na chodniku, na trawniku sąsiedniego domu. Zresztą i tak nie wiedziała, czy zdobyłaby się na uderzenie kobiety, ale przynajmniej dostarczyłaby Kevinowi narzędzia obrony.

- Kopnij ją! - zawył Kevin.

Ale w tej samej chwili sam zdołał się wyrwać i mocno kopnął kobietę w pierś. Jej rechot przeszedł w rżenie. Kevin chwycił Penelope za rękę i pociągnął dalej chodnikiem.

- Kurwa, co się dzieje? - zapytał. - Całe cholerne miasto zwariowało.

- To długa historia - odpowiedziała.

Odwrócił się do niej, chociaż nie zwolnił kroku.

- Wiesz, co się dzieje?

- Jestem częścią tego.
Przystanął i mocniej ścisnął jej nadgarstek.
- Chwileczkę. Jesteś...
- To długa historia. Powiem ci później. Chodźmy do Velli, żeby zadzwonić po pomoc.
- Nie ma do kogo dzwonić. Psy urządziły sobie zabawę. Próbowałem.
- Wiem. Chciałam zadzwonić do kogoś z zewnątrz. Gwardia Narodowa czy coś takiego. Policja w San Francisco. Nie wiem.

- Gdzie mieszka Vella?
- Na Ash. - Penelope wskazała w głąb ulicy. - Kilka przecznic od szkoły.
Kevin zbladł.

- Nie idź tam.
Strach w jego głosie sprawił, że Penelope dostała gęsiej skórki.

- Dlaczego? Co się stało?
- Nie idź tam. Ja tam byłem.
- Co się stało?
- Lepiej nie wiedzieć.

Miała rację. Nie chciała wiedzieć. Widziała już zbyt wiele, słyszała zbyt wiele, przeżyła zbyt wiele. Dotarła do granicy wytrzymałości. Chciała tylko stąd uciec, sprowadzić oddziały wojska, żeby przywrócić porządek, i wrócić rano, kiedy będzie po wszystkim.

- Myślisz, że Vella... - Nie mogła dokończyć zdania.
- Jeśli była w domu, to nie żyje.

Rozejrzał się po ulicy. Tam, skąd przyszła Penelope, gromadził się coraz większy tłum. Ludzie przyłączali się do bijatyki, przemoc szerzyła się jak pożar. W żółtawym świetle ulicznych latarni widzieli nieruchome ciała na asfalcie.

- Szkoła - powiedział. - Była pusta, kiedy wcześniej przechodziłem. Możemy tam pójść.

- I co dalej?
- Schować się. Znaleźć pustą klasę, zamknąć się w środku na klucz i zaczekać do rana.
- No, nie wiem...

Kevin uśmiechnął się blade.

- Dion nie miałby nic przeciwko. On wie, że może mi ufać.

Penelope zamrugała. On nie wiedział o Dionie. Łzy wezbrały jej w oczach i pociekły po policzkach. Otarła je gniewnie i z wysiłkiem powstrzymała się od płaczu. Nie mogła sobie pozwolić na luksus pławienia się we własnych emocjach. Później będzie użalać się nad sobą. Teraz musiała działać. Musiała przeżyć.

Musiała ukryć się przed Dionem i matkami.

Kevin zauważył, jak ocierała łzy. Napotkał jej spojrzenie i z zakłopotaniem odwrócił wzrok.

- Przepraszam - powiedział. - Dion zginął?

- Nie.

- Więc jest cały i zdrowy?

- Też nie.

- Przyłączył się do nich?

Pokręciła głową.

- To długa historia. Znajdźmy jakiś pokój. Tam ci opowiem. Będziemy mieli dużo czasu.

Kevin przytaknął.

- Myślałem o pracowni historycznej Sherwooda. Na pierwszym piętrze, od strony ulicy. Zobaczymy, jeśli ktoś przyjdzie.

Penelope ze znużeniem kiwnęła głową.

- Mnie to pasuje.

Razem pospieszyli do następnej przecznicy. Sprawdziwszy, czy nikogo nie ma w pobliżu, przebiegli przez parking nauczycielski do budynku szkoły.

Frontowe drzwi były zamknięte na klucz.

- Chodź - powiedział Kevin. - Z boku. Wybijemy okno i wejdziemy do środka. Tutaj jesteśmy za bardzo widoczni.

Kevin zdjął jeden but. Posługując się nim, rozbił szybę i oczyścił ze szkła ramę okienną w którymś laboratorium. Wdrapał się do środka pierwszy, potem wychylił się, złapał Penelope za ramiona i pomógł jej wejść. Oczekali chwilę, nad słuchując, gotowi wyskoczyć z powrotem w razie konieczności, ale nie słyszeli żadnych alarmów, żadnych głosów, żadnych dźwięków w całym budynku.

Wyszli z laboratorium, przecięli korytarz i wspięli się po schodach do pracowni historycznej. Bez trudu dostali się do środka, okazało się jednak, że drzwi w ogóle nie mają zamka. Kevin chciał spróbować w innym pomieszczeniu, może w pokoju nauczycielskim, gdzie można się zamknąć na klucz, ale Penelope wolała mieć widok na ulicę. Przesunęli biurko nauczyciela pod drzwi, potem usiedli na dwóch ławkach i wyglądali przez okno.

Widzieli ognie i reflektory, gromady ludzi przewalające się ulicą tam i z powrotem. W nieruchomym powietrzu dźwięki brzmiały głośniejsz, wzmocnione, zniekształcone. Wszystkie wydawały się bliskie. Wystrzały. Zderzenia samochodów. Śmiech. Muzyka. Krzyki.

Dużo krzyków.

Kevin zasnął po kilku godzinach, kiedy już mu opowiedziała o Dionie i matkach. Historia wydawała się zwariowana, ale on zadawał pytania w taki sposób, jakby wierzył.

Dlaczego nie miałby wierzyć po wszystkim, co widział?

Penelope nie mogła spać. Czuwała i spoglądała na miasto ponad dachami i koronami drzew. Strzały ucichły, podobnie jak odgłosy katastrof. Śmiech zamarł. Muzyka umilkła.

Pozostały tylko krzyki.

I rozbrzmiewały przez całą noc.

CZEŚĆ 2

1.

Rano prawie uwierzyła, że nic się nie stało, że świat pozostał normalny, że ona i Kevin po prostu uczyli się do późna w klasie i zasnęli czy nawet byli parą zbuntowanych zakochanych nastolatków, którzy zakradli się do budynku na romantyczną randkę i spędzili noc razem.

We wszystko łatwiej mogła uwierzyć niż w prawdę.

Wstała cicho, przeszła po zimnych kafelkach do okna i wyjrzała przez szczelbki opuszczonych żaluzji. Ulica na zewnątrz wyglądała tak samo, jak zawsze. Kilka samochodów parkowało przy krawężniku, w domach naprzeciwko panowała poranna cisza. Było zimno i ponuro, powietrze mętne od mgły.

Tylko że nie widziała żadnego ruchu. Nie przejechał ani jeden samochód, nie przeszedł ani jeden pieszy.

Na środku parkingu zobaczyła puste, porozbijane butelki po winie.

Dion, pomyślała.

Mdłości podeszły jej do gardła, kiedy przypomniała sobie matkę Janine kłęczącą przed Dionem, obnażającą przed nim seks. Co się później stało z matką? Czy jego ogromny organ ją rozerwał? Czy dostała wewnętrzznego krwotoku i umarła?

Penelope miała nadzieję, że tak.

Nie, wcale nie.

Może.

Odetchnęła głęboko. Nie wiedziała. Właściwie sama nie wiedziała, co czuje. Wciąż jeszcze była w szoku. Spojrzała przez żaluzje na wzgórze nad wytwórnią win po drugiej stronie miasta. Przypomniała sobie orgię na łące zeszłej nocy i chociaż to wspomnienie budziło w niej strach i odrazę, jednocześnie... kusiło.

Odsunęła się od okna. Przyciąganie działało na nią, nie mogła temu zaprzeczyć. Tylko dzięki silnej woli pohamowała się, nie uległa pokusie, opanowała pożądanie pulsujące we krwi.

Krew.

To ją najbardziej przerażało. Fakt, że chciała do tego należeć, wiedziała że powinna do tego należeć.

Ale jak długo rozum zdoła powstrzymać ciało i emocje?

Odeszła od okna. Na ścianie obok tablicy wisiał telefon. Nie zauważyła go wczoraj w nocy, teraz jednak przeszła przez pokój i podniosła słuchawkę.

Brak sygnału.

Telefon nie działał, ale to jeszcze nic nie znaczyło. Linia prowadziła tylko do centralki w sekretariacie. Gdyby Penelope dostała się do telefonu zewnętrznej linii, mogłaby wezwać pomoc.

Podeszła do drzwi, zaczęła ciągnąć za róg biurka, żeby je odsunąć. Rozległ się ostry trzask, kiedy jedna noga biurka przeszorowała po podłodze.

Kevin zbudził się nagle, dosłownie skoczył na nogi z leżącej pozycji na podłodze. Natychmiast czujny i gotowy, spojrzał szybko w stronę drzwi i okien, zanim wreszcie zatrzymał wzrok na Penelope.

- Co robisz? - zapytał.

- Chciałam poszukać telefonu, sprawdzić, czy możemy wezwać pomoc.

- Chciałaś się sama wymknąć?

Odwróciła wzrok, zawstydzona.

- Nie chciałam cię obudzić.

- Gówno. - Pokręcił głową. - Chyba już nikomu nie można ufać.

- Co to niby ma znaczyć?

- To znaczy, że myślałem, że siedzimy w tym razem. To znaczy, że skoro jesteśmy ostatnimi normalnymi ludźmi w całej cholerniej dolinie, myślałem, że będziemy się trzymać razem, a nie wykradać się za plecami tego drugiego.

Podniosła na niego oczy ze skruchą.

- Przepraszam.

Milczał przez chwilę.

- Więc skąd zamierzałaś dzwonić?

- Z telefonu w sekretariacie. Albo z automatu publicznego przy sali gimnastycznej, jeśli działa.

- Do kogo zamierzałaś dzwonić?

- Nie wiem - przyznała. - Na policję w Vallejo. Albo w Oakland. Albo w San Francisco.

Kiwnął głową.

- To jakiś plan. Ale idę z tobą.

- Okay.

Razem odsunęli biurko i krzesła, którymi zabarykadowali drzwi. Kevin na chwilę przyłożył ucho do drzwi, żeby sprawdzić, czy nikogo nie ma na zewnątrz, zanim je otworzył.

Korytarz był pusty. I ciemny. Wstał już ranek, ale w korytarzu nie było żadnych okien, drzwi wszystkich klas były zamknięte, a światła pogaszone.

Penelope nigdy nie widziała szkoły z takiej perspektywy i czuła się jeszcze bardziej nie-swojo niż w nocy. To normalne, że w nocy budynki są ciemne, ale ten mrok w ciągu dnia przyprowadził o dreszcze.

Powoli ruszyli korytarzem w stronę schodów, w milczeniu, stąpając po cichu. Oprócz ich kroków nie rozlegały się żadne inne dźwięki, ale ta cisza, zamiast dodawać otuchy, budziła nieokreślony niepokój. Ktoś mógł na nich czyhać w zasadzce, nasłuchiwać, dokąd idą, gotów wyskoczyć na nich zza zamkniętych drzwi którejs klasy...

Dotarli bezpiecznie do schodów, po cichu ruszyli na dół.

Na parterze nie było tak ciemno. Rząd wąskich okienek wysoko nad szafkami przepuszczał zakurzoną wersję dziennego światła. Nic nie wskazywało na czyjąś obecność, ale Penelope wciąż czuła napięcie. Powinni zabrać broń, pomyślała. Głupio zrobili. Gdyby ktoś ich zaatakował, nie mieliby się czym bronić.

Skierowali się do sekretariatu. Dziwnie to wyglądało. Zwykle korytarz roił się od uczniów spieszących do klas albo z klas, rozmawiających, wygłupiających się, trzaskających drzwiczkami szafek. Teraz jednak pusty korytarz wyglądał nie tylko samotnie i ponuro, ale również złowieszczo, zważywszy na okoliczności.

Drzwi sekretariatu były zamknięte na klucz, ale drzwi do sąsiedniego pokoju nauczycielskiego stały otworem. Kevin wszedł pierwszy, za nim Penelope. Na poobijanym stoliku przed starą kanapą stał telefon. Oboje rzucili się do niego. Kevin podniósł słuchawkę, przyłożył do ucha. Wyraz jego twarzy powiedział wszystko.

Telefon nie działał.

Kevin postukał w klawisze, potem z niesmakiem odłożył słuchawkę.

- Gówno - powiedział.

Czy wszystkie telefony w mieście nie działały, czy tylko te w szkole? Penelope wiedziała, że musi wyjść na ulicę i sama sprawdzić. Jeśli odcięto linie telefoniczne, muszą poszukać u kogoś pomocy albo zdobyć samochód i wyjechać z doliny.

Kevin widocznie myślał to samo.

- Telefony wysiadły - powiedział. - Ale może tylko w szkole. Pójdę i poszukam działającego telefonu.

- Nie, nie pójdziesz.

Zamrugął.

- Co?

- Nie możesz stąd wyjść. Zabiją cię. Ja pójde.

Zmierzył ją wściekłym wzrokiem.

- Nigdzie nie pójdziesz.
- Pójdę.
- Och, pospacerujesz po mieście, żeby nas uratować? A co ja mam robić? Siedzieć tutaj przez cały pierdolony dzień?

- Właśnie.
- Gówno!

Kopnął stół, który przewrócił się z hukiem. Kevin czym prędzej go podniósł, świadom popełnionego błędu, z nadzieją, że nikt nie usłyszał.

- Słuchaj - powiedziała Penelope - uspokój się. Musisz się zadekować na jakiś czas. Pójdę i poszukam telefonu albo kogoś, kto nam pomoże...

- Nigdzie nie pójdziesz.
- One mnie nie skrzywdzą.
- Kto?
- Moje matki.
- A co z Dionem?
- Będę się martwiła, jak go spotkam.
- Łatwiej cię zobaczą w dzień.

- Oni chcą, żebym się do nich przyłączyła. Nie zrobią mi krzywdy. Ty jesteś nikim. Nie obchodzą ich. Bez namysłu rzucą cię wilkom na pożarcie.

Kevin milczał przez chwilę. Potem kiwnął głową.

- Masz rację - przyznał. - Może jestem gnojkiem, ale nie kretynek. - Spojrzał w stronę okna z matowego szkła na drugim końcu pokoju nauczycielskiego. - Więc dokąd pójdziesz? Nie możesz iść na komisariat. Wiemy już, że gliny nie pomogą.

- Straż pożarna, kościół... Nie wiem. Znajdę kogoś. Jeśli nie, ukradnę samochód.

Kevin przytaknął z ożywieniem.

- Właśnie, samochód. Tego nam potrzeba. Znaleźć samochód i wypieprzać stąd. - Myślał przez chwilę. - Ale potrzebujesz broni. Na wszelki wypadek, jeśli cię zaatakują.

- Jeśli mnie zaatakują, niewiele będę mogła zrobić...
- Nie wyjdiesz stąd z pustymi rękami.

Usłyszała powagę w jego głosie, zrozumiała sens jego słów i kiwnęła głową.

- Oboje znajdziemy sobie broń.
- To jest myśl.

Poszła za nim korytarzem. W filmie wzięłyby mnie za rękę, pomyślała. To byłaby pierwsza aluzja do romansu, który w końcu rozkwitnie pomiędzy nimi. Ale on jej nie dotykał ani ona nie dotykała jego i to jej odpowiadało. Wszystkie fabułki opisujące dwoje ludzi, zrządzeniem losu rzuconych razem w wir katastrofy i znajdujących błyskawiczną miłość, zawsze

uważała za stek bzdur i teraz przekonała się z satysfakcją, że miała rację.

Więc dlaczego o tym myślała?

W kanciapie woźnego znaleźli wszystko, czego potrzebowali, i nawet więcej: młotki, śrubokręty, łopaty, grabie, szpikulce do zbierania śmieci, nożyce i sekatory. Penelope wybrała długi krzyżakowy śrubokręt i nożyce, które wsunęła za pasek spodni.

- Uważaj przy schylaniu - ostrzegł ją Kevin ze złośliwym uśmiechem.
- Dzięki.

Kevin wziął kilka śrubokrętów, młotek, sekator i mały szpikulcec.

- Gdyby Rambo był ogrodnikiem... - zażartowała Penelope.

Kevin parsknął śmiechem.

To dobry znak, pomyślała. Ciągłe jeszcze potrafili się śmiać z tej sytuacji. Ciągłe potrafili żartować. To jej dodało otuchy. Na szczęście zachowali poczucie humoru, dzięki czemu sytuacja wydawała się mniej złowieszcza. Humor stanowił barierę, która oddzielała ich od grozy i nie dopuszczała do zalewu rozpacz.

- Masz zegarek? - zapytał Kevin.

Penelope zaprzeczyła ruchem głowy.

- Weź mój. - Rozpiął pasek i podał jej zegarek. - Skoro nie mamy walkie-talkie ani nic i nie możemy się kontaktować, musimy się umówić, o której się tutaj spotkamy. Jeśli do tego czasu nie wrócisz, będę wiedział, że coś się stało, i pójde cię szukać.

Penelope kiwnęła głową, zapinając zegarek na rękę.

- Która jest teraz?

Spojrzała na tarczę.

- Siódma dwadzieścia. Wróć przed dziewiątą.
- Okay.

Ruszyli korytarzem do wyjścia. Kiedy dotarli do frontowych drzwi, zatrzymali się i popatrzyli na siebie.

- Bądź ostrożna - powiedział Kevin.
- Dobrze.

Penelope odetchnęła głęboko, otworzyła drzwi i wyjrzała. Poranek był chłodny, dmuchał lekki, zimny wiatr. Z północy miasta, od strony wytwórni win, dochodziły stłumione krzyki i pohukiwania. Z takiej odległości brzmiały niemal wesoło, jak odgłosy zabawy.

Spojrzała w lewo i w prawo, sprawdzając, czy nikogo nie ma w pobliżu. Horyzont okazał się czysty, więc nie oglądając się na Kevina, pobiegła przez parking na ulicę. Usłyszała, że drzwi zamknęły się za jej plecami.

Dotarła na chodnik. Teraz zobaczyła zniszczenia, których nie widziała z okna klasy. Na jezdni leżał przewrócony pikap i jeszcze się palił, obok dwa ciała wyrzucone na asfalt,

bezwładne jak szmaciane lalki. Dalej dostrzegła ruch. Grupka uzbrojonych, wyraźnie pijanych ludzi grasowała w sąsiedztwie. Połowa z nich była naga. Poszli dalej, na następną ulicę, ale za nimi inna grupa przecięła skrzyżowanie. Penelope zrozumiała, że napotka wiele takich oddziałów. Rozejrzała się. Na trawniku pod drzewem leżała niestłuczona butelka wina, nadal pełna w jednej trzeciej. Penelope szybko ją podniosła, wylała zawartość na głowę i ramiona, wtarła wino we włosy i skórę, żeby wyglądać i pachnieć jak pijana, jak jedna z nich. Rozpięła bluzkę, odsłaniając pierś.

Gotowe.

Ale dokąd iść? Na pewno nie do wytwórni i nie na komisariat policji.

Remiza straży pożarnej. Tak powiedziała Kevinowi i tam postanowiła iść. Nawet jeśli strażacy zostali pokonani albo nawróceni, znajdzie się tam sprzęt telekomunikacyjny. Zniszczenia z wczorajszej nocy nie były celowe i zaplanowane, tylko chaotyczne i przypadkowe, bezsensowna demolka urządzona przez pijanych... kogo? Wyznawców Dionizosa?

Tak.

Pokręciła głową, usiłując zebrać myśli.

Menady.

Dlaczego nigdy przedtem nie słyszała tego słowa? Jej matki były menadami. Cholera, ona sama była menadą. Mogły przynajmniej coś jej powiedzieć, wspomnieć... cokolwiek.

Może powiedziały.

Przypomniała sobie bajki, których się nasłuchiwała w dzieciństwie, krwawe opowieści o chaosie, przemocy i królach odzyskujących tron. Najlepiej zapamiętała ulubioną historię o młodej księżniczce, która musiała wypić magiczny eliksir, dający jej siłę, żeby pokonać stado wilków, które pojechały jej ojca.

Może matki próbowały ją przygotować.

Popatrzyła na pustą butelkę na trawie. Wino na skórze pachniało kusząco i trochę żalowała, że nie zostawiła sobie paru łyków.

Nie!

Krew.

Musiała być silna, nie dać się wciągnąć. Obejrzała się na budynek szkoły. Żaluzje w oknach klasy były opuszczone i nie wiedziała, czy Kevin na nią patrzy, czy już zdążył wrócić na górę, ale i tak pomachała mu ukradkiem.

Miała nadzieję, że zobaczył jej pierś.

Zapowiadało się trudniej, niż myślała.

Ruszyła chodnikiem w stronę przeciwną niż płonąca ciężarówka, zataczając się pracowicie, gotowa udawać pijaną, gdyby kogoś spotkała. Nie bardzo wiedziała, gdzie jest najbliższa remiza straży pożarnej, więc skierowała się do śródmieścia.

Ulicę zaścielały śmiecie. Wszędzie wały się strzępy podartych ubrań, płachty gazet, zmięte opakowania, rozbite butelki, zgniecione puszki. Na trawniku przed jednym domem nagi mężczyzna spał na zakrwawionym ciełe starszej kobiety. Penelope nie wiedziała, czy oboje jeszcze żyją, więc szybko ich minęła, idąc po trawniku zamiast po chodniku, żeby nie hałasować, z ręką na śrubokręcie za paskiem, gotowa go wyciągnąć i użyć, gdyby któreś się poruszyło.

Wędrowała dalej ulicą. Przytłaczająca groza z wczorajszej nocy zniknęła, zastąpiona przez bardziej subtelne napięcie. W świetle dnia Penelope już się nie bała, że ktoś na nią wyskoczy z zasadzki, ale wciąż czuła się nieswojo, jakby coś złego miało się zdarzyć. Na ulicy panował spokój, pozostały tylko ślady nocnej rozpusty, całe miasto jakby wstrzymało oddech... i czekało.

Penelope miała wrażenie, że to cisza przed burzą.

Albo oko huraganu.

Skreśliła za róg, ruszyła w stronę śródmieścia.

Gdzie jest Dion?

Dionizos.

Oto pytanie. Czy wrócił na łąkę za wytwórnią win? Czy nocował gdzieś w mieście? Czy też nadal krążył po ulicach i jej szukał?

Zadrzała. Wrzaski na północy nie ucichły, trwały przez cały czas jako ledwo dosłyszalne tło dźwiękowe, na które przestała już zwracać uwagę, więc pomyślała, że on pewnie tam jest, w wytwórni. Tej albo innej.

Uśmiechnęła się kwaśno. Może wybrał się na turystyczną wycieczkę po krainie wina.

Przecinając małą uliczkę, rozejrzała się w lewo i w prawo i przy następnej przecznicy zobaczyła światła stopu. Na słupie wisiał czerwony znak uprzywilejowanego wyjazdu dla wozów strażackich.

Remiza straży pożarnej. Poszczęściło się jej.

Pospieszyła ulicą, ściskając w prawej dłoni uchwyt śrubokrętu. Najpierw sprawdzi telefon. Jeśli nie działał, spróbuje uruchomić inne środki łączności.

W pobliżu remizy zwołniała. Zobaczyła ludzi.

Dzieci.

Przystanąła na chodniku przed remizą. Wielkie drzwi był otwarte i dziesięcioro czy dwanaścioro dzieci, wszystkie w wieku jedenastu czy dwunastu lat, siedziało lub stało na wozie strażackim, paląc ręcznie skręcone papierosy i popijając z butelek. Siedmioletni czy ośmioletni dzieciak leżał nieprzytomny na podjeździe przed wozem. Na trawniku pod oknami zamkniętego biura chłopcy i dziewczynki ładowali i rozładowywali broń.

Nie wiedziała, czy bardziej się przestraszyła, czy rozłościła. Do cholery, co jest z rodzinami tych dzieciaków? Jak mogą na to pozwalać? Nawet jeśli nawrócili się na kult Dionizosa,

jak mogli zrzec się odpowiedzialności za własne dzieci?

To więcej niż nawrócenie na inną religię. To więcej niż zwykła masowa histeria. To coś całkiem innego, całkiem nowego, kompletna zmiana, wywrócenie na lewą stronę tkaniny rzeczywistości. Judeo-chrześcijańskie ideały, na których opierało się społeczeństwo, straciły rację bytu.

Mała dziewczynka, która nosiła pieluszkę widoczną spod podartej różowej sukienki, wycelowała z pistoletu do Penelope i z uśmiechem nacisnęła spust. Kurek szczękął o pusty magazynek. Pozostałe dzieci wybuchnęły śmiechem.

Może pozabijały swoich rodziców.

Penelope odwróciła się i pobięła z powrotem. Do cholery z wzywaniem pomocy. Do cholery z nawiązywaniem łączności. Nie zamierzała tu siedzieć jak krowa i czekać, aż ją uratują. Znajdzie jakiś samochód, wróci po Kevina i oboje wynoszą się stąd w diabły, i nie wrócą, dopóki nie będzie po wszystkim.

Na podjazdach wielu domów, które mijala po drodze, stały samochody i chociaż raczej nie miały kluczyków w stacyjkach, kluczyki pewnie były w domach.

Domy wyglądały na opuszczone.

Obejrzała się za siebie. Nie ścigano jej. Żadne z dzieci za nią nie poszło. Rozejrzała się po podjazdach, zobaczyła furgonetkę przed następnym domem, lexusa dwa domy dalej. Po drugiej stronie ulicy, dokładnie naprzeciwko, na podjeździe stała toyota. Drzwi domu były szeroko otwarte.

Zawahała się. Otwarte drzwi oznaczały, że coś jest nie w porządku. Może wszyscy mieszkańcy nie żyją. Może żyją... i czekają.

Do dupy z tym. Coś nie w porządku z domem? Coś nie w porządku z całym cholernym miastem. Przeszła przez ulicę. Wskoczy do środka, złapie kluczyki i wyskoczy. Jeśli ktoś tam jest, ucieknie, a jeśli nie, będzie walczyć.

Wyciągnęła śrubokręt zza paska, poprawiła nożyce, żeby łatwiej można je było wyjąć, gdyby wytrącono jej śrubokręt z ręki.

Na podjeździe zwoolniła, zajrzała w otwarte drzwi, wypatrując jakiegos ruchu w mrocznym wnętrzu domu.

Mocniej ścisnęła śrubokręt, mijając samochód.

Nie zobaczyła żadnego ruchu, nie usłyszała żadnego dźwięku. Odetchnęła głęboko i zmusiła się, żeby wejść do środka.

Dom okazał się pusty. Żadnych zwłok, żadnych napastników czyhających w zasadzce. Przeszła przez salon do kuchni, gdzie na blacie obok kuchenki leżało kółko z kluczami. Złapała klucze i wybiegła.

Pierwszy, który wypróbowała, pasował do drzwi samochodu.

Uśmiechnęła się do siebie. Mój szczęśliwy dzień, pomyślała.

Pięć minut później wjechała na szkolny parking. Zaparkowała na miejscu dyrektora przed głównym budynkiem i chciała już nacisnąć klakson, kiedy Kevin wybiegł z frontowych drzwi. Rozejrzała się, czy nikogo nie ma w pobliżu, i nacisnęła guzik automatycznie zwalniający zamki w drzwiach toyoty

Kevin otworzył drzwi po stronie pasażera, wskoczył do środka i zatrzasnął drzwi za sobą.

- No więc? - zapytał.

Penelope znowu zablokowała drzwi i wrzuciła bieg.

- Jaki mamy plan?

- Wyjeżdżamy - oświadczyła. - Wypieprzamy stąd w cholere.

2.

April obudziła się na trawie, jakiś kamień uwierał ją boleśnie w lewą pierś, w ustach miała smak krwi. Wszystko ją bolało i dopiero po chwili jej zamroczony umysł zaczął kojarzyć fakty.

Dion.

Usiadła szybko. Zbyt szybko. Przeróżliwy ból wybuchł za oczami i mało nie przewrócił jej z powrotem. Zamknęła oczy i odczekała, aż ból zmniejszył się do tępego pulsowania. Potem powoli otworzyła oczy.

Wciąż znajdowała się na łące razem z setkami innych ludzi, ale Dion i menady zniknęły. Pamiętała, że odeszli stosunkowo wcześniej, i niejasno sobie przypominała, że chciała pójść z nimi, ale nie wiedziała, dokąd odeszli i dlaczego ona została.

Obok niej na ziemi leżały niedojedzone szczątki kozła. Spojrzała na krwawą jamę klatki piersiowej, wijące się jelita, zapadnięte, workowate wewnętrzne organy i poczuła ciepłe mrowienie między nogami. Schyliła się, podniosła drżący kawałek wątroby, wbiła w niego zęby.

Wino.

Potrzebowała wina, żeby popić.

Rozglądając się, dostrzegła w połowie pełną butelkę przyciśniętą mocno do piersi śpiącej kobiety. Podeszła do kobiety, położyła się obok niej, pocałowała ją w usta i delikatnie wyjęła butelkę pomiędzy wielkich piersi. Dopila wino i starannie odłożyła butelkę na miejsce.

Usiadła, wstała. Ból głowy minął prawie bez śladu. Rozejrzała się uważniej po łące i zatrzymała wzrok na ołtarzu po drugiej stronie. Natychmiast przeszył ją ostry spazm poczucia winy. Pamiętała, jak jej syn wrzeszczał, kiedy inne menady go namaszczały. Powinna

przyjść mu z pomocą. Jak mogła im na to pozwolić?

Jak mogła im nie pozwolić?

Rozum i instynkt mówiły jej sprzeczne rzeczy. No, może nie rozum. Wychowanie. Nie, również nie to.

Jej seksualne potrzeby i instynkt macierzyński.

To już lepiej.

Zastanawiała się, dokąd poszedł Dion.

Dionizos.

Nadal nie bardzo mogła myśleć o swoim synu jak o swoim bogu. Uśmiechnęła się krzywo. Czy Maria też miała takie trudności?

Ktoś jęknął w pobliżu, po czym zaczął wrzeszczeć:

- Moja noga! Co się stało z moją nogą?

April odwróciła się w kierunku głosu. Wyraźnie skacowany mężczyzna siedział na trawie, wpatrując się w krwawy, na wpół zjedzony kikut prawej nogi. Uśmiechnęła się do niego, podeszła, pchnęła go na trawę i usiadła mu na twarzy. Natychmiast wsunął w nią język.

Patrzyła na czerwone szczątki nogi, wijąc się na twarzy mężczyzny. Po raz pierwszy w życiu czuła się całkiem wolna, niczym nie skrzepowana.

Szczęśliwa.

Żałowała tylko, że to się stało kosztem jej syna.

3.

Znowu było tak, jak powinno.

Czasy się zmieniły, świat poszedł naprzód, ale on tu był, kobiety tu były, wino i wyznawcy.

Kobieta i winorośl.

Te rzeczy są wieczne.

Dionizos kroczył po stoku wzgórza, sucha trawa przyjemnie szeleściła pod jego bosymi stopami. Menady mu śpiewały. Słyszał je nawet z tak daleka, śpiewały hymn na cześć jego żądz, jego mocy, jego hojności, jego wielkości. Powitały go z powrotem wczorajszej nocy, przewodząc uroczystościom, które trwały do świtu.

Znowu było tak, jak powinno.

Ale on nie był taki sam, jak dawniej. Miał teraz inną przeszłość, inną historię, inne życie, również należące do niego... i nienależące. Pokręcił głową. Nie mógł się połapać w tym wszystkim i właściwie nie chciał o tym myśleć. Chciał znowu się napić i świętować swój

powrót, chciał zabić kilku mężczyzn i zgwałcić kilka kobiet.

Lecz radosne podniecenie, które powinien odczuwać na myśl o zaspokojeniu żądz, nieco przygasło. Czuł się niewygodnie, nieswojo, nie na miejscu, jakby jego nowe fizyczne ograniczenia wpływały na procesy myślowe. Został połączony z tym drugim, uwięziony w tej zbyt ciasnej formie, wessany przez przesadnie materialne ciało niczym zwierzę grzęznące w bagnie. Nigdy nie cieszył się wolnością Apolla, Artemidy czy Hestii, nigdy nie był tak efemeryczny jak tamci, zawsze był przywiązany do ciała i lubił to. To go odróżniało od innych, ta zdolność do korzystania z ziemskich przyjemności, i nie oddałby jej za nic.

Teraz jednak coś się zmieniło.

Nie był sobą.

Był sobą i tym drugim.

Zatrzymał się, odetchnął głęboko. Wiatr przywiewał zapach winnych gron. Ciężka woń przesyciła powietrze,niosła obietnicę pijaństwa, uspokajała i odprężała. Dotarł do krawędzi zbocza i spojrzął w dół, na swoje dominium. Widział pożary na obu końcach doliny, rozbite samochody na drogach, bandy wyznawców grasujące po mieście w poszukiwaniu rozrywki. Docierały do niego dźwięki, zmieszane ze śpiewem menad: brzęk tłuczonego szkła, śmiechy, krzyki radości, wrzaski przerażenia, jęki bólu.

Cudowny poranek, początek pięknego dnia. Powinien cieszyć się życiem, zamiast się zamartwiać niedogodnościami zmartwychwstania.

Z prawej strony zobaczył kłodę. Pod wpływem nagłego kaprysu cofnął się od krawędzi, wziął rozbieg i wskoczył na pień drzewa. Rozpęd przeniósł go przez krawędź urwiska i już po chwili surfował po zboczach, śmiejąc się z radości, przechylał się w lewo, żeby uniknąć zderzenia z drzewem, podskakiwał na szeregu wystających głazów, po czym wyhamował z trzaskiem u stóp wzgórza.

Przekoziółkował i wstał, otrząpiał się z brudu i kazał się zamknąć zadrapaniom, których się dorobił podczas upadku. Stał przed korralem połączonym ze stajnią, przylegającym do zbocza. Widok zniszczonych drewnianych płotów poruszył w nim jakieś wspomnienie, które pomimo wszelkich wysiłków uparcie trzymało się tuż pod powierzchnią świadomości.

W tym nowym świecie czegoś brakowało. Przedtem tego nie zauważył, nie miał czasu o tym pomyśleć, ale korral i stajnie...

Spomiędzy niskich budynków para koni poczłapała do ogrodzonego korralu.

Centaury.

Uśmiechnął się. Tak, o to chodziło. Tego nie mógł sobie przypomnieć. Centaury. Ruszył przed siebie. Brakowało mu tych jurnych stworów.

Czasami sprawiały kłopoty, ale potrafiły się bawić i zawsze były chętne do wypitki. Poza tym tutaj im się spodoba. Chłodne powietrze, obfitość wina. Miejsce w ich guście.

Podniósł wzrok na wzgórze.

Chciałby mieć centaury w swoim nowym dominium.

Wszedł do korralu i obszedł stajnie. Niewielkie stado koni tłoczyło się na drugim końcu ogrodu. Dostrzegł odpowiednią młodą klacz i przywołał do siebie, kazał jej się oprzeć tyłem o swój seks.

- Ładny konik - powiedział, chwytając jej zad. - Ładny konik.

Klacz wierzyła i stawiała dęba, próbowała się wyrwać, ale on trzymał mocno.

Zarżała z bólu, kiedy jej dosiadł.

4.

Kevin milczał, kiedy jechali przez puste ulice. Rozglądał się za grasującymi bandami. Tu i tam widział ludzi pakujących samochody kombi w garażach i pod wiatami, próbujących wymknąć się z miasta. Widział nawet jednego mężczyznę koszącego trawnik, jakby nie nadzwyczajnego się nie stało. Czy to możliwe, że niektórzy ludzie nic nie wiedzieli o wydarzeniach poprzedniej nocy? Nie bardzo mógł w to uwierzyć.

Nie widział ani śladu wyznawców. Ani śladu ich ofiar. Na ulicy leżały rozbite butelki, strzępy ubrań, przewrócone samochody i rowery, gdzieś martwe psy i koty, ale bardzo niewiele ludzkich ciał, czy to na jezdni, czy na chodnikach.

Pomyślał, że powinien dziękować za drobne łaski.

Zerknął na Penelope, która prowadziła z ponurą miną, patrząc przed siebie. Chciał zaproponować, żeby stanęli i przyłączyli się do którejś grupy uciekinierów, wiedział jednak, że ona na to nie pójdzie. Zobaczyła coś, kiedy poszła szukać samochodu, coś, o czym nie chciała mówić, coś, co głęboko nią wstrząsnęło, dlatego na razie nie miała ochoty zbliżyć się do obcych, choćby wydawali się całkiem nieszkodliwi.

Pomyślał o tym, co widział zeszłej nocy na Ash Street, i zadygotał.

Dokładnie wiedział, jak się czuła Penelope.

Wjechali w Third Street. W śródmieściu panował nieopisany bałagan, zniszczenia wyglądały bardziej chaotycznie i przypadkowo niż we wszystkich katastroficznych filmach, jakie oglądał, gruz i śmiecie porozrzucane byle jak, dalekie od estetycznie dopracowanego hollywoodzkiego obrazu apokalipsy. Stary budynek z zakładem fotograficznym Phila

spłonął do fundamentów, pożar przeskoczył na sąsiednią pustą parcelę, zanim sam się wypalił. Odzież, sprzęt elektryczny i żywność z pobliskich sklepów zaścielały jezdnię i prawie uniemożliwiały przejazd. Penelope zwolniła i w żółwym tempie manewrowała pomiędzy większymi, bardziej kanciastymi przedmiotami, przejeżdżając tylko po ubraniach i artykułach żywnościowych.

W oddali Kevin ujrzał ruiny McDonalda, zrównanego z ziemią. Na wciąż świecących złotych łukach ustawiono dwa policyjne migacze.

Sutki.

Znak firmowy znanego fast foodu zmieniono w parę menstrualnych piersi.

Kevin wpatrywał się w coraz bliższy znak. Ten celowy wandalizm przeraził go znacznie bardziej niż otaczające go bezładne zniszczenia. Zrozumiał, że do tej pory nie całkiem uwierzył w historię Penelope. Przyjął do wiadomości szczegóły - zeszłej nocy widział dość okropności, żeby nie wątpić w jej słowa - ale nie potrafił do końca zaakceptować koncepcji, że Dion zmienił się w mitologiczne bóstwo.

Piersiaste łuki jakoś uświadomiły mu prawdę. Sam nie wiedział dlaczego. Z pewnością widział gorsze rzeczy niż ten akt wandalizmu. Przypuszczał, że dopiero zestawienie takiego solidnego, racjonalnego symbolu, takiego idealnego przykładu zwykłego amerykańskiego życia z lubieżnym seksualizmem, z wulgarnym pijackim żartem pomogło mu zrozumieć, jak daleko zaszły sprawy.

I przekonało go, że Penelope nie kłamała.

Zastanawiał się, gdzie jest teraz Dion.

Zastanawiał się, jak teraz wygląda jego przyjaciel.

Na razie nie odczuł jeszcze w pełni emocjonalnego wstrząsu, pewnie dlatego że wszystko działo się tak szybko, więc po prostu reagował na bieżącą sytuację i nie miał czasu na refleksję. Wiedział, że będzie tęsknił za Dionem. Chociaż poznali się dopiero na początku roku szkolnego, Dion stał się jego najlepszym przyjacielem. Trudno znieść taką stratę.

Zakładał z góry, że poniesie stratę.

Że Diona trzeba zabić.

Za McDonaldem ulica trochę się oczyściła i Penelope dodała gazu. Kevin zobaczył na chodniku starszą panią, zlizującą na czworakach coś, co wyglądało jak kałuża wina. Tego nie można uniknąć, prawda? Zawsze kończyło się tak samo. Jeśli dobro ma zwyciężyć i zatriumfować, i tak dalej, nie ma innego wyjścia.

Ze zdziwieniem stwierdził, że ta decyzja nie pogłębiła jego smutku, nie wywołała dodatkowego wstrząsu. Dla niego Dion już nie żył, zastąpiony przez tego... boga, toteż nie musiał się przełamywać.

Zadziwiające, jak szybko umysł potrafi się przystosować.

Skręcili w Monticello, w kierunku autostrady. Kevin wyprostował się na fotelu. Zaraz powinni minąć jego dom. Spojrzał na Penelope. Czy miał ją poprosić, żeby się zatrzymała? Musiał.

Odchrząknął i odezwał się:

- Mój dom jest przy Oak.

Penelope odwróciła się do niego. Usta wciąż miała zacisnięte w cienką, ponurą linię, ale w oczach pojawiło się zmieszanie i coś jakby współczucie przebijające przez ból i gniew.

- Chcesz... stanąć? - zapytała cicho, niepewnie.

- Muszę sprawdzić - odparł. - Muszę wiedzieć.

Penelope kiwnęła głową. Zwolniła na rogu Oak Avenue.

- W którą stronę? - zapytała. - W lewo czy w prawo?

- Wprawo.

Wjechała w ulicę. Kevin pokazał trzeci dom po lewej. Serce mu waliło, kiedy zaparkowała przy krawężniku. Trawnik zaśmiecały puste butelki po winie. Podarte, zakrwawione majtki wisiały na krzaku.

Na ulicy panowała cisza, która wydawała się złowieszcza.

Podjazd był pusty, samochód zniknął, ale frontowe drzwi stały otworem, porozrywane drzwi siatkowe wisiały na zawiasach. Kevin zajrzał przez czarny otwór drzwi do mrocznego wnętrza domu i żołądek podjechał mu do gardła. Bał się, że zwymiotuje.

Odwrócił się do Penelope.

- Zaczekaj tu.

- Nie, pójdę z...

- Zaczekaj - rozkazał. - Zablokuj drzwi i nie wyłączaj silnika. Jeśli nie wrócę za pięć minut albo jeśli usłyszysz coś dziwnego, odjeżdżaj. Nie czekaj na mnie.

Zacisnęła wargi, jakby zamierzała się sprzeciwić, potem jednak spojrzała mu w oczy i powoli kiwnęła głową. Twarz jej złagodniała.

- Okay, zaczekam tutaj.

Kevin otworzył drzwi i wysiadł. Za plecami usłyszał szcęk zamka. Skręcało go ze strachu, zdenerwowania, niepokoju, chciał wbiec do domu wołając: „Mamo! Tato!”, ale szedł powoli, ostrożnie, krok za krokiem. Z bliska zobaczył, że okno w salonie jest wybite, więc wchodząc na stopnie ganku, przygotował się na najgorsze.

W domu było ciemno. I cicho. Nieruchome powietrze cuchnęło mdlącą, słodkawą zgnilizną, kojarzącą się z czymś, o czym wołał nie myśleć. Salon został splądrowany, lampy i stoły porozbijane, kanapa i krzesła poprzewracane, ale nie widział zwłok. Ostrożnie przeszedł przez salon i zajrzał za róg, do jadalni.

Nic.

Ruszył dalej, do kuchni. Otwarta lodówka wywaliła zawartość na podłogę, sałata gniła w mleku i ciekącym jogurcie, salsa pokrywała parówki i resztki spaghetti. Kevin zacisnął pięści, żeby powstrzymać drżenie rąk. Do tej chwili bardziej się martwił, niż bał, teraz jednak szale się przechylały w drugą stronę. Miał nadzieję, że rodzicom nic się nie stało, ale jeśli tak, nie chciał ich spotkać.

Wyszedł z kuchni do holu...

i prawie się potknął o głowę nastoletniej dziewczyny.

Wyrwał mu się wrzask tak nagły i nieopanowany, tak przeraźliwie głośny, że gardło go zabolalo. Ale nie mógł przestać i dalej wrzeszczał, kiedy najpierw matka, a potem ojciec wytoczyli się z sypialni. Oboje byli nadzy, oboje byli pijani i oboje byli pokryci zakrzepłą krwią.

Oboje uśmiechnęli się do niego pożądliwie.

Wybiegł z domu, objając się o meble, potykając się na śmieciach. Zeskoczył ze stopni ganku i popędził przez podjazd. Penelope dodawała już gazu. Odblokowała drzwi, kiedy dotarł do samochodu. Szarpnięciem otworzył drzwi po stronie pasażera, wskoczył do środka i odjechali z piskiem opon. Odwrócił się i spojrzał przez tylną szybę, ale nie widział, czy rodzice wyszli za nim z domu.

Usiadł prosto, serce mu waliło, ręce się trzęsły.

Penelope miała twardy wyraz twarzy.

- Co się stało?

Wziął głęboki oddech.

- Rodzice.

- Żyją czy nie?

- Żyją.

Penelope kiwnęła głową. Nie musiał mówić nic więcej. Skręcili w lewo w następną ulicę, potem znowu w lewo, aż wrócili na Monticello.

- Nawet jeśli wezwiemy pomoc, nawet jeśli sprowadzimy policję albo Gwardię Narodową, co oni zrobią? - zapytał Kevin. - Jak mają to powstrzymać?

Penelope pokręciła głową.

- Nie wiem.

- Może nic nie pomogą. Może...

- Przecież my jeszcze chodzimy do szkoły! Cholera. Skąd mamy wiedzieć, jak to rozwiązać? To ich zadanie. Oni to załatwią. Oni coś wymyślą.

Głos uwiązał Kevinowi w gardle.

- Ja... ja tylko nie chcę, żeby coś się stało moim rodzicom.

- Wiem - powiedziała łagodnie Penelope.

- Tak, są pijani, zwariowani i w ogóle. Ale nie chcę, żeby gliny ich zastrzeliły.
- Wiem, co czujesz.

Jasne, że wiedziała. Znalazła się dokładnie w takiej samej sytuacji. Jej matki - jej matki - nie tylko w tym uczestniczyły, ale same to wywołały. To ich wina. One pierwsze pójdą do odstrzału.

Penelope na pewno czuła się jeszcze gorzej niż Kevin.

- Przepraszam - bąknął.

Spróbowała się uśmiechnąć.

- Nie masz za co przepraszać.

Dotarli do miejsca, gdzie Monticello łączyła się z autostradą, i dalej jechali na południe. Autostrada była w lepszym stanie niż ulice, mniej zaśmiecona, więc mogli przyspieszyć do stu kilometrów na godzinę.

Oprócz nich nikt nie jechał autostradą ani w jedną, ani w drugą stronę, co wyglądało dość niepokojąco. Jakby w ciągu nocy ludzie zniknęli z doliny, zostały tylko ofiary i kaci, i oni dwoje uwięzieni pomiędzy nimi.

Autostrada okrążyła niewielkie wzgórze - i Penelope nadepnęła na hamulce. Samochód wpadł w poślizg, zarzucił i wreszcie zatrzymał się w poprzek pasa. Autostrada przed nimi była zablokowana, zabarykadowana przez spiętrzone samochody, zdemolowane ciężarówki...

i płonące ciała.

Kevin, wciąż zapierając się rękami o deskę rozdzielczą, patrzył przez przednią szybę z tępą zgrozą. Ciała widocznie zostały rozszarpane podczas szaleńczej nocnej orgii, a później posegregowano części: ręce, nogi, głowy, torsy. Płonęło pięć oddzielnych ognisk, wokół których tańczyli, trzymając się za ręce, nadzy wyznawcy, wszyscy z identycznym wyrazem uniesienia na pustych twarzach.

Ktoś zapukał w szybę od strony Penelope, która wrzasnęła.

Kevin podskoczył na ten głos i szybko się obejrzał. Stara kobieta z twarzą wysmarowaną smugami krwi, nałożonymi jak barwy wojenne, wybuchnęła obłąkańczym śmiechem. Odechnęła głęboko, wciągając w płuca gęsty, cuchnący dym.

- Zderzenie czołowe! - zawołała. - Pełny kontakt!

- Cofnij się - powiedział cicho Kevin. - Jedźmy stąd, zanim reszta nas zauważy.

Penelope kiwnęła głową, wrzuciła wsteczny bieg. Samochód ruszył do tyłu, a wtedy kobieta zaczęła wrzeszczeć piskliwie, pokazując na nich palcem. Kilkoro nagich tancerzy odłączyło się od najbliższego kręgu - otaczającego ognisko z nóg - i puściło się w pogoń.

Kevinowi serce załomotało ze strachu na widok nadbiegających wyznawców. Piersi i erekcje podskakiwały, kiedy mężczyźni i kobiety przebierali nogami z nienaturalną

szybkością. Pustkę na ich twarzach zastąpiła przerażająca, ponura determinacja. Nagle miał pewność, że wyznawcy ich złapią, wywloką z samochodu, rozedrą na sztuki i spalą części ich ciał na odpowiednich ogniskach, tańcząc wesoło dookoła.

Potem Penelope przydepnęła hamulec, zawróciła i samochód pomknął z powrotem autostradą. Prześladowcy zostali z tyłu, coraz mniejsi, jak czarne kropki.

Kevin zakaszał. Dym z palonych ciał przedostał się do wnętrza samochodu i wywoływał mdłości. Kevin ścisnął nos palcami i próbował oddychać tylko przez usta, ale wciąż czuł w gardle ohydny posmak. Zaczął się krztusić.

Penelope wyciągnęła rękę i włączyła klimatyzację.

- Strasznie śmierdzi - przyznała.

Zauważył jednak, że sama nie miała żadnych trudności z oddychaniem. Dym wcale jej nie przeszkadzał.

Odetchnął zimnym, przefiltrowanym powietrzem i mdłości ustąpiły.

Samochód zwolnił, kiedy dotarli do tego samego rozjazdu, którym wjechali na autostradę.

- Co teraz? - zapytała Penelope.

- Nie wiem - przyznał. - Możemy spróbować na północy, ale założę się, że oba końce doliny są zablokowane.

- Więc jesteśmy w pułapce. Nie możemy się wydostać.

- Może jakąś boczną drogą? - zasugerował Kevin. - Może przemknijemy się przez Wo-oden Valley i zawrócimy do Vallejo? Albo pojedziemy przez Carneros do Sonomy?

- Możemy spróbować - zgodziła się, - Ale wątpię, czy się uda.

- Jeśli nie, to co?

Wzruszyła ramionami.

- Na piechotę? Nie wiem. Wymyślimy coś, jak przyjdzie czas.

Oboje mieli rację. Zaraz za Calistoga autostradę blokowała następna sterta pojazdów, a droga do Sonomy i pozostałe boczne drogi prowadzące na zachód okazały się silnie strzeżonymi torami przeszkód.

- Ci ludzie może są zalani - skomentował Kevin, kiedy ledwie uniknęli zasadzki na drodze do jeziora Berryessa - ale są dobrze zorganizowani.

- To Dion - odparła Penelope. - Nie chce mnie wypuścić.

Włosy zjeżyły się Kevinowi na karku.

Oboje milczeli przez jakiś czas, jadąc z powrotem na autostradę w obawie przed pościgiem. Jaki teraz jest Dion? - zastanawiał się Kevin. Czy pamięta łączące ich więzy przyjaźni? Jeśli ich schwyta, czy pozwoli im odejść wolno przez wzgląd na dawne czasy? Czy też o wszystkim zapomniał? Czy Dion całkowicie zniknął, wyparty przez... Dionizosa?

Boże, jak to głupio brzmiało.

Demon, to jeszcze rozumiał. Nawet duch dawnego mordercy. Ale mitologiczne bóstwo? To się wydawało śmieszne.

Ale nie było śmieszne. Sam wiedział najlepiej.

Wrócili na autostradę i Penelope zjechała na pobocze. Wylączyła silnik, pochyliła się do przodu.

Zaczęła płakać.

- Hej - powiedział Kevin. - Nie płacz.

Zaszlochała jeszcze bardziej rozpaczliwie. Kevin poruszył się z zakłopotaniem, nie wiedząc, co robić, potem przysunął się do niej i niezręcznie położył jej rękę na ramieniu.

- Już dobrze - powiedział.

Penelope wyprostowała się, kiwnęła głową i otarła oczy.

- Przepraszam. Po prostu... to takie beznadziejne. Próbowaliśmy na tyłu drogach i wszystkie są zablokowane. Jesteśmy tu uwięzieni. Nie możemy uciec.

Odsunął się od niej.

- Chcesz, żebym teraz ja prowadził?

Odetchnęła głęboko, kiwnęła głową.

- Dobra.

- Okay.

Kevin sprawdził, czy ktoś się nie czai za samochodem, z przodu, z boków, potem wysiadł, obiegł pojazd dookoła i wskoczył na miejsce kierowcy, podczas gdy Penelope przesuwała się na fotel pasażera.

- Jeszcze jednej drogi nie próbowaliśmy - oznajmił, blokując drzwi.

- Myślisz, że to coś da? - zapytała.

- Nie, ale jestem typem obsesyjno-kompulsywnym i muszę dokończyć poszukiwania.

Roześmiała się, ocierając ślady łez z policzków. Kevin uruchomił silnik, wrzucił bieg i odjechał.

Droga, kręta i wyboista, prowadziła przez Deer Park do Angwin. Niestety na samym początku okazała się odcięta przez grupę około pięćdziesięciu osób, które urządziły sobie jakby zaimprovizowane, wynaturzone rodeo: po kolei ujeżdżali mleczne krowy, dźgając je rozbitymi butelkami po winie, żeby się szybciej ruszały.

- Możemy się przez nich przebić - zaproponował Kevin.

Penelope chciała odpowiedzieć, ale słowa uwięzły jej w gardle. Kolory odpłynęły z jej twarzy.

W pierwszej chwili pomyślał, że dostała zawału czy ataku epilepsji. Potem usłyszał dźwięk. Głos. Głos niski i potężny jak huk gromu. Nie rozróżniał słów, słyszał tylko hałas. Spojrzał tam, gdzie patrzyła Penelope, na szczyt wzgórza po lewej stronie. Po zboczu

wielkimi krokami zstępował olbrzymi mężczyzna, wysoki jak tablica reklamowa. Był nagi, owłosiony, umazany krwią i winem, pod pachą niósł martwe, bezwładne ciało kozła. Nienaturalna wesołość malująca się na jego twarzy niemal maskowała fakt, że jej rysy wyglądały znajomo.

- To Dion - szepnęła Penelope. - Dionizos.

- O kurwa - jęknął Kevin. - Ja chromolę.

Fala ludzi przelala się przez grzbiet wzgórze w ślad za Dionizosem i podążyła za nim na dół. Wielu się przewracało i staczało po stromym stoku, ale niezgrabiaszy nie traktowano ulgowo. Fala posuwała się naprzód, tratując tych, którzy upadli.

Kevin już się cofał, szybko, ale nie za szybko, żeby nie zwracać uwagi na samochód. Mogli uciec zwykłym wyznawcom, ale nie mieli szans, żeby uciec przed Dionizosem. Dogoni ich, zanim dojadą do autostrady.

W ustach mu zaschło, ręce nie drżały tylko dlatego, że mocno ścisnął kierownicę. Poznał już strach. Nie wyobrażał sobie, że mógłby się bać jeszcze bardziej niż zeszłej nocy na Ash Street. Ale nic go do tego nie przygotowało. Rozum mu podpowiadał, czego się spodziewać. Penelope opisała mu metamorfozę i rozumiał, jak przerażająco wyglądała, rozumiał, czym się stał Dion, ale żadne słowa nie mogły opisać tej straszliwej, niepojętej obcości. Istota zbiegająca ze wzgórze nie przypominała człowieka ani potwora z filmu grozy, nie przypominała niczego, co widział na jawie lub we śnie, o czym czytał, co sobie wyobrażał. Emanowała z niej moc, potęga wyczuwalna tak wyraźnie, że niemal namacalna, niemal widoczna, i ta moc wypaczała wszelkie inne doznania zmysłowe w sposób, który nie tylko przerażał, ale także wywoływał dezorientację.

Dionizos dotarł do stóp wzgórze, uniósł kozła wysoko, oderwał mu łeb i cisnął wyznawcom, a sam napił się z fontanny tryskającej z szyi zwierzęcia. Wydał radosny okrzyk, który przetoczył się po wzgórze jak trzęsienie ziemi. Kevin całkiem zapomniał, że nie powinni zwracać na siebie uwagi, wduśił pedał gazu i samochód skoczył do tyłu.

Zjechał na ubite pobocze, wrzucił przedni bieg i wykręcił o sto osiemdziesiąt stopni.

- Idzie za nami? - zapytał.

Penelope pokręciła głową.

- Jezu. - Kevin zerknął we wsteczne lusterko, ale zobaczył tylko drzewa. - Jezu - powtórzył.

Penelope milczała. Kevin wjechał na autostradę i skręcił na południe, z powrotem w kierunku Napa. Znał już przeszkody na drodze i z łatwością omijał rozbite samochody oraz kupy śmieci.

- Niedługo skończy nam się benzyna. Nie wiem, gdzie zatankujemy. Nawet nie wiem, czy jakieś stacje jeszcze działają.

Penelope wciąż milczała.

- Nie wiedziałem, że on jest taki straszny. - Kevin mimo woli zniżył głos. - Nie wiem, co możemy zrobić przeciwko... temu.

- Nic - odparła tępo Penelope.

- Myślę, że powinniśmy zacząć się zastanawiać, co zrobimy w nocy. Na razie nie widzieliśmy dużo ludzi, ale nie przypuszczam, żeby wyjechali. Założę się, że po prostu odsypiają. I pewnie wyjdą w nocy. Musimy znaleźć jakąś kryjówkę, zdobyć broń. Na Lincoln jest sklep z bronią. Pojedziemy tam.

Sklep z bronią, Napa Rifles, był okupowany. Nawet z ulicy widzieli ciemne sylwetki poruszające się za zakratowanymi oknami. Uzbrojeni, otyli mężczyźni, okryci prześcieradłami udrapowanymi jak zaimprovizowane togi, siedzieli rzędem na krawężniku przed budynkiem.

- Zapomnijmy o tym - rzucił Kevin, napotkawszy spojrzenie Penelope, kiedy przejeżdżali obok sklepu. - Musimy sobie poradzić z tym, co mamy.

Penelope nachyliła się do przodu.

- Chcesz wracać do szkoły?

Pokręcił głową.

- Zbyt łatwo będzie nas złapać w pułapkę. Powinniśmy pojechać do... - Zastanawiał się przez chwilę. - Do turystycznych domków na Coombsville. Napa Hideaway?

- Ten obskurny motel?

- W domku łatwo się obronić. Zgarniemy, co się da, obrobimy sklepy sportowe, parę domów w razie potrzeby. - Wskazał zegar na desce rozdzielczej. - Jeśli dobrze wskazuje, już minęło południe. Musimy zrobić zapasy jedzenia i urządzić się, zanim się zrobi ciemno.

Zdawał sobie sprawę, że jego głos brzmi spokojnie i pewnie, ale to słowo - „ciemno” - przywołało obrazy poprzedniej nocy i sprawiło, że zadrżał wewnątrz. Nie wiedział, czy wystarczy mu sił, żeby wytrzymać drugą taką noc.

- Masz rację - powiedziała Penelope i w jej głosie usłyszał siłę, której mu brakowało. - Znajdziemy potrzebne rzeczy i rozbijemy obóz na noc.

Jej pewność siebie dodała mu odwagi. Kiwnął głową.

- Zamienimy się. Ty prowadzisz. Ja wychodzę i szukam, czego nam trzeba. Ty czekasz.

- Nie muszę siedzieć w samochodzie. Mogę ci pomagać.

- Nie wiem...

- ..czy przeżyjesz, jeśli z tobą nie pójdę? Ja też nie wiem.

Kevin roześmiał się.

- No dobrze.

O wpół do piątej ulokowali się już bezpiecznie w domku numer dwanaście w Napa Hideaway. Nie znaleźli żadnej broni, ale Kevin zabrał kije baseballowe z pojemnika ze sprzętem na boisku Małej Ligi, a ze sklepu z artykułami gospodarstwa domowego zwędzili rzeźnicze noże i tasaki. Na podłodze domku piętrzyły się pojemniki Drano do przetykania rur, puszki aerozoli i zapalniczki, które ukradli z 7-Eleven. Młotki i śrubokręty wyszabrowane z kanciapy szkolnego woźnego zostały w samochodzie.

Penelope siedziała na podwójnym łóżku i patrzyła, jak Kevin kończy zabijanie okien deskami. Pomogła mu już zamocować dwie dodatkowe zasuwę na drzwiach.

Telefony nie działały, ale nadal mieli prąd i wodę. Widocznie bachanci z braku pomysłu czy koordynacji nie próbowali doprowadzić do wstrzymania dopływu usług komunalnych. Nawet telewizor odbierał bez zakłóceń.

Penelope wstała i przeszła przez pokój, żeby zmienić kanał telewizora. Powoli przełączała stacje. Zatrzymała się, kiedy zobaczyła znajomy zespół spikerów nadający wiadomości CBS z San Francisco.

Obejrzała cały dziennik. Spodziewała się wiadomości z ostatniej chwili - że gubernator wysła oddziały wojska, że agencje rządowe jednoczą siły, żeby wkroczyć do doliny - ale nikt ani słowem nie wspomniał o Napa.

Jak to możliwe?

Wpatrywała się w ekran i duch w niej upadał. Razem z Kevinem zamierzała zaalarmować władze, ale nie przyszło jej do głowy, że nikt inny tego nie zrobi. Zakładała, że inni uciekli i opowiedzieli, co się tutaj dzieje. I ludzie z zewnątrz na pewno próbują się skontaktować z mieszkańcami doliny. Krewni, przyjaciele, partnerzy w interesach. Co ze wszystkimi ludźmi, którzy chcą zamówić wino? Co ze wszystkimi turystami, którzy chcą wjechać do Napa? Czy nikt się nie skarżył?

Widocznie nikt.

Może ich pozabijano.

Próbowała tak nie myśleć.

Może bachanci opanowali cały stan.

To fizycznie niemożliwe.

Jeszcze nie.

Kevin usiadł obok niej na łóżku.

- Nic?

Pokręciła głową.

- Może coś powiedzą w wieczornych wiadomościach.

- Może - mruknęła z powątpiewaniem.

Kevin spojrział w stronę okna. Podążyła za jego wzrokiem i zobaczyła nasycone barwy zmierzchu przeświecające pomiędzy deskami. Kevin wstał, zapalił światło i opuścił żaluzje.

- Zapowiada się długa noc - powiedział, wracając do łóżka. Penelope kiwnęła głową.
 - Jeśli przeżyjemy.
- Usiadł obok niej i oboje w milczeniu oglądali telewizję.

5.

Funkcjonariusz Dennis McComber skończył gwałcić córkę szefa, wyciągnął fiuta i stoczył się ze zwłok. Otarł pot z czoła, sięgnął po butelkę stojącą obok i dopił do końca. Czuł się wyczerpany, obolały i skacowany, dokładnie tak jak chciał.

Cholera jasna, czuł się wspaniale.

Wolność.

To przyniósł ze sobą nowy bóg. Wolność.

Tego pragnął przez te wszystkie lata, chociaż o tym nie wiedział. Jako policjant miał bronić prawa, pilnować, żeby ludzie przestrzegali przepisów, ale w gruncie rzeczy to nigdy go nie interesowało. Wstąpił do policji, żeby wznieść się ponad te prawa, żeby sam nie musiał przestrzegać tych przepisów. Przekraczanie dozwolonej prędkości? On mógł to robić, ale jeśli inni próbowali, wlepił im mandat. Bicie? On mógł to robić, ale jeśli inni próbowali, wsadzał ich do aresztu.

To jednak nie była prawdziwa wolność, tylko przedsmak, mała przekąska podsycająca apetyt.

Teraz poznał wolność.

McComber wyciągnął rękę, dotknął zimnej piersi córki szefa, ścisnął sutek.

Bał się, zanim przyszedł bóg, strach odbierał mu siły i tylko wino mu pomagało. Ale Jego przyjście wcale nie było straszne. Przeciwnie, okazało się najwspanialszym wydarzeniem w życiu McCombera i kiedy wieść o odrodzeniu boga rozeszła się po całej dolinie, osiągnął wyzwolenie większe, czystsze, prawdziwsze niż wszystko, czego dotąd doświadczył.

W tamtej chwili narodził się ponownie.

McComber chwycił córkę szefa za ramię i odwrócił ją na wznak. Spojrzał w stronę Godridge'a.

- Chcesz ją następny?

Szef pijacko pokręcił głową, po czym runął twarzą na biurko. McComber roześmiał się, a potem ryknął jeszcze głośniejszym śmiechem, kiedy zobaczył, jak krew z rozbitego nosa

szefa zalewa papiery na biurku. Cisnął butelkę o ścianę, z przyjemnością usłyszał brzęk rozbijanego szkła. Kiwnął głową w stronę jednego z rekrutów, ustawionych w szeregu pod oknem.

- Następny - rozkazał.

6.

Rano zbudziły ich wystrzały.

Penelope poderwała się gwałtownie, nie rozumiejąc, dlaczego spała w ubraniu i w obcym łóżku. Potem ostatnie czterdzieści osiem godzin powróciło w jednej chwili. Rozejrzała się po mrocznym pokoju, dopóki nie odnalazła wzrokiem Kevina, który kucał przy zabitym deskami oknie i wyglądał przez szparę pomiędzy listewkami żaluzji.

Podeszła do niego na palcach i kucnęła obok.

- Co jest? - szepnęła.

Pokręcił głową, przyłożył palec do ust.

Spojrzała na niego, na kij baseballowy, który mocno ścisnął między kolanami, gotów ich bronić, chociaż wyraźnie się bał. Przeszedł ją dreszcz. Powinna chyba go wynagrodzić. Zrobić mu łaskę, kiedy tak czekał.

Nie!

Wciągnęła powietrze i wypuściła. Cholera, o czym ona myśli?

Krew.

Podniosła głowę nad parapet, rozchyliła dwie listewki, spojrzała przez żaluzje, pomiędzy deskami. Na zewnątrz, na środku ulicy, grupa uzbrojonych kobiet, odzianych w pstre łachmany, otaczała jednego z sezonowych cudzoziemskich robotników rolnych. Podawały sobie butelkę i po kolei strzelały mu w stopy, żeby go zmusić do tańca. Czy raczej w to, co zostało z jego stóp. Usiłował podskakiwać na krwawych kikutach, podczas gdy kobiety ze śmiechem wykrzykiwały nazwy różnych tanecznych kroków.

- Schyl się! - szepnął Kevin, chwycił Penelope za ramię i pociągnął w dół. - Nie dotykaj żaluzji! One zobaczą ruch!

Kiwnęła głową i postąpiła zgodnie z jego wskazówką: spoglądała ukośnie przez listewki, nie dotykając żaluzji. Kobiety na ulicy znowu strzelały, tańczyły i pokrzykiwały, kiedy farmer z wrzaskiem upadł na kolana. Wydawały się pijane na równi przemocą i alkoholem, a co najgorsze, Penelope dokładnie wiedziała, co one czują.

Usiadła na podłodze, tyłem do okna. Słuchała, ale nie patrzyła.

W środku nocy zbudziło ją pragnienie wina, zapach świeżej krwi w nozdrzach. Zamiast tego napiła się wody i jakoś udało jej się zasnąć. Krew, pomyślała teraz, pochodziła z łazienki. Kobieta, która tu przedtem mieszkała, pewnie miała akurat miesięczkę.

Ale jak ona to wyczuła?

Zmysły jej się wyostrzyły.

Odepchnęła od siebie tę niepokojącą myśl.

Ciekawe, co teraz robią jej matki.

A raczej jej matka i ciotki.

Jedno dobre w tym wszystkim: wreszcie potwierdziło się coś, co wiedziała przez cały czas - że matka Felice jest jej biologiczną, prawdziwą matką. Pomimo wszystko ta wiedza podniosła ją na duchu. Ostatni raz widziała matkę nagą i oblaną krwią, ale wciąż miała nadzieję, że kiedy to się skończy...

kiedy pozostałe matki zginą

...one dwie będą razem, będzie inaczej, lepiej niż przedtem. Stworzą prawdziwą, normalną, zwyczajną rodzinę, z normalnymi problemami i trudnościami.

Na zewnątrz rozległy się strzał, wrzask i dziki śmiech.

Penelope odwróciła się do Kevina.

- Zabiły go - szepnął. - Strzeliły mu w głowę.

Zamknęła oczy i próbowała opanować mdłości. W wyobraźni zobaczyła zakrwawione, okaleczone stopy robotnika, który próbował tańczyć na asfalcie.

- Odchodzą. - Kevin jeszcze przez chwilę wyglądał przez okno, potem osunął się na podłogę i odetchnął głęboko. - Kurwa.

- Co możemy zrobić, jeśli przyjdą po nas? - zapytała Penelope, wciąż szeptem.

Kevin pokręcił głową.

- Modlić się.

Pół godziny później, umyci i uczesani, kończyli skromne śniadanie. Kevin wciąż pełnił straż w oknie, ale kobiety nie wróciły i na pustej ulicy leżało tylko ciało robotnika.

Penelope zmusiła się do uśmiechu.

- No więc co dzisiaj robimy? Urządzimy piknik? Połazimy po sklepach?

- Powinniśmy się stąd wynieść - zasugerował. - Uciekać z doliny.

- Próbowaliśmy - przypomniała mu. - Nie daliśmy rady.

- Przecież nie możemy tylko siedzieć i czekać... z nadzieją, że ktoś nas uratuje.

- Znajdziemy kogoś do pomocy.

Kevin prychnął.

- Akurat.

Przez chwilę namyślał się w milczeniu, potem na jego twarzy pojawiła się nadzieja. Odwrócił się do Penelope.

- Pan Holbrook. On się zna na takich rzeczach. Znajdziemy go i zapytamy, czy może nam pomóc. Adres pewnie jest w książce telefonicznej.

Penelope zamrugnęła z tępych wyrazem twarzy.

- On dużo wie o greckiej mitologii - ciągnął Kevin. - Może coś wymyśli, żeby nas stąd wyciągnąć.

Pokręciła głową.

- Nie chcę go widzieć. Nie lubię go. Jest jakiś niesamowity.

- Niesamowity czy nie, nie mamy dużego wyboru. Zresztą na pewno nie jest bardziej niesamowity niż to całe gówno, które widzieliśmy.

- Jeśli jeszcze tu jest - zauważyła. - I nie jest jednym z nich. I nie zginął.

Kevin wyraźnie zapalił się do tego pomysłu.

- Zaczekamy jeszcze trochę, sprawdzimy, czy nikogo tam nie ma, potem zasuujemy do samochodu i pryskamy stąd. - Zaczął otwierać szuflady komody, szukając książki telefonicznej. - Spakuj nasze rzeczy. Musimy się sprężyć.

Penelope chciała się sprzeciwić, ale po namyśle kiwnęła głową. Poszła do łazienki, gdzie zaczęła napełniać puste bidony wodą z kranu. Przerwała przy drugiej butelce, spojrzała w lustro nad umywalką.

Holbrook.

Logicznie biorąc, pomysł wydawał się niezły, a jednak na samą myśl o spotkaniu z nauczycielem ścisła ją w żołądku. Żałowała, że nie potrafi podejść do tego równie optymistycznie jak Kevin. Przekonywała samą siebie, że wpada w paranoję, ale w głębi duszy wiedziała, że ma rację, i ta świadomość odbiła się na jej twarzy.

Na twarzy w lustrze malował się strach.

Odwróciła wzrok, wzięła następną butelkę i nalała wody.

Na zewnątrz w powietrzu czuło się zmianę, inną atmosferę emocjonalną. Oboje to zauważyli, nie tylko Penelope ze swoją wyostrzoną percepcją. Subtelna, nieokreślona, a jednak namacalna obecność. Penelope była niespokojna, nerwowa, jakby dzikość w jej wnętrzu próbowała się wyrwać na wolność - a raczej dzikość na zewnątrz niej próbowała się wdrzeć do środka. Nie widzieli nikogo na ulicach, jednak narastało w nich przekonanie, że od dzisiaj nie obowiązują żadne reguły zachowania, żadne ograniczenia, że wszystko jest dozwolone, wszystko ujdzie bezkarnie - przekonanie walczące o dominację z tradycyjnymi

wartościami, które oboje wyznawali. Widziała to w twarzy Kevina, wyczuwała w sobie.

Po niebie przeleciał samolot, odrzutowiec pasażerski, zmierzający z zachodu na wschód, w stronę oceanu. Dziwnie było pomyśleć, że wszystkie wydarzenia tu na dole stanowiły zaledwie dwusekundowe mgnienie dla ludzi w samolocie. Jeśli akurat mrugnęli, przegapili dolinę. Podczas gdy ona i Kevin rozpaczliwie próbowali uciec z piekła, w jakie zmieniła się Napa, pasażerowie popijali darmowe drinki i rozsiadali się wygodnie, żeby obejrzeć film w klimatyzowanym komforcie kabiny.

Lecz ile czasu minie, zanim to się rozprzestrzeni? Zanim dotrze do Sonomy? Vallejo? San Francisco?

Nie chciała o tym myśleć.

Łaadowali zapasy do bagażnika samochodu i wsiedli. Kevin zajął miejsce za kierownicą. Spojrzał na kartkę, którą wyrwał z książki telefonicznej.

- Palmer - powiedział. - To znaczy, że musimy przejechać przez śródmieście. - Zerknął na Penelope. - Nie martw się. Damy radę.

Penelope spojrzała przez przednią szybę na zakrwawione zwłoki farmera bez stóp.

- Mam nadzieję - powiedziała.

Kevin uruchomił silnik, wrzucił bieg i wyjechał na ulicę.

- Ja mam nadzieję, że on żyje, nie wyjechał i nie przyłączył się do nich.

7.

Dom Holbrooka, pudełkowaty i nijaki, stał na osiedlu identycznych małych domków.

Kevin nie bardzo wiedział, czego się spodziewać, ale z pewnością nie tego. Cholera, Holbrook miał jeszcze gorszy dom niż on. Przypomniawszy sobie, jak Holbrook wykladał w klasie, wystawiał oceny, wymierzał kary, i nie mógł pogodzić tego symbolu władzy i autorytetu z człowiekiem, który mieszkał w takim nędznym kurniku.

Zaparkował przed domem przy krawężniku i wysiadł, nie wyłączając silnika. Chwycił jeden śrubokręt z kieszeni na drzwiach.

- Ten sam plan - powiedział do Penelope. - Czekać w pogotowiu. Pójdę się rozejrzeć i jeśli coś jest nie tak, wracam gwałtem, wskakuję za kółko i spadamy stąd.

Penelope uśmiechnęła się.

- Teraz już nie chcesz, żebym odjechała bez ciebie?

- Kurwa, nie! - Wyszczerył zęby. - Chyba mi wtedy odbiło.

- Nie tobie jednemu.

Oboje się roześmieli.

- Okay - powiedział Kevin. - Idę...

- Co wy tam robicie na ulicy? Wchodźcie!

Kevin podniósł wzrok, zaskoczony tym głosem. Ponad dachem samochodu zobaczył Holbrooka, stojącego w otwartych drzwiach domu, z dubeltówką w rękach.

- Ruszcie dupy! - ryknął nauczyciel.

Penelope w panice obejrzała się na Kevina.

- No już! Zanim was zobaczą!

Otworzyła drzwi, wysiadła i pobiegła przez trawnik w stronę Holbrooka. Kevin obiegł samochód i wyprzedził ją, ściskając śrubokręt... na wszelki wypadek. Strach i troska o nich świadczyły, że Holbrook jest w porządku, ale nie mogli ryzykować.

Nauczyciel podniósł strzelbę do ramienia i Kevinowi serce skoczyło w piersi - to pułapka! Drań chce ich zastrzelić! Zatrzymał się przed gankiem i wyciągnął śrubokręt.

- Pan jest pijany? - zapytał.

Holbrook opuścił broń i uśmiechnął się ponuro.

- No, to chyba oznacza odpowiedź. Myślę, że wszyscy tutaj jesteśmy w porządku. - Przesunął się w bok, przytrzymując drzwi otwarte. - Wchodźcie. Szybko.

Penelope weszła na ganek i do domu. Kevin ruszył za nią, ale przypomniał sobie, że silnik samochodu wciąż pracuje. Odwrócił się i wybiegł na ulicę.

- Hej! - wrzasnął Holbrook.

- Samochód! - odkrzyknął Kevin.

Dopał do pojazdu, otworzył drzwi, zanurkował na przednie siedzenie i wyłączył zapłon. Wyciągnął kluczyki, zamknął samochód i biegiem wrócił do rozgniewanego Holbrooka.

Nauczyciel złapał go za ramię.

- Co ty wyrabiasz? Mogłeś zginąć.

Kevin wyszarpnął rękę.

- Na ulicy nikogo nie ma. A silnik na chodzie to jak czerwona flaga dla wszystkich okolicznych psycholi. Poza tym nie chce, żeby ktoś mi ukraść samochód. - Spojrzał Holbrookowi w oczy. - Będzie mi potrzebny.

- Wchodź.

Penelope stała za progiem salonu i rozglądała się niepewnie. Holbrook zamknął drzwi na klucz i zaczął zasuwać rygle. Kevin żałował, że Penelope nie zabrała z samochodu żadnej broni.

Holbrook odstawił dubeltówkę, oparł ją o ścianę przy drzwiach. Odwrócił się do Penelope.

- Te Daneam sprowadziły z powrotem Dionizosa, tak?

Kevin zagapił się na niego, wstrząśnięty.

- Skąd... - zaczął.

- To menady.

- Wiem - odparł Kevin. - Ale skąd pan wiedział?

Holbrook go zignorował.

- Pomogłaś im? - zapytał Penelope.

Pokręciła głową.

- Wiesz, jak one to zrobiły?

Odwróciła wzrok, spojrzała na Kevina, nie odpowiedziała.

- No to chodźcie - powiedział Holbrook. - Coś wam pokażę.

Przeszedł obok nich i poprowadził ich przez salon do krótkiego korytarza. Otworzył drzwi obok łazienki, wyglądające jak drzwi szafy. Za nim wąskie schody prowadziły w dół.

- Na dół.

Kevin poszedł za nauczycielem, Penelope na końcu. Napotkał jej zalęknione spojrzenie, kiedy się odwracał. Sam też trochę się bał, nawet więcej niż trochę, ale szedł dalej za Holbrokiem.

Wąska klatka schodowa otwierała się na pokój wielkości co najmniej połowy domu.

- Jezu - powiedział Kevin.

Rozejrzał się dookoła. Całą piwnicę wypełniały starożytne artefakty i ogromne fotografie fryzów. Obok zdjęć greckich ruin i historycznych miejsc przypięto pinezkami mapy i wykresy, wszędzie piętrzyły się sterty książek i papierów. W głębi pod ścianą stała makieta greckiej świątyni, raczej w stylu szkolnego kółka dramatycznego, prymitywna i amatorska. Kolumny wykonano z szarej papier mâché. Budowla wyglądała na ukończoną zaledwie w połowie.

Holbrook podszedł do biurka, na którym porysowany terminal komputerowy stał pomiędzy dwoma niebotycznymi stosami notesów. Zdjął notes z wierzchu, wyłowił długopis spod papierów, które zaścieniały każdy wolny centymetr blatu, otworzył notes na pustej stronie i zwrócił się do Penelope.

- To Dion, tak? Dion Semele.

Przytaknęła.

- Opowiedz mi, jak to się stało. Opowiedz wszystko, co wiesz. Zaczynj od początku.

Opowiedziała.

Kevin już to słyszał, ale za drugim razem ta historia brzmiała równie przerażająco i niewiarygodnie. Holbrook słuchał w milczeniu, ze skupieniem, gryzmołąc wściekle w notesie.

- Fascynujące. - Nauczyciel pisał dalej, chociaż Penelope już umilkła. - Więc bogowie ukrywają się w genach i chromosomach. W DNA. - Pokręcił głową, uśmiechnął się do siebie. - Pewnie stąd się wzięła Jungowska koncepcja uniwersalnego archetypu, wspólnej podświadomości. Tak powstała idea, że Bóg jest w każdym z nas...

- Później pan napisze doktorat. - Kevin przerwał mu. - Jezu, tam umierają ludzie. Nie mamy czasu siedzieć i bawić się w intelektualne gierki.

- Te „intelektualne gierki” ocalą twój tyłek. - Holbrook znowu odwrócił się do Penelope. - Nie wiesz przypadkiem, co one śpiewały, kiedy namaszczały Dionia krwią?

Pokręciła głową.

- Nie bardzo.

- Wielka szkoda. Gdybyś wiedziała, moglibyśmy odwrócić ten proces. A tak... - Urwał.

- Czy jego można zabić? - zapytał Kevin.

Penelope przeniosła wzrok z Holbrooka na Keviną.

- Zabić? - powtórzyła podniesionym głosem.

Kevin nie patrzył jej w oczy.

- Można?

Nauczyciel powoli kiwnął głową.

- Chyba tak. Ale nie wiem na pewno. Powinniśmy chyba się cieszyć, że pierwszy bóg, który powrócił, to bóg z ciała. To znacznie zwiększa nasze szanse. Poza tym Dionizos jest bogiem cyklicznym. Podobnie jak u innych rolniczych bogów, którzy wyrosli w jego cieniu, jego życie stanowi odzwierciedlenie cyklu natury, w tym przypadku winnej latorośli. On rośnie i rozkwita, więdnie i umiera, i odradza się w następnym sezonie.

- Więc już zaraz powinien umrzeć - zauważył Kevin. - W tym roku sezon na winogrona się kończy.

Poszukał wzrokiem potwierdzenia u Penelope, ona jednak nie chciała na niego patrzeć.

- Niekoniecznie.

Holbrook przeszedł na drugi koniec piwnicy i spomiędzy dwóch stosów książek wyciągnął styropianowy kubek od McDonalda, w którym tkwiła gałązka do połowy zanurzona w wodzie. Przyniósł kubek i pokazał zielony kielek na brązowej gałązce.

- Spójrzcie na to - powiedział. - Co widzicie?

Kevin wzruszył ramionami.

- Pączek.

- Właśnie. Winorośl kwitnie. Późną jesienią. Wicie, co to znaczy?

Kevin pokręcił głową.

- Cykl się zmienił, żeby zrównać się z odrodzeniem Dionizosa. - Postawił kubek na biurku. - Nie wiem, jaki zasięg ma to zjawisko, czy ogranicza się tylko do doliny, czy rozprzestrzenia się wszędzie, ale winorośl powinna teraz obumierać, żeby się odrodzić na wiosnę. - Przerwał, przez chwilę wpatrywał się w przestrzeń, po czym znowu zaczął pisać w notesie. - Nigdy o tym nie pomyślałem. Dionizos i Śiwa.

- Co?

- Śiwa albo Sziwa, hinduski bóg zniszczenia i odrodzenia. Siwa ma wiele wspólnego z Dionizosem. Może to ten sam bóg, tylko inaczej nazywany.

- Kogo to obchodzi? - jęknął Kevin. - Jezu. Przyszliśmy do pana po pomoc.

Penelope odchrząknęła. Kiedy się odezwała, głos miała spokojniejszy niż przedtem.

- Jak on umrze? - zapytała.

Holbrook popatrzył na nią.

- Rozszarpany na strzępy.

- O Boże.

- Może jakoś przyspieszymy koniec sezonu - podsunął Kevin. - Jak on umrze, może tamci...

- Co ty wygadujesz? - warknęła Penelope. - To Dion! Twój przyjaciel!

- To nie Dion - zaprzeczył Kevin. - Dion nie żyje.

- Wcale nie. On tam jest. Próbuje się wydostać.

Kevin z rezygnacją pokręcił głową.

- To i tak nie ma znaczenia. Nawet jeśli go zabijemy, odrodzi się w przyszłym roku.

- I wtedy na pewno umrze. Dionizos się odrodzi, ale nie Dion. Jeśli teraz go zabijemy, zabijemy Diona.

Holbrook zamknął notes.

- Masz rację. Oboje macie rację. Możliwe, że Dionizosa nie da się zabić na zawsze. Ale można zabić postać, w jakiej się objawił. A jeśli pozostawał w uśpieniu przez tysiące lat, można znowu go uśpić.

- Jak? - zapytał Kevin.

- Jeszcze nie wiem. Ale przez te wszystkie stulecia Dionizos był jak ziarno czekające na właściwą glebę. A tą glebą okazał się Dion. Jeśli zniszczymy to wcielenie, upłyną wieki, zanim znajdzie się następny odpowiedni nosiciel.

Kevin odetchnął głęboko. Spostrzegł, że ręce mu się trzęsą, więc wsunął dłonie do kieszeni dżinsów.

- A co z Bogiem? Z naszym Bogiem? Co On robi? Dlaczego nic nie zrobi w tej sprawie? Czy przez cały czas modliliśmy się do fałszywego boga? Czy tylko go sobie wymyśliliśmy?

Pan Holbrook pokręcił głową.

- Bóg jest prawdziwy. Przynajmniej ja tak myślę. Ale myślę też, że nie możemy i nie powinniśmy liczyć na Jego pomoc. On nie wtrąca się do wojen, nie zapobiega naturalnym katastrofom, nie powstrzymuje epidemii. Z tymi problemami sami musimy sobie poradzić. I myślę, że teraz jest tak samo. Wiecie, nazywamy Dionizosa „bogiem”, podobnie jak inne „bóstwa” ze Starego Świata, i może dla nas są bogami. Nie są jednak bogami w prawdziwym sensie tego słowa. Nie są wszechmocni. Nawet w mitologii jest o tym mowa. Myślę, że to stworzenia albo istoty obdarzone mocami większymi od naszych, ale ich moc nie może się mierzyć z mocą prawdziwego boga, z mocą... no, Boga.

- Więc to jakby demony. Potwory.

- Tak.

Po raz pierwszy, odkąd weszli do piwnicy, wszyscy zamilkli. Kevin patrzył, jak Holbrook odkłada notes na biurko. Penelope miała rację, pomyślał. Holbrook rzeczywiście jest jakiś niesamowity, jakiś tajemniczy i niepokojący. I chociaż nie wątpił, że nauczyciel jest po ich stronie, że nie należy do tamtych, czuł się z nim nieswojo tu na dole. Żałował, że nie ma z nimi jeszcze jednego dorosłego. Albo przynajmniej kogoś płci męskiej. Lubił Penelope, ale chociaż wiedział, że to seksizm, wolałby zamiast niej faceta.

Pewnie kopnęłaby go w jaja, gdyby wiedziała, co myśli.

Uśmiechnął się do siebie i zerknął na Penelope. Nie odwzajemniła uśmiechu, ale tym razem nie odwróciła wzroku i jej oczy powiedziały mu, że już się nie złości na niego, że wszystko w porządku.

Ponownie rozejrzał się po piwnicy. Zatrzymał spojrzenie na dużej urnie, marmurowej rzeźbionej wazie, na której nimfy i satyry igrały wśród doryckich kolumn. Odwrócił się do Holbrooka, gotów zapytać o zdjęcia, artefakty, świątynię, o ten cały dziwny grekofilski zbiór, ale Penelope go wyprzedziła.

- No więc - zaczęła, wskazując na pokój - co to wszystko znaczy?

Holbrook podniósł wzrok.

- To wszystko?

- Te wszystkie... greckie mitologiczne rzeczy.

Holbrook uśmiechnął się dumnie.

- Wiedziałem, że ten dzień nadejdzie. Przygotowałem się.

Kevin prychnął.

- Chłopie, prawdziwy z ciebie Sherlock Holmes.

Penelope nie zwróciła na niego uwagi.

- Pan wiedział, że ten dzień nadejdzie? W jaki sposób?

- Nazwisko Diona. Semele. Dlatego zapytałem cię o nazwisko, twoje i twoich matek, i nazwę waszego wina. Semele była tebańską księżniczką, córką Kadmosa, którą pochłonął

ogień, kiedy ujrzała Zeusa w całej chwale. Dionizos jest synem Zeusa i Semele.

Penelope popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- I dlatego pan przewidział, co się stanie? Przez nazwisko Diona?

- Twoje nazwisko. Daneam. To anagram słowa „menada”. Penelope milczała. Widocznie sama tego nie zauważyła.

- No więc? - zapytał Kevin.

- To się nie wzięło znikąd. Oni się na to przygotowywali od wieków. - Zrobił przerwę. - Podobnie jak my.

Kevin, coraz bardziej zaniepokojony, przysunął się do Penelope.

- My?

Nauczyciel się wyprostował.

- Owidianie. - Popatrzył na nich z dumą. - Chronią ludzkość przed bogami.

Kevin spojrział na Penelope, ale ona wpatrywała się w Holbrooka.

- Nasz zakon został pierwotnie utworzony, żeby zapobiegać wtrącaniu się bogów w sprawy ludzi. W starożytnej Grecji, za czasów bogów, ciągle gwałcili nasze kobiety, bawili się nami, wykorzystywali nas, żeby walczyć z nudą nieśmiertelności. Próbowaliśmy temu zapobiegać.

- Pogromcy bogów - mruknął Kevin.

- Coś w tym stylu.

- Owidianie? - powtórzyła Penelope. - Od Owidiusza?

- Tak.

- Myślałam, że to on spisał mity i, no wie pan, zachował je dla potomności.

- On był łacińskim kronikarzem bogów, ale uważał to wszystko za bzdury. Istnieliśmy już wtedy od kilkuset lat, ale nie mieliśmy nazwy. Owidiusz dyskredytował bogów, twierdził, że spisuje wymyślone bajki, że wcale nie opisuje faktycznych wydarzeń, co jeszcze bardziej osłabiło w ludziach nadwątloną już wiarę. Nazwaliśmy się na jego cześć. Nie należał do nas, ale popierał naszą sprawę.

Kevin popatrzył na niego.

- Znaczy, że chcieliście się pozbyć wszystkich bogów? Żaden wam się nie podobał?

Holbrook pochylił się do przodu.

- Oni są źli. Wszyscy. - Objął gestem fotografie na ścianach. - Ludzie myślą, że starożytni wiedli idylliczne życie w złotym wieku, że byli światłymi, inteligentnymi ludźmi i żyli sobie szczęśliwie wśród świątyń i wyrocni. Ale czy wiecie, jakich okropności dopuszczali się bogowie wobec ludzi? Oni byli panami. My byliśmy niewolnikami. I mieli się świetnie. Prosperowali naszym kosztem. Nasz zakon powstał, żeby stawić im opór.

- Więc to wy ich pozabijaliście?

Holbrook pokręcił głową.

- Niestety nie. Próbowaliśmy zaszczepiać niewiarę i w końcu niewiara osłabiła ich do tego stopnia, że musieli się ukrywać i chronić, zanim całkiem zniknęli. Owidiusz bardzo nam pomógł. Ale raczej powstanie chrześcijaństwa najbardziej się przyczyniło do tego, że ludzie przestali wierzyć w starych bogów.

- Ale wasza grupa nie przerwała działalności? - zapytała Penelope.

- Wiedzieliśmy, że oni wrócą. Nie wiedzieliśmy jak, gdzie i kiedy, ale dopóki menady i inni wierni żyli, wiedzieliśmy, że bogowie nie umarli.

- Więc to znaczy, że pana tatuś był owidianinem? - zapytał Kevin. - I jego tatuś? Od samego początku?

- Nie. To znaczy tak, mój tatuś był owidianinem, ale jego tatuś nie. Przynależność do owidian nie jest dziedziczna. Nie rodzisz się owidianinem. Zwykle prowadzimy rekrutację. - Holbrook usiadł na obrotowym krześle przed terminalem komputerowym. - Kontaktujemy się przez sieć.

Sięgnął do tylnej ścianki komputera, włączył urządzenie.

- Ale linie telefoniczne wysiadły...

- Tak. Nie możemy się teraz komunikować. Ale oni na pewno wiedzą, co się dzieje. W tej chwili próbuję uzyskać dostęp do owidiańskiej bazy danych. Wiedziałem, na co się zanoś, więc w zeszłym tygodniu ściągnąłem wszystko, czego powinienem potrzebować.

Zadowolona z siebie, wszystkowiedząca mina Holbrooka zaczęła naprawdę wkurwiać Kevina. Trącił łokciem Penelope. Nie odwróciła się, ale kiwnęła głową, jakby rozumiała, dlaczego ją szturchnął.

- Inni bogowie - powiedział Holbrook do Penelope. - Nie mówiłaś, jak zostaną wskrzeszeni inni bogowie. Ani ile czasu to zajmie.

Penelope odchrząknęła.

- Matki mówiły, że inni bogowie... - Głos jej się załamał, oblała się rumieńcem. - Mówiły, że w Dionie są też inni bogowie. I że jeśli będę uprawiać z nim seks, mogę ich urodzić.

- Dionizos ma zostać ojcem innych bogów? - Holbrook się uśmiechnął. - Tutaj widzę dla nas szansę.

- Jak to? - zapytał Kevin.

- Dionizos zawsze był wyrzutkiem na Olimpie. Inni bogowie kochali porządek i symetrię. Dionizos kochał chaos. Może nie zechce sprowadzić pozostałych. - Wpisał coś na klawiaturze. - Matka Dionizosa też jest menadą, zgadza się?

Penelope przytaknęła.

- Ci sami rodzice co twoich matek?

- Ten sam ojciec. Inne matki.

Nauczyciel uniósł brwi.

- Ojciec. To coś nowego. Nie znasz przypadkiem jego nazwiska?

- Matka mi powiedziała, ale... nie pamiętam.

- Pomyśl.

- Mówiła... - Penelope myślała przez chwilę. - Harris - oznajmiła wreszcie. - Nazywał się Harris. Syn Elsmere. Cokolwiek to znaczy.

- Harris - powtórzył Holbrook, stukając w klawiaturę. - Elsmere.

Weisnął kilka klawiszy i odchylił się do tyłu, żeby zaczekać. Przez chwilę coś szumiało i klikało, zanim na ekranie pojawiła się cała strona tekstu.

- Harris Naxos - odczytał nauczyciel z ekranu. - Znalezione martwy w swoim domu w Nowym Jorku, rozszarpany na kawałki, razem z ciałami czterech kobiet utopionych w piwnicy. Kobiety były przykute łańcuchami i wszystkie urodziły przed śmiercią, chociaż nie znaleziono żadnych noworodków. Elsmere, matka Harrisa, była znaną menadą. Wyemigrowała z Grecji. Oczywiście wiedzieliśmy o niej, ale ponieważ urodziła syna, nie córkę, w tamtym czasie skupiliśmy wysiłki na śledzeniu menady Ariadne i jej dzieci w Atenach. - Podniósł wzrok znad ekranu. - Gdybyśmy wtedy wiedzieli, zabilibyśmy Harrisa. I dzieci też.

Kevin poczuł zimny dreszcz. Spojrzał na Penelope, która pobladała.

- Zabilibyście dzieci?

- Zawsze staliśmy na stanowisku, że menady należy wytępić. Dopiero wtedy groźba powrotu bogów zostanie zażegnana. Oczywiście nie zawsze możemy tego dokonać, ale... - Znowu spojrzął na ekran. - Usunęliśmy Ariadne. I jej dzieci, kiedy dorosły.

- A co ze mną? - zapytała gniewnie Penelope. - Mnie też trzeba „usunąć”?

Chwyciła oparcie jego krzesła i obróciła, żeby spojrzeć mu w twarz. Pokręcił głową.

- Skądże znowu. Należysz bardziej do nas niż do nich. I dopóki się nie rozmnażasz...

Cofnęła się przed nim.

- Nie, nie. Nie mówię, że od razu musimy zabić twoje dziecko...

- Zamknij się - przerwał mu Kevin. - Po prostu się zamknij.

Objął Penelope, przyciągnął do siebie. Mięśnie miała sztywne, napięte, ale pozwoliła się przytulić.

Milczeli przez chwilę. Holbrook czytał informacje z monitora, Kevin obejmował Penelope.

- No więc co z pańskimi kumplami? - zapytał wreszcie Kevin. - Przylecą nam na ratunek?

- Nie.

- Nie? Przecież, pan mówił...
- Oni o niczym nie wiedzą. Nie miałem czasu ich ostrzec, zanim odcięto łączność. Mogą sami się domyślić, ale to trochę potrwa. - Przerwał. - Wtedy może być za późno.
- W Napa nie ma żadnych owidian? - zapytał Kevin. - Wiem, że jesteście rozproszeni po całym świecie, ale czy tu w dolinie jest ktoś oprócz pana?
- Oczywiście. To jedno z miejsc, które obserwujemy.
- Więc co my tu robimy? Rusz pan tyłek i poszukaj ich.
- Oni nie żyją.
- Skąd pan wie?
- Mieliliśmy się tutaj spotkać, gdyby coś się stało. Minęły już dwa dni. Nikt się nie zjawił.
- Może oni...
- Oni nie żyją.

Kategoryczny ton tego stwierdzenia zamknął Kevinowi usta. Słowa ciężko zawisły w powietrzu między nimi.

- Więc jaki mamy plan? - odezwał się w końcu Kevin. - Co teraz zrobimy? Jak się z tego wygrzebiemy?
 - Musimy coś wymyślić.
 - Musicie coś wymyślić? - powtórzyła Penelope podniesionym głosem.
- Kevin spiorunował gniewnym wzrokiem nauczyciela.
- Chce pan mi powiedzieć, że wasza grupka istnieje od wieków i wasz jedyny cel to powstrzymać bogów... i nawet nie macie planu?
 - Mamy pomysły...
 - Pomysły? Gówno! Powinniście mieć plan A, B, C i D aż do cholernego Z! Mielicie dosyć czasu, żeby coś wykombinować. Myślał pan, że wystarczy przewidzieć, co się stanie? Że potem można improwizować?

Holbrook wcale się nie bronił.

- W zasadzie planowaliśmy nie dopuścić do zmartwychwstania.
 - No więc całkowicie zawiedliście. Myślał pan, że wystarczy poprosić Penelope o butelkę wina, żeby to powstrzymać?
 - Masz rację. Powinienem zabić jej matkę przed laty, od razu, kiedy się dowiedziałem. Penelope wessała powietrze przez zęby.
 - Powinienem zabić Dionę pierwszego dnia w szkole.
- Penelope obróciła się na pięcie i wymaszerowała z piwnicy, tupiąc na schodach. Kevin pospieszył za nią.

Na dole Holbrook przy biurku wybuchnął śmiechem.

Penelope i Kevin zatrzymali się w salonie, nie wiedząc, dokąd iść i co robić.

- Zawsze wiedziałem, że Holbrook to gnojek - powiedział Kevin. - Ale nie myślałem, że jest taki...

- Stuknięty? - podsunęła Penelope.

- Kompletny wariat.

Kiwnęła głową.

- Człowiek nigdy się nie zastanawia, jacy są nauczyciele w prawdziwym życiu, co robią w domu, w weekendy, z rodzinami.

Kevin machnął ręką w stronę piwnicy.

- Teraz wiemy.

Penelope zadrżała.

- Chyba powinniśmy stąd iść. Lepiej sobie poradzimy sami.

Kevin wskazał dubeltówkę, wciąż opartą o ścianę obok drzwi.

- On jest lepiej uzbrojony od nas.

- To jeszcze nic nie znaczy.

- Więc co proponujesz?

- Nie wiem.

- On wie więcej od nas - ciągnął Kevin. - Może coś wymyśli.

Penelope prychnęła.

- Akurat.

- Piwnica to dobra kryjówka.

Pokręciła głową.

- Nie rozumiesz...

- Czego nie rozumiem?

- Nieważne. - Westchnęła.

- Uważam, że powinniśmy tutaj zostać. Przynajmniej na razie. Dopóki nie opracujemy jakiegoś planu. Lepiej tutaj niż na ulicy.

Penelope ciężko usiadła na kanapie.

- Jak chcesz - mruknęła.

Ziemia zadudniła pod stopami, niski, przeciągły, wibrujący grzmot, głośniejszy niż huk odrzutowca. Na dole Holbrook krzyknął, kiedy coś się roztrzaskało.

- Co to było? - zapytał Kevin ze strachem.

- Moc. - Penelope zacisnęła usta w wąską, ponurą linię. - Moc bogów.

8.

Śnił o Penelope.

Byli w szkole, w klasie, tylko we dwoje, bo nauczyciel i inni uczniowie stanowili mgliste zjawy i nie widział ich wyraźnie. Widział tylko Penelope. Opowiadała mu o filmie, który oglądała poprzedniego wieczoru w telewizji, a on słuchał z zadowoleniem i po prostu cieszył się, że jest przy niej, że może wspólnie z nią przeżywać te drobne codzienne przyjemności.

Dionizos zbudził się zalany łzami.

Co mu się stało?

Kac.

Tak, na pewno kac, chociaż w dawnych czasach nigdy nie miał kaca. Tylko ludzie cierpieli na tę fizjologiczną przypadłość. On był odporny.

Widocznie już nie był.

Otarł oczy. Jedna z menad...

jedna z matek Penelope

...spała między jego nogami, obejmując rękami jego organ. Chciał na nią nasikać, ale wiedział, że to jej się spodoba, więc podciągnął nogę i kopnął ją mocno w brzuch. Przefrunęła przez trawę i wpadła na jakąś starszą parę splecioną z kozłem. Nagrodziły go jej wrzaski i trzask pękających starych kości.

Wstał, przekroczył ciała rozciągnięte na trawie i wskoczył do rzeki. Zimna, odświeżająca woda dobrze mu zrobiła. Zmył z siebie plamy po winogronach, zmył krew. Schylił się i zanurzył głowę, żeby woda wypłukała mu łzy z oczu. Potem wyprostował się na całą wysokość, potrząsając włosami.

Spojrzał na swoje ciało. Był mniejszy niż powinien, bardziej człowiek niż bóg. Przedtem był większy. Teraz jednak krępowała go ta nowa, ciasna skóra. Nawet mózg wydawał się ściśnięty. Przeczesał włosy ręką, spojrział na zachmurzone niebo. Myśli też wydawały się skrępowane. Nie mógł jasno myśleć.

I nie był sobą.

Do tego najtrudniej mu było się przystosować. Wiedział rzeczy, których nie powinien wiedzieć, czuł rzeczy, których nie powinien czuć, myślał o rzeczach, o których nie powinien myśleć. Znał ten nowy język, tę nową kulturę. Miał wspomnienia z tego życia. Odrodził się, ale nie tak, jak myślał. Zamknął oczy. Inni nie będą mieli tego problemu. Odrodzą się czyści, we własnej postaci. On jeden był skazany na podwójną egzystencję.

To niesprawiedliwe.

Zawsze przez to cierpiał. Zawsze był wyrzutkiem, Zeusowym chłopcem do bicia, musiał znosić jedno upokorzenie za drugim tylko dlatego, że był w połowie człowiekiem.

I dlatego że wołał wino od ambrozji.

Ta banda zadufanych snobów nigdy nie rozumiała zmysłowych przyjemności, cudownych cielesnych uciech. Zresztą może rozumieli na czysto intelektualnym poziomie. Ale nigdy nie mogli ich zaznać.

On mógł.

Więc mu zazdrościli.

I odgrywali się na nim.

Wyszedł z rzeki na brzeg. Powinien spółkować z Penelope, która ze swojego złotego łona wyda na świat pozostałych bogów. Rozpaczliwie pragnął z nią spółkować - zdawał sobie sprawę, że to skutek połączenia jego własnego seksualnego pożądania oraz podprogowych bodźców Zeusa - wcale jednak nie miał pewności, czy chce dzielić ten świat z innymi. Teraz ten świat należał do niego, tylko do niego, i to mu się podobało. Nie musiał się dzielić. Był równie potężny jak pozostali bogowie i bardziej wszechstronny pod wieloma względami. Mógł przejąć rolę Posejдона jako władcy mórz. Robota najwyżej na pół etatu. A Ares? Kto nie potrafi prowadzić wojny? Każdy głupek sobie poradzi.

A co z podziemnym światem? To znacznie większa odpowiedzialność. Czy mógł nim kierować?

Jest tylko jeden sposób, żeby sprawdzić.

Rozejrzał się dookoła i wreszcie zwrócił uwagę na ziemię po drugiej stronie rzeki. Zaczernpawszy mocy ze swojego wnętrza, zionął niszczycielskim żarem i ogniem. Drugi brzeg spłonął i krajobraz się zmienił. Zamiast drzew i krzewów, trawników i domów pozostała tylko wypalona ziemia i suche powietrze. Idealne środowisko dla zmarłych.

Ale jak ich tam przenieść?

Znowu się rozejrzał. Po lewej stronie na kamiennym bloku leżało okaleczone ciało młodego mężczyzny, czyjaś zużyta zabawka. Dionizos z szerokim uśmiechem podszedł i podniósł zwłoki. Skoncentrował się, trzymając ciało na wysokości twarzy.

Szkliste oczy młodzieńca zamrugały, wargi zamamlały bezgłośnie. Zesztywniałe kończyny poruszyły się powoli, z wysiłkiem, krew zakrzepła w stawach powoli popłynęła przez zimną skórę.

Tak.

Mógł również władać podziemnym światem.

Przerzucił trupa przez rzekę. Ciało odbiło się od zwęglonego drzewa, złamało gałąź i wstało chwiejnie. Martwy człowiek nie ruszał się przez chwilę, potem ciężko począpał w dym, dalej od rzeki.

Pieprzyć innych. Pieprzyć Zeusa. Pieprzyć Herę. Pieprzyć Atenę. Pieprzyć Apolla. Pieprzyć ich wszystkich! Teraz to był jego świat. Nie potrzebował ich.

Nie zamierzał ich sprowadzać z powrotem.

9.

Zegary stanęły. Wszystkie. Penelope myślała z początku, że tylko elektryczne zegary nie działają, ale zegarki na baterie, nakręcane budziki, wszystkie czasomierze w domu przestały chodzić.

Elektryczność wysiadła w ciągu nocy, chociaż wciąż mieli wodę. Dzięki Bogu. Nie chciały się obywać bez kąpeli, bez splukiwanej toalety.

Ale prąd? Woda? To drobne niedogodności.

Zegary naprawdę ją przestraszyły.

Zdawało jej się, że noc ciągnie się bez końca, znacznie dłużej niż powinna. Nie mogła się opędzić od myśli, że Dion...

Dionizos

...jakoś wpłynął na czas, w jakiś sposób zmienił normalne prawa fizyki. Przypomniała sobie błyskawicę mocy strzelającą z łąki w niebo tej pierwszej nocy i bez trudu uwierzyła, że mógł tego dokonać.

Może zamierzał skrócić dni, wydłużyć noc. Może dla reszty świata wszystko w dolinie dzieje się w ułamku sekundy.

Rozległo się głośnie stukanie do frontowych drzwi.

Penelope spojrzała na Kevina, który leżał na podłodze i czytał podręcznik mitologii. Podniósł się, równie wystraszony jak ona.

Holbrook przybiegł z kuchni i gestem kazał im się położyć. Chwycił dubeltówkę.

- Leżeć! - rozkazał.

Znowu zapukano.

Penelope padła na podłogę i podczołgała się do Kevina. Patrzyła, jak Holbrook najpierw wygląda przez zasunięte zasłony w salonie, potem spiesznie otwiera drzwi.

- Jack! - zawołał nauczyciel.

Wprowadził do pokoju drugiego mężczyznę, w średnim wieku, dobrze zbudowanego, o krótkich włosach i surowej twarzy, ubranego w podarte strzępy granatowego garnituru. Dwaj mężczyźni wymienili coś, co wyglądało na sekretny uścisk dłoni, rytualne powitanie, wymagające zaczeptania kciuków i dotykania łokci.

Następny owidianin.

Penelope podniosła się na kolana i wstała, podobnie jak Kevin.

Holbrook wprowadził przybysza do pokoju.

- Jack, to dwoje moich uczniów: Penelope Daneam i Kevin Cośtam.

- Harte - odpowiedział Kevin.

- Daneam? - Brwi Jacka powędrowały do góry.

- Ich córka.

- A pan kto? - zapytał Kevin.

- Jack Hammond. Policja Napa.

Gliniarz! Penelope uśmiechnęła się z ulgą i nową nadzieją.

- Dzięki Bogu, że pan tu jest.

- Jesteś menadą? - zapytał ją Jack.

Nadzieja zgasła równie szybko, jak się pojawiła. Zimne wyrachowanie w oczach gliniarza, wystudiowana obojętność jego spojrzenia sprawiły, że poczuła się bardzo niewyraźnie.

- Ona należy do nas - powiedział Holbrook. - Myślę, że możemy ją wykorzystać, żeby go dorwać.

Wykorzystać ją.

Przysunęła się bliżej do Kevina. Nie podobał jej się kierunek, w którym zmierzała ta rozmowa.

- Więc gdzie jest reszta z was? - zapytał Kevin. - To wszyscy?

Jack przytaknął i zimny wyraz jego twarzy zastąpiło znużenie graniczące z wyczerpaniem. Penelope nagle zauważyła siniaki na odsłoniętej skórze, matowe rozbryzgi zaschniętej krwi na podartym ubraniu.

- Nie mogłem tu przyjść od razu - wyjaśnił. - Więc przywarowałem w centrali.

- Inni też tam byli? - zapytał Holbrook.

- Wszyscy tam byli. Wszyscy zamordowani. Mike był nagi i obłany winem... chyba próbował się przemknąć... ale zabito go jak pozostałych. - Głęboko zaczerpnął powietrza. - Rozwalili im głowy.

- Dranie - szepnął Holbrook.

- Ciągłe byli na zewnątrz, a ja miałem tylko jeden nabój w rewolwerze, więc zostałem tam, ukrywałem się. Dzisiaj jest pierwszy dzień, kiedy mogłem bezpiecznie wyjść.

Penelope coraz bardziej się denerwowała. Nie wiedziała, czy Jack - albo Jack i Holbrook - obwiniają ją o to, co się wydarzyło, ale i tak czuła się winna. Jak szpieg w obozie wroga.

Nie, nie była szpiegiem. Była po ich stronie.

Była zdrajcą.

- Ocaliłeś swoją tożę? - zapytał Holbrook.

Jack pokręcił głową.

- Nie.
- Nie szkodzi. Mam dla ciebie zapasową. Chodź.

Obaj przeszli przez korytarz do schodów i zeszli do piwnicy. Penelope spojrzała na Kevina.

- W tym przypadku jakoś nie uważam, że co dwie głowy, to nie jedna - stwierdził.
- Może lepiej zmywajmy się stąd - zaproponowała.
- I dokąd pójdziemy? Widziałaś, jak pobili tamtego faceta? A przecież jest glina! - Pokręcił głową. - Na zewnątrz jest niebezpiecznie.
- Holbrook mówił, że mogą mnie wykorzystać.
- Mnie też to się nie spodobało - przyznał Kevin.
- Jak myślisz, co oni planują?
- Na moje oko w ogóle nie mają żadnych planów.
- Co zrobimy?
- Nie wiem. - Kevin westchnął. - Nie wiem.

Jack okazał się nie taki zły.

Oczywiście był gliniarzem, konserwatywnym, twardym facetem, ale zimna bezwzględność, którą w nim wyczuła przy pierwszym spotkaniu, wynikała chyba z napięcia, głodu i niewyspania. Wypoczęty, nakarmiony i odprężony wydawał się bardziej sympatyczny niż Holbrook i nieskończenie bardziej ludzki. Penelope i Kevin odkryli, że całkiem dobrze się z nim dogadują.

Zerknęła na Jacka, który drzemał zwinęty na kanapie. Kevin siedział na podłodze naprzeciwko, oparty o ścianę, czytając jeden z tekstów Holbrooka. Nauczyciel jak zwykle przebywał w piwnicy.

Wszyscy dostawali już świra od siedzenia w zamknięciu, zaczęli się trochę dziwnie zachowywać i Penelope nie po raz pierwszy pomyślała, czy nie lepiej było zostać na zewnątrz, krążyć samochodem po okolicy, zamiast zaszywać się tutaj. Myślała o wszystkich odludkach, czerpiących wiedzę o świecie wyłącznie z telewizji. Oglądali wiadomości, programy informacyjne, filmy telewizyjne oparte na prawdziwych wydarzeniach, oglądali strzelaniny, gwałty i rabunki i żyli w przekonaniu, że świat za drzwiami jest pełen przemocy, że śmierć czyha na każdym kroku. Paranoja karmi się sobą i Penelope zastanawiała się, czy oni nie zachowują się tak samo, zabarykadowani w domu Holbrooka, czy nie demonizują przerażającego świata na zewnątrz.

Trudno jednak demonizować świat, w którym grasują prawdziwe demony.

Albo bogowie.

Czym właściwie był Dionizos? Bogiem? Potworem? Woląa myśleć o nim jak o potworze czy demonie. Z czymś takim można walczyć.

Trudniej walczyć z bogiem.

Kevin odłożył książkę, wstał, przeciągnął się. Spojrzał na Jacka śpiącego na kanapie, potem dał Penelope milczący znak, żeby poszła za nim do kuchni.

Zanim wyszła z salonu, zerknęła ponownie na zatrzymany zegar na nieczynnym telewizorze. Kevin wyglądał już zza zasłony zakrywającej okno nad zlewem.

- Jest tam ktoś? - zapytała.

Pokręcił głową.

Wcześniej kogoś widzieli. Banda zalanych nastolatków, ubranych tylko w zakrwawione skóry domowych zwierząt, pędziła przed sobą grupę nagich starszków, używając pistoletów i bykowców. Jeden starszy mężczyzna potknął się i upadł, a oni batożyli go i tratowali. Dwaj ostatni chłopcy w bandzie chwycili starego za nogi i powlekli ulicą, aż znikli za rogiem.

Jego głowa zostawiła krwawy ślad na chodniku.

Kevin odwrócił się od okna.

- Mam dość siedzenia tutaj.

Penelope wzruszyła ramionami.

- Kto nie ma?

- Wydaje mi się, że tracę czas, że powinienem coś robić. - Wskazał świat za oknem. -

Wiesz, że tam coś się dzieje.

- Wiem - przyznała.

- Musimy coś zrobić, zanim będzie za późno.

- Pewnie już jest za późno.

Podeszła do kredensu, wyjęła puszkę ciepłego 7-Up i usiadła przy kuchennym stole.

Kevin usiadł obok niej. Milczał przez chwilę.

- No więc jakie one były? - zapytał wreszcie.

- Kto? Moje matki?

- Aha. - Zrobił przerwę. - Przedtem.

Wzruszyła ramionami.

- Chyba w porządku. Właściwie... - Pokręciła głową ze skruchą. - Właściwie nie wiem, o co ci chodzi.

- No, czy były dobrymi rodzicami. Czytały twoje świadectwa? Chodziły na wywiadówki? Pilnowały, żebyś myła zęby i prawidłowo się odżywiała?

- Tak - odparła. - Były dobrymi rodzicami.

Na tę myśl ogarnął ją mimowolny smutek.

Spojrzeli na siebie ponad stołem i po raz pierwszy Penelope poczuła się jak w sytuacji z filmu. Kevin sprawiał wrażenie, że chce ją wziąć za rękę albo nawet objąć i przytulić. A ona uświadomiła sobie, że nie miałyby nic przeciwko.

Jack wszedł do kuchni.

- Hej - powiedział.

- W samą porę - burknął Kevin.
Nastrój prysł. Penelope sięgnęła po 7-Up, wypila łyk.
Musieli się wyrwać z tego domu. Jeśli spędzą tutaj jeszcze jeden dzień, wszyscy czworo zaczną się ze sobą pieprzyć w jednej wielkiej grupowej orgii-
Zamknęła oczy i próbowała wyrzucić z myśli ten obraz.
- No więc kto powinien zagrać ciebie w filmie? - zapytał Jack, opierając się o zlew.
Penelope mało się nie zakrztusiła.
- Co?
Policjant wyszczerzył zęby.
- Jak to wszystko się skończy, wiesz, że zrobią z tego film. To bombowa historia. Jeśli dobrze rozegramy nasze karty, zgarniemy niezłą kasę.
Penelope roześmiała się.
- Wystąpimy u Donahue, Oprah i Geraldo?
- E tam. Niech Fox nakręci szybki film telewizyjny o naszych przygodach. To dużo ciekawsze od masakry w Waco czy OJ. Simpсона.
- W filmach telewizyjnych nigdy nie grają wielkie gwiazdy - zauważył Kevin. - Wezmą po prostu jakichś serialowych aktorów do ról was dwojga, a mnie zagra najpopularniejszy chwilowo młody amant.
Penelope prychnęła.
- Akurat.
- Zawsze biorą aktorów, którzy wyglądają lepiej od pierwowzorów w prawdziwych życiu. - Wyszczerył zęby. - Może nawet znajdą do twojej roli niezbyt brzydką dziewczynę.
- Ha, ha. - Penelope rozejrzała się po kuchni. - Gdzie król?
Kevin pokręcił głową.
- Przy swoich zabawkach, a gdzie ma być? Pewnie buduje z zapalek model Partenonu.
- Niestety nie. Ale zaimponowałeś mi, że znasz słowo „Partenon”. Jest jeszcze dla ciebie nadzieja. - Holbrook wszedł do kuchni i wylał zimną zawartość kubka z kawą do zlewu obok Jacka. - Prawdę mówiąc, przeglądałem papiery, próbowałem odkryć jakieś słabości Dionizosa czy menad. Coś, co możemy wykorzystać.
- Znalazłeś coś?
- Nic poza oczywistymi rzeczami. Ale gdybym miał dostęp do mojej bazy danych...
- Dokładnie to samo pomyślałem - wpadł mu w słowo Jack. - Gdybym tylko zrobił wydruki wszystkich plików, znalazłbym jakiś sposób, żeby wykończyć tego boga.
Kevin spiorunował ich wzrokiem.

- Czy nigdy nie przyszło wam do głowy, że jeśli bogowie powrócą, mogą wyłączyć prąd? Mogą przerwać linie telefoniczne? Cholera, wystarczyło tylko trochę pomyśleć. Gdybyście kupili generator i radio CB, moglibyście nawiązać łączność.

Urwał i zamrugał.

- Cholera. - Odwrócił się do Penelope. - Jestem równie głupi jak oni. Musimy tylko pojechać do Kmart, Walmart, Targetu czy innego sklepu i znaleźć generator, baterie albo jakieś źródło elektryczności...

- Wszyscy jesteśmy głupi - przerwała mu Penelope. - Musimy tylko znaleźć samochód z telefonem komórkowym.

- Kurwa! - Kevin trzasnął pięścią w stół.

- Nie radzę wychodzić z domu - odezwał się Holbrook.

- Dlaczego? - zapytał szyderczo Kevin. - Zamierza pan pokonać Dionizosa, czytając w piwnicy?

Nauczyciel odwrócił się do niego.

- Nawet nie wiesz, z czym masz do czynienia, ty arogancki mały gnojku.

- Ja wiem - oświadczyła Penelope.

- Twoja rodzina to wszystko wywołała.

Penelope wstała, nie zniżając się do odpowiedzi, nawet nie patrząc na niego.

- Chodźmy stąd - powiedziała. - Poszukamy samochodu z telefonem.

- Pójdę z wami - odezwał się Jack. - Na wszelki wypadek.

- Niepotrzebnie ich zachęcasz.

- Oni mają trochę racji - odparł policjant. Wybiegł z pokoju. - Zaraz wracam! - krzyknął w drzwiach. - Tylko wezmę broń!

Dobrze było znowu jechać samochodem.

Napotkali ślady nowych zniszczeń - przewrócone drzewa i dopalające się stosy mebli, których nie widzieli poprzedniego dnia, kiedy tędy jechali - ale mimo wszystko lepiej się czuli na zewnątrz niż zamknięci w klaustrofobicznym domu Holbrooka. Przestrzeń, ruch, widok nieba poprawiły nastrój Penelope. Zbudziły w niej większą nadzieję niż Holbrook ze swoim arsenałem faktów i opowieści o tajnych stowarzyszeniach, chociaż całkowicie nielogiczną, opartą wyłącznie na preferencjach emocjonalnych - nadzieję, że znajdą jakieś wyjście, że zatriumfują nad Dionizosem i jego sługami.

A potem skręcili w Monticello i zobaczyła pasaż handlowy.

Wszelka nadzieja natychmiast w niej umarła. Pasaż był okupowany. W brązowych ceglanych ścianach domu towarowego Nordstroma powybijano wielkie dziury. Budynek Searsa zmienił się w ruinę o trzech ścianach. Wyznawcy wylewali się i wlewali przez otwarte

drzwi na środku pasażu, tańczyli i podskakiwali. Wielu było nagich i pokrytych krwią. Wielu niosło odcięte części ciała. Samochody na parkingu rozbito albo poprzewracano, ich pogięte metalowe formy ozdobiono wesoło kwiatami i wielobarwnymi chorągiewkami.

Rozmiary zniszczeń odebrały jej ducha. Ich było tylko czworo. W samym pasażu kręciły się setki ludzi. Ilu było w całej dolinie? Jak mogli podjąć walkę z tak przeważającą siłą?

Krew.

I jak mogli walczyć z czymś, na co sami nie byli odporni? Bała się mocy, która zmieniła tych wszystkich zwyczajnych obywateli w niemoralnych hedonistów, nienawidziła tego... ale to ją pociągało. Widziała pijanych, dzikich ludzi i jakaś jej część chciała się do nich przyłączyć, zostać jedną z nich.

Czy innych też kusilo? Zerknęła ukradkiem na Jacka i Kevina, ale nie potrafiła odgadnąć, co myśleli, co czuli.

Szybko przejechali obok pasażu. Po drugiej stronie ulicy stał splądrowany supermarket, wszystkie frontowe okna rozbite, produkty żywnościowe wyrzucone na parking. Nawet do zamkniętego wnętrza samochodu docierał silny, niemal duszący smród skwaśniałego wina, zepsutego mleka i gnijących warzyw. Dalej po prawej, na miejscu stacji Sheila, płonął ogień, kłęby czarnego, gryzącego dymu wzbijały się w powietrze i zlewały z nisko wiszącymi chmurami.

To koniec świata, pomyślała Penelope. Albo koniec świata takiego, jaki znali. Nie wywołany przez wojnę atomową, skażenie biologiczne ani najazd z kosmosu, tylko przez odrodzenie starożytnej religii.

A wszystkiego dokonały jej matki.

- Podjedziemy do bogatszej dzielnicy - zaproponował Kevin. - Lekarze, prawnicy, oni zawsze mają telefony w samochodach.

Rzeczywiście na ekskluzywnym osiedlu, w zamkniętym garażu domu imitującego styl Tudorów znaleźli lexusa z telefonem samochodowym. Pozostałe samochody na ulicy zostały poprzewracane i spalone, ale ten jakoś się uchował przed wyznawcami. Kevin i Penelope zaczęli na zewnątrz, a Jack kolbą rewolweru wybił jedno z tylnych okien rezydencji i poszukał kluczyków do samochodu.

Pospieszyli do garażu, żeby wypróbować telefon.

Linia zablokowana.

Wyprowadzili samochód z garażu na podjazd i spróbowali jeszcze raz.

Wciąż zablokowana.

Przy następnej przecznicy znaleźli następny samochód z telefonem. Mercedesa.

Też zablokowany.

- Gówno! - Kevin zatrasnęła drzwi. - Kurwa, i co teraz robimy?

- I tak to był strzał w ciemno - wytknęła mu Penelope.

- Więc poszukajmy CB - zaproponował Jack.

Kevin kiwnął głową, chociaż wyraźnie stracił już nadzieję na uzyskanie połączenia z zewnętrznym światem.

- Dobra - powiedział.

Zamienili swój samochód na mercedesa, który miał podwójny bak zatankowany do pełna. Banda małych dzieci obrzuciła ich butelkami i kamieniami, kiedy krążyli po ulicach, rozglądając się za ciężarówką czy pikapem. W jednym miejscu grupa nagich, wyraźnie menstruujących kobiet, wymachujących włóczniami sporządzonymi domowym sposobem z rydli ogrodniczych i trzonek od mioteł, ścigała ich prawie przez dwie przecznice, zanim wreszcie zostały w tyle za samochodem.

Po kilku fałszywych alarmach znaleźli wreszcie ciężarówkę firmy dekararskiej, z kluczami w stacyjce i radiem CB.

Włączyli zapłon, włączyli radio.

Na wszystkich kanałach słyszeli tylko pijackie bełkotanie.

- Halo! - zawołała Penelope. - Jest tam kto?

- Jest tam kto? - padła szydercza odpowiedź.

Siedzieli w ciężarówce przez pół godziny i próbowali po kolei na każdym kanale, licząc wbrew wszystkiemu, że ktoś, gdzieś - kierowca ciężarówki spoza doliny, na drodze - usłyszy ich i odpowie, ale doczekali się tylko drwin i coraz bardziej obscenicznych wyzwisk bachantów.

W końcu zniechęcony Kevin odwiesił mikrofon i wyłączył CB.

- Późno się robi - powiedział ze znużeniem. - Wracajmy. Lepiej, żeby nas tutaj nie przyłapali po zmroku.

- Słusznie - zgodził się Jack.

Penelope kiwnęła głową i ruszyła w stronę mercedesa. Jak długo potrwa dzisiaj noc? - zadała sobie pytanie. Dziesięć godzin? Dwadzieścia?

W milczeniu jechali do domu Holbrooka.

10.

April roztrzaskała pustą butelkę po winie na czole mężczyzny, którego ujeżdżała, i osiągnęła orgazm, kiedy stracił przytomność. Trzepoczące powieki rannego zamknęły się, krew trysnęła z rozciętej skóry, ale członek pozostał twardy. Wbiła się na niego do samego końca, dopóki ostatni dreszcz ekstazy nie przeszedł przez jej ciało.

Stoczyła się z piego na trawę moką od krwi.

One zamierzały zaatakować dzisiejszej nocy.

Wiedziała o ich planach, chociaż nic jej nie powiedziały, i wprawdzie chciała się do nich przyłączyć, chciała się wspólnie zabawić, ale nie całkiem to pochwalała. Pewnie z powodu zasad, pomyślała. Była menadą, jedną z nich, ale dorastała w innym środowisku, odebrała znacznie surowsze wychowanie i chociaż jej prawdziwa natura w końcu zwyciężyła, z dawnych czasów przetrwała jakaś cząstka, która patrzyła z boku i osądzała, która potępiała jej postępowanie.

Pewnie miała w sobie więcej z matki niż z ojca.

Kimkolwiek była jej matka.

Albo może należało argumentować za wpływem środowiska w odwiecznej dyskusji na temat: środowisko czy geny.

Oczywiście wszystko byłoby wspaniale, gdyby chodziło tylko o nią, gdyby nie miała nikogo innego. Wówczas nie namyślałaby się nawet przez sekundę, tylko bawiłaby się na całego, nie oglądając się wstecz, bez żadnych skrupułów czy zahamowań.

Ale był Dion.

Chciał czegoś lepszego.

Zasługiwał na coś lepszego.

Przekonywała samą siebie, że nie ma nic lepszego, że być bogiem to szczyt, największy awans, ale sama w to nie wierzyła. Może dla niej to szczyt, ale nie dla Diona.

Zastanawiała się, czy chodziło o to, że wydała go na świat. Zastanawiała się, czy Felice czuje to samo wobec Penelope. Postanowiła ją zapytać.

Jeśli jeszcze kiedyś ją zobaczy.

Przez ostatnie dwa dni rzadko widywała pozostałe menady. I wcale nie chciała ich widzieć. Lepiej się z nimi czuła przed zmartwychwstaniem, kiedy po prostu popijały razem w barach. Brakowało jej tej przyjaźni, tego poczucia, że wreszcie znalazła bratnie dusze, które ją rozumiały, które miały takie same pragnienia i potrzeby.

Teraz jednak czuła się jak wyrzutek. Pozornie była jedną z nich. Urodzona z tej samej linii i tak dalej. A jednak miała wrażenie, że różni się od nich, pewnie z powodu tego, co zrobiły z Dionem.

Żałowała, że została wezwana. Żałowała, że wyjechali z Arizony.

Wczoraj przyłapała Dionizosa śpiącego. Leżał na trawie pomiędzy drzewami, stłoczone ciała kilku kobiet służyły mu za poduszkę. Przyglądała mu się przez chwilę. Zmiany pozostały - najbardziej oczywista, czyli wzrost - ale sen złagodził rysy twarzy, zmiękczył jej wyraz. Chociaż twarz bynajmniej nie stała się niewinna, malowało się na niej odprężenie i w śpiącym bogu April ujrzała swojego syna.

Odeszła, zanim się zbudził.

Unikali się nawzajem od czasu zmartwychwstania. Nie przypuszczała, żeby Dionizos przestrzegwał tabu kazirodztwa, ale Dion w nim z pewnością to respektował i niewątpliwie właśnie on utrzymywał dystans między nimi. Ona ze swojej strony celowo omijała go z daleka, chociaż z rozmaitych powodów. Jako matka odrzucała ze wstrętem myśl o uprawianiu z nim seksu. Lecz jako menada...

Pragnęła go.

Zamknęła oczy, czując z tyłu czaszki tępe pulsowanie nadchodzącego bólu głowy.

- Idziesz z nami?

Otworzyła oczy, obróciła głowę i zobaczyła, że Sheila i Margaret zbliżają się z lewej strony. Obie były okrwawione i posiniaczone. Obie uśmiechały się szeroko.

- Chcesz wziąć udział w wypadzie? - zapytała Margaret.

April pokręciła głową.

- Nawet jeszcze się z nim nie różnęłaś, co? - zapytała Sheila.

- I nie zamierzam.

- Jesteś jedną z nas! - obruszyła się Margaret. - Postępuj jak my!

- Jestem jego matką!

Sheila zachichotała.

- Już nie.

- Odwalcie się ode mnie - burknęła April.

- Zawiodłyśmy się na tobie - stwierdziła Margaret.

- Takie jest życie.

Dwie siostry odwróciły się bez słowa i odeszły przez łąkę tam, skąd przyszły. April zobaczyła skrawek czerwieni na prawym pośladku Sheili, z którego zdarto skórę.

Chciała się do nich przyłączyć dzisiaj w nocy.

Chciała je zabić.

Mężczyzna leżący obok niej jęknął, poruszył się niezbornie.

Leżała jeszcze przez chwilę, potem podniosła butelkę i znowu rąbnęła mężczyznę w głowę. Osunął się z powrotem w nieświadomość.

Ponownie go okraczyła.

11.

Noc

Wszyscy czworo leżeli w cichej, ciemnej sypialni na tyłach domu. Noc na zewnątrz wypełniała kakofonia hałasów: wyzywający ryk rozkręconych na cały regulator prywatnych stereo, odtwarzających ulubioną muzykę właścicieli, zawodzenie instrumentów szkolnego zespołu, elektrycznie wzmocnione gitary amatorów i półzawodowców, wycie silników na wysokich obrotach, krzyki wyznawców, wrzaski ofiar.

Penelope wyobraziła sobie w całej dolinie enklawy ludzi takich jak oni, czekających na napastników, którzy ich zgwałcą, zabiją i rozszarpią ich ciała na strzępy. Przynajmniej ich czworo wiedziało, co się dzieje; przynajmniej wiedzieli, z czym mają do czynienia. Nie potrafiła sobie wyobrazić, co myślą inni ludzie.

Jack odchrząknął.

- Jedno, co dobre - powiedział - że te bachanalia odbywają się publicznie. Na szczęście nie musimy się martwić, że podkradną się do nas niepostrzeżenie.

Na materacu Kevina zaszeleściły prześcieradła.

- Ale to już długo nie potrwa, prawda? To znaczy ludzie z zewnątrz nas znajdują. Wyślą wojsko albo co i wszystko się skończy.

Holbrook prychnął.

- Wszystko się skończy? A co niby zrobią? Zbombardują Napa? Zestrzelą Dionizosa jak Godzillę? Jesteśmy mniejszością. Większość ludzi przyłączyła się do niego. Wiecie, jak długo tacy ludzie potrafią stawiać opór? Popatrzcie na Bośnię. Oblężenie Leningradu. Cholera, historia zna mnóstwo przykładów małych grupek wyznawców, którzy potrafili przetrzymać ataki przeważających sił.

- A jeśli moje matki się dowiedzą, że tu jesteśmy? - zapytała Penelope. - Jeśli znajdą naszą kryjówkę? Moją kryjówkę?

W głosie Holbrooka zabrzmiała nuta ponurej satysfakcji.

- Rozwalę te dziwki.

- Po co czekać, aż tu przyjdą? - zapytał Kevin. - Czemu nie zapolować na nie?

- Uważam, że dokładnie tak powinniśmy zrobić - odparł Holbrook.

Potem zapadła cisza i Penelope usłyszała, jak najpierw oddech Kevina, potem Jacka i na końcu Holbrooka przechodzi w regularny rytm snu. Upłynęło dużo czasu, zanim sama zasnęła.

Obudziła się spragniona. Na dworze było jeszcze ciemno, noc się nie skończyła. Wokół niej tamci spali jak zabici. W ustach miała sucho, język przywierał do podniebienia, rozpaczliwie potrzebowała łyka wody.

Ostrożnie, po cichu zsunęła z siebie koldrę i wysliznęła się z łóżka. Na palcach obeszła śpiwór Holbrooka i materac Kevina, przytrzymując się ściany, żeby znaleźć drogę wyjścia. Wciąż dotykając ściany, dotarła do drzwi łazienki. Chciała wejść, zamknąć za sobą drzwi i zapalić światło, żeby napić się z kranu nad umywalką, kiedy usłyszała hałas dobiegający od frontu.

Lomotanie.

I śmiechy.

Ludzie walili w drzwi, żeby się dostać do środka.

Przystanęła i wstrzymała oddech. Z sypialni nie dochodziły żadne dźwięki, tamci dalej spali. Wiedziała, że powinna wrócić i ich obudzić, ale pomyślała, że Holbrook najpierw będzie strzelał, a potem zadawał pytania, więc postanowiła przedtem sama rzucić okiem, na wszelki wypadek. Może to tacy ludzie jak oni, ofiary.

Więc czemu się śmieją?

Oczy jej się trochę przyzwyczyły do ciemności. Powoli ruszyła w kierunku salonu. Wiedziała, że głupio robi. Właśnie coś takiego ją irytowało w filmach grozy - że jakiś idiota sam wyrusza szukać potwora - ale chociaż zdawała sobie sprawę, że to nierozsądne, jednocześnie wydawało się całkiem normalne, całkiem naturalne.

Ten śmiech ją wzywał, przywoływał. Powinna się bać, ale się nie bała. Niepokoila się, denerwowała, ale się nie bała.

Weszła do salonu. Śmiech rozbrzmiewał tutaj głośniejszy. Słyszała, jak pięści bębnią w drzwi. Ten dźwięk ją zmozolił. W ciemności widziała tylko niewyraźne kontury mebli. Bezmyślnie, niemal wbrew woli przeszła po dywanie do drzwi.

Dlaczego inni się nie budzą?

Chciała krzyknąć, żeby zwrócić ich uwagę, ale nie krzyknęła. Chciała wziąć dubeltówkę stojącą obok drzwi, ale nie wzięła.

Sięgnęła do pierwszej zasuwki.

Śmiech dźwięczał bez przerwy, jednocześnie kobiecy i męski, niewinny i świadomy, ten sam, chociaż głosy się zmieniały. Brzmiał niemal jak melodia, do której pięści na drzwiach wybijały rytm.

Otworzyła drzwi.

Nie miała nawet czasu zareagować.

Matka Sheila walnęła ją mocno w brzuch, matka Janine chwyciła ją za włosy i zakryła jej usta ręką. Wywlokły ją za próg i zaciągnęły przez chodnik do miejsca, gdzie matka Margaret czekała przed jaskrawo pomalowaną furgonetką.

Kiedy wepchnęły ją głową do przodu na tył pojazdu, usłyszała, jak drzwi domu zatrzasnęły się za nią z hukiem.

12.

Penelope zniknęła.

Kevin chodził po salonie tam i z powrotem, Jack siedział cicho na kanapie. Holbrook usiadł po turecku na podłodze i czyścił dubeltówkę.

Dokąd mogli ją zabrać?

Została porwana. Na pewno. Holbrook próbował sugerować, że poszła z nimi dobrowolnie, że niedaleko pada jabłko od jabłoni, ale Kevin zagroził, że jeszcze jedno słowo i strzeli go w pysk, więc nauczyciel się zamknął.

Dziwnie było grozić nauczycielowi, ale Holbrook dawno stracił wszelkie prawa do szacunku czy autorytetu i Kevin nie czuł ani skruchy, ani wyrzutów sumienia.

Jack w ogóle się nie wtrącał do konfrontacji.

Zakładali, że matki zabrały Penelope, jeśli nie osobiście, to wysłały ludzi. Porwania dokonano z chirurgiczną precyzją: Penelope zniknęła, a oni pozostali nietknięci. Podczas przypadkowego ataku wszyscy zostaliby porwani. Albo zabici.

Co znaczyło, że Penelope jeszcze żyła.

Miał nadzieję.

Ale nie wiedział, dokąd ją zabrano. To go najbardziej frustrowało. Mogła być wszędzie...

- Wytwórnia win - powiedział Jack. Kevin przystanął, odwrócił się do policjanta.

- Co?

- Pewnie zabrały ją do domu.

Oczywiście. Powinien sam na to wpaść. Zagapił się na Jacka. Czyżby myślał na głos?

Albo policjant po prostu... wiedział, co on myśli?

Głupota. Niepotrzebnie doszukiwał się znaczenia w zwykłym przypadku. I bez tego miał dość zmartwień. Pomyśleli jednocześnie to samo i tyle. Nic nadzwyczajnego, zważywszy na okoliczności.

- Pojedziemy tam - oświadczył. - Uratujemy ją.

- Jak? - zapytał Holbrook.

Kevin spojrzął na nauczyciela.

- Co?
 - Jak zamierzasz ją uratować? Wejdiesz w tłum, ominiesz jej matki, chwycisz ją za rękę i wyprowadzisz?
 - Coś wymyślę - odparł Kevin obronnym tonem.
 - Lepiej coś wymyśl zawczasu, bo inaczej rozszarpią cię na strzępy.
 - No więc czemu mi nie pomożesz?
- Holbrook wyszczerzył zęby.
- Myślałem, że już nigdy nie poprosisz.
- Kevin podszedł do niego.
- Więc masz jakiś plan?
 - I owszem. - Zaśmiał się Holbrook. - I owszem.

13.

Penelope zbudziła się na trawie. Nigdzie nie widziała matek. Usiadła, potem wstała. W ustach czuła smak wina, ale na szczęście była całkowicie ubrana. I nie miała na sobie krwi. Czyli nic strasznego się nie stało.

Ale wokół niej pachniało seksem. Powietrze, wiatr, trawa.

Pachniało cudownie.

Rozejrzała się dookoła. Nie znajdowała się na łące w lesie za wytwórnią win, jak się spodziewała. Matki zabrały ją na pole, gdzie wcześniej odbywał się festyn, zostawiły ją w miejscu najdalszym od szosy.

Ziewnęła. Czuła się otępiąła, przymulona, półprzytomna. Nie bardzo wiedziała, co się wydarzyło. Nie pamiętała, żeby ją zahipnotyzowano, uspieno czy znokautowano, ale wspomnienia zeszłej nocy urywały się w chwili, kiedy matki wepchnęły ją do furgonetki. Później miała lukę w pamięci.

Kobieta odziana w skórę przejechała obok na grzbiecie nagiego mężczyzny, wyposażonego w uprząż i strzemiona. W prawej ręce kobieta trzymała kilka pędzli. Podjechała galopem do mężczyzny o skórze zabarwionej na niebiesko. Wręczyła mu pędzle, a on rozdał je grupie dzieci, które pomagały malować monstualny kamienny fallus osadzony w ziemi.

Penelope rozejrzała się po rozległym polu, przenosiła wzrok z jednej groteskowej sceny na drugą. On ich zorganizował. Pijacki chaos poprzednich dni zniknął, zastąpiony przez zinstytucjonalizowane szaleństwo, okiełznane odmienne stany świadomości. Ludzie bez wątplenia byli nietrzeźwi, bez wątplenia zachowywali się jak szaleńcy, lecz poszczególne irracjonalne działania składały się na nadrzędną racjonalność.

I było ich tysiące.

Jak poprzednio, przeraziła ją sama skala zmian. Bachanci nie tylko splądrowali festyn, ale także przystosowali do własnych celów. Obok przeczłapała grupa pijanych klaunów, podtrzymując nagą i wytatuowaną nastolatkę. Kobieta przebrana za Cygankę rozdawała dziecięce baloniki - martwe ciała noworodków, napelnione helem, uszczelnione i obwiązane sznurkami. Dwoje ludzi przeszło nieopodal, każde ścisnęło sznurek, bliźniacze rozdęte niemowlęta unosiły się nad nimi niczym dwie ryby rozdymkowane. Ściana ze sklejki z namalowanymi postaciami Merlina i innych czarodziejów, nad których ramionami wycięto otwory, żeby turyści mogli tam wkładać głowy i robić sobie zdjęcia, została odwrócona i domalowano tam sylwetki klasycznych potworów. Przez otwory wystawały wzwiedzione penisy. Dziewczęta i kobiety po kolei klękały przed potworami albo nadziewały się od tyłu.

Na wschodnim krańcu pola ekipa pijanych robotników wznosiła budynek w greckim stylu z cegieł i bloków kamienia, które najwyraźniej wyszabrowano ze zdemolowanych budynków w mieście.

Zupełnie jakby ludzie zaczęli budować społeczeństwo oparte na pijaństwie, jakby przyjęli ten stan za normalny i przystosowali się do niego.

Ale gdzie był Dion... Dionizos? Uważnie przepatrywała tłum. Po prawej stronie zobaczyła panią Pulkinghorn, bibliotekarkę, przykucniętą nad twarzą pani Jessup, szkolnej pielęgniarki, która leżała na brzuchu, napastowana przez łysego starszego mężczyznę. Facet, który pracował w sklepie z alkoholem niedaleko szkoły, siedział na składanym krześle i gorączkowo się onanizował.

Widziała mężczyzn z kobietami, mężczyzn z mężczyznami, kobiety z kobietami, lecz ani śladu Dionizosa.

I wszędzie rosły winogrona. Winorośle, zasadzone z pewnością zaledwie przed kilkoma dniami, upstrzyły pole i podzieliły na sektory. Co najdziwniejsze, spomiędzy ogromnych liści zwisały się już grona owoców. Przesunęła spojrzenie wzdłuż rzędu krzewów ukośnie przecinającego pole.

Wtedy zobaczyła matki. Na zachodnim krańcu pola, nad rzeką.

Matka Margeaux, matka Felice i matka Margaret kuczały w półokręgu nad brzegiem i robiły coś, czego nie widziała z tej odległości. Matka Sheila pochylała się nad nieruchomym, zmasakrowanym ciałem jakiegoś chłopca i zlizywała mu krew z piersi, a matka Janine klęczała za nią, z twarzą zanurzoną głęboko między jej pośladkami.

Penelope odwróciła wzrok, zdjęta odrazą i lękiem. To nie były matki, które знаła. To były całkowicie obce kobiety.

Czyżby?

Zacząła iść przez pole, wybierając najłatwiejszą trasę, omijając najbardziej zatłoczone miejsca. Nie wiedziała, dlaczego zostawiono ją w spokoju po takim dramatycznym porwaniu, ale wiedziała dosyć, żeby to wykorzystać. Pospieszyła w stronę szosy. Matki porwały ją

niewątpliwie dlatego, żeby ją zmusić do spółkowania z Dionizosem, ale widocznie myślały, że będzie spała dłużej, albo tak się upiły, że o niej zapomniały i przy odrobinie szczęścia zdąży uciec, zanim w ogóle zauważą jej nieobecność.

W połowie drogi przez pole go zobaczyła.

Satyr.

Zatrzymała się jak wryta.

- Jezusie - szepnęła.

Mężczyzna - stwór - miał dwa metry czy dwa i pół metra wzrostu, koźle nogi, spiczaste uszy pana Spocka i wielką czerwoną erekcję. Galopował do niej przez pole, szczerząc zęby, tak niehumaniczny w każdym ruchu, tak obcy w każdym szczególe, że przeszedł ją mimowolny dreszcz strachu. Nagle zaczęła postrzegać całą sytuację w obiektywny sposób, z perspektywy widza stojącego obok, nagle opadły z niej niezliczone zasłony, które stworzył jej umysł, żeby przystosować się do wszystkich potworności, i ten widok tak ją przeraził, że nie mogła się ruszyć, nie mogła uciekać, tylko stała jak przykuta do miejsca, kiedy potwór wyhamował tuż przed nią.

- On chce ciebie! - oznajmił satyr, łypiąc na nią pożądliwie.

Miał piskliwy głos szaleńca i chociaż Penelope zdawała sobie sprawę, że nie mówił po angielsku, może nawet w żadnym ludzkim języku, rozumiała go bez trudu.

Rozpaczliwie myślała, jak stąd uciec, byle dalej od tego...

- Albo pójdziesz ze mną dobrowolnie, albo cię zmuszę siłą. - Stwór uśmiechnął się i z bliska zobaczyła, że miał spiczaste zęby. - A jeśli cię zmuszę, pojedziesz na moim kutasie.

Czerwona erekcja podskoczyła.

- Pójdę - szepnęła Penelope.

- Wiedziałem, że się zgodzisz!

Satyr roześmiał się i odbiegł galopem. Penelope pospieszyła za nim.

Mijali grupy kobiet i mężczyzn, oddających się różnym perwersjom seksualnym połączonym z aktami przemocy, mijali wielkie skrzynie wypełnione butelkami wina i beczki z winem. Penelope zadyszała się dużo wcześniej, zanim dotarli na drugi koniec łąki, ale nie zamierzała pozwolić, żeby ten... stwór jej dotykał, więc z wysiłkiem dotrzymywała mu kroku.

Weszła za satyrem pomiędzy drzewa.

Gdzie Dionizos siedział na swoim tronie.

Zatrzymała się, ale serce jej biło coraz szybciej. Kilka drzew powalono, ociosano i zbudowano z nich misternie rzeźbione krzesło, które służyło bogu za tron. Na stratowanej ziemi przed Dionizosem leżał królewski czerwony dywan z ludzkiego ciała. Drzewa dookoła udekorowano nabitymi na gałęzie organami płciowymi.

Satyr pokłonił się swojemu bogu, po czym umknął galopem, śmiejąc się obląkańczo.

Dionizos wstał i Penelope poczuła, że coś w niej drgnęło. Pragnęła go, chociaż nie była pijana. Pragnęła go wbrew własnej woli. Stał przed nią dumnie, wspaniale nagi. Jego skóra błyszczała olśniewająco, wilgotna od potu i krwi. Penelope chciała upaść przed nim na kolana i oddać mu cześć, rozłożyć nogi i pozwolić mu na wszystko, ale z niewiadomych powodów nadal stała.

- Penelope - szepnęła głosem Diona i nie Diona, szeptem tak donośnym, że zagłuszył hałasy dochodzące z pola.

- Dion? - zapytała.

Podszedł do niej i po raz pierwszy zauważyła, że w lewej ręce niósł coś przypominającego bukłak na wino, pojemnik w kształcie pęcherza, miała nadzieję, że zwierzęcego. Podniósł go wysoko, strzyknął sobie winem do ust i odrzucił bukłak.

Drżała, zanim przed nią stanął.

- Dion? - powtórzyła niepewnie, z nadzieją.

- Dionizos. - Bóg ukląkł przed nią i jej twarz znalazła się na poziomie jego twarzy. Otoczył ją masywnymi ramionami i przyciągnął do siebie. - Tak długo cię szukałem. Dlaczego się przede mną chowałaś?

Jego dotyk był silny, lecz czuły, i chociaż jej umysł bronił się przed tą zgrozą, ciało dygotało z podniecenia. Bóg zawęszył, spojrzał w dół na jej krocze i uśmiechnął się.

- Penelope - powiedział.

W jego rysach, w jego oczach nadal pozostało coś z Diona, ale mniej niż przedtem i wiedziała, że kiedy się upije, nawet ta resztką zniknie. Napierał na nią twardo, czuła nacisk przerażająco wielkiego penisa.

- Wiesz, że tego chcesz - powiedział. - Nie opieraj się. Zatrąć się we mnie.

Przypomniała sobie, jak kochali się z Dionem na tylnym siedzeniu samochodu, i poczuła ostry ból straty. W jej nozdrza wdzierał się zapach boga, mocny, piżmowy odór bijący od gigantycznego organu, opartego o jej tors. Zakrztusiła się tym zapachem.

- Nie chcę cię - powiedziała.

Słowa nie zabrzmiały stanowczo, tak jak chciała, tylko płacząco, potulnie, prosząco. Łza spłynęła jej po policzku. Otarł łzę długim, poplamionym winogronami palcem i zobaczyła w jego oczach błysk współczucia. Mignął tylko przez chwilę i zaraz zgasnął jak przełotny płomyk, ale wystarczył, żeby zrozumiała, że Dion wciąż tam żyje i walczy o wolność.

- Pragniesz mnie! - zaryczał z ogłuszającą furią, aż podskoczyła. Ramiona oplatające ją nie ustąpiły i zrozumiała, że bez trudu mógł ją zmiażdżyć.

Teraz już płakała, szlochała, strumienie łez spływały jej po twarzy, ale kiwnęła głową.

- Tak - powiedziała. - Pragnę cię.

- Chcesz, żebym cię wypełnił!

- Tak. Chcę, żebyś mnie wypełnił.

Oddychał ciężko i przez chwilę milczał. Spodziewała się, że zerwie z niej ubranie, że nabije ją na swoją olbrzymią erekcję, ale nie była przygotowana na to, co nastąpiło.

Puścił ją i wstał.

- Nie, wcale nie chcesz - powiedział cicho, niemal ludzkim głosem. - Wcale mnie nie pragniesz.

Odwrócił się, ruszył w stronę tronu.

- Idź - powiedział. - Odejdź. Nie chcę cię więcej widzieć.

Wypełniały ją sprzeczne uczucia, ale wystarczyło jej rozsądku, żeby najpierw działać, a potem się zastanawiać. Ruszyła biegiem, nie z powrotem na pole, ale w lewo, przez las, w stronę szosy.

Za nią Dionizos krzyknął w udęce, rozdierany emocjonalnym cierpieniem. Przed nią mignęła błękitnobiała błyskawica, oślepiająco widoczna nawet w świetle dnia. Penelope nie wiedziała, czy piorun w nią celował, ale zrobiła unik i dalej biegła zygzakiem.

Potknęła się na skraju jezdni, zawadziła stopą o odsłonięty fragment pręta zbrojeniowego sterczący ze żwiru, ale zdążyła zamortyzować upadek, wysuwając przed siebie ręce i lądując na dłoniach. Wokół niej powietrze drgało, migotało. Mrówki wędrujące sznureczkiem na asfalcie nagle urosły do rozmiarów małych psów. Zanim zerwała się na nogi, mrówki zwinęły się, powykręcały, z wrzaskiem przemieniły się w ludzi.

Uciekla. Nie oglądała się, żeby sprawdzić, czy jej nie gonią, nie przystawała, żeby zdecydować, w którą stronę uciekać, tylko biegła. Pot spływał jej po twarzy, mieszał się z łzami, szczypał w oczy; płuca paliły, jakby wdychała ogień, w ustach tak zaschło, że mało nie zwymiotowała.

Ale biegła dalej.

Nie zatrzymała się, dopóki nie dotarła do biura wynajmu samochodów Avis, sześć przecznic dalej. Padła z nóg - nie mogła zrobić już ani kroku - dysząc, osunęła się na ziemię. Dopiero wtedy obejrzała się za siebie.

Nikogo nie zobaczyła. Nikt jej nie ścigał.

Dion pozwolił jej odejść.

14.

Zbliżało się południe, zanim Penelope dotarła do domu Holbrooka. Na podjeździe Kevin z nauczycielem ładowali pudła z garażu do bagażnika samochodu Holbrooka.

Obaj wytrzeszczyli na nią oczy, kiedy wjechała na podjazd i zaparkowała za subaru Holbrooka. Wysiadła z samochodu, uśmiechając się krzywo.

- Hej, chłopaki, jak leci?

- Gdzie byłaś? - zapytał Kevin. Postawił pudło na ziemi i podbiegł do niej. - Co się stało? Właśnie jechaliśmy cię ratować.

- Jechaliście dokąd?

- Do twojej wytwórni. To nie matki cię porwały?

- Tak, ale zabrały mnie gdzieś indziej. Dionizos przeniósł swoją bazę operacyjną.

Podszedł Holbrook.

- Uciekłaś?

- Coś w tym rodzaju. On pozwolił mi odejść.

- Kto? Dionizos?

- Dion.

- Co się stało? - powtórzył Kevin.

Pokręciła głową.

- Wejdźmy do środka. To długa historia, a ja muszę się czegoś napić. Śniadanie też by się przydało.

- Lunch - poprawił Kevin.

- No więc lunch. - Zmarszczyła brwi i rozejrzała się dookoła. - Gdzie jest Jack?

Ani Kevin, ani Holbrook nie odpowiedzieli. Penelope przenosiła spojrzenie z jednego na drugiego i czuła coraz silniejsze ściskanie w żołądku.

- Gdzie on jest?

Holbrook miał zakłopotaną minę.

- Dobrał się do mojego wina - wyjaśnił. - Omawialiśmy plany ratunkowe w piwnicy, a on wrócił na górę, żeby się czegoś napić. Znalazł w kuchni butelki i... wypił je.

- Co...? Dlaczego...? - Pokręciła głową, zbita z tropu, niezdolna przyswoić tej informacji.

- Nie wiem - odparł Kevin. - Zdawało się, że na Jacku można polegać. - Zerknął w stronę Holbrooka. - A ja nawet nie wiedziałem o winie.

- Gdzie on jest?

- Zamknęliśmy go na klucz w sypialni.

Penelope zamknęła oczy. Nagle ogarnęło ją wyczerpanie. Wydarzenia poprzedniej nocy i tego ranka zwały się na nią przytłaczającym brzemieniem. Kevin stanął za nią, położył jej rękę na ramieniu.

Odsunęła się.

- Zostaw ją w spokoju - powiedział Holbrook. - Przejdzie jej.

- Pierdol się! - wrzasnął Kevin. - To twoja wina!

Dotknął jej pleców i tym razem się nie odsunęła.

- Przepraszam - powiedziała. - Ja tylko... miałam ciężki dzień. Nie chciałam się na tobie wyładować. Po prostu... za dużo stresu.

- My tylko chcieliśmy cię znaleźć...

- Wiem.

- ...zanim coś ci się stanie.

- Wiem.

Objęła go i po krótkim wahaniu on też ją uściskał. Gdyby nie Holbrook, pomyślała, poszłaby do łóżka z Kevinem. Od razu poczułby się lepiej. Ściągnęłaby mu spodnie...

- No, no, jakie to urocze - powiedział Holbrook.

Odsunęli się od siebie.

- Dupek - rzucił Kevin.

Penelope odwróciła się do nauczyciela.

- Jak długo Jack siedzi zamknięty?

- Parę godzin. Rozebrał się do naga i używał butelki po winie, kiedy go znaleźliśmy. - Nauczyciel wyszczerzył zęby. - Zaatakował nas tą butelką i trochę się namęczyliśmy, żeby go obezwładnić.

- Kiedy on wytrzeźwieje?

Holbrook wzruszył ramionami.

- Kto wie?

- Chcę z nim porozmawiać.

- Nie możesz.

Penelope spiorunowała go wzrokiem.

- Myślisz, że mi zabronisz?

- Nie. To znaczy, że nie można z nim rozmawiać. On nie słucha albo nie słyszy. I gada bez sensu. - Podniósł pudło Kevina, wstał do bagażnika i zatrzasnął klapę. - Ale pewnie chcesz się sama przekonać.

Usłyszała wrzaski Jacka, jak tylko weszli do domu. Przeszła przez salon i korytarz, idąc za głosem policjanta. Drzwi do sypialni na końcu korytarza, tej samej, w której spali, blokowała nowa zasuwka.

Klamka zagrzechotała.

- Jack! - zawołała Penelope.

- Liź mnie! - wrzasnął policjant chrapliwym, jakby nie swoim głosem. - Wyliz mi chuja! Wyliz mi jaja! Wyliz mi dupę!

- To ja! Penelope!
- Chcę dziewiczej krwi!
- To trochę potrwa - zauważył Holbrook.

Penelope kiwnęła głową. Stała przez chwilę, patrząc na zamknięte drzwi, potem ze znużeniem wróciła do salonu i opadła na kanapę.

- No więc opowiedz nam, co się stało - poprosił Kevin, kiedy razem z Holbrookiem usiedli naprzeciwko niej.

Zaczęła od nocnego porwania, opisała przebudzenie na polu, opowiedziała o spotkaniu z Dionizosem i jak kazał jej odejść.

- Pozwolił ci odejść - zamyślił się Holbrook. - Mówisz, że nie był pijany?
- Może trochę. Pił z tej skóry i oczy miał trochę zaczerwienione, ale nie, właściwie nie.
- Myślisz, że gdyby był całkiem pijany, nie pozwoliłby ci odejść?
- Nie. Myślę... że on jest ciągle rozszczępiony. I myślę, że jest bliższy Dion, kiedy mniej wypije. Myślę, że tylko dlatego mnie wypuścił.

- A inni cię nie napastowali? Na polu?

Zaprzeczyła z zakłopotaniem.

- No, oprócz satyra.
- To oczywiście, że on nimi kieruje. Tak właśnie podejrzewaliśmy. On nie tylko jest ich przywódcą, ich bogiem, ale narzuca im własne emocje. Jeśli on jest szczęśliwy, oni też są szczęśliwi. Jeśli się gniewa, oni się gniewają. To automaty, wykonują tylko jego polecenia. Menady może są inne, ale pozostali...

Siedzący na podłodze Kevin prychnął.

- Więc co mamy robić? Otrzeźwić go i zmusić, żeby zaczął namawiać do abstynencji?

Holbrook uniósł brwi.

- Niezły pomysł.
- Daj spokój, bądź poważny.
- Jestem poważny.
- A jak to zrobimy? Schwytamy go i napoimy czarną kawą?

Holbrook myślał przez chwilę.

- Możemy go schwytac i odizolowac. Ale chyba lepiej go zabic.
- Hej - zawołał Kevin - czemu wcześniej na to nie wpadliśmy? Chcecie, żeby tam zaraz pojechał i go załatwił?

Holbrook odwrócił się do Penelope.

- Wszyscy możemy tam pojechać. Zaczekamy w zasadzce, a ty pójdziesz pierwsza. Jeśli go zwabisz do naszej kryjówki, możemy go zabić.
- Ale on pozwolił mi odejść.
- To nie jest Dion.

- Częściowo jest.

Holbrook popatrzył na nią spokojnie.

- Rzeczywiście, jakie matki, taka córka.

- Co to ma znaczyć?

- Tylko dlatego że ma wielkiego kutasa...

- Tylko dlatego że ty nie masz kutasa!

Kevin podniósł rękę.

- Dzieci, dzieci...

- Nie mogę zwyczajnie tam wparować i go wywabić - powiedziała Penelope. - To się nie uda. On jest otoczony przez wyznawców, satyry, moje matki i Bóg wie kogo jeszcze. Zresztą powiedział, że nie chce mnie więcej widzieć. Jeśli wrócę, pewnie mnie zabije.

- Tylko jeśli będzie pijany - zaznaczył Holbrook.

- I tak mnie szukał, chociaż nie był pijany. To znaczy nie ścigał mnie ani nic takiego, ale jakby zmienił zdanie po moim odejściu, jakby chciał mnie odzyskać.

- Nie powiedziałaś nam...

- Nie dajcie mi dokończyć! Nauczyciel odetchnął głęboko.

- Więc dokończ.

- Jak mówiłam, kazał mi odejść i zaczęłam uciekać w stronę szosy. I nagle przede mną jakby coś wybuchło. Nie widziałam, skąd się to wzięło, ale pomyślałam, że on zmienił zdanie i... nie wiem, ciskał we mnie piorunami. W każdym razie zaczęłam biec zygzakiem, w prawo i w lewo, żeby trudniej było mnie trafić. Nic więcej się nie stało, ale kiedy dobiegłam do szosy, upadłam. Przede mną mrówki szły po asfalcie, a on je zmienił w ludzi, w wojowników. Jak Myrmidoni.

Holbrook zbladł.

- Myrmidoni? Ale to Zeus...

Przytaknęła.

- No, to całkiem inna para kaloszy. Opierałem się na założeniu, że to jest Dionizos, mający wszystkie słabości i ograniczenia tego boga. - Zamyślił się na chwilę. - Może... - powiedział wreszcie - może dlatego, że on ma w sobie wszystkich innych, posiada również ich moc.

- Może - przyznała Penelope.

- Tylko myślę, że on o tym nie wie. Przynajmniej na razie. Inaczej wykorzystywałby wszystkie moce, które ma do dyspozycji.

- Może ma tylko ograniczone moce. Może ma trochę z każdego boga, ale nie całość.

- Może - zgodził się Holbrook.

- Może ja też.

Kevin pokręcił głową.

- Co?

Odwróciła się do niego.

- Może ja też mam moc. To ja mam urodzić tych wszystkich bogów. W połowie on, w połowie ja. Wyhodowano mnie w tym samym celu co jego. Może ja też mam w sobie trochę mocy.

- Ale skąd się dowiemy, jak jej użyć?

Oboje obejrżeli się na Holbrooka.

- Osobiście uważam, że nie powinniśmy na to liczyć - odparł nauczyciel. - Jak dotąd nie wykazywałaś żadnych nadzwyczajnych zdolności...

- Wyczuwam zapachy, których dawniej nie wyczuwałam - oświadczyła Penelope. - Węch mi się poprawił przynajmniej dwukrotnie. Albo trzykrotnie.

- Trudno to nazwać boską mocą - stwierdził sucho Holbrook. - Poza tym twoje matki odprawiły jakiś rytuał z Dionem. Ale nie z tobą.

Spuściła wzrok, przytaknęła.

- To prawda.

- I szczerze mówiąc, nie wiedziałbym, jak doprowadzić do twojej przemiany. Zakładając, że chcesz przemiany. Nasza wiedza ma na celu raczej obronę ludzi przed bogami, nie zmianę ludzi w bogów.

- I świetnie wam wychodzi - burknął Kevin.

Holbrook rzucił mu gniewne spojrzenie.

- Jeszcze żyjesz, prawda?

- Tak. I przynajmniej nie skończyłem jak Jack. Och, zapomniałem. Przecież on też jest owidianinem.

- Tutaj popełniłem błąd - przyznał nauczyciel nietypowo cichym głosem.

- Więc jaki macie plan? - zapytała Penelope. - Jak chcieliście mnie uratować?

- To jak paragraf 22 - odparł Kevin. - Musimy zabić Dionizosa, żeby ludzie przestali imprezować, i musimy pozabijać ludzi, żeby się dostać do Dionizosa.

- Więc co chcieliście zrobić?

- Zabić twoje matki - odparł Holbrook.

Penelope pokręciła głową.

- Nie.

- Tak. One wszystkim kierują. Jeśli je usuniemy, impreza się skończy.

- Ale jak zamierzaliście...

- Chcieliśmy podpalić twoją cholerną wytwórnię.

Penelope milczała.

- One zaczną gasić pożar. Na szczęście te dziwki i ich kumple są zbyt pijani, żeby jasno myśleć. Dlatego nie użyją broni palnej. Ale my użyjemy. Schowamy się w krzakach i wystrzelamy je jak kaczkę.

Penelope próbowała sobie wyobrazić matki zastrzelone, próbowała sobie wyobrazić kule trafiające je... gdzie? W głowy? W piersi? Widziała to aż nadto wyraźnie. Co się z nimi stanie w ostatniej sekundzie? Co im rozbłyśnie w mózgach? Czy pomyślą o niej?

Chciała ich śmierci, przynajmniej do pewnego stopnia, ale nie chciała, żeby zostały zabite. A zwłaszcza zastrzelone przez jej nauczyciela mitologii.

I chciała oszczędzić matkę Felice.

- Nie możecie ich zabić - powiedziała.

- Wprawdzie nie są ludźmi, ale można je zabić.

- Nie o to mi chodziło. Nie pozwolę wam ich zabić.

- Więc pozostaje nam przyłączyć się do nich albo zginąć.

- Nawet jeśli się do nich przyłączymy, możemy zginąć - zauważył Kevin. - Oni bez oporów zabijają swoich.

- Menady nie uznają żadnych zasad, nie myślą rozsądnie i nie postępują logicznie. Kierują się wyłącznie instynktem, samym id...

- To moje matki. Nie zabijają mnie.

- Ale nas zabijają.

- Może pomysł Kevina się sprawdzi. Może spróbujemy wszystkich otrzeźwić.

Holbrook spojrział na nią z pogardą.

- A jak się do tego zabierzemy?

- Odetniemy im dostęp do wina.

Kevin prychnął.

- W Dolinie Napa? Nie żartuj.

- Do wina Daneam. Tylko to wino się liczy. - Popatrzyła na Holbrooka. - Mam rację?

Nauczyciel niechętnie kiwnął głową.

- I tak chcieliście podpalić wytwórnię. Jeśli o mnie chodzi, proszę bardzo. Oni na pewno nie myślą wystarczająco logicznie, żeby zrobić awaryjny zapas.

- Coś w tym jest - przyznał Holbrook.

Kevin wstał.

- Więc na co czekamy? Do roboty.

- Nie tak szybko - osadził go Holbrook.

- Co to znaczy „nie tak szybko”? Przecież właśnie chcieliśmy tam pojechać i zrobić dokładnie to samo.

- Ale planowaliśmy wykończyć jej matki.

- To nawet lepsze. Prostsze. Podłożymy ogień i nawet nie musimy nikogo zabijać.
- Już po południu. Może lepiej zaczekać do jutra.
- Powinniście wiedzieć coś jeszcze - odezwała się Penelope. - Wszystko przyspieszyło. Znacznie bardziej, niż myśleliśmy. Oni zasadzili winorośle, nowe winorośle, i winogrona wyglądały na prawie gotowe do zbioru.
- Przecież minęło dopiero kilka dni! - zaprotestował Kevin.
- Winobranie - powiedział Holbrook. - Wtedy odbywało się największe święto.
- I zrobią więcej wina - dodał Kevin.
- Mogę tam wejść - zaofiarowała się Penelope. - Mogę zapalić lont czy cokolwiek, bo... oni mi ufają. Chyba myślą, że należę do nich. Nie atakują mnie.
- Wszyscy?
- Nie wiem, czy wszyscy, ale... - Odetchnęła głęboko. - Jestem menadą. Oni to wyczuwają.
- Przecież mówiłaś, że twoje matki chyba cię uspiły albo coś takiego, kiedy cię porwały. One na pewno wiedzą, że nie należysz do nich.
- Mogę wziąć kilka łyków. Udawać pijaną. Oszukać ich.
- No, nie wiem - mruknął Holbrook.
- Nie mamy wyboru.
- Winogrona dojrzały przez dwa dni?

Penelope spojrzała na nauczyciela, kiwnęła głową.

- Więc lepiej to zróbmy. - Holbrook ruszył do drzwi. - Skończmy ładować samochód.
- Zabierz jakieś jedzenie - zwrócił się Kevin do Penelope. - I coś do picia.

Uśmiechnęła się kwaśno.

- Macie wino?
- Mało zabawne - burknął i poszedł za nauczycielem.

Penelope pospieszyła do kuchni. Wyraźnie słyszała wrzaski Jacka w sypialni. Wrzeszczał przez cały czas, stłumione bełkotanie w tle, ale kiedy tamci dwaj wyszli, jego głos wydawał się mocniejszy. Słyszała, jak Holbrook i Kevin rozmawiają w garażu, nosząc pudła do samochodu, ale w domu była sama i obłąkańcze krzyki policjanta brzmiały znacznie bliżej, niż powinny.

I znacznie bardziej przerażająco.

Szybko otworzyła lodówkę, chwyciła puszkę coli i karton mlecznych kuleczek w czekoladzie. Cukier. Szybka energia.

Zdażyła zauważyć, że lodówkę Holbrooka wypełniają głównie słodczyce i śmietarskie jedzenie, zanim zatrzasnęła drzwiczki i wybiegła na dwór, jak najdalej od bezustannych wrzasków policjanta.

- Co jest w tych pudłach? - zapytała, podchodząc do samochodu.
- Benzyna - wyjaśnił Kevin. - I szmaty.
- Stare gazety - dodał Holbrook. - Łatwopalne rzeczy.

Spodziewała się czegoś mniej prymitywnego, bardziej profesjonalnego, więc nie kryła rozczarowania.

- Myślałam, że macie materiały wybuchowe i w ogóle.
- Jestem nauczycielem, nie terrorystą. - Holbrook zatrzasnęła bagażnik samochodu. -

No, wsiadaj.

Penelope obejrzała się na dom.

- Czy nie trzeba... no wiesz, zamknąć drzwi na klucz? Jack...
- Wsiadaj, nie marudź. Wolę to załatwić jak najszybciej.

Kevin otworzył drzwi po stronie pasażera.

- Zanim stracisz odwagę?
- Coś w tym guście - przyznał Holbrook. - Wskakuj. Jedziemy.

Wytwórnia win zmieniła się w rzeźnię.

Nawet po wszystkim, co Penelope widziała, zaszokowały ją rozmiary masakry.

Pojechali prosto do wytwórni. Kilka razy natrafili na blokady, które musieli objeżdżać, stare blokady, sprzed paru dni, ale nie widzieli żadnych nowych zniszczeń, żadnych nowych ogni. Napa wyglądała jak miasto duchów, jak zbombardowane miasto po wojnie, którego mieszkańcy zginęli lub uciekli. Na drodze nie napotkali żadnych kłopotów.

To martwiło Penelope. Od czasu odrodzenia Dionizosa w ciągu dnia na ulicach widywało się niewielu ludzi, ale miasto zawsze wydawało się żywe w jakiś pokręcony, perwersyjny sposób, jak plac zabaw dla niegrzecznych dzieci, które właśnie odbywają popołudniową drzemkę.

Teraz jednak wszędzie panowała atmosfera opuszczenia. Penelope mimo woli zaczęła się zastanawiać, czy wyznawcy nie przenieśli się do innego miejsca w dolinie albo w ogóle wynieśli się z doliny, czy po prostu gromadzą się wokół swojego boga, czyniąc przygotowania do święta winobrania. Drugą ewentualność uznała za bardziej prawdopodobną i modliła się, żeby Dionizos został na miejscu dawnego festynu, żeby nie wrócił do wytwórni win. Potrzebowali każdej najdrobniejszej przewagi.

Dionizos.

Teraz nazywała go w myślach Dionizosem. Dion wciąż gdzieś tam istniał, ale po spotkaniu z bogiem nie mogła już go uważać za Diona w zmienionej postaci. To była oddzielna istota, byt, który zajął miejsce Diona i wcielił go w siebie.

Drogę do wytwórni zasłały śmiecie i odpadki, ale dopiero kiedy dojechali do bramy, zobaczyli pierwsze ciała. Początkowo Penelope nie zwracała większej uwagi na nieruchome

kształty po obu stronach podjazdu. Przez ostatnie dni oglądała tyle trupów, że częściowo uodporniła się na ten widok. Lecz kolory rzucały się w oczy nawet na krawędziach pola widzenia: czerwony, zielony, niebieski, purpurowy. Coś tu było inaczej, coś było nie tak. Dokładniej przyjrzała się ciałom przez okno samochodu i zobaczyła, że niektóre zostały... przemienione. Zobaczyła mężczyznę z ciałem żaby, kobietę z ramionami homara, dziecko z trąbą słonia i słoniowymi kłami. Wiele zwłok było zakrwawionych, ale równie liczne nie miały śladów krwi, tylko leżały zwinięte w pozycjach płodowych albo wykręcone pod dziwnymi kątami. Nie mogła odpędzić myśli, że ci ludzie umarli w trakcie metamorfozy, że właśnie przemiana sprowadziła na nich śmierć.

Ten rodzaj śmierci poruszył ją nawet bardziej niż morderstwo. Odwróciła spojrzenie od ciała i patrzyła już tylko na drogę.

W przeciwieństwie do pierwszej nocy, teraz przy bramie wytwórni nie kłębiły się hordy wznawców, pijących i tańczących na podjeździe. Wąska droga wydawała się wymarła, tylko od czasu do czasu jakiś pijak przemykał chwiejnym krokiem.

Przed sobą Penelope widziała budynki wytwórni. Wytarła spocone dłonie o dzinsy. Plan Holbrooka wydawał się niepokojąco prymitywny. Miała odwrócić uwagę każdego, kto stanie im na drodze, żeby Kevin i Holbrook mogli wnieść pudła łatwo palnych materiałów do głównego budynku wytwórni i podpalić je. Holbrook miał nadzieję, że pożar rozprzestrzeni się wystarczająco szybko, żeby alkohol w winie się zapalił i wytwórnia stanęła w płomieniach, zanim bachantki się zorientują. Oni tymczasem uciekną do samochodu i odjadą.

Uważała, że to kretyński plan wymyślony przez półgłówka. Ale nie potrafiła wymyślić nic lepszego, więc milczała.

Wyrzała przez okno po lewej stronie. Na palikach winnicy, ponad nagimi gałęziami winorośli, trzepotały poprzybijane gwoździami skalpy kobiet i długowłosych mężczyzn. Do drutów rozciągniętych pomiędzy palikami przywiązano kolorowe, jaskrawe wstążki z krepiny.

Łąka sięgała teraz aż do wytwórni win. Powiększyła się sześć czy siedem razy. Ołtarz i kamienny posąg Dionizosa, przedtem stojące na obrzeżach łąki, niemal wśród drzew, teraz wznosiły się na środku, widoczne nawet z tego miejsca. Drzewa nie zostały wyrąbane, tylko... wykorzenione. Jakby nigdy tam nie rosły. Trawiasta łąka ciągnęła się od końca winnicy aż na szczyt wzgórza, nieprzesłonięta żadnymi drzewami ani krzewami.

A potem pojawili się wznawcy.

Zupełnie jakby otworzyła się tama, uruchomiona przez samochód na podjeździe. Fala mężczyzn i kobiet wlała się na łąkę zza szczytu wzgórza, spomiędzy drzew na drugim końcu. Penelope widziała tłumy na festynie, ale ten tłum był bez porównania większy. Serce jej

zaczęło walić na widok tyłu ludzi, cofnęła się instynktownie przed nadciągającą hordą.

Myślała, że wyznawcy przyszli po nich, wysłani przez Dionizosa albo jej matki, żeby ich rozszarpać na strzępy i obronić wytwórnię. Lecz kiedy ludzka fala zwolniła i się zatrzymała, Penelope uświadomiła sobie, że tamci nawet nie zauważyli ich trojga.

Przybyli na święto.

Winobranie.

Samo słowo zbudziło w niej oddźwięk. Zamierzali świętować dojrzewanie zbiorów, zamierzali zrywać i rozgniatać winne grona. Nie wiedziała, skąd o tym wie, ale pragnęła się do nich przyłączyć.

Samochód zahamował tuż przed parkingiem. Holbrook zjechał na bok, zawrócił i zaparkował pod drzewem, przodem do jezdni, żeby mogli szybko odjechać.

Nauczyciel otworzył drzwi i wysiadł.

- Pospieszcie się - powiedział.

Na zewnątrz Penelope usłyszała śpiew. Tysiące głosów zlewających się w cudowną harmonię. Stała obok samochodu jak sparaliżowana i patrzyła na rozległą łąkę za winnicą, podczas gdy Kevin i Holbrook zaczęli rozładowywać bagażnik.

Z tego miejsca cała scena wyglądała prawie jak rockowy koncert, ogromny międzypokoleniowy Woodstock. Atmosfera również przypominała Woodstock. Tysiące ludzi śpiewało w radosnym chórze, ich szczęśliwe głosy łączyły się zgodnie, intonując słowa starożytnej greckiej ody, pieśni, którą śpiewały jej matki, kiedy była dzieckiem. Szeregi ludzi splecionych ramionami kołysały się w takt muzyki.

Tylko...

Tylko przed frontem tłumu i po bokach widniały plamki czerwieni, wypatroszone ciała najnowszych ofiar, zakrwawione zwłoki mężczyzn, kobiet, dzieci i zwierząt, porozrzucane dookoła, zapomniane i ignorowane jak zwykle produkty uboczne takiego wielkiego zgromadzenia, jak puste styropianowe kubki i papierowe opakowania po kanapkach.

Na szczycie wzgórza kilka kobiet, widocznych tylko jako sylwetki, rozszarpały resztki czegoś, co wyglądało na końskie ściervo.

Śpiew ucichł. Tłum zamilkł jak jeden mąż. Zupełnie jakby czegoś słuchali, chociaż ze wzgórza nie dochodził żaden dźwięk.

Holbrook miał rację, pomyślała Penelope. Ci ludzie rzeczywiście naśladują Dionizosa. Przejmują jego nastroje. Nie tylko oddają mu cześć, ale w jakiś sposób są z nim połączeni, ich uczucia stanowią przedłużenie jego emocji.

Znowu zaczął się ruch, coraz bardziej gorączkowa aktywność, rozprzestrzeniająca się od centrum ogromnego zgromadzenia.

Ludzie zaczęli wchodzić w najdalsze rzędkie winnicy.

- Potrzebujemy pomocy - odezwał się Holbrook. - Przestań się gapić i bierz się za pudła.

On również to zobaczył. W jego głosie dzwięczał strach. Penelope odwróciła się w stronę bagażnika i zauważyła, że Kevin zbladł. Chciała ich obu uspokoić, zapewnić, że nic im nie grozi, że nie zostaną rozszarpani, jeśli ich złapią, ale wiedziała, że to nieprawda. Zostaną zabici.

Ale nie ona.

Ona należała do tamtych.

Zostawili połowę pudeł w otwartym bagażniku i po cichu przebiegli ostatnich kilka metrów dzielących ich od parkingu. Penelope próbowała sobie narzucić pośpiech, starała się zarazić zdenerwowaniem i niecierpliwością Holbrooka, żeby wykrzesać z siebie większą szybkość, ale nie czuła żadnego napięcia, żadnego zdenerwowania, i spieszyła się tylko dlatego, że tak nakazywał rozsądek.

Holbrook przystanął na skraju parkingu, kucnął za drzewem z nisko zwieszonymi gałęziami. Kevin i Penelope poszli w jego ślady. Przed nimi, pomiędzy dwoma budynkami, obok magazynu, stały w rzędzie cztery ciężarówki. Ładowano do nich skrzynki wina Daneam. Penelope przypomniała sobie scenę z *Inwazji porywaczy ciał*, kiedy do ciężarówek ładowano strąki z zarodkami kosmitów, żeby je rozwozić po innych miastach, innych stanach. Czy tutaj działo się to samo? Czy oni próbowali szerzyć rozpustę za pomocą wina? W San Francisco? Los Angeles? Phoenix? Denver? Chicago? Nowym Jorku?

Tak, pomyślała. To miało sens.

Dziwiło ją tylko, że wystarczyło im logiki, żeby o tym pomyśleć, i trzeźwości, żeby to wykonać.

Matka Margeaux, pomyślała.

- Możemy przejść dookoła - szepnęła do Holbrooka. - Obok domu jest chodnik, który prowadzi do głównego budynku, tego, gdzie wytwarzamy wino, i nie widać go z magazynu.

- Magazyn? To jeszcze lepiej - stwierdził Holbrook. - Tam trzymają wszystkie zapasy.

- Tam ładują ciężarówki. Wątpię, czy możemy tam wejść niepostrzeżenie.

- Więc mam nadzieję, że pożar rozszerzy się na magazyn.

- Chodźcie - powiedziała Penelope.

Poprowadziła ich skrajem parkingu, trzymając się za samochodami, żeby ich nie zobaczyli robotnicy ładujący ciężarówki. Przeszli za przewróconym minivanem i Penelope przystanąła. Pudło, które niosła, zrobiło się ciężkie, więc postawiła je na chwilę.

- Co ty robisz? - syknął Holbrook.

- Ręce mi się zmęczyły.
- Masz - powiedział Kevin. - Zamieńmy się. Moje chyba jest trochę lżejsze.
- Na pewno to wystarczy? - zapytała Penelope, kiedy wymienili się pudłami. - Z tego chyba nie wyjdzie wielki pożar.

- Dlatego lepszy byłby magazyn.
- Może raczej powinniśmy spalić dom - zaproponował Kevin.

Dom? Jakoś do niej nie dotarło, że dom też spłonie, chociaż to było oczywiste. Prawdę mówiąc, wcale się nad tym nie zastanawiała. W głębi duszy zakładała, że tylko wytwórnia win się spali, że straż pożarna przyjedzie, zanim ogień przetrzuci się na dom.

Ale nie było żadnej straży pożarnej.

Popatrzyła na dom. Jej dom. Wszystko, co miała, nadal znajdowało się w jej pokoju. Książki, płyty, ubrania, fotografie, wszystkie pamiątki i rzeczy osobiste. Jeśli dom spłonie, nic nie zostanie. Tylko ubranie na grzbiecie. A jeśli jej matki zostaną żabi te...

Musiała uratować przynajmniej album ze zdjęciami.

- W domu nie ma wina - powiedział Holbrook do Kevina. - Przyjechaliśmy tu zniszczyć zapasy wina.

Penelope postawiła pudła, które dał jej Kevin.

- Muszę tam pójść. Muszę zabrać trochę moich rzeczy.
- Nie! - sprzeciwił się gwałtownie Holbrook. Rozejrzał się szybko, zniżył głos. - Nie.
- Tak.

Nie chciała z nim dyskutować, nie chciała, żeby jej zabraniał. Szybko obiegła bmw i pojechała do bocznych drzwi domu.

- Penelope! - zawołał za nią Kevin.

Nie obejrzała się, tylko biegła dalej. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Uchyliła je i zaryła do środka, zanim weszła.

Dom okazał się nietknięty.

Oczywiście. Ten dom należał do menad, prawej ręki boga. Nikt nie ośmielił się tu wtargnąć.

Penelope mogła pobiec na górę, złapać swoje albumy ze zdjęciami i wymknąć się w niecałą minutę.

Wskoczyła do środka, nie zamykając za sobą drzwi, przebiegła przez gabinet matki Margeaux, przez korytarz, po schodach, do swojego pokoju.

Gdzie mama Diona leżała w jej łóżku i uprawiała seks z drugą kobietą.

Leżały na boku, w pozycji sześćdziesiąt dziewięć. Obca kobieta trzymała głowę pomiędzy rozłożonymi nogami mamy Diona, ale mama Diona tylko pieściła srom partnerki i natychmiast zobaczyła Penelope.

Penelope zamarła na progu. Strach i napięcie, których wcześniej nie mogła z siebie wykrzesać, teraz rozkwitły w niej z całą mocą.

Wyczuwając widocznie, że coś się zmieniło, druga kobieta wyciągnęła głowę spod nogi mamy Diona i leniwie spojrzała w stronę drzwi. Zobaczyła Penelope i usiadła.

- To ona! - krzyknęła z podnieceniem, pokazując palcem. - Ona...

Mama Diona złamała jej kark.

Zrobiła to błyskawicznie, z łatwością. Chwyliła głowę kobiety i przekreśliła. Rozległ się głośny trzask, ciało kobiety zwiotczało i opadło na łóżko.

Penelope przez chwilę wpatrywała się w zwłoki, zanim podniosła wzrok na matkę Diona.

- Przyszłam tylko po moje albumy ze zdjęciami - wyjaśniła nieśmiało.

Mama Diona tępo kiwnęła głową. Wydawała się półprzytomna, pijana, ale chyba wiedziała, co się dzieje.

- Uciekaj stąd - powiedziała. - Zabieraj książki i spadaj. Nie powiem im, że tu byłaś.

Penelope chciała zapytać dlaczego, chciała się dowiedzieć więcej, pamiętała jednak, jak kapryśne bywają menady. Szybko podeszła do biurka, otworzyła dolną szufladę i wyjęła albumy.

Czy powinna ostrzec mamę Diona? Mama Diona jej pomogła. Czy powinna się odwdziżyć?

Odwróciła się przy drzwiach.

- Wyjdź z domu - poradziła. - Szybko.

Matka Diona ze znużeniem kiwnęła głową, nie pytając o nic więcej. Penelope zbiegła po schodach, przemknęła przez dom i wybiegła tymi samymi bocznymi drzwiami. Mało nie wpadła na Holbrooka i Kevina, którzy sami dźwigali wszystkie pudła.

- Mam je - oznajmiła, pokazując albumy.

- Myśleliśmy, że masz kłopoty - powiedział Kevin. - Nie spotkałaś nikogo w środku?

Pokręciła głową.

- Nie.

Wzięła jedno pudło od Holbrooka, drugie od Kevina i na wierzchu położyła albumy.

- Tracimy czas - zwrócił im uwagę Holbrook.

- Tędy.

Poprowadziła ich chodnikiem, który okrążał ogród matki Sheili na tyłach domu i biegł dalej za budynkami wytwórni win.

Tyłne drzwi głównego budynku wisiały na jednym zawiasie, betonową płytę przed nimi pokrywała ogromna kałuża zaschniętej krwi. Penelope zawahała się na sekundę, zanim weszła do środka. Zaniepokoiły ją te otwarte drzwi. Ale nie chciała stać tutaj na widoku,

kiedy za rogiem budynku bachanci ładowali na ciężarówkę skrzynie z magazynu.

Holbrook przepchnął się obok niej i wszedł pierwszy.

Penelope spojrzała na Kevina i przez chwilę ich oczy się spotkały. Potem Kevin poprawił pudła w rękach i ruszył za nauczycielem. Penelope poszła za nim.

Budynek wypełniały ciała.

Rozmiar tej jatki zaparł jej dech w piersiach. Po wszystkim, co oglądała przez ostatnie dni, nawet pomimo sceny na łące, uodporniła się na trupy, zaczęła je postrzegać jako ofiary wojny, naturalne skutki bieżącej sytuacji w dolinie.

To jednak wcale nie wyglądało naturalnie.

Długi korytarz był usłany wnętrzościami, wytapetowany mokrą skórą. To, co pozostało z ciał po wypatroszeniu i obdarciu ze skóry, rozwieszono pod sufitem na grubych drutach, używanych do podwiązywania winorośli. Szczątki wisiały nisko i wysoko, rozmieszczone w równych odstępach, tworząc prowizoryczne przepierzenia, pomiędzy którymi wąskie przejście prowadziło zygzakami przez szeroki korytarz.

Najbardziej nią wstrząsnęło to, że rozpoznała niektóre twarze na ścianach. Bezzębne i bezokie, rozciągnięte bezlitośnie, poszerzone, wydłużone, zniekształcone. A jednak widziała znajome rysy, indywidualne cechy w groteskowo zdeformowanych obliczach. Oto wielki nos Tony'ego Veltriego. A tam zrośnięte brwi Marty'ego Roberta.

W korytarzu śmierdziało straszliwie - zgnilizną i rozkładem, krwią, żółcią i ekskrementami - więc Penelope wstrzymała oddech i starała się oddychać przez usta.

Tylko że... wcale nie śmierdziało tak strasznie. Gówno cuchnęło. I zgnilizna. Ale krew pachniała przyjemnie, kusząco, a spod wszystkich woni przebijał słodki zapach wina. Penelope poczuła znajome mrowienie między nogami.

Próbowała nie oddychać przez nos, tylko przez usta, próbowała nie wachać tych zapachów, próbowała o nich nie myśleć.

Obok niej Kevin wymiotował głośno, zgięty wpół i wykręcony w lewo, żeby nie obrzygać pudeł, które trzymał w rękach.

Holbrook już lawirował wąskim pasażem, niefrasobliwie odpychając łokciami zakrwawione zwłoki.

- Jak daleko do wina? - zapytał.

Penelope odwróciła się do otwartych drzwi i głęboko zaczerpnęła powietrza, zanim poszła za nauczycielem. Stopy jej grzęzły w galaretowatych organach i tkankach zaścielających podłogę.

- Drugie drzwi na prawo prowadzą do kadzi - powiedziała.

Kevin, wciąż się krztusząc, szedł za nią, dosłownie jej śladem, z głośnym, mlaszczącym chlupotem.

Holbrook odstawił pudła i kiedy go dogoniła, kopnął w drzwi, widocznie zamknięte na klucz. Kopnął, pośliznął się, upadł w breję na podłodze, wstał i znowu kopnął. Za piątą próbą drzwi lekko ustąpiły, a za szóstą stanęły otworem.

W tłoczni panował porządek. Żadnych ciał, żadnej krwi, żadnych flaków. Holbrook upuścił pudła na podłogę. Popatrzył na ogromne stalowe kadzie i skomplikowaną maszynę. Odwrócił się do Penelope i wskazał rurę z czerwonym zaworem, wystającą ze ściany.

- Jak to działa? - zapytał. - Na elektryczność czy gaz?

- Jedno i drugie - odpowiedziała Penelope.

Nauczyciel wyszczerzył zęby.

- Gaz - powiedział. - Może jednak się uda.

Kevin wtarabanił się do pokoju, chwilejnie wyminął Holbrooka i pokuśtykał jak najdalej od drzwi, zanim postawił pudła i głośno odetchnął.

- Ojej - powiedział Holbrook, zmarszczył brwi i poklepał się po kieszeniach. - Czy ktoś zabrał zapalki?

Serce Penelope skoczyło w piersi.

- Co... - zaczął Kevin.

Holbrook uśmiechnął się szeroko.

- Żartowałem. - Otworzył jedno pudło. - Pospieszcie się. Do roboty.

Pod nadzorem nauczyciela nasączyli szmaty i gazety benzyną i ułożyli z nich stopy w strategicznych miejscach. Penelope pokazała Holbrookowi zawory odpływowe, a on odkręcił trzy na najmniejszy wypływ. Opary coraz bardziej utrudniały oddychanie i nawet Kevin wystawiał głowę za drzwi, żeby łyknąć powietrza.

- Czy to nie wybuchnie, kiedy zapalisz zapalkę? - spytał. - Jak się wydostaniemy na czas?

Holbrook wytrząsał ostatnie krople benzyny na ścieżkę łączącą kupki szmat. Odrzucił kanister i podszedł z uśmiechem.

- Nie jestem kompletnym kretynem. - Sięgnął do kieszeni i wyjął zaklejoną kopertę. Otworzył ją. W środku znajdował się biało-niebieskawy krystaliczny proszek.

- Chlor - wyjaśnił. Kevin zmarszczył brwi.

- Tak?

Nauczyciel sięgnął do swojego pudła, wydobył plastikowy pojemnik z olejem do skrzyni biegów.

- Zmieszaj jedno z drugim i wywołasz pożar.

- Zapalką też. W czym rzecz?

- Opóźniona reakcja. Upłynie około minuty, zanim się zacznie. Postawię to obok papierów nieobłanych benzyną. Najpierw muszą się spalić. Potem zajmą się szmaty. Potem ogień się rozszerzy. Zanim wszystko wybuchnie, będziemy już daleko.

- Mam nadzieję, że się uda - powiedział Kevin.

- Uda się.

Skończyli rozkładać w pomieszczeniu gazety, szmaty i pudła.

- Okay - powiedział Holbrook. - Już czas.

Wlał do koperty trochę oleju i odstawił prawie pełny pojemnik pod ścianę. Potrząsnął kopertą, żeby wymieszać zawartość, potem zwinął ją i położył obok długiego rulonu gazet.

- Dupy w troki - rozkazał.

Pobiegli. Penelope pośliznęła się w korytarzu, wpadła na jedno z ciał, uderzyła twarzą w lepką klatkę piersiową, ale nie zwolniła. Po kilku sekundach wszyscy troje wynurzyli się na zewnątrz.

Budynek otaczały młode dziewczyny, ubrane na białą, trzymające się za ręce.

- Co to? - zapytał Kevin. - Co one robią?

- To dziewice - wyjaśnił nauczyciel.

- Westalki - dodała Penelope.

- Albo kapłanki Hestii. Zostaną poświęcone bogini ogniska domowego.

- Poświęcone? Co to znaczy, do cholery? Złożone w ofierze?

- Nie. Po prostu zostaną służebnicami bogini albo kapłankami. Poświęcą jej życie. Zostaną zabite tylko wtedy, jeśli złamią śluby.

- Jezusie. - Kevin westchnął.

- Dziewice są chyba trzeźwe - zauważył Holbrook.

- To znaczy...

- Nie mamy wyboru - uciął Holbrook. - Musimy uciekać.

Spojrzał na Penelope, która kiwnęła głową.

Wpadli pomiędzy dwa budynki i popędzili w stronę parkingu. Na pewno ich widziano, ale obyło się bez dzikich wrzasków i zażartego pościgu. Dziewice stały bez ruchu i trzymały się za ręce, a pozostali wyznawcy dalej śpiewali i tańczyli z okazji święta winobrania.

Trójka podpalaczy bez kłopotów dotarła do samochodu.

Dojeżdżali już do miasta, kiedy budynek wyleciał w powietrze.

15.

Szpitalny pokój zaczynał cuchnąć.

Mel Scott rozejrzał się po głowach zamocowanych na ścianach, po ciałach lekarzy i pielęgniarek na podłodze. Muchy jakoś dostały się do środka i roily się wszędzie, brzęczały, nieustannie brzęczały, przysiadły na śmierdzących trupach i głowach, po czym znowu irytująco podrywały się do lotu.

Raj nie miał tak wyglądać.

Głowa go bolała. Bolała przez cały dzień, jak na kacu, chociaż starał się ani na chwilę nie wytrzeźwieć. Prędzej groziło mu delirium tremens niż kac.

Barbara nie żyła.

Próbował wyruchać ją z powrotem do życia, wziął ją najpierw w cipkę, potem w odbyt, potem w usta, ale pozostała zimna. Modlił się do nowego boga, ale bóg chyba go opuścił.

A teraz kończyło mu się wino.

Pokój cuchnął i kończyło się wino.

Raj miał inaczej wyglądać.

W kościele znowu pojawili się ludzie.

Modlili się.

Do Boga.

Pastor Robens wyrzwał przez szparę w drzwiach. Porzucili Boga, oni wszyscy, opuścili Go dla tego pijanego greckiego bożka, a teraz wrócili.

Ale za późno.

Opuścili Boga, a teraz Bóg ich opuścił.

Pastor słuchał żarliwych modlitw, rozpaczliwych głosów. Po cichu zamknął drzwi na klucz. Wrócił do biurka i butelki wina. Za pierwszym razem mieli rację. Powinni oddawać cześć bogu wina, nie temu judeochrześcijańskiemu bóstwu. On tylko wznosił ten budynek.

Nowy bóg był właścicielem.

I należał mu się zaległy czynsz.

Nick Nicholson czuł, że umiera.

Zabrał kilku ze sobą, gnojków, którzy nie wierzyli, że wino Daneam się skończyło, ale było ich dwudziestu, a on tylko jeden i w końcu go załatwili.

Sama chwila śmierci nie była bolesna, ale nie była też przyjemna. Nie oznaczała uwolnienia ani przemiany. Tylko kontynuację. Coś innego. Ani lepszego, ani gorszego. Zabili go, zatłukli go na śmierć, potem przenieśli go przez rzekę do podziemnego świata.

Wstał i odszedł.

Napotkał innych martwych mężczyzn - i martwe kobiety, martwe dzieci, martwe psy - ale nie rozmawiał z nimi. Nie mógł z nimi rozmawiać.

Coś poszło źle. Nie wiedział, na czym to polegało, ale to wyczuwał. Nie tutaj powinien trafić. To nie był prawdziwy podziemny świat. To był cień realnego świata, amatorska wersja profesjonalnego przedstawienia.

Która nie przetrwa. To również wyczuwał. Nie utrzyma się długo. Jest tylko tymczasowa.

Wpadł na kobietę, która miała oderwane ramiona. Zderzyli się mocno czołami i chciał ją przeprosić, ale nie mógł.

Cofnął się, skręcił w prawo, ruszył dalej.

16.

Na ulicach było pusto i bez przeszkód dojechali do domu Holbrooka. Kevin nie wiedział, jak silny był wybuch i czy ogień rozszerzył się na magazyn, wiedział jednak, że żadne wozy straży pożarnej nie popędziły na miejsce wypadku, co uznał za dobry znak.

Ale co dalej? Nawet jeśli udało im się zniszczyć wszystkie butelki wina Daneam - w co wątpił - czy bachanci nie mogą po prostu wziąć wino z innej winnicy? Cholera, według ostatnich danych w dolinie było jakieś osiemdziesiąt pięć wytwórni win. Żaden kłopot.

Nawet jeśli to niemożliwe, nawet jeśli całkowicie pozbawiono ich dostępu do alkoholu, to nie znaczyło, że wszyscy automatycznie umrą albo wyparują.

Pewnie tylko się wkurzą.

A wtedy nie chciał im wpaść w ręce.

Holbrook zaparkował samochód na podjeździe. Kevin obejrzał się na nauczyciela. Nigdy za nim nie przepadał, a teraz jeszcze bardziej go nie lubił. Facet tak się wywyższał i zadzierał nosa, kiedy wygłaszał wykład o Dionizosie i menadach, kiedy chwalił się przynależnością do tajnego stowarzyszenia, ale nie wymyślił nic lepszego niż spalenie kilku budynków - i nie dałby rady tego zrobić bez Penelope.

Poza tym chciał jej się dobrać do majtek.

Holbrook odwzajemnił spojrzenie i Kevin odwrócił wzrok. Nie wiedział, skąd o tym wie, a jednak miał pewność. Nauczyciel mógł udawać aseksualnego i rzeczowego, całkowicie ponad takie przyziemne sprawy, ale Kevin widział, jak tamten patrzył na Penelope

w wytwórni win, i rozumiał, co znaczyło to spojrzenie.

Może nie chodziło o samą Penelope. Może facet chciał tylko sprawdzić, jak to jest pieprzyć menadę.

Tak czy owak Kevinowi to się nie podobało.

Wysiadł z samochodu.

- Więc taki był plan owarian? - zapytał. - Spalić wytwórnię win?
- Owidian - poprawił nauczyciel. - Nie, to był mój pomysł.
- I co robimy dalej?
- Mam pomysł.
- Jaki?
- Zobaczysz.

Weszli do domu i Holbrook ruszył korytarzem do piwnicy.

- Zaraz wracam! - zawołał. Kevin popatrzył na Penelope.
- Myślisz, że coś osiągnęliśmy?
- Nie wiem.
- Tam było cholernie dużo ludzi. Wątpię, czy zrobiliśmy wyłom w szeregach.
- Nie tylko Dionizos... Dion... tak ich zmienia. To wino. Nasze wino. Dlatego sprzedawały je wysyłkowo.

- Co jest takiego wyjątkowego w tym winie?
- Nie wiem - przyznała Penelope.

Podeszli do kanapy, usiedli. Nie obok siebie, ale również nie na dwóch przeciwległych końcach. Kevin wyraźnie uświadamiał sobie, że ich dłonie, spoczywające na obiciu kanapy, prawie się dotykają.

On też chciał jej się dobrać do majtek.

Tak, musiał się do tego przyznać. Pociągała go Penelope i chyba był odrobinę zazdrosny o Holbrooka.

Sumienie go gryzło z tego powodu. Była dziewczyną Diona i chociaż Dion zmienił się w potwornego boga, nie należało odbijać dziewczyny przyjacielowi.

Zresztą i tak nie mógł jej odbić. Ona nadal kochała Diona.

Spojrzał na Penelope, potem zerknął w głąb korytarza i zmarszczył brwi. Coś tu nie grało. Nie wiedział, o co chodzi, ale nagle poczuł się nieswojo.

- Jack - powiedziała Penelope, jakby czytała mu w myślach.

Tak, o to chodziło.

Policjant przestał wrzeszczeć.

Kevin wstał. Zbieg okoliczności? Jack mógł odsypiać swoje alkoholowe ekscesy. Ale Holbrook nie wracał już bardzo długo i Kevin miał przeczucie, że coś jest bardzo nie w porządku.

Odwrócił się do Penelope, która również wstała.

- Gdzie są kluczyki? - zapytał. - Kluczyki do naszego samochodu, do mercedesa.
- W mojej kieszeni.

Napotkała jego spojrzenie.

- Przygotuj się - ostrzegł.

Ruszyli po cichu w stronę korytarza, nasłuchując. Nie słyszeli nic i Kevin zaczął się bać. Zamierzał poprosić Penelope, żeby wyszła z domu i uruchomiła samochód, żeby przygotowała się do natychmiastowego odjazdu, jeśli Holbrookowi coś się stało...

jeśli tam na dole coś jest

...ale brakowało mu odwagi, żeby samemu zejść do piwnicy, więc nie protestował przeciwko jej obecności.

Stanęli przed drzwiami do piwnicy.

Na dole nie paliło się światło.

- Holbrook! - zawołał Kevin.

Brak odpowiedzi.

Spojrzał w lewo, na koniec korytarza, i dopiero teraz spostrzegł, że drzwi sypialni tylko wydawały się zamknięte. Pomarańczowa smużka popołudniowego słonecznego blasku prześwitywała między skrzydłem drzwi a ościeżnicą.

Jack uciekł.

- Jack! - zawołał Kevin. Brak odpowiedzi.

- Chodźmy stąd - szepnęła Penelope.

Kevin sięgnął za framugę, żeby zapalić światło w piwnicy. Wyłącznik był już przekreślony.

- Dla mnie wystarczy dowodów - oświadczył. - Wiejemy.

Na dole ktoś jęknął.

Wymienili spojrzenia.

- Jeden z nich jest ranny albo to pułapka - stwierdził. - Nie ma innej możliwości.

- Co chcesz zrobić? Ty decyduj.

Spojrzał w ciemność, wziął głęboki oddech.

- Odpalaj silnik - powiedział. - Przygotuj się do odjazdu.

Kiwnęła głową.

- Nie czekaj. Jeśli coś się stanie, uciekaj.

Uśmiechnął się do niej.

- Z tym nie mam trudności.

Penelope pobiegła korytarzem, a Kevin zebrał odwagę i ruszył na dół po schodach.

- Holbrook! - zawołał. - Jack!

Znowu ktoś jęknął.

Kevin zbiegł ze schodów i zatrzymał się na dole. W ciemności na drugim końcu piwnicy zobaczyłtrolle: niskie, kudłate stwory, trzymające włócznie z szyszkowatymi grotami. Wyteżył wzrok i spostrzegł, że to wcale nie byłytrolle.

To były matki Penelope.

Nagie kobiety jak jedna podniosły się i wyprostowały. Były brudne, urnazane błotem i krwią, ochlapane winem. Rozczochrane, skołtunione włosy, sterczące dziko na wszystkie strony, nadawały im ten niehumaniczny wygląd

Wiedziałyby, jak zareagować, gdyby nie były ludźmi, gdyby zobaczył prawdziwe potwory. Ale to odkrycie okazało się znacznie bardziej przerażające i zaszokowało go do tego stopnia, że nie mógł się ruszyć z miejsca.

Za nimi na podłodze leżała papkowata krwawa masa, która mogła być Jackiem albo Holbrokiem.

Albo nimi oboma.

Kobiety śmiały się i trajkotały w jakimś obcym języku.

Kevin szybko rozważył możliwości: mógł poszukać broni, mógł z nimi walczyć, mógł uciekać.

Uciekł.

Wbiegł po schodach, biorąc po trzy stopnie naraz, przemknął przez korytarz, ścigany wrzaskami menad. Wypadł z domu, zatrzasnął za sobą drzwi i wskoczył do samochodu, który Penelope trzymała na jałowym biegu.

- Jedź! - krzyknął.

Odjechali.

Penelope przyspieszyła tak ostro, że wcisnęło go w siedzenie, zanim zdążył zapiąć pas.

- Dokąd? - zapytała.

Kevin wciąż dyszał ciężko, serce mu waliło i nie mógł wykrztusić ani słowa. Pokręcił głową.

- Nie martw się - powiedziała. - Coś znajdziemy.

Penelope leżała w ciemności, patrząc w sufit.

Zaszyli się w małym mieszkanku na północnym krańcu miasta, w ostatnim segmencie jednopiętrowego kompleksu, odwróconego od ulicy. W samochodzie mieli śrubokręt Keviną, ale wszystko inne zostawili u Holbrooka i nie mogli znaleźć żadnej broni oprócz noży do masła i nożyczek.

- Myślisz, że to ostatnie dni naszego życia? - zapytał Kevin, kiedy krążyli po ulicach, szukając łatwego do obrony miejsca na nocleg. - Myślisz, że przeżyjemy?

- Jasne, że przeżyjemy - pocieszyła go.

Ale ten zwrot „ostatnie dni” utkwił jej w pamięci i pomimo pozornego optymizmu wcale nie miała pewności, że przeżyją.

Dlatego zastanawiała się, czy go nie zgwałcić.

Nie zrobiła tego, nie mogła. To nawet nie byłby gwałt, ponieważ on tak wyraźnie jej pragnął - widziała wypukłość nieustannej erekcji w jego spodniach - ale to wydawało się niewłaściwe. Chciała mu wynagrodzić ostatnich kilka dni, dać mu zasmakować seksu chociaż raz w życiu, gdyby nie wyszli z tego żywi, ale coś ją powstrzymywało i nie uległa temu impulsowi.

Dziwne, pomyślała, że w ciągu tak krótkiego czasu można całkowicie zmienić opinię o drugim człowieku. Znała Kevina Harte'a niemal przez całe życie. Chodziła z nim od pierwszej klasy. Nigdy go specjalnie nie lubiła, zawsze uważała go za palanta, teraz jednak stał się dla niej najbliższą osobą. Ufała mu w pełni.

Widać życie bardziej przypominało film, niż myślała.

W radiu usłyszeli wzmiankę o Napa. Wiadomości na stacji AM z San Francisco. Reporter powiedział, że na autostradzie stanowej 29 miał miejsce wypadek związany z radioaktywnymi odpadami, dlatego wszystkie drogi prowadzące do Doliny Napa są zamknięte do odwołania.

Radioaktywne odpady?

Spojrzała na Kevina. On pokręcił głową.

- Pewnie to ich standardowa historyjka, kiedy nie wiedzą, co się dzieje. Nikt nie chce przyjeżdżać i gapić się na radioaktywne odpady. Dobry sposób, żeby trzymać ciekawskich z daleka.

- Jak wyjaśnią, co się naprawdę zdarzyło?

Kevin wrzucił ramionami.

- Czynniki biologiczne. Powiedzą, że to coś przenieszonego przez wiatr, jakiś halucynogen, który wywołał masową histerię.

- Myślisz, że to się uda? Dionizos zestrzeli helikoptery z nieba piorunami, jeśli przylecą na zwiady. Jak to wyjaśnią?

- Nie martw się - powiedział Kevin. - Wyjaśnią.

Potem jechali w milczeniu, szukali miejsca na nocleg i wreszcie wylądowali tutaj, w tym mieszkaniu.

Teraz leżała sama w łóżku i wpatrywała się w ciemny sufit. Zastanawiała się, jak ułożyłoby się między nią a Dionem, gdyby nie tamto. Nie była naiwna. Wiedziała, że większość szkolnych romansów trwa tylko do matury. I zdawała sobie sprawę, że krótko się znali z Dionem, nie zdążyli się dobrze poznać. Ale kochali się mocno i prawdziwie i przypuszczała, że mogli zostać razem, pójść razem na studia. Oboje byli inteligentni, dobrze się uczyli i nie nie stało na przeszkodzie, żeby poszli na ten sam uniwersytet.

Doskwierała jej tylko myśl, że ich wzajemne zauroczenie, ich miłość została w nich zaprogramowana, genetycznie wyhodowana, zaplanowana. Nie wiedziała, czy to wpłynęło na prawdziwość ich wzajemnych uczuć, ale skaziło je i wywołało w niej nieprzyjemne wrażenie, że nie kieruje własnym życiem, nie ma wolnej woli.

Dion jednak zrozumiałby to, gdyby mogła z nim porozmawiać, i może fakt, że oboje zdawali sobie sprawę z sytuacji, pozwoliliby im uniknąć pułapek i ominąć przeszkody spiętrzone na ich drodze.

Przypomniała sobie, jak wyglądał, kiedy po raz pierwszy go zobaczyła w kolejce w kafece. Niezręczny i nerwowy, ale w pociągający sposób. Atrakcyjny. Pamiętała, jak się przestraszyła, kiedy zemdłał na festynie, jak wpadła w panikę, kiedy się przewrócił, jak chciała się nim opiekować, kiedy leżał bezradnie na ziemi. Przypomniała sobie brzmienie jego głosu, dotyk jego skóry.

Zaczęła płakać.

Próbowała skierować myśli w inną stronę, ale przypomniał jej się dom, miejsce, gdzie się urodziła i dorastała, teraz doszczętnie spalone, i rozplakała się jeszcze bardziej.

W ciemności coś się poruszyło, a potem dłoń pogłaskała ją po czole. Łagodny głos Kevina szeptał jej do ucha:

- Już dobrze. Nie płacz.

Przekręciła się, wyciągnęła ręce, objęła go i przyciągnęła do siebie, a on ją przytulił i pozwolił jej płakać na swoim ramieniu.

- Już dobrze - powtarzał. - Już dobrze.

Leżeli tak przez chwilę, aż jej łzy wyschły. Zasnęła, wciąż go obejmując.

We śnie leżała na łące, na plecach przed Dionizosem, z szeroko rozłożonymi nogami. Był ogromny i kiedy w nią wszedł, czuła, jakby ją rozdzierał od środka, ale czuła też przyjemność i napierała na niego gwałtownymi ruchami, żeby wbił się jeszcze głębiej.

Jego orgazm wybuchnął potężną eksplozją roztopionego nasienia, które paliło ją od środka jak kwas.

Stwór na wpół ludzki, na wpół przypominający mrówkę wyskoczył z jej brzucha.

Zbudziła się z krzykiem.

17.

Potrzebował Zeusa.

Nigdy nie przypuszczał, że tak trudno jest rządzić. Często złościły go zakazy i nakazy Zeusa, często cierpiał z powodu kaprysów Hery i niejednym raz żałował, że nie on rządzi na Olimpie, nie on dyktuje warunki i podejmuje decyzje.

Ale nie miał głowy do administracji i organizacji. Olimp zawsze stanowił luźną konfederację wolnych osobników, on jednak nie potrafił się podporządkować nawet najbardziej liberalnym zasadom. Nie potrafił postępować racjonalnie i logicznie. Po prostu to nie leżało w jego naturze.

Zaczął odczuwać skutki napięcia. Czuł się zmęczony, cierpiał na przewlekłe bóle głowy. Zabijał wszystko, co napotkał, pieprzył wszystko, co się rusza, wypił dość wina, żeby zwalić z nóg armię, ale nic nie pomagało. Brzemień władzy wciąż ciążyło mu nieznośnie na barkach.

A teraz zapasy wina zostały zniszczone.

Menady zrobią więcej wina, ale to musi potrwać. Na razie pozbawiono ich nektaru. Przyniesiono inne wino i wypił beczułkę, ale to nie było jego wino, to nie było to samo. Nie miało takiej samej mocy, nie uderzało do głowy.

Musiał sprowadzić innych.

Tak, w tym sedno. Próbował sam sobie radzić i poniósł porażkę. Zeus pewnie wymierzy mu karę, Hera pewnie będzie gderać przez wieczność i sabotować wszystkie jego romantyczne związki, ale warto ich wezwać z powrotem. I pozostałych bogów też.

Ale jak ich wskrzesić? Penelope? Penelope go nie chciała. Chciała go przedtem. Należała do niego przedtem. Kiedy jeszcze nie był sobą. Teraz go nienawdziła, bała się go, chciała go zabić.

Mógł ją zmusić. Mógł ją zgwałcić, napełnić ją boskim nasieniem po same gardło. Ale nie chciał.

Dreęczyło go głębokie, bolesne poczucie straty.

Tak nie miało się stać. Tak nie miało się skończyć.

Popatrzył w niebo. Dionizos zakochany? Niemożliwe. Przez tysiące lat nie przywiązał się emocjonalnie do żadnej kobiety, którą posiadał.

Ale te emocje nie pochodziły od niego.

Pochodziły od niego.

Spuścił wzrok. Przed nim paradowała kobieta. Kiedy zobaczyła, że zwrócił na nią uwagę, pochyliła się i ofiarowała mu siebie.

Chwyciła ją, złapał za ramiona i wbił na członka.

Zaczął ją pieprzyć.

A kobieta zaczęła się zmieniać.

Radował się tym, co robi, rozkoszował się każdym wrzaskiem, każdym męczeńskim niuansem jej transformacji, ale jednocześnie przerażało go własne okrucieństwo, całkowity brak współczucia dla ofiary.

Zmieniła się w kożę, zanim skończył. Zerwał ją z siebie, rozdarł i pozwolił, żeby gorąca krew zrosiła mu włosy, spłynęła po czole i policzkach.

Ale chociaż bardzo się starał, nie potrafił się tym cieszyć w pełni. Nawet krew nie poprawiła mu nastroju.

18.

Rano poczuła się... lepiej.

Dziwne, ale czarny pesymizm z poprzedniej nocy zniknął, zastąpiony ostrożnym optymizmem. Zupełnie jakby nocny płacz splukał obawy i wątpliwości.

I ukazał nowe perspektywy.

Penelope usiadła. Kevin, który w ciągu nocy wymknął się do swojego łóżka, jeszcze spał. Wstała i podeszła do okna. Uniosła jedną żaluzję, wyjrzała na zewnątrz. Zobaczyła pogodny, słoneczny poranek, rzadkie zjawisko, co jeszcze bardziej dodało jej otuchy.

Przez cały czas usiłowała zapomnieć, że jest menadą, usiłowała stłumić i wyprzeć ten aspekt swojej osobowości.

Ale teraz zrozumiała, że właśnie to może ich uratować.

Menady każdej jesieni rozdzierały Dionizosa na strzępy w krwiozerczym szale.

Popatrzyła na błękitne niebo.

Wiedziała, co musi zrobić.

Kevin obudził się jakąś godzinę później.

Penelope odwróciła się od okna i patrzyła, jak gramolił się z łóżka.

- Wiesz - powiedziała - przedtem cię nie lubiłam.

Kevin cofnął się z udawanym oburzeniem.

- *Moi?*

Uśmiechnęła się.

- Wydawałeś się taki... sama nie wiem. Taki twardy.

- Twardy? - Kevin roześmiał się głośno, swobodnie, co w tych okolicznościach wydawało się przynębiająco niestosowne. - Myślałaś, że jestem takim typkiem od zbiorowych gwałtów?

- Nie całkiem. Po prostu wydawałeś się... nie wiem.

- A teraz myślisz, że jestem twardy?

Pokręciła głową z kpiącym uśmiechem.

- Jesteś mięczak.

Roześmiał się ponownie, naciągając koszulę.

- Więc znowu zostało nas dwoje. Co teraz?

- Musimy go zabić.

Zagapił się na nią.

- Przecież mówiłaś, że to ciągle Dion, że nie możemy go zabić, że nam nie pozwolisz.

- To jedyny sposób. - Odetchnęła głęboko. - Dion nie wróci.

- Ale...

- Myślę, że on tego chce.

Kevin zastanawiał się przez chwilę.

- Jak to zrobimy? W ogóle jak się do niego zbliżymy?

- Chyba muszę się upić - powiedziała powoli.

- Nie!

- Może nie całkiem upić - ustąpiła. - Ale muszę wypić trochę wina. To jedyny sposób, żeby się tam wkręcić.

- Staniesz się...

- Taka jak oni? - Pokręciła głową. - Nie przypuszczam. Nie wypiję tyle, żeby stracić nad sobą kontrolę. Tylko tyle, żeby trochę zmienić moją percepcję.

- Ale po co?

- To mi pomoże stać się tym, czym powinnam.

- Menadą?

- Menadą.

- I co wtedy?

- Rozszarpię go.

Cisza zawisła pomiędzy nimi. Kevin odchrząknął, zaczął coś mówić i znowu zapadł w milczenie.

- Nie prosiłam się na ten świat - powiedziała cicho Penelope. - Ale jestem tym, czym jestem. Mogę z tym walczyć, mogę to odrzucić. Albo mogę to wykorzystać do naszych celów.

- Podeszła do łóżka, usiadła obok Kevina. - Długo nad tym myślałam i to jedyny sposób. Nasza jedyna szansa. I tak miało się wydarzyć. Ja tylko... przyspieszę zakończenie.

Zdobył się na nikły uśmiech.

- Długo myślałaś, tak? Główka cię nie rozbolała?

Szturchnęła go lekko w ramię.

- Chodź, wysepimy jakieś śniadanie. Potrzebujemy energii.

Znaleźli nieotwartą butelkę wina w głębi kuchennego kredensu. Lokator mieszkania najwyraźniej nie pił, ale widocznie dostał wino w prezencie z okazji parapetówki i butelka, jeszcze obwiązana czerwoną wstążką, czekała na nich za workiem mąki.

Penelope wyciągnęła ją i przeczytała etykietę.

- Galio - oznajmiła z uśmiechem. - Nie Daneam, ale wystarczy.

Na razie nie piła, bo nie ufała sobie. Chciała zaczekać do ostatniej chwili. Butelka leżała na siedzeniu samochodu pomiędzy nimi. Kevin prowadził.

Wino.

Penelope ciągle zerkała na butelkę, niecierpliwie, wyczekująco. Chciała ją otworzyć i wypić wszystko jednym haustem.

To ją niepokoiło.

Miała nadzieję, że robi to, co należy.

Ubrania mieli brudne i śmierdzące, niezmieniane od kilku dni, ale tutaj prawie nikt nie nosił ubrań. Penelope kazała Kevinowi zdjąć koszulę i nożyczkami obciąła mu dżinsy. Czowała go przez tkaninę, kiedy na klęczkach kroila nogawki, jej palce instynktownie obejmowały jego erekcję i w pewnej chwili chciała włożyć ją sobie do ust, w pewnej chwili on wyraźnie chciał, żeby tak zrobiła. Ale wtedy skończyła z nogawką i wstała.

Podarła własne ubranie, żeby wyglądało jeszcze bardziej niechlujnie, nadal jednak nie była zadowolona ze swojego wyglądu. Zamierzała powiedzieć coś lekkiego i zabawnego, obrócić wszystko w żart, ale zamiast tego odwróciła się do Kevina i powiedziała po prostu:

- Jak dojedziemy na miejsce, zdejmę górę.

On też chciał zażartować w odpowiedzi, ale tylko kiwnął głową.

Ulicę prowadzącą obok pola blokowały wraki samochodów, śmiecie i gnijące trupy zwierząt. Zaparkowali obok biura Avis, gdzie Penelope trafiła ostatnim razem. Wysiadła z samochodu, odetchnęła głęboko i ściągnęła podkoszulkę. Słońce grzało jej skórę, ale przenikało ją zimno. Nigdy w życiu nie czuła się taka obnażona, taka bezbronna. Spojrzała na swoje piersi, zobaczyła, że sutki stwardniały. Chciała, żeby Kevin na nią spojrzał, żeby ją zobaczył, on jednak umyślnie odwracał wzrok i kiedy już nie mógł inaczej, starał się patrzeć tylko na jej twarz.

Wyjęła butelkę wina z samochodu.

Poszli.

Powietrze przyjemnie opływało jej ciało, butelka przyjemnie ciążyła w rękę. Odkryła, że to jej się podoba. Dobrze się bawiła. Po raz pierwszy, odkąd Dion się... przemienił, czuła się szczęśliwa.

Boże, miała nadzieję, że tego nie schrzani.

Dotarli na skraj pola. Panował tutaj tłok jeszcze większy niż przedtem, o ile to możliwe. Oprócz wyznawców widzieli satyry i nimfy, centaury i gryfy, i chociaż taka scena mogłaby

wyglądać sielsko i uroczonie na obrazie albo we fragmencie *Fantazji* ilustrującym muzykę Beethovena, rzeczywistość przedstawiała się inaczej. Mitologiczne stwory były brudne i odrażające, groźne i straszne, budzące lęk nie tylko dzikim wyglądem i agresywną postawą, ale także samym swoim nienaturalnym istnieniem.

Centaur nadepnął na gryfa, a orlogłowy stwór z przesywającym wrzaskiem wzbil się w powietrze i zaatakował - spikował jak bombowiec, lwie pazury rozdarły koński grzbiet centaury.

Zielonkawa nimfa, obserwująca tę scenę, uśmiechnęła się złośliwie i zaczęła się głaskać.

Penelope chwyciła Kevina za rękę, pociągnęła do przodu.

- Zaczynamy.

Jak się spodziewała, jak miała nadzieję, nikt ich nie napastował. Nikt ich nie zatrzymał, nikt nie zastąpił im drogi. Nikt ich nawet nie zauważył. Dionizos na pewno wiedział o ich obecności, ale nikogo za nimi nie posłał, nie próbował ich powstrzymać.

Powinni to zrobić już dawno, pomyślała. Wyznawcy nie mogli ich rozpoznać jako intruzów. Głupio zrobili, że uciekli, że się ukrywali. Dionizos i menady byli niebezpieczni, ale reszta stanowiła bezmyślne bydło, tępe zwierzęta, żyjące tylko dla hedonistycznych przyjemności. Ona, Kevin, Jack i Holbrook przeceniali zagrożenie ze strony wyznawców Dionizosa. Przypisywali bachantom zbyt wiele inteligencji.

Nad brzegiem rzeki napis wykonany domowym sposobem w jaskrawych, odbłaskowych kolorach głosił: „Styks”. Na drugim brzegu ziemia była czarna, jałowa. Zmarli włożyli się bezmyślnie wśród spalonych drzew i zwęglonych ruin.

Obok przebiegły z wrzaskiem matka Janine i matka Margaret, nagie, z uniesionymi włóczniami o szyszkowatych grotach ociekających krwią. Penelope chciała je zawołać, ale się rozmyśliła. Wolą nie mieć z nimi do czynienia.

Gdzie jest Dion?

Oto wielkie pytanie. Spojrzała ponad polem w stronę drzew, gdzie stał jego tron. Czy tam go znajdzie? Nie przypuszczała, ale równie dobrze mogła zacząć od tamtego miejsca.

Zaledwie wyszli z Kevinem na otwartą przestrzeń, wyskoczyła przed nimi matka Janine. Najwyraźniej miała laktację, podwójne strużki rzadkiego mleka znaczyły jej spaloną słońcem skórę od sutków do pępka.

- Przyszedł się do nas przyłączyć?

Penelope starała się mówić bełkotliwym głosem.

- Gdzie on jest?

- Chcesz go?

Przytaknęła.

Matka wskazała na północny wschód, w stronę gór.

- On jest na nowym Olimpie, przygotowuje dom bogów. - Zniżyła głos, uśmiechnęła się chytrze. - On czeka na ciebie.

Zimny dreszcz przeszył Penelope.

- Nigdy nie miałaś mężczyzny, dopóki nie miałaś boga. - Zarechotała lubieżnie. - Po-tem krwawiłam. Ciągle jeszcze krwawię w środku.

Penelope cofnęła się.

Za jej plecami wyrosła matka Margaret.

- Znudziło mu się czekać na ciebie, wiesz? - Penelope czuła wino w gorącym oddechu matki. - To nas użyje do odrodzenia mieszkańców Olimpu.

Otaczały ją. Czyżby wiedziały? Czy potrafiły rozpoznać, że udawała?

- Gdzie jest matka Felice? - zapytała.

Matka Janine zaśmiała się pijacko. Odwróciła się bez słowa, uniosła włócznię i puściła się w pogoń za nastoletnim chłopcem, który biegł przez łąkę.

Penelope rozejrzała się dookoła.

- Gdzie ona jest?

Matka Margaret wyszczerzyła zęby.

- Zapytaj ją. - Wskazała mamę Diona, która stała obok w milczeniu.

Penelope przeniosła wzrok na matkę Diona, czując narastający niepokój.

- Gdzie moja matka?

- Nie żyje - odpowiedziała cicho April.

- Co?

Wstrząs widocznie odmalował się na jej twarzy. Mama Diona patrzyła na nią z prawdziwym współczuciem.

- On ją zużył. Wykończył ją. Załatwił ją.

Penelope zatoczyła się do tyłu, jakby otrzymała cios w żołądek i jednocześnie dostała ataku serca. Nogi się pod nią ugięły. Prawie nie mogła oddychać. Kevin wziął ją za ramię i podtrzymał.

- Gdzie? - zdołała wykrztusić.

April już szła, wzywając ich gestem. Obie matki uciekły. Penelope szła za matką Diona przez pole, przez tłum, opierając się na Kevinie jak na kuli. Czuła się pusta w środku, wydrążona. Wszystko dookoła działa się powoli, jak w zwolnionym tempie, z kilkusekundowym opóźnieniem.

Jej matka nie żyła.

Jeszcze nie przetłumaczyła sobie tego faktu na emocje. Szła za matką Diona obok mężczyzn uprawiających grupowy seks z nimfami, obok ucztujących satyrów, pomiędzy drzewa.

Jej matka leżała na trawie przed tronem boga.

Penelope uklękła obok matki. Nic nie widziała przez łzy, ale ujęła dłoń zmarłej, pogładziła zimną, miękką skórę.

- Nie zdążyliśmy się pożegnać - powiedziała i te słowa wywołały szloch. - Nie zdążyliśmy...

Ale nie mogła dokończyć zdania.

Kevin patrzył, jak Penelope płacze nad ciałem matki, i sam zaczął płakać. Co się stało z jego rodzicami? Czy też nie żyli? On również nie miał okazji się pożegnać. Ostatnio widział ich w domu, kiedy go ścigali i musiał uciekać.

Czy wtedy widział ich po raz ostatni?

Dopiero widok Penelope ściskającej rękę matki, łkającej, z twarzą zalaną łzami i usmarowaną, uświadomił mu w pełni osobistą tragedię, która się tutaj rozgrywała. Zajęci uciekaniem, ukrywaniem się i planowaniem kolejnych posunięć, postrzegali martwe ciała niemal jak rekwizyty w filmie grozy, przerażające tło, przeszkody na drodze. A przecież każdy trup, chociaż okropny, był niegdyś człowiekiem: matką, ojcem, córką, synem. Każdy oznaczał stratę.

Przedtem tego nie dostrzegał tak wyraźnie.

Stał nad Penelope i ocierał oczy. Wstydził się patrzeć na nią, oglądać tak nieokiełznaną rozpacz, ale nie mógł odwrócić oczu. Płakała i on płakał, i dopiero po chwili dotarło do niego, że mama Diona też płacze.

Mama Diona.

Jedna z tamtych.

Odwrócił się do niej.

- Co ty tu robisz? Czego tu szukasz?

- Chcę wam pomóc - powiedziała.

Kevin spojrział na nią chłodno.

- Przyszliśmy zabić twojego syna.

Zawahała się tylko na chwilę.

- Chcę wam pomóc. Zaprowadzę was do niego.

Penelope nie wiedziała, jak długo klęczała nad ciałem matki - z pewnością za długo - ale nie mogła się od niej oderwać. Przez moment rozważała pomysł, żeby przenieść matkę przez rzekę - Styks - do krainy zmarłych, ale wiedziała, że matka odeszła i nic jej nie przywróci... zwłaszcza ta parodia życia pozagrobowego.

Ale nie mogła odejść. Zupełnie jakby matka nie umarła do końca, dopóki Penelope przy niej siedziała. Więc obejmowała matkę i płakała, aż zabrakło jej łez.

W końcu wstała, z obolałym grzbietem, ze skurczami w nogach. Otarła z oczu resztki łez.

- Chodźmy - powiedziała ze zdecydowaniem w głosie. - Zabijmy skurwysyna.
- Napotkała spojrzenie April.
- Zabiorę was na Olimp - powiedziała April.

Jechali autostradą w stronę Rutherford, skręcając w boczne drogi, kiedy napotykali blokady.

Wytwornie win przy głównej drodze zostały splądrowane i zniszczone, pijani wyznawcy siedzieli na beczkach i skrzynkach, a za ich plecami płonęły budynki. Inglenook zapadł się do środka, stary budynek wyglądał teraz jak lej po bombie, odłamki kamiennego muru i pędy bluszczu wystawały z dziury. Mondavi zrównały z ziemią spychacze i walce parowe, które nadal rozgrywały niszczycielskie wyścigi na ruinach wytwórni.

Penelope prowadziła. Kevin wciąż nie ufał do końca mamie Diona i chociaż zaproponowała, że ich zawiezie, nalegał, żeby Penelope usiadła za kierownicą. Prawą rękę trzymał na rękojęści śrubokręta wsuniętego za pasek, kiedy to mówił, ale April nie protestowała. Oboje usiedli na tylnym siedzeniu, zostawiając Penelope samą z przodu.

- Na wszelki wypadek - powiedział Kevin.

Dotarli do Rutherford i April kazała Penelope skrócić na wschód, na autostradę 128.

- Nie chcę rozwiewać twoich złudzeń - odezwał się Kevin - ale my tu byliśmy, próbowaliśmy tędy. Droga jest zablokowana.

- Dopiero na ostatnim kilometrze.

Miała rację. Zasadzka, na którą natknęli się przedtem, zniknęła i chociaż jezdnia była zniszczona i zaśmiecona, przejechali obok jeziora Hennessey do Chiles Valley, zanim ściana zwalonych drzew, obwieszonych wstążkami, girlandami i niezapalonymi lampkami choinkowymi, skutecznie zagroziła drogę. Penelope nacisnęła hamulec.

- Od tego miejsca musicie iść piechotą. - April przechyliła się przez oparcie przedniego fotela, wskazała wysokie wzgórze. - To tam.

Penelope spojrzała w tamtym kierunku.

- Olimp?
- Nad jeziorem. - Próbowała sobie przypomnieć nazwę.
- Berryessa.
- Właśnie.

Kevin nachylił się do przodu, spojrzał przez przednią szybę.

- Jakoś sobie wyobrażałem - rzucił kwaśno - że potężna góra Olimp, siedziba wielkich greckich bogów, będzie ździebko wyższa.

- Ciesz się, że nie jest - zripostowała Penelope.

Wysiedli z samochodu i zatrzasnęli drzwi.

- Dajcie mi kluczyki - zażądała April.

- Po co? - zjeżył się Kevin. - Żebyś odjechała? A my jak wrócimy?

- Nie musicie wracać. Albo wam się uda, albo przegracie. W obu przypadkach to koniec.

Penelope popatrzyła na nią.

- Co ty chcesz...?

- Wróć i zabiję twoje matki.

Penelope kiwnęła głową. Nie czuła nic. Ani gniewu, ani bólu, ani żalu, ani wyrzutów sumienia.

- Potem sama się zabiję. I to będzie koniec. - Odwróciła wzrok, spojrzała w stronę wzgórza. - Ale powiedz Dionowi... - Głos jej się załamał. - Powiedz mu, że żałuję. I powiedz mu, że gdybym wiedziała, postąpiłabym inaczej. Chciałam, żeby on... - Urwała, wytarła nos. Obróciła się z powrotem do Penelope, spróbowała się uśmiechnąć. Policzki miała mokre od łez. - O czym ja mówię? To już nie jest Dion. Dion odszedł.

- Ale jeśli nie odszedł - nacisnęła łagodnie Penelope - co mam mu powiedzieć?

- Powiedz mu tylko... cholera, powiedz mu, że go kocham. - Odetchnęła głęboko, wytarła oczy i nos. Wyciągnęła rękę, otwartą dłońią do góry. - Dasz mi te cholerne kluczyki?

Penelope kiwnęła głową, podała jej kółko z kluczykami. April pokazała butelkę, którą trzymała Penelope.

- Chcesz to wypić czy jak? Chętnie się przyłączę.

- Podzielimy się.

Nie pomyśleli, żeby zabrać korkociąg, ale mama Diona wprawnie odkorkowała butelkę długim paznokciem i wypila połowę jednym haustem, zanim przekazała butelkę Penelope. Zamknęła oczy, delektując się smakiem.

- Pomogło.

Penelope uniosła butelkę obiema rękami, napotkała zaniepokojone spojrzenie Kevina, przechyliła szyjkę, wypila. Wino było słodkie i jedwabiste, natychmiast napełniło ją przyjemnym ciepłem.

I narastającym pożądaniem.

Dopiła wino czterema wielkimi łykami i cisnęła butelkę na barykadę, gdzie szkło rozbilo się z brzękiem. Nagle poczuła się dobrze, wypełniona energią i nieznaną euforią. Miała ochotę przelecieć jednocześnie Kevina i April, usiąść na twarzy Kevina...

Nie.

Zamknęła oczy, wzięła się w garść.

- Nic ci nie jest? - zapytał Kevin.

Kiwnęła głową, wciąż z zamkniętymi oczami. Stopniowo rozchyliła powieki. Zapowiadało się ciężko, ale musiała wytrzymać, nie mogła stracić panowania nad sobą.

Przynajmniej dopóki nie znajda Dionizosa.

Wtedy pójdzie na całość.

- W porządku - powiedziała. - Lepiej już chodźmy.

April podeszła do Penelope, chwyciła ją za ramiona, spojrzała jej w oczy. Penelope poczuła, że łączy je więź, nic porozumienia.

- Trzymaj się tego, dopóki potrzebujesz - powiedziała cicho April. - Wykorzystaj to i nie pozwól, żeby to ciebie wykorzystało.

Penelope kiwnęła głową. April uśmiechnęła się do niej.

- Jeśli ja potrafię, ty też potrafisz.

I Penelope dopiero teraz zrozumiała, na jaki wysiłek musiała się zdobyć matka Diona, żeby panować nad sobą przez tak długi czas, żeby kontrolować swoje emocje.

- Powodzenia - szepnęła.

Dziwnie to zabrzmiało życzyć powodzenia kobiecie, która zamierzała zabić jej matki, lecz April odpowiedziała tak samo:

- Powodzenia.

Wyraziła życzenie, żeby udało im się zabić jej syna. Dlaczego do tego doszło? - zadała sobie pytanie Penelope. Dlaczego tak się stało?

- Gotowa? - zapytał Kevin.

Penelope kiwnęła głową.

April obeszła samochód i usiadła za kierownicą, a oni zsunęli się po niewielkim nasypie na skraju drogi. Usłyszeli, że silnik samochodu zawarczał, usłyszeli, że samochód odjeżdża.

Wymienili spojrzenia.

I ruszyli pod górę.

19.

Pozostałe menady czekały na nią, kiedy wróciła na łąkę.

April chwiejnie ruszyła w ich stronę po zaśmieconej trawie, udając bardziej pijaną niż w rzeczywistości. Wiedziały. W jakiś sposób odkryły jej plan i czekały, żeby ją zabić. Żałowała, że nie zabrała żadnej broni. Miała w sobie moc, przyczajoną i gotową do ataku, ale one też

posiadały moc i przewyższały ją liczebnie.

Gdzie jest Margeaux? Janine, Sheila i Margaret stały przed nią razem, ale Margeaux nigdzie nie było. April zerknęła ukradkiem w prawo, w lewo. Ani śladu Margeaux. Pewnie podkrada się do niej, chce ją zaatakować od tyłu.

Przeniosła nieufne spojrzenie z twarzy Janine na twarz Sheili i dalej, na twarz Margaret. Margaret przywitała ją uśmiechem.

- Zrobiłaś to - powiedziała. - Zawiozłaś ją na Olimp.

April zamrugła.

Nie wiedziały!

- Tak - potwierdziła powoli, spokojnie, bełkotliwie.

- Tylko ty mogłaś tego dokonać - powiedziała Sheila. - Ona już nam nie ufa.

Janine uśmiechnęła się lubieżnie, masując swoje mleczne piersi.

- Zasłużyłaś na nagrodę - oznajmiła.

Uklękła i gestem kazała April podejść.

April odetchnęła głęboko, przysunęła się bliżej, poczuła pieśczętę miękkich kobiecych rąk na udach.

Teraz albo nigdy.

Spojrzała w dół na Janine, przesunęła ręką po włosach klęczącej kobiety.

I skręciła jej kark.

Pozostałe nawet nie zdążyły zareagować i zanim jeszcze drgające ciało Janine upadło na ziemię, April drapała piersi Sheili, rozdzierała skórę i mięśnie. Margaret rzuciła się na nią z tyłu, ale April odparła atak i wszystkie trzy potoczyły się po trawie w wyjącej kotłowaninie bezlitosnych zębów i paznokci.

- Jak mogłaś? - wrzasnął jej w ucho jakiś głos. - Jesteśmy twoimi siostrami!

- On jest moim synem! - odrzyknęła.

Myślała, że to Margaret krzyczała, ale kiedy wygramoliła się spod przygniatającego ją ciała, zobaczyła, że Margaret nie żyje. Słyszała własny głos. Sama na siebie wrzeszczała.

Z każdą chwilą robiła się coraz słabsza. Resztką sił dzwignęła się na łokciach i usiadła.

W brzuchu miała wielką dziurę.

Obok niej Sheila kasłała, jeszcze żywa, ale kaszlnięcia brzmiały coraz ciszej, potem jedno uwięzło jej w gardle i ranna umilkła.

April opadła z powrotem na trawę, spojrzała w niebo. Zamknęła oczy i poczuła, że wypływają z niej resztki sił.

- Dion - szepnęła.

20.

Wspinaczka okazała się trudniejsza, niż Penelope przypuszczała, odległość większa i kiedy w południowym słońcu rozbolała ją głowa, pożałowała, że nie zostawiła wina na ostatnią chwilę.

Godzinę później, kiedy wędrowali krętą ścieżką po dość stromym zboczu, roślinność zaczęła się zmieniać. Drzewa rosły rzadziej, krzaki skarłały i zwykłą florę zastąpiły jaskrawo ubarwione rośliny o dziwnie zaprojektowanych kształtach: purpurowe kaktusy z okrągłymi parasolkowatymi liśćmi; odblaskowo żółte porosty tworzące na ziemi misterne koronkowe wzory; krzykliwe pomarańczowe krzaczki z listkami ostrymi jak groty strzał.

- Chyba idziemy w dobrym kierunku - zauważył Kevin.

Penelope kiwnęła głową. Nie miała ochoty rozmawiać. Resztki poczucia humoru opuściły ją i myślała tylko o swoim ponurym zadaniu.

I o matce Felice.

Robiła to głównie dla matki.

W połowie zbocza usłyszeli krzyki. Głośne, urywane wrzaski nieznośnego bólu. Po kilku minutach zobaczyli źródło krzyków: ojciec Ibarra, katolicki ksiądz, leżał przykuty do skały. Olbrzymi orzeł przysiadł obok na głazie i dziobał odsłonięty, zakrwawiony brzuch kapłana w regularnych odstępach czasu. Po każdym ciosie mężczyzna wrzeszczał przeraźliwie.

Kevin podniósł kamień i rzucił w ptaka. Kamień uderzył w głaz tuż pod potężnymi szponami. Orzeł nawet nie drgnął. Kevin obejrzał się na Penelope.

- Nie powinniśmy mu pomóc?

Penelope pokręciła głową.

- Nie możemy pomóc. To kara boska. Nic nie można poradzić. Ruszyli dalej.

Po dwudziestu minutach dotarli na szczyt.

Wyłonili się spomiędzy dwóch zmutowanych różowych palm. Penelope powoli ruszyła przed siebie, ocierając pot z twarzy. To był Olimp? Spodziewała się greckich budowli, zielonych pól, kwiatów. Widziała tylko zwłoki pływające po jeziorze, a trochę niżej skupisko prymitywnych baraków skleconych z dykty i suchych gałęzi.

Nigdzie nie widziała Dionizosa.

- Co teraz? - zapytał Kevin. - Czekamy, aż się pokaże?

- Znajdziemy go - odparła Penelope.

Poszli brzegiem jeziora w stronę baraków. W brudnej, brązowej wodzie unosiły się nie tylko gnijące trupy, ale także potrzaskane wraki łodzi. Błoto śmierdziało rynsztokiem.

Kevin zakrztusił się, zatkał nos.

Rośliny straciły żywe kolory, jakimi pyszniły się wcześniej na zboczu. Zachowały dziwaczne kształty, ale barwy przygasły i śmiałe formy przypominały bardziej mutacje niż cuda. Wydawało się, że im bardziej zbliżają się do środka kręgu, im bardziej zbliżają się do boga, tym bardziej rzeczywistość zaczyna się strzępić.

W milczeniu brnęli przez szlam, aż dotarli do niewielkiej grupy prowizorycznych zabudowań. Tutaj ciała nie tylko unosiły się na wodzie, ale tkwiły zakopane w mule, zeszywniałe ramiona służyły za słupy, podierały ściany z dykty. Nieruchome powietrze wydawało się niezwykle ciężkie, atmosfera złowroga.

Co się stało? Inaczej to wyglądało, kiedy poprzednio widziała Dionizosa. Wtedy panowała atmosfera rozpasanej wesołości, przeciwieństwo tej posepnej, przytłaczającej aury. Czyżby bóg porwał się na zbyt wiele? Czyżby tracił moc z powodu wewnętrznych rozterek? Czyżby za bardzo się upił, żeby należycie funkcjonować?

A może chciał, żeby jego nowy Olimp tak wyglądał?

Nie, nie przypuszczała. Powoli ruszyła przed siebie. Chatynki były małe, najwyżej metr osiemdziesiąt wysokości, jak szopy na narzędzia. Jedna miała fasadę przypominającą pomniejszoną wersję Partenonu - dykta i trzy gałęzie zmieniły się w biały marmur - ale metamorfoza została przeprowadzona byle jak i nie objęła pozostałych baraków.

Penelope ominęła gołą nogę wystającą z błota i zajrzała w otwarte wejście pierwszej chaty.

Matka Margeaux leżała naga na błotnistej podłodze zaciemnionej szopy.

Penelope cofnęła się, zaskoczona. Ale nie odwróciła wzroku i po chwili weszła do ciasnego wnętrza.

Matka Margeaux leżała skulona w niemal płodowej pozycji, z twarzą wykrzywioną cierpieniem. Ciało miała rozdęte, prawie pękające, brudna skóra napinała się na pyzatej twarzy, pękatach ramionach, opasłych nogach, groteskowo wydętym brzuchu. Wrzasnęła, wyprostowała się, wyrzucając do przodu zakrwawione biodra, i znowu opadła w błoto. Wrzask przerodził się w szaleńczy śmiech.

- Matko? - szepnęła Penelope.

Matka Margeaux przestała się śmiać. Podniosła wzrok, uśmiechnęła się chytrze, porozumiewawczo.

- To Zeus. Rośnie we mnie.

Penelope zamarła, przeniknął ją chłód. Natychmiast zrozumiała, co się stało. Nie chciała sparzyć się z Dionizosem i urodzić pozostałych bogów - więc matki ofiarowały się Dionizosowi zamiast niej.

Ale widziała, że się nie udało. Matka Margeaux zaszła w ciążę, ale nie mogła urodzić boga.

I ciąży ją zabijała.

Matka znowu zaśmiała się dziko. Sięgnęła za siebie, w mrok, wyciągnęła bukłak z winem, przechyliła go nad twarzą i strzyknęła sobie czerwonym płynem w usta.

- Boże, ale on ma kutasa!

Penelope zrobiła następny krok. W głosie jej szumiało, nie wiedziała, od wina czy od napięcia. Kiedy odsunęła się od drzwi, promień słońca wpadł do środka i dopiero wtedy zobaczyła, dlaczego matka ma zakrwawione uda.

Pomiędzy jej nogami ziała wielka rana.

Rozerwano ją.

W dziurze poruszało się i skręcało coś białego, oślizłego.

Kevin przepchnął się obok niej z uniesionym śrubokrętem, ale go zatrzymała.

- Nie - powiedziała.

- Ale ona...

- Ona umiera.

- Ona rodzi!

Penelope słyszała dudnienie w głowie, czuła zapach krwi, smak wina i chciała się pieprzyć, chciała zabijać. Wyobraziła sobie, że wskakuje na matkę, wbija paznokcie w jej skórę, przegryza ciało, wrywa serce.

Zamknęła oczy. Nie. Nie mogła się poddać. Musiała to zachować dla Dionizosa.

- Miałam go przed tobą! - zarechotała matka Margeaux. - Nawet jeśli go zerzniesz, ja go miałam pierwsza! I noszę jego dziecko! Noszę jego ojca! Noszę Zeusa!

Penelope chwyciła Kevina za ramię, wyciągnęła z chaty.

- Zostaw ją.

- Zabiję ją, jeśli ty nie możesz.

- Ona i tak umrze.

- Może nie.

Zrozumiała, że miał rację. Chociaż siliła się na obojętność, chociaż nie przejęła się obietnicą April, że zabije jej matki, chociaż czuła się pusta i chora po śmierci matki Felice, nie mogła patrzeć na umieranie matki Margeaux. Zaakceptowała to jako abstrakcyjny pomysł, ale kiedy patrzyła na matkę, czuła jej ból. Nadal zachowała resztki przywiązania do matki Margeaux, dlatego się wykręcała, szukała wymówek, zwlekała.

W milczeniu puściła ramię Kevina.

Patrzyła w ziemię, kiedy wszedł z powrotem do chaty. Pomyślała, że matka go rozszarpie. Nawet chora i ranna, była menadą, a on tylko uczniem szkoły średniej. Ale Penelope

tam nie wróci, żeby mu pomóc. Cokolwiek się stanie, to nie jej sprawa.

Potem usłyszała wrzask matki. Tym razem nie słyszała śmiechu, tylko ból i jeszcze jeden cichszy dźwięk, głębokie, wilgotne bulgotanie.

Zeus?

Po chwili ręka dotknęła jej ramienia, zakrwawiona ręka, ciepła i lepka. Obejrzała się na Kevina. Twarz miał białą jak papier. Zostawił śrubokręt w chacie.

Nic nie powiedziała i on nic nie mówił. Razem przeszli wśród baraków, zajrzeli do każdego, ale znaleźli tylko błoto, krew i kości. Pozostałe chaty okazały się puste.

Penelope zamknęła oczy, odetchnęła głęboko, próbowała uciszyć łomotanie w głowie.

Nie udało się.

To ją najbardziej uderzyło w tej całej historii. Nie udało się. Dionizos powrócił, ale nie był już Dionizosem, tylko tym... półbogiem. Przebywał w tym ciele razem z Dionem. Starzy bogowie zaplanowali swoje wskreszenie, ale nie potrafili spojrzeć w przyszłość i nie przewidzieli kształtu tego świata.

Ich plan zawiódł.

A Holbrook i jego kumple z tajnego stowarzyszenia okazali się co najwyżej klubem korespondencyjnym, nie strażnikami Ziemi, za jakich chcieli uchodzić. Wprawdzie pierwsi zrozumieli, co się dzieje, ale nie mieli pojęcia, jak to powstrzymać.

Ale zawsze tak było, prawda? Tak zwani eksperci układali plany kryzysowe i wmawiali sobie oraz innym, że są przygotowani na każdą okoliczność, jednak kiedy coś się stało, nieuchronnie spychał ich w cień jakiś anonimowy bohater, stworzony na potrzeby chwili.

Jak ona.

Chociaż właściwie nie była anonimowa. Miała swój udział w grze. Nawet jeśli była tylko pionkiem, odegrała swoją rolę.

A teraz od niej zależała końcowa rozgrywka.

Otworzyła oczy, rozejrzała się dookoła. Gdzie jest Dionizos? Tutaj chyba go nie ma. Czy wrócił do doliny? Jej wzrok wędrował po obwodzie jeziora.

Nic.

Ruszyła dalej, minęła ostatnią chatę.

I tam go znalazła.

Leżał nieprzytomny na ziemi, niemal całkiem ukryty wśród przybrzeżnych drzew, tylko stopy wystawały spomiędzy dwóch krzaków, w połowie normalnych i w połowie odmienionych, widocznie zatrzymanych w trakcie transformacji.

Penelope obejrzała się na Kevina. Czy pójdzie tak łatwo? Czy naprawdę dopisało im takie szczęście? Po wszystkim, co przeszli, po wszystkich trudnościach, które pokonali, zakończenie miało się okazać takie proste? Dostaną Dionizosa podanego na talerzu?

Poczuła się niemal rozczarowana.

A potem bóg się poruszył.

Zatrzymali się, zamarli. Rozległ się ryk, ziewnięcie i wielkie stopy się przesunęły.

Bóg wstał. Zobaczył ich.

Wpatrzył się w Penelope. Ona odwzajemniła jego spojrzenie.

Zaczynał się sypać i serce jej się ścisnęło, kiedy go ujrzała w takim stanie. Ciało na powiększonym szkielecie marszczyło się i obwisało; popękane naczynka krwionośne poznały skórę czerwonymi pajęczynkami. Z twarzy nie przypominał teraz ani Diona, ani Dionizosa, raczej nieudaną hybrydę tych dwóch, to bardziej podobną do chłopca, to znów do boga.

Widocznie zauważył jej reakcję, bo cofnął się kilka kroków pomiędzy drzewa i próbował się ukryć w cieniu.

- Czas upłynął - powiedział. Głos nadal miał donośny, ale już nie tak rozkazujący jak przedtem, dźwięczący bezradnym zdziwieniem. - Wszystko... dzieje się... szybciej, niż powinno.

Penelope kiwnęła głową.

- Miałem dostać rok.

Odchrząknęła.

- Wiem.

- Sezon już się skończył.

On też umierał. Mieli rację. Jego nadejście odwróciło i przyspieszyło pory roku. Ale chociaż sam to wywołał, nie panował nad tym. Padł ofiarą tego zjawiska.

- Wiem, po co przyszliście - powiedział do niej. Spojrzał na Kevina.

Kevin zapytał cicho, niepewnie:

- Dion?

- Już nie. - Sięgnął do najbliższego drzewa, wyciągnął ogromny bukłak z winem. - Muszę się napić.

Podniósł bukłak nad głowę i rozerwał. Wino trysnęło mu do ust, polało się po brodzie i na pierś. Westchnął ciężko, zadowolony, wyszedł pomiędzy drzew na brzeg. Skupił się, krzywiąc twarz, i powietrze zafalowało, zamigotało. Skóra mu się wygładziła, mięśnie się napięły, pęknięte naczynka krwionośne zniknęły.

Podszedł do nich. Miał twardego członka i gaskał go, wpatrując się w piersi Penelope. Pomimo wszystko pragnęła go. Wiedziała, że nie może go mieć, wiedziała, że musi go zabić,

ale chciała rozłożyć się przed nim i wziąć go w siebie. Chciała, żeby ją rozdarł jak matkę Margeaux. Chciała, żeby ją zapłodnił swoim nasieniem.

Uśmiechnął się, jakby znał jej myśli.

- Tak - powiedział.

Słabo pokręciła głową.

- Nie.

Uśmiechnął się do Kevina.

- Oboje. Pokocham was oboje.

Kevin splunął.

- Zawsze cię podejrzewałem, Dion.

Cień przemknął po twarzy boga. I coś jeszcze. Ludzki wyraz. Mina, która wyglądała rażąco niestosownie na tym olbrzymim obliczu. Wargi zaczęły formować słowa - ciętą ripostę - ale po chwili impuls został stłumiony i twarz się wygładziła.

Penelope zrobiło się niedobrze. Dion wciąż tam był.

- Możemy przerwać cykl - powiedział bóg. - To nowy świat. Stare reguły nie obowiązują. - Uśmiechnął się lubieżnie. - Możesz mnie urodzić i nigdy nie umrę.

Pokręciła głową.

- Wyrucham cię...

- Nie uda się.

Zbliżył się do nich. Dotknął jej, wziął ją na rękę. Nie walczyła. Polizał jej piersi ogromnym językiem. Chociaż go pożądała, to jej nie sprawiło takiej przyjemności, jak się spodziewała. Język wydawał się szorstki i jednocześnie oślizły.

To dało jej siłę, żeby wywinąć się z jego uścisku.

Zaskoczyła go jej siła i sam zamiar. Puścił ją, a ona upadła w błoto u jego stóp i szybko odpelzła.

- Mogłam urodzić innych bogów, Zeusa, Hermesa i tak dalej. Nie mogę urodzić ciebie.

- Właśnie że możesz - zaprzeczył z podnieceniem.

- Nie zrobię tego.

- Musisz. - W jego twarzy wściekłość i determinacja przerażająco mieszały się z pożądaniem. - Zmuszę cię.

Zrozumiała, że Dionizos był jak dziecko. Zepsute, samowolne dziecko. Potrzeby miał proste, reakcje oczywiste. Brakowało mu subtelności. Łatwo mogła przewidzieć jego zachowanie.

Hollbrook miał rację. Te istoty nie były bogami. Potworami, tak, ale nie bogami.

Ale czy jego moc na tyle osłabła, żeby z nim walczyć? Wątpliwe.

Penelope pożałowała, że nie wypila całej butelki wina. Menady powinny rozszarpać Dionizosa na strzępy. Jako silna menada miałyby szansę przeciwko słabemu bogu.

Czy mogła zwerbować do pomocy swoje matki?

Czy same i tak nie zamierzały tego zrobić?

Tak czy owak za późno. Każdy jest mądry poniewczasie. Gdyby wtedy wiedziała to, co wiedziała teraz, postąpiłaby inaczej, ale na tym etapie mogła tylko brnąć dalej.

Zamknęła oczy, rozluźniła kontrolę, pozwoliła, żeby wypełnił ją gniew. Niczego nie powstrzymywała, zerwała wszystkie emocjonalne ograniczenia, które dotąd sobie narzucała. Była menadą. Najwyższy czas, żeby zaczęła się zachowywać jak menada.

Skoczyła do jego krocza.

Działała instynktownie, racjonalny umysł ustąpił przed wewnętrzną dzikością. Paznokcie dotknęły ciała i wbiły się głęboko, szarpały i darły. Czowała ożywcze ciepło krwi, słyszała rozkoszne wrzaski bólu. Obiema rękami ścisnęła gigantyczne jądro, a potem straszliwy piorun mocy cisnął ją do wnętrza którejś chaty. Leżała ogłuszona, błoto wokół niej stopiło się na czarne szkło.

Dionizos skoczył do niej. W oczach miał żądzę, w twarzy morderczy gniew. A potem... to zniknęło.

Podniósł ją zadziwiająco delikatnie.

- Nic ci się nie stało? - zapytał. - Nie chciałem ci zrobić krzywdy.

Mówił głosem Diona.

Zaczęła płakać. Tego było za wiele. Nie wiedziała, co robić, nie wiedziała, jak zareagować, nie wiedziała... nic. Najpierw pozwolił jej odejść, potem chciał ją zabić. Wiedziała, że Dionizos jest rozszczepionym wewnątrznie, schizofrenicznym bogiem - skutki wina - ale nie przypuszczała, że to ją tak wytrąci z równowagi.

Nie, to nie przez Dionizosa. To przez Diona. Gdyby chodziło o kogoś innego, nie przeżywałyby takiej rozterki. Takiego konfliktu.

Pocałował ją łagodnie w czubek głowy.

- Kocham cię - powiedział.

Mruganiem strąciła łzy z rzęs.

- Ja też cię kocham - wyznała.

Odwrócił głowę.

- Przepraszam! - krzyknął do Kevina.

Penelope obejrzała się i zobaczyła, że Kevin został wrzucony do wody i teraz gwałtownie wiosłuje ramionami pomiędzy dwoma trupami, żeby dopłynąć do brzegu.

Otrzymali chwilę wytchnienia. Gniew, strach, miłość - coś pomogło Dionowi utrzymać kontrolę nad boską postacią znacznie dłużej niż kiedykolwiek.

Wiedziała, że Dion może zniknąć w każdej chwili, więc szybko ujęła w dłonie jego

ogromną twarz i powiedziała:

- Muszę cię zabić.

- Wiem. - Spojrzał jej w oczy i zobaczyła ślad jego dawnej osobowości. Rozpoznała sposób, w jaki mrugał, poruszał brwiami. Znowu zaczęła płakać, a on palcem otarł jej łzy. - Chciałem cię prosić, żebyś mnie zabiła. Nie będę walczyć.

Tyle chciała mu powiedzieć, tyle pytań zadać, ale nie miała czasu. W każdej chwili mógł stracić niepewną przewagę, a wtedy zginą.

- Twoja matka też cię kocha - powiedziała.

I rozdarła go na strzępy.

Zgodnie z obietnicą nie stawiał oporu. Przestała się kontrolować i sama się przeraziła swoją siłą, swoją dzikością, zdolnością do przemocy. Niczym postać z kreskówki, niczym trąba powietrzna wbiła się w niego, poprzez niego, szarpiąc ciało, łamiąc kości, rwąc organy. Nie ustawała w atakach - kopała, drapała, gryzła, targała - wrzeszczała i płakała jednocześnie, jego słona krew mieszała się z jej słonymi łzami, ale nie mogła przestać, rozszarpała nie Diona, tylko istotę, która go ukradła, która odebrała jej Diona.

Upadła, wyczerpana. Gardło ją bolało od wrzasku, ale łzy ciągle spływały po jej zakrwawionej twarzy. Z Dionizosa nic nie zostało. Ani głowy, ani ręki, ani stopy, ani jednego palca. Nic, co dałoby się rozpoznać. Tylko strzępki ciała i odłamki kości, rozrzucone na zadziwiająco długim odcinku brzegu. I krew. Mnóstwo krwi.

Kevin gapił się na nią, stojąc jeszcze w wodzie. Na jego twarzy malował się strach, strach przed nią, i chociaż chciała go uspokoić, zapewnić, że wszystko w porządku, milczała.

Zabiła Diona.

Kochała go.

I zabiła go.

Czuła się już inaczej. Zmęczona. Zastanawiała się, co się dzieje w dolinie. Czy ludzie nadal piją, bawią się, świętują? Czy kiedy zniknął wpływ boga, kręcą głowami i przytomnieją, jakby budzili się ze złego snu, nie rozumiejąc, co się stało? Podniosła wzrok. Drzewa i krzaki nie odzyskały normalnych kształtów. Przemienione rośliny zachowały formę nadaną przez boga.

Co się stało z satyrami, centaurami i nimfami?

Boże, ależ była zmęczona. Wyciągnęła się wygodnie i oparła głowę na miękkim, stygnącym ciele.

Kevin podszedł i stanął obok. Spojrzał na nią z góry, ale bez cienia seksualnego pożądania, tylko z troską. Ona też nie czuła żadnego podniecenia.

Nawet kiedy pomyślała o Dionie.

- Jak sprawić, żeby nie wrócił? - zapytał w końcu Kevin.

- Nie zostały żadne menady. Tylko ja.
- Ale to cykliczny bóg, zgadza się? Umiera co roku, a potem się odradza?
- Nie sprowadził pozostałych. Nie ma kto go wezwać. Był bogiem z ciała, a jego ciała już nie ma.

- Więc to wszystko? To koniec?

Przytaknęła ze znużeniem.

- Tak - powiedziała. - Chyba tak.

Leżała jeszcze przez chwilę. Kevin wciąż stał obok. Zamknęła oczy - myślała, że na kilka sekund. Ale kiedy znowu je otworzyła, było ciemno, zapadła noc. Kevin wciąż stał nad nią i przyglądał jej się z troską.

Usiadła. W głowie ją łupało.

- Lepiej się czujesz? - zapytał.

Przytaknęła.

- Tak - powiedziała i, co dziwne, naprawdę czuła się lepiej.

Wstała, powoli podeszła nad brzeg jeziora i ściągnęła spodnie. Spojrzała na Kevina, uśmiechnęła się i wskoczyła do chłodnej, orzeźwiającej wody, żeby zmyć krew.

EPILOG

Zarówno władze stanowe, jak i federalne trzymały się historyjki o radioaktywnych odpadach, wysłały mnóstwo oddziałów i setki agentów w białych antyradiacyjnych kombinezonach, objęły całą okolicę kwarantanną i poddały mieszkańców skomplikowanym badaniom lekarskim oraz testom psychologicznym, które - zdaniem Penelope - miały przekonać skacowanych, otępiałych ludzi, że to, co się wydarzyło, wcale się nie wydarzyło.

Ona i Kevin wiedzieli lepiej.

Potem zbliżyli się do siebie, stali się prawie nierozłączni. Rodzice Kevina przeżyli i znowu z nimi mieszkał. Ponieważ wszystkie matki Penelope nie żyły, a była za duża na adopcję czy sierociniec, załatwiła sobie sądowe orzeczenie o samodzielności i przeprowadziła się do małego mieszkanka w pobliżu szkoły. Otrzymywała fundusze na wydatki z majątku matek, chociaż prawnicy i księgowi wciąż próbowali oszacować wielkość majątku oraz aktywów i prawdopodobnie jeszcze przez kilka lat nie miała odziedziczyć tego, co zostało z wytwórni win oraz jej dochodów.

Pod koniec roku szkolnego ona i Kevin oficjalnie stali się parą. Wprowadził się do niej po maturze, ale nie wytrzymali nawet do końca lata i na jesieni Penelope sama wyjechała do Berkeley. Wiele ich łączyło, ale chyba za wiele. Będąc ze sobą, nieustannie przypominali sobie nawzajem o tym, co się stało, i rany, które powinny się zabliznić, wciąż się jątrzyły.

I Dion zawsze stał pomiędzy nimi.

Ale chociaż wspólne przejścia ich rozdzieliły, również połączyły ich nierozzerwalną więzią. Nikt inny nie przeżył tego, co oni, dlatego byli skazani na siebie. Po dwuletniej przerwie, kiedy każde żyło własnym życiem i próbowało się przystosować do postdionizyjskiego świata na własny sposób, znowu się spotkali. Penelope przeniosła się na UCLA i Kevin zadzwonił do niej z propozycją, żeby do siebie wrócili.

Zgodziła się.

Dwa lata później pobrali się. Rok później zaszła w ciążę.

Penelope siedziała na parapecie okiennym przyszłego pokoju dzieciennego i spoglądała przez szybę na dzieci bawiące się na ulicy. Niedawno otrzymała spadek po matkach i oboje mieli dobrą pracę, więc mogli sobie pozwolić na dziecko. I chyba była szczęśliwa. Kevin był dobrym mężem i kochała go.

Ale...

Ale czasami zastanawiała się, jak wyglądałoby jej życie, gdyby Dion przeżył, gdyby wyszła za niego i teraz nosiła jego dziecko.

Kochała Kevina.

Ale zamieniłaby go na Diona w każdej chwili.

Dlaczego nie mogło być inaczej?

Usłyszała, że na dole otwierają się drzwi, usłyszała, że Kevin rzuca listy na szafkę w korytarzu.

- Wróciłem! - zawołał.

- Jestem na górze! - odkrzyknęła.

Czekała na niego. Uśmiechnęła się, kiedy wszedł do pokoju. Szybko podszedł do niej.

- Jak się dzisiaj czujesz? - zapytał.

Wzruszyła ramionami.

- Dobrze.

Usiadł obok niej na okiennej ławie, rozwiązał krawat. Spojrzał na pudełko sezamowo-serowych krakersów i pusty pojemnik po jogurcie leżące u jej stóp.

- Znowu masz zachcianki?

- Tak. - Roześmiała się.

Położył rękę na jej rozdętym brzuchu.

- Przynieść ci coś jeszcze? Pikle i lody? Anchois i sok pomarańczowy?

Zaczęła coś mówić, odwróciła wzrok, pokręciła głową.

- Nie.

- Śmiało.

Podniosła na niego oczy.

- Ja nie...

- Mówię poważnie. Wszystko, czego zechcesz.

Odetchnęła głęboko.

- Wszystko?

Uśmiechnęła się.

- Dam ci wszystko, czego zapragniesz.

Spojrzała mu w oczy, zebrała się na odwagę.

- Wino - powiedziała cicho. - Mam ochotę na wino.